

THRILLER HISTORYCZNY



KRZYSZTOF GOLUCH

W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ

TOM II
NAPAD



NOVAE RES

KRZYSZTOF GOLUCH

W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ

**TOM II
NAPAD**



NOVAE RES

Rozdział I

Józef Piłsudski trzymał swą maleńką kruszynkę na rękach i kołysał, mrużąc pieśni wojskowe. Mała rączka Wandeczki mknęła zaś ku ojcowym wąsom. Usiłowała je chwycić paluszkami, a on to cofał się, to pochylał nad jej czerwoną bużką. I z pewnym rozrzewnieniem patrzył na to skupienie, które malowało się na jej twarzy, gdy słuchała jego głosu. Rzadkie to były okazje, gdy mogli spędzać czas na igraszkach. Wojna i polityka stale odciągała go od najbliższych mu ludzi. A trosk z czasem nie tylko nie ubywało, ale jeszcze przybywało.

Wojska sowieckie otwarcie ruszyły na zachód, zajmując pasy ziemi niczyjej, którą im Niemcy pozostawili. Znaleźli tam znaczne zapasy uzbrojenia, które wzmogły ich potęgę wojenną. Był to jawny dowód, że dwa wrogie mocarstwa pilnie knują nad zgubą państwa, którego był wodzem. Tego nie wolno było pozostawić bez adekwatnej odpowiedzi. Dlatego wydał rozkaz, aby wszystkie nowo sformowane związki operacyjne ruszyły na wschód. Liczył się z tym, że gdy te dwie armie się zetkną, wtedy zbrojne zderzenie będzie nieuniknione. Ale starcie nie było bliskie.

Można było myśli innym troskom poświęcić, a tych nie brakło. Wprawdzie z Wielkopolski dochodziły do niego jak najpomyślniejsze wieści, ale ujawniły się też przytłumione przez wojnę podziały. Generał Dowbor-Muśnicki, którego nie lubił, bo był zbyt bliskim stronnikiem Dmowskiego, poradził sobie z funkcją, którą mu wyznaczył, choć wolałby, by się na niej potknął; ale

przynajmniej jego działania na korzyść krajowi wyszły. Gorzej, że sukcesy wbiły Muśnickiego¹ w dumę. Zażądał autonomii Wielkopolski. Chciał, by w sytuacji zagrażającej nowej niemieckiej ofensywie oddał mu dowództwo nad frontem zachodnim. I to jeszcze było racjonalne. Ale autonomia i własna armia to były warunki nie do przyjęcia. Nawet sejm nie przysporzył mu tylu problemów, choć i tam spory nie ustawały. Ale spory parlamentarne dotyczyły konstytucji, paragrafów, zwrotów prawnych. Działania Naczelnej Rady Ludowej i przywódców powstania, na czele z generałem, godziły w integralność państwa.

Cholerni Wielkopolanie – pomyślał, delikatnie odkładając małą do łóžeczka. Cieszył się, że wreszcie zasnęła. Już miał chrypę od ciągłego nucenia jej legionowych pieśni. Dobrze, że miał ich pod ręką spory zapas.

Podszedł do rozłożonej na szerokim stole mapy i patrzył na nią, jakby chciał wzrokiem dziurę w niej wypalić. Sytuacja stawała się coraz klarowniejsza. Ludziom Iwaszkiewicza udało się opanować: Białystok, Kobryń i Próżany i docierają do Niemna. Blokując tym samym drogę wojskom sowieckim, które przez Baranowicze, Pińsk i Wilno usiłują przejść na zachód. Mówiąc krótko, ukształtował się regularny front o długości około stu pięćdziesięciu kilometrów. Ciągnął się on od Skidla pod Grodnem na północy, do rzeki Prypeć na południu.

Usiadł w głębokim fotelu i spojrzał na niebieską linię rzeki Szczyry. Zdawał sobie sprawę z konieczności jej opanowania, gdyby wojna miała się wreszcie zacząć. A było to więcej niż prawdopodobne. Wystarczyło bowiem jedno starcie, jeden wystrzał karabinowy, by wojna zapłonęła ze straszliwą siłą. Jaki będzie koniec tej walki? Okłamywał swoich żołnierzy i współpracowników, że nie wątpi w zwycięstwo. Ale gdy był sam, wówczas silnie czuł wielkie brzemię odpowiedzialności, jaką wziął na swoje barki.

Zręcznym ruchem wydobył z szuflady biurka garść cukierków. Lubił słodczyce, ale musiał je starannie ukrywać przed Olą, która z wielkim zaangażowaniem dbała o jego zdrowie. Dlatego z utęsknieniem wypatrywał chwil takich jak ta, gdy choć na chwilę spuszczała go z oczu. Wtedy mógł pić mocną herbatę, palić i objadać się słodczykami. A ona odzyskiwała siły, wydając pieniądze u modystek. Ostatnio ćwierkała mu o nowym sklepie z kapeluszami, który niedawno otwarto na Krakowskim Przedmieściu. Niech i ona ma swoją rozrywkę – pomyślał.

Dostrzegał, że Ola robi wszystko, by mu się nie narzucać. I nie żałuje trudu, by nocny płacz Wandeczki nie utrudniał mu pracy. Ale on wiedział, że mała nie chce przyjmować naturalnego pokarmu. Jest niespokojna i często płacze. O dziwo, w jego rękach zachowywała się taktowanie i z ochotą wysłuchiwała jego bajania. Dlatego starał się spędzać z nią każdą wolną chwilę, by odciążyc przemęczoną Aleksandrę i zjeść to, na co miał ochotę.

Szybko i łączywie jadł cukierki, krakersy i suszone owoce. Jednocześnie cały czas z niesłabnącym skupieniem przesuwał wielkie jednostki taktyczne, przewidując przebieg przyszłej wojny, która już majaczyła gdzieś na horyzoncie. I żałował, że nie ma przy nim Wieniawy. On miał nieomylny instynkt strategiczny. Interesowało go wszystko, co dotyczyło wojny. Potrafił godzinami ślęczeć nad pracami różnych wojskowych i roztrzasać szczegółowo każdy przeczytany w nich akapit. Tym bardziej żałował, że nie ma przy nim tego dziecka, gdyż układał właśnie przebieg kolejnej wielkiej akcji. Lecz nie mógł skupić się na planowaniu.

Jego myśl bowiem ciągle wracała do osoby Wieniawy. O napaści na pociąg miał już dokładne relacje, ale kazał utajnić wiadomość, by wieść o masakrze nie przedostała się przez prasę do społeczeństwa. Osoba Wieniawy była znana zbyt szeroko i wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby wydało się, że wyruszył do Rosji. Jak mu doniesiono, między zabitymi nie było jego ciała. Ale tu

wszelki ślad się urywał. Nie wiedział, co się z nim działo, ale liczył, że jego żołnierskie szczęście, które wielokrotnie widział na własne oczy, pozwoli mu przeżyć.

Zakładał, że jest w jakimś sowieckim więzieniu, i kazał szefowi wywiadu, by szukał go jak najstaranniej. Jednak wysiłki te nie przyniosły jak dotychczas żadnych rezultatów. Wydając te rozkazy, nie łudził się za bardzo, że będzie inaczej, ale chciał mieć poczucie, że robi cokolwiek, by go ratować. I tak szarpały go wyrzuty sumienia, bo kochał tego młodzieńca jak syna, którego Bóg jeszcze mu nie dał. Wiedział też, że ten odplaca mu szczerym przywiązaniem, które płynie nie z wyrachowania, lecz z serca.

Zamaszystym ruchem szarpnął za leżący na biurku dzwoneczek. Jeszcze nie przebrzmiał jego dźwięk, gdy do gabinetu wszedł czuwający w adiutanturze żołnierz. Trzasnął obcasami, stając na baczność.

Piłsudski z niepokojem spojrział na łóżko, w którym leżała Wandeczka, po czym zgromił oficera spojrzeniem.

– Cicho. Czy ty wiesz, ile zajęło mi jej uśpienie? – rzucił.

Oficer zarumienił się po same cebulki włosów i z niepokojem spoglądał na szefa. Ten jednak kiwnął ręką, dając mu znak, by podszedł bliżej. Nadal onieśmielony, podsunął się do mapy.

– Jesteś tu nowy, dziecko. Więc ci zapowiadam: wszystko, co wydarzy się w murach tego budynku, jest najściślejszą tajemnicą. Adiutant jest moim cieniem, bez względu na pogodę. Jeśli wspomnisz komukolwiek o tym, co ci teraz powiem, skończysz marnie. Czy to jasne?

– To o niczym mi mówić nie wolno?

– Mówić ci wolno, byle mądrze. Bo wróg czuwa i dużo by dał, by myśli moje i zamierzenia poznać. Zresztą wierzę i ufam w twój zdrowy rozsądek. A teraz zrób dwie rzeczy: wezwij tu pułkownika Dobrowolskiego, a potem znajdź Adelę Heybutowicz² i powiedz jej, że małą można już zabrać do naszych pomieszczeń prywatnych.

Gdyby moja żona wróciła z zakupów, to przekaz jej, że chętnie ją zobaczę. – Machnął ręką, dając chłopcu sygnał, że nie jest mu już potrzebny.

Patrzył, jak obraca się z chrzęstem butów i wychodzi. Został sam. Lubił samotność. Przywykł do niej jeszcze za czasów Sybiru, gdy za jedyne towarzystwo miał drzewa. Dlatego mógł godzinami oddawać się rozmyślaniom, patrząc na okryte białą otuliną belwederskie ogrody. Często w takich chwilach rozmyślał o poprzednich lokatorach tego miejsca. O wielkim księciu Konstantym i innych carskich namiestnikach. Wiedział, że oni nie wyobrażali sobie sprawowania władzy bez splendoru i luksusu.

Spojrzał na zaśniewoną drogę wiodącą przed front pałacu, ponieważ dostrzegł na niej swoją limuzynę, która właśnie skręcała do parku maszynowego. Pośpiesznie rozejrzał się dokoła, sprawdzając, czy nie pozostawił żadnych śladów po słodyczach. Papierosy dobrze schował. Nie znajdzie ich – pomyślał. Wiedział, że Aleksandra wprowadza ograniczenia dla jego własnego dobra. Ale potrzebował tej namiastki wolności. Niemniej nie lubił się z nią kłócić. Dlatego z precyzją znamionującą wieloletnie doświadczenie konspiracyjne usunął wszelkie dowody przestępstw.

Następnie usiadł na niewielkiej kanapie przy okrągłym, oszklonym stoliku i założył nogę na nogę. Po chwili usłyszał lekkie kroki swojej Aleksandry, która wpadła do gabinetu z rękoma pełnymi pakunków, z twarzą zarumienioną od mrozu. Na jej futrze z nerek osiadły płatki śniegu. Zręcznym ruchem zsunęła kaptur, odsłaniając jasne włosy. Bez słowa podszedł do niej i pomógł uporać się z ciężkim futrem.

– Jesteś dla mnie podejrzanie miły – szepnęła, gdy żartobliwie musnęła wąsami płatek jej ucha. – Znowu łamałeś zalecenia lekarskie. Wiesz, że przy nadciśnieniu tętniczym nie należy ani palić, ani zajadać się słodyczami? To zwiększa ryzyko zawału.

– O mój zawał troszczą się najlepiej Lenin i Trocki, że Hindenburga zmilczę. Poza tym wiesz, że nie lubię lekarzy. Patrzy taki, osłuchuje, nosem niucha, aż wyniucha.

Uśmiechnęła się boleśnie. Cały czas czuła się, jakby był z nią tylko ciałem, a duchem ledwie przez moment. Odbierał jej go krwawy świat walki, którego nie знаła, lecz w którym mogłaby, umiała żyć. Pozostało jej cieszyć się krótkimi chwilami szczęścia, które otrzymała w darze od losu. Czułym ruchem odsunęła mu grzywkę.

– Nie mogę patrzeć, jak się męczysz. Nie jesteś sam w tym kraju. Jest sejm, są inni. Nie bierz na siebie całego ciężaru. Myślisz, że nie widzę, jak wstajesz w nocy i kładziesz się po zachodzie słońca? Widzę bladłość w twojej twarzy i znużenie. Nie chcę zostać wdową, zanim będę żoną. Nie możesz reagować na wszelkie niepowodzenia kraju, jakby były twoimi osobistymi.

– Nie ma innych – rzekł. – W tym kraju jest zwyczaj, żeby winą za wszelkie niepowodzenia obarczać wodzów. I będzie to moja wina. Nie mogę przegrać, nie mogę! Czekaliśmy na taką szansę przeszło sto lat! I nie wiadomo, kiedy się ona powtórzy, jeśli dzisiejsza koniunktura nie zostanie wykorzystana.

Westchnęła. Tak bardzo chciała wziąć część jego trosk na siebie. Chciała, by rozmawiał z nią o swoich zmartwieniach, problemach, a nie opowiadał o domu w Zułowie. Wielokrotnie próbowała pomówić z nim o sprawach politycznych, lecz zawsze zbywał ją, nim zdołała przejść do rzeczy. Bolało ją to. Ale milczała. Skupiała się na zapewnieniu mu ciepła domowego ogniska. Dbała o jego wygody, starając się odgadywać niewypowiedziane myśli.

Zmieniła Belweder w ascetyczne, ale przytulne miejsce. Wiedziała, że nie lubił przepychu, który zastali po dawnych mieszkańcach tego lokum. Wyczuwała, że czuł się niekomfortowo. Zresztą podobnie jak ona. Również ją drażniły ogromne sale, pozłacane meble. Dlatego zabrała się za nadanie temu miejscu

bardziej familiarnego charakteru. I byłaby tu szczęśliwa, gdyby mogła mieć go całego tylko dla siebie. Nie dzielić go z Hindenburgiem, Leninem i Bóg wie, kim jeszcze. Roześmiała się swoim dźwięcznym śmiechem.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Pomyślałam sobie właśnie, że rzeczywiście należysz bardziej do Lenina niż do mnie. Jemu więcej myśli i uczuć poświęcasz aniżeli mnie. Nie zaprzeczaj. Bo wiesz, że prawdę mówię. Nigdy cię przy mnie nie ma. Oddalasz mnie od siebie, sądząc, że wyprawy na zakupy zrekompensują mi brak twojej uwagi. Nie zrekompensują. Sądziś, że ja nie mam uczuć? To patrz, co robię z tymi kapelusikami i fatalaskami!

Zarumieniona od nagłego przyływu wściekłości, z falującą piersią, błyszczącymi oczami, przypominała wilka. Chwyliła podłużne pudła i wyrzucała ich zawartość. W szale deptała wykwintne kapelusze, darła obszyte cekinami wieczorowe suknie. Ciskała wstążki. Wreszcie jednak opadła z sił i osunęła się z płaczem na kanapę.

Piłsudski patrzył na nią rozszerzonymi ze zdumienia oczami. Nie spodziewał się po tej eterycznej blondynce takiego wybuchu. Zaskoczyła go. Nie wiedział, jak powinien zareagować. Poczul instynktownie, że może ją stracić. Wyczuwał, że ten wybuch był krzykiem rozpaczki kobiety, którą zaniedbał dla narodowej sprawy. Było mu z tym źle. Ale czy jego winą było, że nigdy myśli nie miał swobodnej, a uwagę jego pochłaniała wielka polityka? Zawsze myślał, że nie potrzebuje jej mówić, jak jest dla niego ważna.

Na myśl przyszła mu rada Wieniawy. Nie po raz pierwszy pochylił głowę nad głęboką znajomością kobiecej psychiki, jaką wykazywał się jego adiutant. Gdybym go wówczas posłuchał – pomyślał. I mnie, i jej serce by nie krwawiło. Ale może jeszcze nie jest za późno? Z tą myślą usiadł obok niej, zdjął jej rękawiczki i zaczął całować. Całował jej rękę, ramiona, policzki. Scałowywał

lzy, których był przyczyną. Następnie ujął ją za rękę i poprowadził przed mapę. Usadził ją w głębokim fotelu i stanął za jej plecami.

Tłumaczył jej skomplikowane meandry wojskowości i logistyki. Przesuwał znaki i chorągiewki, które symbolizowały poszczególne pułki, dywizje i armie. I ze zdumieniem przekonywał się, że sprawia mu to przyjemność. Patrzył na jej skupioną twarz, gdy chłonęła każde jego słowo. Wprowadzanie jej w zawiłości polityki tak go zajęło, że nawet nie zauważył, gdy do gabinetu cichcem wsunęła się kucharka i zabrała małą. Gdy skończył, rzekł:

– Widzisz, że niełatwe to brzemie. Od niego nie ma spoczynku. Ani na chwilę spraw z oczu spuścić nie można, bo jak nie Berlin, to Moskwa z tego skorzysta. A jeszcze i na swoich uważać trzeba, by kłód pod nogi nie rzucali. Widzisz, co się w naszym sejmie dzieje? Konstytucję w duchu Monteskiusza mieli uchwalić, a nawet to przerasta ich siły. A tyle spraw w kolejce czeka, które trudniejsze są. Wielkopolska już burzyć się zaczyna. Białe pióropusze im się śnią. Już zapomnieli, że bez naszej pomocy Naczelną Radą Ludową nie utrzyma się w Poznańskim. Mówią, że nie będą biedniejszych utrzymywać. Zapomnieli już, że lepiej być kością olbrzyma niż całym karłem.

– To normalne, że demokracja wywołuje spory – szepnęła.

– Tak, ale to, od czego dorosły tylko słabuje, niemowlę zgubić może. I to teraz, gdy trzeba, by cały naród w jednym ręku w jeden miecz się zmienił. Rzymianie na czas wojny dyktatora obierali, by republikę z toni ratował. A u nas? Już kłótnie, zwady i spory. A trzeba, żeby jeden człowiek państwo ujął w rękę i wskazał im wszystkim drogę niczym gwiazda przewodnia.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby widziała go po raz pierwszy. Twarz gorzała mu rumieńcami niczym pochodnia. W oczach płonęło dziwne światło, a na czole osiadły gęste krople potu. Zdawało jej się, że nie tylko ten siwy mundur, nie tylko Belweder, ale i kraj cały jest dla jej ukochanego za mały.

I nie ma dla niego nic niemożliwego. I gdyby mu teraz koronę włożono na głowę, nie byłby ani zdziwiony, ani przygnieciony jej ciężarem.

– A demokracja, rządy prawa? O sobie myślisz jako o dyktatorze. Nie bierz na siebie takiej odpowiedzialności za podeptanie kraju i ram konstytucji, bo nikt nie ma do tego prawa, nawet ty. Jest jeszcze Dmowski, Witos i wielu innych. Wiem, że Dmowski cię nie lubi, ale przecież ci służy. Dzieci byś poniańczył...

– On nie mnie służy – rzekł. – Tylko ze mną razem jednej sprawie. Często tak bywa, że dwaj wrogowie razem wał sypią, gdy powódź nadciąga. Z obawy, by ich razem woda nie zabrała. On mnie nie znosi, bo umawiał się kiedyś z Marią, która go dla mnie zostawiła. Ale szkodził mi nie będzie. Gdyby taki istotnie był jego zamiar, to już by to robił. A jak słyszę od moich zauszników, których poumieszczałem w naszej delegacji, sprawy nasze prowadzi dobrze. Teraz właśnie coś z Paderewskim planują. Ale nie wiem co, bo przed nikim się z tym nie zdradzają.

Uniosła powieki. Znała coś niecoś te sprawy, ale jedynie w zarysie. Szeptano o nich bowiem i pomruki te dochodziły do jej uszu. Nie znała wprawdzie Dmowskiego osobiście, ale z tego, co słyszała, pozostawał bezżennym. Czyżby istotnie w tej jego niechęci, którą wielokrotnie Ziukowi okazywał, więcej było niechęci o krzywdę jego pierwszej żony? Czyżby dalej ją kochał?

– Opowiedz mi o tym, bo różnie ludzie mówią. Czyżby on naprawdę miał do ciebie żal o to, iż ją dla mnie zostawiłeś?

Spostrzegła, jak uciekł spojrzeniem w okno. Zupełnie jakby łatwiej mu było mówić o tych sprawach, gdy na nią nie patrzył:

– Wiesz – zaczął – to było tak dawno. Obaj smaliliśmy do niej cholewy. I nie odstraszało nas to, że miała już córkę z pierwszego małżeństwa. Obaj bywaliśmy w salonie, który prowadziła. Nie wiem, czy wówczas widywano ją z Dmowskim. Dość, że wybrała

mnie. Ależ byłem szczęśliwy. I zazdrozczono mi powszechnie. Nie bez przyczyny nazywaliśmy ją Piękną Panią.

Aleksandra zacisnęła usta.

– Wystarczy – rzekła ostro. – Potem poznałeś mnie, gdy przeprowadzałeś inspekcję magazynów broni. To wiem. Chodzi mi tylko o to, czy on może mieć pretensje o twoje postępowanie względem Marii.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Wiem natomiast, że między nami zgody i sympatii już nie będzie nigdy. A skąd się ta niechęć wzięła? Trudno go przejrzeć. On jest w stosunku do kobiet bardzo nieśmiały, choć mu na urodzie nie zbywa. A może wciąż ją kocha...

Odetchnął z ulgą, gdy usłyszał kroki w przylegającym pokoju. Dawaly mu one bowiem pretekst do odwrócenia rozmowy, która nie była mu miła. Dlatego przywitał Dobrowolskiego wylewniej niż zwykle. Wskazał jeden z foteli i zaproponował wino. A gdy pułkownik grzecznie odmówił, rzekł:

– Panią Naczelnikową zapewne już pan zna?

Jerzy teraz dopiero spostrzegł obecność Aleksandry. Nie przywykł bowiem do jej obecności na tego typu naradach, a prywatnych pokoi naczelnika nigdy nie odwiedzał. Nie miał bowiem ku temu sposobności. Teraz jednak zapłonął niczym panna, w tamtych bowiem czasach kobiety otaczał w salonowych kręgach nadzwyczajny szacunek. I ten, który by w czymkolwiek kobiecie uchybił lub obraził jej cześć, podlegał ostracyzmowi.

Dlatego spostrzegłszy swój nietakt, poderwał się i zabrał za rąk całowanie. Aleksandra uśmiechnęła się na tę nadgorliwość.

– Niech mi będzie wolno o wybaczenie prosić, iż należytego szacunku gospodyni nie okazałem.

– Niewinna to omyłka, która nic takiemu kawalerowi nie ujmuje. – Ujęła rąbek sukni i dygnęła pięknie. – Witam was

serdecznie i ufam, że chętnie będziecie tu przybywać, nie tylko w celach służbowych. Chętnie też poznam waszą małżonkę.

Przez twarz Dobrowolskiego przebiegł skurcz, jakby otrzymał ciężki postrzał. Ale był to człowiek, który ze swoim bólem i wspomnieniami zmagał się zawsze samotnie, nad pękatą flaszką koniaku. Wtedy pozwalał sobie nawet na łyż. Puste mieszkanie przypominało mu bowiem boleśnie, jaki gwar w nim niegdyś panował, gdy razem z Beatą tworzyli szczęśliwą rodzinę. Ale opanował się w jednej chwili. Nie łączył spraw prywatnych z zawodowymi.

Aleksandra odgadła kobiecą intuicją, że poruszyła ukrytą bolączkę. Chcąc zatrzeć złe wrażenie, wysunęła się szybko z gabinetu, by dopilnować wszystkiego w kuchni. Lecz ledwie zrobiła kilkanaście kroków w stronę drzwi, wstrzymał ją głos Piłsudskiego:

– Zostań. Ja nie mam przed tobą tajemnic, a kucharki same już tam pewnie porządku pilnują.

Oczy pojaśniały jej z zadowolenia. Oto miała to, czego tak bardzo pragnęła. Ale co było przyczyną owej odmiany? Dlaczego Ziuk tak nagle otworzył się przed nią? To, co robił teraz, było tak przeciwne jego naturze, iż przez chwilę niepokoiła się, czy nie zachorował. Spojrzała w jego twarz i przekonała się, że nie wyglądał gorzej niż zwykle. Prócz objawów zmęczenia, które wywołało wielogodzinne czuwanie, nie było na niej innych oznak choroby.

Dobrze odczytał jej spojrzenie, ale nie miał ochoty niczego jej wyjaśniać. Odślanianie się przed ludźmi, nawet najbliższymi sercu, przychodziło mu z trudem. Dopiero uczył się tej umiejętności i musiał się przełamywać, ale już spostrzegł pierwsze efekty. Od dawna nie patrzyła na mnie takim wzrokiem – pomyślał, patrząc w iskrzące się szczęściem oczy Aleksandry. Wiedział, że jest na

dobrej drodze do tego, by zbudować z nią partnerskie relacje. Był to ledwie początek, ale kierunek był słuszny.

Niechętnie spojrział na Dobrowolskiego. Wskazał mu miejsce naprzeciw siebie i niemal zaraz pograżyli się w dyskusji o sprawach. Piłsudski nalegał na rozbudowę siatki wschodniej, której siła, w obliczu wiszącej w powietrzu wojny, mogła mieć niebagatelne znaczenie. Dobrowolski kiwał głową jak człowiek, który przyjmuje argumenty swego rozmówcy do wiadomości i zgadza się z nimi, ale przed ich wdrożeniem powstrzymują go twarde realia.

– Nie przeczę, iż posiadanie wiarygodnych informacji na temat przeciwnika mogłoby w sposób znaczący wpłynąć na przebieg wojny. Robię wszystko, by taką sieć zbudować. Jednak sowieckie państwo jest dość specyficzne i dlatego praca wywiadowcza napotyka tam na trudności, jakie nie występują na zachodzie. Czeka nie jest ograniczona regułami demokratycznymi. Za szpiegostwo w Rosji kara śmierci grozi nie tylko szpiegowi, ale i całej jego rodzinie. Dlatego trudno nam pozyskać źródła.

Komendant uderzył się rękoma po udach.

– To znaczy, że jesteście całkowicie bezradni – rzekł głosem, w którym pobrzmiwał hamowany gniew i irytacja. – To chce pan powiedzieć?

– No, niezupełnie – odparł Dobrowolski, przegładzając rude włosy. – Być może istniałyby możliwości, ale wymagałyby pozyskania do współpracy pewnych ludzi...

– Do cholery, bierzcie wszystkich żołnierzy, jacy są wam potrzebni! Napiszę wam każdy rozkaz przeniesienia – zapewnił gorliwie Naczelnik. – Wiarygodne informacje o przeciwniku są teraz sprawą najwyższej wagi.

– Nie chodzi o żołnierzy, tylko o matematyków.

– Matematyków!? – Piłsudski nie krył zdziwienia.

– Tak jest, panie naczelniku – rzekł Jerzy, ignorując wybuch zdumienia. – Front wschodni jest bardzo rozległy. Wielkie jednostki są rozrzucone na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. Dlatego utrzymywanie między nimi sprawnej łączności jest możliwe tylko drogą radiową. Wprawdzie przechwytujemy ich meldunki za pomocą ponemieckiej radiostacji dalekiego zasięgu, ale nasi ludzie nie potrafią złamać szyfrów. Potrzebujemy do tego fachowców, którzy mają wiedzę matematyczną. Mam już kilku wytypowanych.

– Więc w czym problem?

– Jest taki jeden specjalista, na którym szczególnie nam zależy. To Jan Kowalewski. Przed wybuchem Wielkiej Wojny był w rezerwie inżynierskiej armii carskiej, której podlegały wojska łączności. Zna więc ich sposób funkcjonowania i on najlepiej wiedział będzie, jak dobrać im się do dupy. – Zarumienił się, ponieważ przypomniał sobie o obecności Aleksandry. Spojrzał na nią z lekką obawą wypisaną w oczach.

Ona jednak uspokoiła go uśmiechem i rzekła:

– Niech pan pułkownik nie przejmuje się moją osobą i raczej pamiętać, iż mówi do starej konspiratorki, która brała udział w niejednej akcji bojowej. Gdy myśl będzie swobodniejsza, opowiem panu, jak podlegały mi wszystkie magazyny broni. Dlatego do wojskowego języka w swoim otoczeniu nawykłam.

Spojrzał na nią z mimowolnym podziwem. W głowie bowiem nie chciało mu się pomieścić, by ta eteryczna, jasnowłosa kobieta mogła trzymać broń w rękach. Tu mimo woli zaczął ją porównywać z Beatą, która pragnęła od życia stabilizacji, ciepła domowego ogniska i męża w kapciach. On nigdy nie spełniał tych standardów. Gdy się pobierali, był młody, zaślepiony wielkim uczuciem, które pierś mu rozsadzało.

– Taka żona dla żołnierza to prawdziwy skarb, bo nie tylko dom i dzieci ogarnie, ale i w okopach zawadzać nie będzie. – Skłonił

lekko głowę.

Aleksandra aż pokraśniała z zadowolenia.

Ciche mruknięcie komendanta sprowadziło oboje na ziemię.

– Gdzie jest w tej chwili ten Kowalewski? I dlaczego moje słowo jest panu niezbędne, by podjąć konkretne niezbędne działania?

– Wiem, że Kowalewski jest w tej chwili oficerem wywiadu u generała Lucjana Żeligowskiego.

Piłsudski zamyślił się głęboko. Od dawna już pracował nad tym, aby wszystkie jednostki składające się z polskich żołnierzy podlegały jednolitemu polskiemu dowództwu. Jednostki polskie stworzone przez Rosjan nie były wyjęte spod tych planów. Ale sprawa nie była łatwa do przeprowadzenia, ponieważ czwarta dywizja zapewniała bezpieczeństwo portowi w Odessie, broniąc go przed bolszewikami. Dlatego Denikin, z którym Żeligowski zawarł w swoim czasie umowę wojskową, nie chciał jej oddać, choć wchodziła ona w skład Armii Polskiej we Francji i była politycznie niezależna od jego armii ochotniczej. Wytworzyło to skomplikowane położenie.

Teraz nie dziwił go już fakt, że Dobrowolski nie chciał sam wikać się w te sprawy, nie będąc pewnym, czy zdoła uzyskać jego poparcie, rzecz bowiem tyczyła się nie tyle spraw wojskowych, ile wielkiej polityki. Każdy ruch należało wykonać ostrożnie, przewidując wcześniej jego możliwe skutki. Tak, tak – myślał – ten, kto idzie przez las, często zatrzymywać się musi, rozglądać się, by drogi nie zgubił, a wojna blisko i każda szabla będzie teraz na wagę złota.

Wśród panującej wokół ciszy wyjaśniał skomplikowaną naturę położenia Dobrowolskiemu. Mówił długo, starając się dokładnie naświetlić całą sprawę, a jednocześnie zapewnić, iż jemu również zależy na ściągnięciu tej armii do Polski. Z ulgą stwierdził, że Jerzy zdawał się rozumieć wszystko. Ucieszył się, że postawił na tego człowieka, ponieważ nie po raz pierwszy przekonywał się, że jest

on nie tylko znakomitym żołnierzem, lecz i politykiem. A na jego stanowisku łącznie tych dwóch zdolności było nieodzowne. Wywiad musiał bowiem często poruszać się na pograniczu obu tych światów, leżących, wydawałoby się, na przeciwnych biegunach.

– Robię w tej kwestii, co mogę – mówił Piłsudski. – Bóg jeden wie, gdzie już w tej sprawie nie kołatałem. Sam najlepiej wiem, jak bardzo teraz potrzebujemy dobrych żołnierzy. Ale Denikin nam po dobroci tej armii nie odda, bo już się przekonał, ile jest warta. Utrzymali mu przecież Odesę, a tak mu na niej zależy jakoby na życiu, bo tylko tą drogą może otrzymać pomoc zachodu. – Uśmiechnął się złośliwie, bo zdawał sobie sprawę, że zachód, raz połamawszy sobie zęby na bolszewikach, nie będzie pałał zbyt dużą chęcią do następnej takiej akcji. – Teraz posłał ją pod Tyraspol.

– Niech to diabli! – zaklął Dobrowolski. – Ja całą koncepcję budowy radiowywiadu oparłem na tym człowieku. Wprawdzie wiedziałem, że ściągnięcie go stamtąd będzie trudne, ale sądziłem, iż razem jakoś sobie zdołamy z tym poradzić. – Tu gniew jego zwrócił się przeciwko Żeligowskiemu. – Bodajby go pies podrapał! Musiał zawierać umowy z Antonem? Teraz i on, i my mamy związane ręce.

– Nie miał wyboru, bo bez poparcia Denikina bolszewicy by go zgnetli. A i Niemcy mają do jego ludzi żal, bo im się rozbroić nie dali – odparł komendant, biorąc kawałek czekolady, którą w międzyczasie dostarczyła belwederska służba. – I nie było źle, że siedział na Kubaniu. Gorzej, że potem podporządkował się armii ochotniczej Denikina, ale nie miał wyboru. Co już się stało, to się nie odstanie.

– Zaraz, zaraz – przerwała mu Aleksandra. – Może byłby sposób, aby zneutralizować sprzeciw Antona. A ty, Ziuk, nie opychaj się czekoladą, bo zaraz będzie obiad. Ufam, że pan pułkownik skorzysta z naszej gościny?

Obaj spojrzeli na nią ze zdumieniem, ale i z uwagą. Zwłaszcza komendant, który znał ją lepiej niż Dobrowolski i wiedział, że ma bystry umysł.

– Na pewno skorzysta – rzekł Piłsudski pośpiesznie. – A teraz mów, co ci do głowy przyszło.

Spojrzała im kolejno w oczy.

– Jeśli dobrze rozumiałam, to czwarta dywizja Żeligowskiego oficjalnie jest częścią Błękitnej Armii, a i sama wchodzi w skład francuskiego korpusu ekspedycyjnego, który Francuzi w swoim czasie posłali do Odessy. Zgadza się?

Obaj pokiwali głowami, a Dobrowolski pozwolił sobie dodać:

– Dlatego nosi numer czwarty. Ale to tylko fikcja, która nic nie zmienia.

– O nie, panie pułkowniku. Ona zmienia wszystko – rzekła. – Naczelnym dowódcą armii francuskiej jest marszałek Foch, a Błękitna Armia jest jej integralną częścią. Czy muszę mówić dalej?

Przez chwilę trwali w zdumieniu, słowa nie mogąc powiedzieć. Dziwili się, że im samym takie rozwiązanie problemu przez myśl nie przeszło. Zdawali sobie bowiem sprawę, że Anton nie odważy się sprzeciwić woli marszałka Francji, gdyż wciąż liczył na jego wsparcie militarne. To sprawi, iż będzie musiał spełnić jego rozkazy, zwłaszcza że i pozór prawny będzie za nimi.

Pierwszy Dobrowolski ochłonął ze zdumienia.

– Widzę, że pani możesz wieść prym nie tylko na wojnie, ale i w radzie.

– Dziękuję – odparła, uśmiechając się do Ziuka. – Mam dobrego nauczyciela.

– Trzeba tę sprawę zlecić Dmowskiemu – rzekł Piłsudski. – Jeśli on czegoś nie wskóra, to nikt nie wskóra. Posłałem mu już wszystkie informacje, jakie udało się panu zebrać na temat Wiosennego Słońca. Nie wiem, czy nie zechce ich ujawnić.

– To ważne – rzekł Jerzy, podrywając się z fotela. – Muszę zabezpieczyć siatkę berlińską. Nie należy ułatwiać życia przeciwnikowi, a oni będą analizować uważnie tę sprawę, by namierzyć źródło przecieku. Czy to ujawnienie jest konieczne?

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czy Dmowski i Paderewski się na to zdecydują, ale uznałem za konieczne powiadomienie pana o tym. Wierzę, że ich działania oparte będą na racjonalnych przesłankach i w ostatecznym rozrachunku korzyść nam przyniosą. A teraz sprawy, dla których załatwienia pana wezwałem.

– Zamieniam się w słuch.

Aleksandra wyszła cicho, by zarządzać w jadalni nakrywaniem do stołu.

– Posłałem Wieniawę do Rosji. Mniejsza z tym, po co. Jechał tym pociągami, który został przez bolszewików wyrznięty. Ale tam nie przyszedł na niego kres. Pewnie siedzi teraz w którymś z sowieckich więzień. Wierzę w to głęboko, że jeżeli ktokolwiek może stamtąd umknąć, to właśnie on. Liczę, że po ucieczce będzie przemyskał się w stronę terenów zajętych przez nasze wojska.

– To dlatego ta informacja nie przedostała się do krajowej prasy – rzekł Dobrowolski. – Zaraz zaczęłyby się niepotrzebne nikomu pytania: Po co jechał? Na czyj rozkaz? I do kogo? A to w naszej sytuacji byłoby niewskazane. – Kiwnął głową i nagle doznał olśnienia. – Wiem! Można kazać naszym oddziałom przechodzić linię frontu. Jednocześnie szarpaliby tyły bolszewickie, a w razie potrzeby daliby Wieniawie pomoc, gdyby ten znalazł się w rejonie ich działania. Wszyscy pomyśleliby, że to krople deszczu, które zwykle poprzedzają burzę, a pan byłby kryty.

– To dobra myśl. Mądra ty głowa. – Pomysł bardzo spodobał się Piłsudskiemu. – Jeszcze kwestia Wielkopolski. Dowborowi-Muśnickiemu i tym, co z nim trzymają, biały pióropusz i autonomia się snią. Przekaze im pan swoimi kanałami, by

natychmiast się obudzili. Dość było jednego rozbitcia dzielnicowego. Armia Wielkopolska wejdzie w skład odrodzonego Wojska Polskiego. Oczywiście wszyscy jej członkowie zachowają uzyskane w niej stopnie i cieszyć się będą pewnym rodzajem autonomii. Ale o państwie w państwie niech lepiej zapomną.

– Sam do nich pojadę. Znam dobrze mojego odpowiednika w Armii Wielkopolskiej, który myśli podobnie jak my. To od niego przejąłem człowieka, który wykradł założenia Wiosennego Słońca. Ufam, że razem przemówimy do rozumu tym, którzy bujają w obłokach.

Do gabinetu weszła jedna ze służek i kłaniając się lekko, choć bez unizoności, doniosła, że podano do stołu. Obaj przeszli do jadalni, dokąd prowadziły ich cudowne zapachy, jakie wydzielały leżące na stołach potrawy. Posiłek składał się z litewskich knedli, które marszałek uwielbiał, ponieważ przypominały mu dzieciństwo, spędzone w rodzinnym majątku w Zułowie. W wazach pływał barszcz ukraiński, a do picia podano kompot truskawkowy.

Przez dłuższy czas przy stole słyszeć było jedynie odgłosy jedzenia i szurania łyżek. Między kolejnymi łyżkami prowadzono niezobowiązującą rozmowę. Panowie wypili kilka kieliszków nalewki z gruszek – na lepsze trawienie. Humory im się poprawiły. Marszałek rozluźnił się i zaczął sypać żartami i anegdotami ze swojego życia. Aleksandra nie pozostawała mu dłużna. A Dobrowolski miał wrażenie, że siedzi przy jednym stole ze zwykłą polską rodziną. Zwłaszcza że każdy obsługiwał się sam.

Wtedy na progu sali ukazał się adiutant marszałka. Na twarzy jego widać było bladość i wielkie zmartwienie. Ujrzawszy wesolą twarz naczelnika, stół i familiarną atmosferę przy nim panującą – zawahał się, czy wejść dalej.

Ale marszałek dostrzegł go i brwi zmarszczył. Wiedział, że nie przerywano by mu obiadu, gdyby wiadomość nie była pilna

i ważna. Przysłonił oczy ręką i dostrzegł bladość malującą się na twarzy oficera.

– Wejdź, dziecko, i mów. Stało się coś?

Oficer wsunął się do sali. Stał przy krawędzi stołu i dostrzegł, że wszyscy zastygli w bezruchu, czekając na to, co powie. Kieliszki wisiały w pół drogi do ust. Zapanowała martwa cisza. Wziął głęboki oddech i rzekł:

– Nasze wojska zwały się z Sowietami pod Mostami. W tej chwili otrzymujemy pierwsze raporty o stratach.

Piłsudski z Dobrowolskim spojrzeli na siebie i zrozumieli się bez słów.

– Zaczęło się – szepnął marszałek i ukrył twarz w dłoniach.

¹ Naczelną dowódca Armii Wielkopolskiej.

² Kucharka belwederska.

Rozdział II

Wielkopolska była krainą dworzków szlacheckich, ukrytych w cieniu starych lip i modrzewi. Były to twierdze polskości w dawno zdobytym kraju. Tu pielęgnowano tradycje narodowe jak najświętszy skarb otrzymany wraz z darem życia od przodków. Tu pod krytymi gontem dachami wychowywały się całe zastępy patriotów. W domu rodzinnym nasiąkali oni polsłością, by nieść ją pośród morza niemczyzny. Rozkazy i ukazy niemieckie odbijały się od ich ścian jak pociski od murów twierdzy.

Lecz przeszło wiekowe przymusowe sąsiedztwo, które połączyło Polaków z Niemcami, wywarło pewien wpływ zarówno na samą krainę, jak i na ludzi ją zamieszkujących. Dało się to zaobserwować w używanej tu mowie, która stała się mieszaniną germanizmów i polonizmów. Stając się przez to niezrozumiałą nie tylko dla Niemców, ale i dla samych Polaków, którzy z innych stron tu przybyli. Niemieccy zdobywcy przekształcali również tamtejszy krajobraz. Ich uporządkowane osady odcinały się pozytywnie na tle nieuporządkowanych wsi polskich. Pod jednym niebem żyły dwa żywioły, które współzawodniczyły ze sobą.

Współzawodnictwo owo miało jednak pozytywne skutki gospodarcze. Polscy szlachcice chętnie brali się do gospodarowania, rozumiejąc, iż tylko tym sposobem powstrzymają pochod niemczyzny na tych ziemiach. Od wieków żyjąc w symbiozie z ziemią, potrafili sprawić, by wydawała odpowiedni plon. Żyzna już sama z siebie kraina rozkwitała pod ręką mądrych

i zapobiegliwych gospodarzy. Dwory i wsie obrastały w zasoby i bogactwa, mimo że Niemcy chętnie rzucali im kłody pod nogi.

Jeden z takich dworków należał do panny Wiktorii Jazłowieckiej. Nie była to wcale jakaś pańska rezydencja, a zwyczajna siedziba średniozamożnego rodu, który nikogo o chleb nie potrzebuje prosić. Sam dom zwrócony był przodem do głównej drogi, a tyłem do sadu. Stary już musiał być, bo modrzewiowe bale, z których był zbudowany, zdążyły już poczernieć ze starości. Nad zrębem ścian wypiętrzał się ogromny, kryty gontem dach. Na samym jego środku umieszczono dwa kominy, które miały odprowadzać dym. Do domu dobudowano także ganek, który wsparto na białych słupach. Na jego szczycie wymalowano herb, aby każdy, kto stanie przed głównymi drzwiami, wiedział, czyje progi przekraczał będzie.

Przed gankiem znajdował się obszerny, półkolisty dziedziniec, w środku którego stała wielka rozłożysta lipa.

Na nią właśnie patrzył Johann Wolf, gdy z trudem rozchylił ciasno sklezione powieki. Próbował unieść głowę z wezgłowia, ale nie zdołał tego dokonać. Czuł się tak, jakby do jego karku uczepiono bryłę cementu. Ale to, co jego napawało zdziwieniem przemieszonym z goryczą, nie zaskoczyłoby zapewne żadnego lekarza. Na pierwszy rzut oka bowiem widać było po nim oznaki ciężkiej choroby, która jednak już się była przesiliła.

Na jego twarzy odznaczały się chorobliwe rumieńce, a owinięta wokół głowy mokra chusta nie mogła schłodzić rozpalonego czoła. Wilgotne włosy oblepiały się wokół chusty, a oczy gorzały nienaturalnym blaskiem. Lecz sama gorączka nie była największym zagrożeniem dla jego życia i zdrowia. Niebezpieczeństwo czyhało ze strony odmrożeń, które zagrażały martwicą niedożywionych tkanek. Niebezpieczeństwo utraty nogi było groźne przez kilka dni, ale szybka interwencja lekarska i podanie odpowiednich leków zapobiegło nieszczęściu.

Johann nie wiedział jednak tego wszystkiego i oniemiałym wzrokiem spoglądał na przestrzeń wokół siebie. Patrzył na pobielany wapnem sufit. Na okna, do których zaglądały gałęzie drzew. Wiedział, że leży w miękkim łożu pod baldachimem, okryty szczelnie puchową pierzyną. Patrzył na złote frędzle wystające z baldachimu i nie potrafił sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. Czyżby to choroba stawiała przed moje oczy majaki? – pomyślał.

Pamiętał przecież dobrze. Skoczył z mostu. Potem szaloną drogę przez skutą lodami Wartę. Znalazł wytchnienie w kopcu. Wysłał umysł. Skupiał się i nic. Nie wie, jak tu trafił. Czy go schwytano? Ale myśl ta wydała mu się zupełnie niedorzeczną. Gdyby bowiem tak było w istocie, to obudziliby się albo w więzieniu, albo w szpitalu. To miejsce zaś nie wyglądało mu ani na jedno, ani na drugie. Rozglądał się po ścianach, chcąc widocznie po nich wywnioskować, gdzie jest. Lecz na ścianach nic nie wisiało. Były puste.

Z wysiłkiem obrócił głowę ku światłu. Zobaczył opodal łóżka stoliczek, a na nim dzbanek z wodą. Ucieszył się. Ale to nie dzbanek z wodą napełniał go radością. Cieszył się na widok ręcznego dzwoneczka, który stał obok niego. Byle tylko go dosięgnąć, to ktoś pewnie przyjdzie – pomyślał. Nie może to być, by jacyś ludzie tu nie mieszkali.

Zamiar, choć słuszny, nie był łatwy do zrealizowania dla człowieka chorego, który tylko opatrności Boskiej i ludzkiej życzliwości zawdzięczał to, że nogi nie stracił. Ale Johann był uparty i zaraz zaczął nad wprowadzeniem w życie swego zamysłu pracować. Spróbował przesunąć się na skraj łóżka. Szło mu to z trudem, ciało miał bowiem zeszytywniałe i odwykłe od ruchu. Zacisnął zęby, aż go zimne poty oblały. Ale swego dokonał. Teraz trzeba było tylko wyciągnąć rękę.

Ostrożnie wysunął ją, rozkładając szeroko palce. Ramię bolało go potwornie i ciążyło. Musiał walczyć z ogarniającym go osłabieniem i mgłą, która zaczynała zaćmiewać wzrok. Jeszcze chwila straszliwego wysiłku, ogromnego napięcia i poczuł rączkę mosiężnego dzwonka. Ujął ją w dwa palce i ostrożnie przesunął nad sam kant stolika. Wychylił się jeszcze głębiej, nie zważając na ryzyko upadku.

Wówczas drzwi prowadzące do pokoju otworzyły się cicho i stanęła w nich pokojówka. Łatwo zrozumieć, jakie było jej przerażenie tym, co zobaczyła. Szybko dopadła do Johanna i prawie przemocą ułożyła go na łóżku w dawnej pozycji. Poprawiła mu poduszki, wsunęła termometr pod pachę, a ręką dotknęła czoła. Dotyk jej chłodnej dłoni był bardzo przyjemny.

– Czyś ty, człowieku, rozum postradał?! – warknęła, podsuwając mu jednocześnie pod usta dzbaneczek z wodą.

Cudownie chłodna, krystalicznie czysta, zimna woda działała orzeźwiająco na jego spierzchnięte wargi. Pił i pił, jakby chciał się na śmierć zapić. I pewnie tak by się to skończyło, bo spieczone gardło nie nadążało przełykać tak dużych ilości wody, która rozlewała mu się na brodę, usta i piersi, gdyby nie to, że czujna pokojówka odsunęła mu naczynie od warg. Następnie wyjęła termometr i sprawdziła jego wskazania.

Uśmiech rozjaśnił jej spaloną słońcem i wiatrem twarz.

– Trzydzieści osiem stopni – mruknęła na poły do siebie, na poły do Johanna.

Spojrzała na zlaną potem twarz swego pacjenta.

– Gorączka dobra rzecz. Ale najgorsze minęło. Będzie ponad trzy tygodnie, jak was z ojcem moim do pani Jazłowieckiej do dworku przyniosłam. Sami byśmy się wami zajęli, ale u nas na przednówku to i głodno, i chłodno. A wam dobrej opieki potrzeba było. Panienka dobra jest, to i kosztów nie szczędziła. Przychodził

i lekarz, i ksiądz. Chwalcie Boga, że ten pierwszy drugiemu profit odebrał. – Uśmiechnęła się, odsłaniając mocne białe zęby.

– To ty mnie uratowałaś i byłaś przy mnie przez cały ten czas, gdy leżałem nieprzytomny?

– A kto miał być? – odparła prostodusznie. – Pani koło was nie chodziła, bo dość ma roboty z pilnowaniem ekonomów i dzierżawców, gdy pan na wojnę poszedł. Ja koło was chodziłam, myłam was, bo tylko majaczyliście w gorączce.

Johann zarumienił się lekko i spytał:

– To widziałaś mnie nago?

– No pewno. To samo macie, co i inne chłopcy, więc i patrzeć nie było na co. Zresztą mam swojego, to mi cudzy niepotrzebny.

– Chciałbym ci się odwdziaczyć, czym będę mógł.

Dziewczyna spojrzała na niego z błyskiem irytacji w oczach.

– Czy to ja Niemka, bym odpłaty miała żądać za uczynek miłosierdzia? Toż opatrzeć i zaopiekować się chorym chrześcijańska to rzecz, od której odstępować mi nie wolno. A chodziłam koło was z dobrej woli, by się mój czyn nie zmarnował, bo co na ziemi człowiek dobrego zrobi, to w niebie mu zapisują.

Gdybyś ty, dziewczyno, wiedziała, kogo uratowałaś – pomyślał i się uśmiechnął. Był już bowiem pewien, że mu włos z głowy pod tym dachem nie spadnie. Przebywając między Polakami, zdołał poznać nie tylko ich zwyczaje, ale i naturę. Było w niej głębokie umiłowanie wolności, skłonność do swawoli, męstwo, jakiego u innych nacji próżno było szukać. To wszystko mieściło się w jednej polskiej duszy, tworząc tygiel, w którym niejeden najeźdźca już ręce poparzył.

Jedną z owych cech była gościnność. Nigdzie tak ludzi nie przyjmowano, jak tu. Byle przybłęda, który do drzwi po nocy zakołatał, mógł liczyć na poczęstunek i posłanie. Przestrzegano tego obyczaju tak surowo, że nikt nie śmiał się spod niego

wyłamać, bo hańbę by na siebie w oczach ludzkich ściągnął. Tego Polacy bali się bardziej niż szabel i rusznic. Znał ich dobrze. Znał ich historię, bo miał ją szeroko omawianą na wykładach, które miały go odpowiednio przygotować do należytego pełnienia funkcji wywiadowczych.

I nie mógł się oprzeć pewnego rodzaju podziwowi dla ludzi, którzy tu mieszkali. Jak to? To od przeszło stu lat robimy wszystko, by te ziemie i ten naród na swoją modłę przerobić. Dla realizacji tych planów przelaliśmy morze krwi. I nic nam to nie dało. Ba, najnowsze wypadki dowodzą, że ponieśliśmy na tym polu całkowitą klęskę. Ci ludzie pod naszym batem, pracując niczym mrówki, zbudowali struktury państwa, które teraz się tylko ujawniają.

Nawet ta ciemna pokojówka widzi w nas uosobienie wszystkich najgorszych cech – pomyślał. Ale mnie nie skrzywdzą, bo dla nich gość – święta osoba.

– Jeść wam przyniosę, bo pewnie głodni jesteście. Rosół z kury to nawet nieboszczyka z grobu za zapachem wyprowadzi. – To rzekłszy, furknęła fartuszkciem i już jej nie było.

Johann został sam. Wreszcie mógł się spokojnie nad swoim położeniem zastanowić. Był wprawdzie wolny, ale niebezpieczeństwo nie minęło. Polacy pewnie go szukają. Ciekawe jednak, ile zdecydowali się ujawnić. Nie wątpił w każdym razie, że zrobią wszystko, by go w swoje ręce dostać. Na pewno już rozesłano za nim listy gończe. Ale skoro przez tyle dni go nie schwytano, to nie schwytają go i teraz. Zdawał sobie sprawę, że jego największym sojusznikiem jest wojenna zawierucha. Wtedy nic nie działa jak należy. A wszystkie działania administracji skupiają się na sprawnym prowadzeniu działań wojennych. Okoliczności więc układały się dla niego pomyślnie. Ale Johann, choć młody, był zbyt doświadczonym żołnierzem, by ludzi się, że

wiecznie ukrywać się zdoła. I to gdzie? W gnieździe orłów, gdzie został podrzucony jak kukułcze jajo.

Poza tym zdawał sobie sprawę, że musi jak najszybciej wracać do Berlina. Został bowiem zdekonspirowany. W Polsce nie miał już czego szukać. Zresztą w Berlinie wciąż chyba nie wiedzieli, że Wiosenne Słońce, z którym centrala wiązała tak duże nadzieje, nie jest już dla wroga tajemnicą. Musiał więc wracać i donieść im o tym jak najprędzej, nim plan wejdzie w fazę realizacji. Ale tu znowu stanęły mu przed oczami liczne trudności, z jakimi wiązało się przedsięwzięcie przedostania się do kraju.

Jak on miał przejechać przez kraj wojną wzburzony, gdy nie mógł się podnieść o własnej mocy? A znów czekać, aż do sił wróci, to oznaczało przybyć za późno. Wtedy jego wiadomość będzie się nadawała tylko do tego, by z niej psom buty uszyć. Zastanawiał się przez chwilę, jak posłać ją inaczej, ale wkrótce porzucił te zamysły. Postanowił wpieryć się przekonać, w jakim stanie jest jego ciało.

Ze szponów niewesołych myśli wyrwał go skrzyp ponownie otwieranych drzwi. To służka weszła, niosąc na tacy miseczkę z rosółem, z której unosił się opar. Tuż za nią wsunęła się do środka kobieta średnich lat, o liliowej cerze, kasztanowych włosach i pięknych zielonych oczach. Pod oczami pojawiły się już pierwsze zmarszczki, ale pogoda ducha widoczna na obliczu tej kobiety sprawiała, iż dostrzegał je tylko nader uważny obserwator.

Strój Wiktorii Jazłowieckiej spełniał wszelkie wymogi ówczesnej mody. Jej sylwetka ściśnięta była gorsetem sznurowanym z tyłu, dzięki czemu osiągnęła linię łodygi. Nosila czarną spódnicę w kształcie dzwonu. Góry stroju dopełniała wzorzysta bluzka. Talię ścisnął zielony pas, a gorset uwydatniał linię biustu.

Służka usiadła na skraju łóżka i zaczęła karmić Johanna gorącym rosółem. Czuł się z tym dziwnie. Wydawało mu się to takie żalodne. On, dorosły mężczyzna, był karmiony niczym

dziecko. Ale jednocześnie czuł, że nie zdołałby najeść się sam. Gorący rosół palił go w gardle, aż oczy zachodziły mu łzami. Niemniej jadł przez rozum. Czuł bowiem miłe ciepło, które rozlewało się po wszystkich częściach ciała. Oczy zaczęły mu błyszczeć, a krew szybciej krążyła w żyłach.

– Cieszę się, iż przyszedł pan wreszcie do siebie – rzekła Wiktoria, gdy skończył jeść. – Chętnie się o tobie czegoś dowiem, bo może trzeba zawiadomić kogoś, kto jest bliski twojemu sercu. Rodzinę, przyjaciół, żonę?

W tym miejscu w głowie Johanna błysnęła myśl, czyby nie wykorzystać nieświadomości tej kobiety i nie przesłać przez jej ręce odpowiednio sporządzonej wiadomości. Byłaby to dla niego szansa na awans i osobiste wyniesienie. Ale zaraz zawstydził się tej myśli. Tak się miał tej kobiecie wypłacić? Za troskliwą opiekę, jakiej i w rodzinnych stronach by nie znalazł? Miał zrobić z niej zdrajczynię sprawy jej narodu? Gdyby to był zwykły werbunek, nie zawahałby się ani przez moment. Ale wobec niej miał dług.

Tfu! – pomyślał. – Za długo przebywałem między Polakami i coś się we mnie zmieniło. Jestem Niemcem, to służyć, komu powinienem. Ale nie mogę jej skrzywdzić, nie mogę. Dawniej bym się nie zawahał. A dziś? Co się ze mną dzieje?

Sam tego nie wiedział. Ale zaprzeczył ruchem głowy, bo czuł, że ustami mógłby nie zdołać. Wiedział bowiem, że tym jednym gestem być może przekreśla nadzieję na dalsze niemieckie panowanie w Wielkopolsce. Nie wątpił bowiem, że Polacy znają ich plany. I na pewno opracują jakąś koncepcję, która będzie miała na celu ich pokrzyżowanie. A on był jedynym człowiekiem, który mógł uprzedzić o tym centralę. Ale odmrożenia ograniczały jego możliwości poruszania się.

– Nie mam nikogo bliskiego – stwierdził, widząc, że kobieta czeka na odpowiedź. – Rodem jestem z Poznania.

Było to kłamstwo najbezpieczniejsze. Znał bowiem miasto jak własną kieszeń i mógł odpowiedzieć na każde pytanie, gdyby Wiktorii przyszło do głowy, by go sprawdzać.

– Wracalem od kompana, z chrzcin. A to, co mnie spotkalo, to tylko glupota moja, nic wiecej. Zachcialo mi sie rzeka do domu wracac. Przeslo dwie godziny siedzieliśmy za stołem, a po pijanemu człowiek z rozumem nie rozmawia. Pogoda zresztą ustaliła się wyborna i nic nie zapowiadało tego wichrzyska, które się na świecie rozpętało, a w którym bym bez waszej pomocy życie zostawił.

– Nie ma o czym mówić.

– Nie, jest o czym mówić – zaprzeczył gorliwie. – Długo, jaki u was mam, nie płaci się tylko wdzięcznością. Daj mi, Boże, czymkolwiek się wam wypłacić.

– Dajcie spokój – odparła, uśmiechając się wdzięcznie. – Nie wy jedni po pijanemu w kłopoty popadliście. To są u nas sprawy zwyczajne, bo tu prawie każdy jest trunkowy. A mnie miło gościa mieć pod dachem, bo w zimie, kiedy drogi są zawiane, to nawet żaden sąsiad w odwiedziny nie przyjedzie. A nam, kobietom, nudno. A tak, będziemy miały mężczyznę pod dachem. Prawda, Alicja? – zwróciła się do służki.

– Pewno – odparła. – Ale my obie żonate.

Wiktoria zachichotała. Widać dopuszczała Alicję do spoufalania się ze sobą, co trochę zdziwiło Johanna, bo w Niemczech nikt ze służby nie śmiał spojrzeć swej pani w oczy, o wzajemnym przekomarzaniu się nawet nie mówiąc.

– Długo nie będę was wodził na pokuszenie – zapewnił, zręcznie dostosowując się do żartobliwego stylu rozmowy. – Wykuruję się tylko i wracam do siebie. Najmilej człowiekowi na swoich śmieciach.

– Siedźcie, choćby i do wiosny. A może pod naszym dachem wolności doczekacie? Nim słońeczko wyżej, tym Polska jest bliżej.

Mój mąż pracuje w sztabie, to wiem, co się na świecie kluje. Podobno Niemcy sposobią się do jakiegoś uderzenia, ale to będą już ostatnie wysiłki, a potem wszystko się uspokoi.

Omალ się rozeźmiał. Ta kobieta mówiła otwarcie o czymś, co berlińskie kręgi przywódcze uważały za najściślej strzeżoną tajemnicę. Z drugiej strony dziwiła go nieostrożność jej męża, który rozmawiał z nią otwarcie o takich sprawach, o których nic wiedzieć nie powinna. Zakładał, że mąż Wiktorii musi być kimś ważnym. Nie wątpił, że Polacy nie dopuszczali każdego do osiągnięć swojego wywiadu, z obawy by tajemnica nie przenikła do wroga.

– Ja z mężem teraz kontaktu nie mam, bo dnie i noce nad mapami spędza. Umacniają się na linii demarkacyjnej i sposobią do obrony, jak potrafią. Ale jeśli szwab całą siłą uderzy, to przyjedzie.

Wyraz troski głębokiej osiadł na jej twarzy. Kochała bowiem męża miłością silną i głęboką. Jednak nie wstrzymywała go, gdy wraz z innymi zaczynał ćwiczyć młodzież, przygotowując ją do walki, jaką prowadzić było trzeba. Dlatego nie wstrzymywała go i później, gdy idąc za głosem serca i obowiązku, zaciągnął się do armii. I tak mogła być w miarę spokojna o jego bezpieczeństwo, ponieważ znajdował się w sztabie, z dala od pierwszej linii. Nie wystawiał się więc na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia. Doskwierała jej jedynie bolesna samotność.

Przywykła bowiem do tego, że zawsze był blisko. Czasem tego nie dostrzegała, traktowała jego obecność jako rzecz zwyczajną, ale był jej niezbędny, tak jak tlen w powietrzu. Pisała do niego długie listy, w których starała się wyrazić wszystkie swoje do niego uczucia oraz zapewnić go, że daje sobie jakoś radę. Odpisywał jej lakonicznie po wielu tygodniach. Bolało ją to trochę, lecz rozumiała, że pochłania go służba ojczyźnie, która zawsze przed prywatnymi sprawami iść powinna.

Niewiele czasu jednak mogła poświęcić na takie rozmyślania, wraz z odejściem męża spadł bowiem na nią ciężki obowiązek zarządzania dużym arealem ziemi. Na szczęście była kobietą rzutką i energiczną, która wolała już ślęczeć nad księgami rachunkowymi czy podręcznikami agronomicznymi, niż przebywać w towarzystwie salonowych lwic, które zajmowały się nudną konwersacją. Potrafiły dyskutować tylko o nowych londyńskich czy paryskich trendach. Roztrząsały kroje publikowane w „Pięknej Pani”³. Nigdy nie brała zbyt intensywnego udziału w tego typu rozmowach, gdyż nużyły ją śmiertelnie. O wiele bardziej pasjonowały ją nowinki techniczne, które dotyczyły uprawy roli. Mogła godzinami rozmawiać o prawidłowym używaniu nawozów, właściwej głębokości orki. Dzięki temu majątek bezproblemowo przeszedł w jej ręce, a dzierżawcy i ekonomowie przekonali się, iż bezpieczniej nie szukać zysków poza jej plecami.

Korzystała też z pomocy życzliwych sąsiadów. Nie musiała pilnować swoich miedz ani cechowanych sosen, w granicach jej majątności było spokojnie, a sąsiedzi wspomagali ją nie tylko przy polowych robotach, służąc radą, lecz także i zasobami. W innych stronach przeróżne męty korzystały z zamętu, by nieuczciwą drogą powiększać swoje majątki, za to w jej granicach wszystko kwitło w pierwotnym bycie. Czekala więc z nadzieją na chwilę, gdy jej mąż wróci do domu i ujrzy, jak sprawnie gospodarowała.

Uśmiechnęła się do własnej myśli.

– Przed wiosną i tak do sił nie wrócić, a ja was nie puszcę, bo jeszcze gdzie za progiem padniecie.

– To jestem w niewoli? – zapytał z uśmiechem.

– A w niewoli – potwierdziła – bo u nas przyjaźń to często przymus. Gdy przyjacielowi pić każesz, choć jego głowa na stół już opada, czy to nie przymus? Drogi teraz zawiane – mówiła. – Zresztą, i mowy o tym być nie może.

Poznał z tonu jej głosu, że jeśli dłużej na prędko wyjazd nastawał będzie, to może obudzić jej podejrzenia. A już czuł, że nie będzie mu tu źle. Swoich ostrzec i tak nie mógł, skoro zdecydował się nie wciągać tej kobiety w swoje rozgrywki. A tu, pod czułą i staranną opieką, powinien rychło wrócić do pełnej sprawności. I zaraz móc udać się do Berlina.

– Kto by do takiej niewoli trafił, sułtanowi nie miałby czego zazdrościć – odparł układnie. – To i ja przyrzekam, iż nie będę uciekał.

Takoż został. Organizm zdrowy i przywykły do trudów, zarówno ciągłych, jak i doraźnych, zwalczał w nim chorobę. Wkrótce zaczął wstawać z łóżka. Na początku tylko z najwyższym trudem mógł stać na stopach. Ich barwa mówiła mu, jak blisko był amputacji. Skóra wciąż pozostawała lekko poczerwieniała. Ale wstawał codziennie. I wkrótce dostrzegł, że każdego dnia może stać coraz dłużej, z krótszymi przerwami na odpoczynek. Pod koniec tygodnia zaczął podejmować nieśmiałe próby chodzenia.

Na początku tylko powłóczył nogami i zataczał się od sprzętu do sprzętu. Czasem też korzystał z ramienia Alicji, która nadal doglądała go z oddaniem. Z każdym dniem jednak czuł się na nogach coraz pewniej i oddawał się coraz dłuższym marszom. Wkrótce nie potrzebował już wspierać się na ramieniu Alicji, choć ta nie była bardzo zadowolona z tego faktu. Zamiast tego sporządził sobie dwie kule, na których kuśtykał po całym majątku.

Skutkiem tego zaczął spędzać więcej czasu z Wiktoria, która zapoznawała go ze swoim gospodarstwem. Kuśtykał za nią ze zmęczeniem i skurczem bólu malującym się na twarzy, cierpliwie wysłuchując opowieści o tym, co i gdzie zasieje wiosną. On sam opowiadał jej o sobie, zręcznie mieszając prawdę z ułożoną przez siebie fikcją. Przyznał się między innymi do kawalerskiego stanu, co zmusiło go do bronięcia się przed żartobliwymi próbami

swatania. Działo się to głównie przy posiłkach, które gdy tylko odzyskał część sił, zaczął spożywać wraz z innymi w jadalni.

Posiłki te napawały go niepokojem. Nigdy i nigdzie nie jadał tak dobrze. Polskie kiełbasy, szynki, bułeczki ze świeżutkim masłem sprawiały, że zaczynał się rozszerzać, a w jego pracy dobra forma fizyczna była często niezbędnym czynnikiem, umożliwiającym przeżycie. Z niekłamaną ulgą przyjął więc pierwsze oznaki zbliżającego się przedwiośnia. Był to bowiem wiadomy znak, iż lada dzień będzie mógł oddać się zwiększonej aktywności fizycznej.

Ciepłe południowe wiatry przemogły mroźne i suche powietrze, wypierając je i zastępując ciepłem. Każdego dnia pokrywa śnieżna zanikała w oczach, wypuszczając z uścisku pola i drogi. Topniejący śnieg napełniał ziemię wilgocią, rozszerzał koryta rzeczne i napełniał jeziora. Pękające kry lodowe płynęły do morza na coraz większej powierzchni rzek. Te zaś rozlewały się coraz szerzej, bo nadmiar wód sprawił, że wystąpiły z łożysk, zalewając okoliczne pola, łąki i drogi. Nieliczne mosty zostały pozrywane, odcinając ludzi od świata.

Lecz zima mocowała się z wiosną. Pogoda była niestabilna. Jednego dnia w powietrzu hasały wichry, a twarze chłostał deszcz, pomieszany z płatkami ciężkiego mokrego śniegu, następnego dnia padał tylko deszcz, a jeszcze następnego słońce przygrzewało tak, że kożuchy parzyły plecy. Johann jednak nie zważał na ów pogodowy galimatias i każdego dnia wypuszczał się na coraz dalsze zwiady po okolicy. Czasem w tych wędrówkach towarzyszyła mu Alicja, służąc jednocześnie za przewodniczkę. Ale najczęściej wypuszczał się sam, ponieważ przyzwyczajony był do samotnych rozmyślań i włóczenia się po bezdrożach.

Z przyjemnością wdychał powietrze przesycone błogim zapachem wiosny. Zbierał bazy, przedzierał się przez topliska. Chodził leśnymi duktami i trzęsawiskami. Mógł z radością

obserwować, jak dobroczynny skutek wywierają owe wyprawy na jego ciało. Wracaly mu sprężystość ramion, odbudowywały naruszoną przez chorobę tkankę mięśniową. W samotności zaczął więc przeprowadzać walki z cieniem i z ulgą przekonał się, że jego mięśnie dobrze pamiętały wpajane przez lata ruchy.

Pewnego dnia wracając prowadzącą do dworku drogą, spostrzegł stojących przed gankiem uzbrojonych ludzi. Choć znużony śmiertelnie, przyśpieszył kroku. W biegu pokonał dzielącą go od dworku odległość. Wpadł na dziedziniec dokładnie wtedy, gdy uzbrojeni ludzie odbezpieczyli broń.

Od jednego rzutu okiem poznał paramilitarną formację Grenzschutzu. Z tego, co wiedział, był to jeden z nowych pomysłów Berlina na utrzymanie przy nich wschodu. Do ochotniczych korpusów rekrutowano ludzi niemieckiego pochodzenia, którzy nie mogli się pogodzić z nowo zaistniałą sytuacją.

Johannowi dość było spojrzeć na twarze owej czwórki, by się przekonać, jacy ludzie służą w szeregach tych jednostek. Na wszystkich twarzach widoczne było piętno zdrady, łupiestwa i zbrodni, bo najmiłszym rodzajem wojny był dla tych ludzi mord i grabież. Palili polskie dwory, osady i miasteczka, wyciskając z ludzi krew i łzy. Do regularnej walki natomiast nie palili się wcale, pozostawiając ten trud żołnierzom.

– Zapalimy to polskie gniazdo – rzekł jeden z nich, potrząsając konwulsyjnie pięścią i zgrzytając zębami. – Ale wcześniej zabawimy się, bo pannie tęskno pewnie do chłopca. Jak myślicie, będzie się tak samo w łóżku bronila jak jej chłop w Poznaniu? Nie będzie się on z tej ich Polski radował, gdy do domu wróci i zgłiszczca ostygłe zastanie.

Kompani odpowiedzieli mu śmiechem.

Rozglądali się już za jakim taranem, który umożliwiłby im dostanie się do środka. Nie była to dla nich pierwszozna taka robota i z góry cieszyli się na myśl o kobietach i łupie, jaki

w środku znajdują. Wiedzieli bowiem, że polskie dwory pełne były wszelkiego bogactwa. A i polskie kobiety lepsze od ich żon były. Ci cywile, którzy niegdyś byli spokojnymi mężami, ojcami, pracowali na chleb w trudzie i pocie czoła, raz posmakowawszy krwi i zdobyczy, zmieniali się w stado wściekłych wilków.

Johann poznał więc natychmiast, z jakiego rodzaju ludźmi ma do czynienia. Jako zawodowy żołnierz i wywiadowiec zawsze patrzył z pogardą i odrazą na te wymiociny ludzkie. Wojnę traktował jako rodzaj rywalizacji. Jeśli zabijać, to patrząc wrogowi w oczy. Nie krzywdzić bezbronnych i słabych. Czasem był bezwzględny i nie wahał się dla zdobycia informacji zrobić tego, co było konieczne. Nigdy jednak nie zabił nikogo, kto nie miałby szans zabić jego. Takie postępowanie wydawało mu się uczciwym.

Teraz serce zapiekło z wściekłości do tej psiej zgrai, dyszącej nienawiścią i żądzą mordy. Nie obchodziło go, że byli to jego rodacy, którzy walczyli o tę samą sprawę co i on. Dla niego liczyło się tylko to, że stanowią zagrożenie dla bliskich mu ludzi. Dla bezbronnych kobiet, które odratowały go i oddechowały, choć nie musiały. Miał wobec nich dług, którego jeszcze nie spłacił.

Mimo gonitwy myśli nie stracił głowy i nie ruszył bezpośrednio ku nim. Zamiast tego zmacał dwa rewolwery, które od wypadku zawsze nosił ze sobą. Służyły mu one także do treningów strzeleckich, których od pewnego czasu nie zaniedbywał. Teraz jednak dziękował opatrności za to, że nie puścił na wiatr ani jednego ładunku.

Kocim krokiem zbliżył się do nich. Ani na jedną sekundę nie spuszczał ich z oka. Pamiętał, że było ich czterech. I choć prawdopodobnie żaden z nich nie dorównywał mu ani pod względem doświadczenia, ani wyszkolenia, to sama ich liczba dawała im przewagę. On sam miał po swojej stronie jedynie obycie w walce oraz element zaskoczenia. Ten ostatni postanowił więc wykorzystać do samego końca.

Sięgnął po rewolwery. Zważył je w dłoniach i ustawił równolegle do siebie. Spokojnym ruchem odwiódł kurki. Cichy dźwięk rozległ się w jego uszach z siłą kościelnego dzwonu. Co gorsza nie tylko w jego. Zbójcy także zorientowali się, że coś jest nie tak. Odwrócili się błyskawicznie w jego stronę, lecz dwa czarne otwory rewolwerów sparaliżowały ich wolę działania. Pobledli trupio, ręce zadrżały im konwulsyjnie i patrzyli bezosobowym, nierozumiejącym wzrokiem. Trwało to może sekundę, może dwie, nie dłużej.

Ale dla Johanna była to wieczność. Od dawna mierzył czas zupełnie innymi kategoriami niż normalni ludzie. Delikatnym, wytrenowanym przez lata ruchem nacisnął języki spustowe. Rewolwery zadrżały mu nieznacznie w dłoniach, a z ich luf uniosła się smużka prochowego dymu. Na moment przysłoniła świat, ale jęk, jaki zlał się w jedno ze strzałami, poinformował go, że trafił. O dwóch mniej – pomyślał. Myśl ta napełniła go ulgą.

Upřednio nie był pewien, czy zdoła trafić obydwu. Choć potrafił strzelać po macedońsku i nieraz tej sztuki próbował, to służyła mu ona głównie do zbierania laurów i zyskiwania podziwu kolegów. W prawdziwej walce nie używał jej aż do teraz i zgoła nie był pewny pomyślnego efektu. Ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy, więc postanowił z tej umiejętności skorzystać.

Nie czekając, aż dym prochowy odsłoni skutki obu wystrzałów, rzucił się do przodu. W trakcie wykonywania przewrotu poczuł pęd pocisku, który z szumem przeleciał mu nad płatkami ucha. Miętko wylądował na nogach i natychmiast poderwał się ku pozostałej dwójce. Patrzył z politowaniem, jak drżącymi dłońmi repetują karabiny. Ich ruchy były nerwowe, brak im było synchronizacji. Johann jednym ruchem wprowadził precyzyjne kopnięcie wymierzone w krtań. Poczuł ugięcie strun na podeszwie buta i był już pewien, że trzeci przeciwnik jest definitywnie wyłączony z walki.

Czwarty skoczył ku niemu z lufą karabinu uniesioną wysoko nad głowę. Johann uśmiechnął się tylko. Za pomocą półobrotu zwinnie uchylił się od ciosu. Następnie podstawił swojego buta pod stopę przeciwnika. Rywal nie zdążył wyhamować i runął jak długi na brzuch. Johann skoczył mu na plecy jak jeździec na konia. Od niechcenia powstrzymywał rozpaczliwe ruchy ciała przeciwnika, którymi ten usiłował go z siebie zrzucić. Jednocześnie obiema rękami chwycił go za kark i przydusił głowę do ziemi. Obojętnie obserwował, jak twarz jego przeciwnika napełnia się powietrzem niczym balon i robi się coraz bardziej sina. Jego własna twarz pokryła się szkarłatem, bo duszenie wymagało od niego użycia coraz większych sił.

Przeciwnik walczył coraz rozpaczliwiej, a jemu coraz mocniej drżały ręce. Zaczynał się obawiać, czy nie przeliczył się z siłami. Przecież nie był jeszcze w pełni zdrowy, choć przestał już odczuwać jakikolwiek dyskomfort związany z odmrożeniami. Twarz pokryła mu się strugami potu, a oddech stał się szybki, urywany. Ostatnim rozpaczliwym odruchem docisnął twarz wroga do ziemi i wtedy poczuł, jak ciało trzymanego wypręża się i nieruchomieje. Koniec – pomyślał i stoczył się z niego w mokrą i wilgotną ziemię.

Przyjemnie chłodziła jego spocone i rozgrzane walką ciało. Usłyszał cichy skrzyp otwieranych drzwi. Wkrótce dostrzegł pochylone nad sobą zatroskane twarze Wiktorii i Alicji. Uśmiechnął się do nich, dysząc ciężko. Piers unosiła mu się w nienaturalnie szybkim oddechu, a oczy zachodziły jeszcze mgłą z wysiłku. Ale był szczęśliwy, że widzi je żywe, zdrowe i całe.

– Bóg cię w mój dom wprowadził – rzekła Wiktorii. – Nie wiem, co by się bez ciebie stało. Że też takie łotry jeszcze po ziemi chodzą. Przyjeżdżaj do mnie, kiedy chcesz, jakoby do rodziny najbliższej. Życia mi nie starczy, by ci należycie wdzięczność okazać.

– I do mnie – dodała Alicja, nie chcąc być mniej wdzięczną od swej pani. – Bo choć mój chleb dworskiemu nie dorówna, to z równie szczerego serca będzie ci dany.

Obie uśmiechały się do niego promiennie.

On zaś wsparł się rękoma o ziemię i wstał z trudem. I choć nogi chwiały się pod nim od włożonego w walkę wysiłku, to odrzucił pomoc ich ramion, co tak im wytłumaczył:

– Nie wiedziałyście, komu pomagacie, bo wam mojego prawdziwego nazwiska nie powiedziałem. – Zignorował ich otwarte w zdumieniu usta i nieme pytania w oczach. – Naprawdę nazywam się Johann Wolf. Jestem Niemcem i oficerem wywiadu. W Poznaniu nadzorowałem i sabotowałem rozwój waszych ruchów narodowych. Wasze powstanie przerwało mi tę robotę. Polski wywiad mnie odnalazł. To przed nim uciekałem po skutej lodem rzece. Nie moja głowa rozsądzać, po czyjej stronie słusność stoi. Jeśli grzeszę, walcząc z wami, to moi zwierzchnicy będą i za mnie, i za siebie odpowiadać. Ja służę, komu powinienem.

Milczenie zaciążyło nad tą trójką ludzi. I było im z nim nieznośnie. Ani on, ani kobiety nie wiedzieli, jak powinni się zachować.

– Dlaczego nam pomogłeś? – wykrztusiła wreszcie Wiktoria.

– Bo nie wszyscy Niemcy są źli. Po służbie wolno mi niegodziwości i krzywdzie zapobiegać. Wy byliście dla mnie dobre i ja wam też dobrem odplaciłem. A tacy jak ci, których zabiłem, zakałą tylko są naszego narodu i hańbę mu przynoszą.

– Dziwne są sądy Boże – rzekła Wiktoria. – Ocaliłeś żonę człowieka, który najchętniej w kajdanach by cię zobaczył. Ja jestem żoną Krzysztofa Kossowskiego, który jest szefem wywiadu Armii Wielkopolskiej.

– Jak to? – Johann nie krył zdumienia. – Przecież ja wiem dobrze, że nosisz nazwisko Jazłowiecka.

– To moje panieńskie – stwierdziła. – Forma kamuflażu.

– To dlatego nikt mnie tu nie szukał. Nie szukaliby mnie przecież w domu swojego szefa.

Wiktoria przyglądała mu się chwilę w milczeniu.

– Może i nie wszyscy Niemcy są źli – powiedziała w końcu z uśmiechem. – Ale jak mamy się o tym przekonać, jeśli my nie widzimy się inaczej, jak z szablą w jednej ręce a pistoletem w drugiej. Teraz ja mam u ciebie dług. Jeśli kiedykolwiek wpadniesz w nasze ręce i będziesz potrzebował dobrego słowa, to bądź pewien, że go dla ciebie nie pożałuję. A jeśli zrezygnujesz z pracy w wywiadzie, to przyjeżdżaj, bo tu brama dla ciebie otwarta. A może prośbę jaką masz do mnie, którą mogłabym spełnić zaraz i bez trudu?

Zamiast odpowiedzieć, przysunął się do Alicji i nim ta miała czas, by się zorientować w jego zamiarach, pocałował ją lekko w usta i rzekł:

– Wiele słyszałem o tym, jak całują Polki, ale nie miałem jeszcze okazji, by samemu tej przyjemności zaznać.

Zarumieniony własną beczelnością, obrócił się na pięcie i nie żegnając się, poszedł przed siebie, myślami będąc już w drodze do Berlina. Nie odwrócił się, by choć raz rzucić okiem na dworek, w którego murach zaznał tyle życzliwości. Nie dostrzegł więc triumfującego spojrzenia Alicji, którym ta właśnie spoglądała na swoją panią.

³ Autentyczne pismo dla pań, poświęcające swe łamy modowym trendom.

Rozdział III

W jednej z paryskich kawiarenek ulicznych przy białym stoliku siedzieli dwaj mężczyźni. Nad ich głowami rozpościerał się parasol. Pierwszy z nich był człowiekiem w dojrzałym już wieku, o szarych, jakby wyblakłych od zbyt długiego patrzenia na świat oczach. Włosy miał już posiwiałe, sylwetkę chudą, przygarbioną i wiotką. Podkreślał to czarny surdut, który nie miał się czym wypełnić i wisiał na nim. Na głowie nosił czarny melonik, który ukrywał siwe włosy. Całości stroju dopełniały czarne spodnie i zamszowe buty, o które co chwila uderzał laską ze srebrną gałką.

Obok niego siedział mężczyzna trzydziestoletni. Z twarzą ruchliwą, nieco zbyt bladą, w której odbijała się każda jego myśl. Uszy miał kształtne, nos prosty, lekko spłaszczony. W głęboko osadzonych szaroniebieskich oczach odbijało się wesołe usposobienie. Wąski w pasie, włosy miał jasne, krótko ostrzyżone. Pełne usta wyginały mu się w tej chwili w grymasie niechęci, jakby słuchał czegoś sobie niemiłego.

Człowiek ten przyćmiewał swojego towarzysza nie tylko przyrodzoną wiekowi urodą, lecz i świetnością stroju. Miał bowiem na sobie czarne, zwężone w nogawkach spodnie. Głowę osłaniał słomkowy kapelusz, co mogło sprawiać zaskakujące wrażenie w zderzeniu z leżącymi jeszcze na ulicach Paryża resztkami śniegu. Do tego dochodził wełniany szary garnitur i kamizelka. Żak uśmiechnął się na widok zgorzenia swojego

przyjaciela i szefa jednocześnie. Bo z Bertrendem był w takiej właśnie nietypowej relacji.

To z jego rozkazu funkcjonował jako dziennikarz modowy, przygotowujący relacje dla czytelników z licznych pokazów mody. Dzięki temu mógł zbierać wiele użytecznych informacji. W końcu to na pokazach zjawiało się wielu ludzi, których wiedza (a zwłaszcza tajemnice) bardzo interesowała wywiad. A przy okazji młody człowiek mógł spijać szampana i adorować piękne kobiety.

– Witaj, Żak – rzekł Bertrand. – Widzę, że bardzo wczułeś się w rolę, którą osobiście przydzieliłem ci wiele lat temu. Prawdziwy z ciebie lew modowy. Świat schodzi na psy. Słyszałeś? Kobiety odsłaniają już łydki. Za moich czasów takie rzeczy byłyby nie do pomyślenia.

– Bo się zestarzałeś. Wąsiki ci posiwiały. Tego by jeszcze tylko brakowało, żebyś włożył surdut i getry, jak przystało na przedgrobowca. Ja tam się cieszę, że kobiety pozwalają sobie na więcej. Ty wiesz, ile się człowiek musiał napracować, żeby je rozebrać?

– Dość, Żak! – Bertrand zmarszczył posiwiałe brwi. – Doszły do mnie twoje meldunki, w których wysuwasz przypuszczenia, że Niemcy kroją coś przeciwko Polakom. Na czym je opierasz?

Przerwali na chwilę, ponieważ podeszła do nich kelnerka i postawiła na stoliku zamówioną przez nich kawę. Żak zdjął rękawiczki i objął dłońmi filiżankę. Przez chwilę rozkoszował się jej cudownym ciepłem i zastanawiał się, jak przekonać szefa do swoich racji. Nie miał bowiem żadnych dowodów na potwierdzenie swoich tez. To było tylko nieokreślone przecucie, oparte na jego doświadczeniu.

Zaniepokoiła go ta dziwna seria artykułów opublikowanych przez koncern Hugenberga. Zbyt długo siedział w tej robocie, by nie pojąć, że za tak gigantyczną i kosztowną operacją kryje się wielki cel. Artykuły pisane przez pannę Gerdę Leszke miały tak

jadowicie antypolski ton, którego nawet nie starała się maskować, iż mogły być pisane tylko na polityczne zamówienie. Bo inaczej nawet stary Alfred bałby się stanąć sam do takiej rozgrywki. Musiałby zaryzykować całe swoje imperium medialne, stworzone z takim trudem. Chyba że wie dobrze, iż w ten sposób zyskuje przychylność ludzi będących na samym szczycie piramidy republiki.

– Zaniepokoiła mnie ta seria paszkwili, którą niedawno wypuścili ludzie Hugenberga. Wyraźnie urabiają grunt pod jakąś operację przeciwko Polakom. Chcą ich wyizolować. Temu mają służyć łzawe opowiadki o utraconym niemieckim wschodzie i krzywdzonych tam przez Polaków pionierach niemieckich – rzekł Żak. – Musimy coś z tym zrobić, bo inaczej zarówno wolna Polska, jak i Czechosłowacja czy Litwa zginą pod naporem niemieckiego kolosa.

– My niczego nie musimy, Żak – przerwał Bertrand. – My zbieramy tylko informacje, a na ich podstawie politycy kreują politykę międzynarodową. Mam cię tego uczyć? Po tylu latach pracy? – Pochylił się ku niemu. – A już zupełnie prywatnie powiem ci tak: Anglicy trzymają nas za gardło i pilnują, byśmy nie wywarli zemsty na Niemcach. Ich zdaniem są dalecy od europejskich nacjonalizmów, a w polityce kierują się zasadą równowagi sił. Bo w ich mniemaniu na świecie jest miejsce tylko dla jednego supermocarstwa, i to miejsce jest już przez nich zajęte. Tak, przyjacielu. A nasz premier Clemenceau niewiele może na to poradzić. Tym bardziej że jego ostatni projekt, jakim była interwencja w bolszewickiej Rosji, zakończył się totalnym fiaskiem i gigantycznymi stratami.

– To znaczy, że co? Wygraliśmy w końcu tę wojnę czy nie? – odparł Żak emocjonalnie. – Bo przecież wygraliśmy. To zagłodzone i pokonane Niemcy przyszły żebrać o pokój czy my? To po to zginęło blisko półtora miliona naszych najlepszych ludzi, żeby

niemiecka potęga pozostała nienaruszona? Jeśli tak, to po co było to wszystko? Po co bawimy się w te wywiadowcze komedie? Po to udaję modnisią, biegam po tych pokazach mody, nadstawiam ucha, by dziś dowiedzieć się, że to wszystko niczemu nie służyło? Bo jeśli my nie zdepczemy dziś tego germańskiego węża, to oni znowu staną kiedyś u bram Paryża.

Bertrand położył swoją dłoń na rękę Żaka, a następnie zaczął dostojnie pić kawę. Tymczasem młodszy z mężczyzn sapał gniewnie. Emocje, które z niego buchnęły, zmęczyły go tak, jakby odbył właśnie długi bieg. Ale czuł, że mówił to, co w tej chwili powiedzieć należało.

– Myślałem, że ochrona maleńkich wschodnich państw była naszą racją stanu. To Polska, Czechosłowacja i Litwa miały trzymać Niemcy za portki z tamtej strony i nie dać im odwrócić oczu na zachód. A teraz dowiaduję się, że pozostawimy ich sam na sam z Niemcami. Wiesz, jak bardzo obawiają się tego w Warszawie i Kownie? I wiesz, że mają do tych obaw bardzo silne przesłanki. Dlaczego?

Bertrand odłożył filiżankę na spodeczek. Otarł serwetką wąsy i uśmiechnął się do Żaka.

– Powinieneś sam to zrozumieć. Ale jeśli nie potrafisz, to ja ci to wytłumaczę. Mówisz: wygraliśmy wojnę. A ja ci odpowiadam: tej wojny nie wygrał nikt. No, może oprócz Amerykanów, bo oni włączyli się do niej, kiedy sprawy zbliżały się ku końcowi.

Żak otworzył usta, jakby chciał mu przerwać. Uniósł rękę i kontynuował.

– Dźwigaliśmy ciężar prowadzenia tej wojny tylko na swoich barkach przez cztery lata. Straciliśmy przeszło półtora miliona ludzi. Sam to zauważyłeś. Ale nie dołożyłeś do tej liczby tych, których wojna zrobiła kalekami, i tych, którym pomieszała zmysły. Znasz przecież pojęcie pyrrusowe zwycięstwo. Czy nie psuje się topór, którym ścina się drzewo? Niemcy potrzebują pokoju, ale nie

bardziej niż my sami. Nasze społeczeństwo też go łaknie i pragnie. Nikt nie chce już walczyć. I nasz premier wie o tym dobrze. Wie, że musi zawrzeć ten traktat, bo inaczej ludzie podziękują mu za służbę przy urnie wyborczej. A wybory, jak wiesz, mamy już za rok. Niemcy wiedzą o tym, dlatego mogą grać ryzykownie.

– A Polska, Litwa i Czechosłowacja?

– No cóż – zaczął Bertrand, mieszając kawę łyżeczką. – Polacy mogliby pilnować Niemców od wschodu, ale ich nieszczęście polega na tym, że muszą rozpraszać swoje siły i uwagę na wszystkie strony. Z Litwinami wadzą się o Wilno. Z Czechosłowakami o Śląsk Cieszyński, Spisz i Orawę. Z Ukraińcami o Lwów. A z Niemcami o wszystko. – Uśmiechnął się. – Tak. Oni nigdy nie potrafią zrozumieć, że sojusze zawiera się zawsze w konkretnej sytuacji politycznej. W polityce nic nie trwa wiecznie. Kombinacje zmieniają się szybciej niż paryska pogoda. A oni zawsze myślą, że pakty zawiera się na wieczność.

– Więc czeka ich kolejne bolesne rozczarowanie – zauważył Żak z lekką drwiną w głosie. – Będą musieli sami pilnować swojej głowy przed Sowietami, a dupy przed Niemcami. I naszych też. Bo Lenin i jego chłopcy nie poprzestaną chyba na Polsce, jeśli cała Europa czeka na nich naga i wilgotna.

– Żak! – Bertrand uderzył pięścią w stół, aż zadrżały obie filiżanki. – Brytyjczycy nie przejmują się zbyt bolshewickim zagrożeniem. Uważają, że wystarczy dozbroić Niemcy tak, by odpowiednio wzmocnione mogły skutecznie powstrzymać Lenina. A ty nie przejmuj się Polską. Za Polskę Polakom wojować, a nie nam.

– Więc co zrobisz?

– To, co powinienem. Zawiadomię premiera, ale na twoim miejscu nie spodziewałbym się, by przyniosło to jakieś wymierne efekty.

Bertrand dokończył kawę i odszedł, a Żak patrzył za nim długo i po raz pierwszy poczuł, że zmarnował wiele lat swojego życia. Oto szlachetne ideały, z którymi zaczynał służbę w wywiadzie, zderzyły się z twardą polityką. Czy banda krótkowzrocznych polityków miała już zawsze torpedować jego działania i odbierać sens jego pracy?

Westchnął. Pozostawił równowartość rachunku pod serwetką i patrząc na błyszczące franki, mimo woli pomyślał sobie: Oby historia nie wystawiła nam za to kiedyś wyższego rachunku.

Rozdział IV

Tymczasem młyny historii obracały się bez spoczynku. Niemcy wniesli o przedłużenie rozejmu. Z góry było wiadomo, że państwa Ententy zgodzą się na to bez żadnych trudności, bo i im wojna dała się we znaki. Dla tej przyczyny nikt nie spodziewał się tego, co nastąpić miało, i wszyscy skupili się na dalszym rozbieganiu na części pierwsze traktatu pokojowego. I troszczyli się tylko o to, czy Niemcy zaakceptują jego ostateczny kształt, czy też nie.

Jedynie przedstawiciele polskiej delegacji zabiegali ustawicznie o spotkanie swoich najważniejszych przedstawicieli z prezydentem Wilsonem oraz marszałkiem Fochem. Rozgłaszając przy tym umyślnie, że nie chodzi im o nic innego, jak tylko o to, by prezydent Stanów Zjednoczonych raz jeszcze potwierdził, iż pozostaje zwolennikiem utworzenia niepodległego państwa polskiego z dostępem do morza; z kolei u marszałka Focha pragnęli wyjednać tylko odesłanie do Polski czwartej dywizji syberyjskiej i błękitnej armii.

Były to działania oczywiste dla tych nielicznych dziennikarzy i dyplomatów, którzy żywo interesowali się sprawami zachodzącymi w Europie Środkowo-Wschodniej. Jednak większość zachodniej opinii publicznej była nastawiona do tych spraw obojętnie. Francuzów czy Brytyjczyków niewiele obchodziły kraje, o których nic nie wiedzieli.

Zarówno Paderewski, jak i Dmowski w pełni zdawali sobie z tego sprawę. Lecz obaj znali swoje siły i możliwości. Czuli, że są

w stanie pokrzyżować niemieckie zamysły. I – co więcej – wiedzieli, jak to osiągnąć. Paderewski dotąd zabiegał o prywatną audiencję u prezydenta Wilsona, aż zdołał ją dla siebie wyjednać.

Zatarł ręce, patrząc triumfująco na Dmowskiego, który z pobladłą twarzą czytał szczegółowe założenia Wiosennego Słońca. Poświęcał na ich studiowanie po kilka godzin dziennie każdego dnia. I zaczynał zdawać sobie sprawę, na jak ryzykowną zagrywkę zdecydował się Hindenburg i jego podkomendni z kół wojskowych. A co najgorsze – rozgrywkę rokującą pełne powodzenie. Bo gdyby raz rozsiedli się w Wielkopolsce, to stworzyliby fakt dokonany, który państwa Ententy z pewnością by zaakceptowały, składając polskie interesy na ołtarzu wieczystego pokoju światowego.

– Słyszałeś? – rzekł Paderewski ze świetnie słyszalnym zniecierpliwieniem w głosie. – Właśnie wyjednałem dla nas osobistą audiencję u prezydenta Wilsona. To dużo. Jeśli on stanie po naszej stronie, to Niemcy nie zdecydują się podważać naszych roszczeń terytorialnych. A i powstanie będzie ocalone.

– Sam idź do żydowskiego namiestnika nad Ameryką – odparł Roman z bolesnym uśmiechem. – Mnie tamtejsze koła żydowskie nienawidzą i z pewnością moja obecność tam przyniosłaby więcej szkody niż pożytku. Sam się z nim rozmów. Nie łudź się tylko, by on za naszą sprawę chciał umierać. Jak miałby wyjaśnić swoim wyborcom, że ryzykuje przedłużenie wojny, by ofiarować nam Śląsk i Wielkopolskę?

Paderewski usiadł na krześle. Sam przed sobą przyznać musiał, że tego nie wziął pod uwagę. Bo co się stanie, jeśli amerykański prezydent wycofa się ze swoich gwarancji dla Polski? A łatwo mogło do tego dojść. Tym łatwiej, że seria oszczerczych artykułów dotarła po drutach telegraficznych aż tutaj. Już teraz na obradach wszyscy krzywo na niego patrzyli. A przecież w tych cholernych bredniach nie było ani jednego słowa prawdy. Ale złe ziarno

wydało owoc zatruty, bo musiał się bronić i odpierać zarzuty. A to samo w sobie wyczerpywało jego siły.

– Mam tego dosyć! – wybuchnęła. – Niemieckie gazety Hugenberga rozpisują się o zbrodniach popełnionych przez powstańców w Wielkopolsce, a na nas to się odbija. Ludzie nie chcą z nami rozmawiać. Dobre wrażenie, jakie zrobiliśmy dzięki mojej sztuczce, całkiem się zatarło. Mam tego dość! Wracam na salę koncertową, za fortepian. Na tym się znam i tam nikt mnie z błotem mieszać nie próbuje.

Dmowski uniósł zaczerwienione oczy. Spojrzał na Paderewskiego z błyskiem gniewu i zniecierpliwienia. Chwilami żał mu było tego człowieka, który ze swoją uczciwością zupełnie nie pasował do tego miejsca. To nie był jego świat. Rozumiał go, ale nie mógł pozwolić mu na załamanie. Dlatego warknęła dość ostro, chcąc postawić go z powrotem na nogi:

– Kobięca rzecz narzekać, a żydowska czekać, nim kto w gości zajedzie i do karczmy zapuka. Wiadomo, że kto płaci grajkowi, wybiera melodię. A stary Alfred bardzo chce utrzymać przy Niemczech Wielkopolskę, ponieważ ma tam zainwestowane niemałe fundusze. I płaci swoim dziennikarzom za wypisywanie kalumnii na nasz temat. Ale Polska oficjalnie nie ma nic wspólnego z powstaniem.

– Przestań! – wychrypiął Ignacy. – Przez twój antysemityzm mam same kłopoty. Wszyscy dokoła naciskają, bym usunął cię z delegacji, bo utrudniasz nam rozmowy z Amerykanami. Jak sam powiedziałeś, tam Żydzi bardzo się liczą. Twoja to zasługa, że nas za antysemitów wszyscy mają. I wiesz, jaki będzie skutek twoich działań?

– Jaki?

– Francja i Wielka Brytania chcą na nas wymusić podpisanie traktatu o mniejszościach. Mamy w nim zapewnić wszystkim mniejszościom uprzywilejowane traktowanie. A Niemiec nikt do

tego nie zobowiąże, bo nie są sygnatariuszami traktatu. Jeśli niemiecka mniejszość u nas będzie się czuła pokrzywdzona, to będzie się mogła odwoływać do tej organizacji międzynarodowej, która pewnie powstanie pod międzynarodowymi auspicjami.

– I to jest niby moja wina?! – Dmowski zerwał się z krzesła. – Chyba zapomniałeś, że gdyby nie ja, to nie miałbyś po co do Paryża przyjeżdżać. To ja tu harowałem, gdy Polski jeszcze nie było. I to ja zgodziłem się wejść w skład twojej delegacji, by uniknąć podwójnej reprezentacji przed mocarstwami. A poza tym traktat, o którym mówisz, mają podpisać i Rumuni, i Grecy. A oni mnie przecież w składzie swoich delegacji nie mają. Wyjadę zaraz i rozkołyszę kraj tak, że razem z Piłsudskim wymiotów dostaniecie.

Przysunął się szybko do Paderewskiego i szepnął mu na ucho:

– Dobrze to zagrałeś. Jeśli ktokolwiek ma tu podслuch, to pomyśli, że są między nami jakieś niesnaski. Ja biorę Wiosenne Słońce i idę do Focha. Do niego łatwiej się dostać niż do Wilsona.

Szybkim, nerwowym krokiem podszedł do stolika, złożył przeglądane przed chwilą dokumenty z powrotem do teczki. Następnie zapiął ją starannie na wszystkie zatrzaski i skinąwszy głową Ignacemu, wyszedł na pogrążone w mroku ulice Paryża.

Niemal natychmiast owionęło go zimne powietrze – nocami trzymał jeszcze niewielki mróz, a za dnia panowały już plusowe temperatury, więc po zmroku ulice metropolii zmieniały się w pokrytą cienką warstwą lodu ślizgawkę. Szczęściem noc była jasna, choć bezksiężycowa, więc Dmowskiemu udawało się uniknąć upadku. A nie było to wcale takie łatwe, jeśli się weźmie pod uwagę, że miał na sobie czarne lakierki i wizytowy frak. Patrzył na swoje buty z krzywym uśmiechem, wypatrując cienkich, błyszczących pasemek lodu.

– Niby Francja, niby porządek, a nawet droga do ministerstwa wojny nie jest pokryta solą.

Przyciskał swoją drogocenną teczkę do piersi. Na niej też opierały się wszystkie jego nadzieje. To był ich ostatni koronny argument. I nie wątpił, że wielki marszałek należycie pojmie jego znaczenie. Ale czy wpływy, jakie posiada, okażą się na tyle silne, by przełamać pacyfistyczne nastroje polityków i opinii francuskiej? A jeśli nawet, to czy Niemcy nie zawahają się postawić wszystkiego na jedną kartę? W końcu i tam są bardzo wpływowi ludzie, którzy mają w Wielkopolsce narosłe przez lata fortuny. Na co się porwą? Na co się odważą, gdy ich kieszeń będzie zagrożona?

Te myśli kłębiły się w jego głowie przez całą drogę do gmachu ministerstwa wojny. Szedł tam z gotowym planem, ale dobrze znał liczbę niewiadomych pozwalających na jego zakwestionowanie i całkowite zniweczenie. Rozumiał też dobrze, że ten, kto nie podejmuje żadnych działań obronnych, nie ma prawa liczyć na sukces. A on nie tylko chciał stanąć do walki, ale też i czuł się na siłach, by ją do zwycięskiego końca doprowadzić.

Tak właśnie rozumiał sens swojego pobytu tutaj. Zaczynał przypuszczać, że całe jego dotychczasowe życie prowadziło go na to wersalskie pole bitwy, by stawiał opór i złamał niemiecką przemoc i pychę. Właśnie dlatego zakopał topór wojenny z Piłsudskim, choć z obrzydzeniem oddychał tym samym powietrzem co on. Dawno już nauczył się, jak należy poświęcać własne ambicje dla dobra kraju. I on tam, w Warszawie, chyba też to należycie zrozumiał, skoro pierwszy wyciągnął rękę na zgodę. Dmowski nie odrzucił jej, bo chciał być jednym z głównych rozgrywających sprawy polskiej na konferencji pokojowej.

I teraz oto, gdy jest tak blisko wytyczonego sobie samemu celu, zaczynają dopadać go wątpliwości. Chciałby wyrwać te myśli spod czaszki, ale nie może. Gnębią go jak kruki rannego na polu bitwy. Opędza się od nich tak samo i przekonuje sam siebie, że droga, którą obrał, jest słuszna.

– Nie ma innej drogi – mruzczał do siebie, obserwując mdłe blaski latarni, które rzucały na ulicę podłużne cienie. – Jeden Foch uratować nas może, bo on zna Niemców jak zły szeląg i wie, że to jeszcze nie koniec. Bo wilk musi cudzym żyć, a trawy jeść nie zacznie, choćbyś go kijem do tego przymuszała. Stary nie ma tylko dowodów, które by jednoznacznie potwierdzały, że Niemcy, nawet pokonane, nadal myślą o ekspansji.

Zatrzymał się przed olbrzymią bryłą gmachu ministerstwa wojny. Spojrzał na pogrążone w ciemności okna na piętrze. Zachwycał się przez chwilę zdobieniami fasady i płaskorzeźbami. Zawsze był estetą. Pasjonował się wszelkimi odmianami twórczej myśli ludzkiej. Jego krakowskie mieszkanie pełne było obrazów z różnych epok malarskich. Ale tym razem nie pozwolił sobie na zbyt długie podziwianie kunsztu architektów. Miał bowiem na głowie pilniejsze i znacznie ważniejsze sprawy.

Szybkim, zdecydowanym ruchem szarpnął za kołatkę w kształcie lwiej głowy. Musiał jednak odstać swoje, nim zaspany i klnący na cały świat oficer wsunął swoją pucołowatą, pyzatą twarz między kraty bramy.

Francuska dyscyplina – pomyślał Dmowski złośliwie, patrząc na przekrzywione na bakier kepi oficera i na jego mundur, w którym drażniły go krzywo zapięte guziki.

Tymczasem wartownik przetaił nieco oczy i popatrzył na Polaka z ławą do zrozumienia wrogością. Spojrzawszy jednak na jego czarny, wizytowy frak, którego nie mógł nosić byle łachmyta, zwrócił się do Dmowskiego dość uprzejmie:

– Marszałek nie przyjmuje w nocy.

– Mnie przyjmie – zapewnił Dmowski. – A ty prowadź mnie do niego, jeśli nie chcesz, bym mu zameldował, z jakim to poświęceniem oddajesz się służbie wartowniczej – zadrwił. – A może i uprawiasz miłość językiem z którąś z cór Koryntu?

Oficer zignorował tę uwagę. Pociągnął tylko za niewielki dzwoneczek, bo sam nie miał prawa odejść od bramy. Na ów sygnał przyszedł jeszcze jeden oficer i rozkazał bramę otworzyć. Następnie skinął na Dmowskiego, by ruszył za nim. Obaj przeszli przez wewnętrzny dziedziniec budynku, a potem krętymi schodami weszli do środka.

Dmowski szedł za plecami oficera, nie przyglądając się mijanym salom i pomieszczeniom. Przechodził schodami z piętra na piętro i gdyby nie lekka zadyszka, nie zauważyłby, że idzie. Myśl jego ustawicznie skupiona była na tym, co miał powiedzieć marszałkowi. W myślach układał zdania, dobierał odpowiednie zwroty. Skutkiem tego intelektualnego wysiłku pobladł i ciężko oddychał, gdy oficer zatrzymał się przed niczym niewyróżniającymi się drzwiami.

– Marszałek czeka – rzekł oficer, wysuwając prawą rękę do przodu i wskazując nią drzwi. Sam zaś obrócił się na pięcie i zniknął w czeluściach gmachu. Dmowski pozostał sam. Postąpił chwilę przed drzwiami, by unormować oddech i przywrócić swojemu frakowi normalne ułożenie. Następnie powoli nacisnął na złotą klamkę i wszedł do gabinetu marszałka Francji.

Znalazł się w pogrążonym w półmroku pomieszczeniu. Okna bowiem przysłaniały ciężkie bordowe kotary. Meble również sprawiały wrażenie masywnych i niedopasowanych. W powietrzu unosiła się ledwie wyczuwalna woń koniaku i papierosów – najwyraźniej nie radzono tu o suchym gardle. Parkietowa podłoga pokryta była ciężkim, puszystym dywanem, który wyobrażał porwanie Europy. Na środku pokoju stało sporych rozmiarów biurko z wiśniowego drzewa, a na nim ogromna lampa z zielonym abażurem.

Pod pomalowaną na pastelowy kolor ścianą ustawiono ogromną skórzaną sofę, a przy niej oszklony stoliczek do kawy. Dmowski dostrzegł jeszcze wiszącą za biurkiem sztabową mapę

Francji i krzesła. Zmrużył oczy, by przyzwyczaić je do ciemności, i dopiero wtedy spostrzegł marszałka Focha, który z nadzwyczajnym skupieniem wpatrywał się w wiszącą przed nim mapę i zachowywał się tak, jakby w ogóle nie zauważył, że ma gościa. Lecz było to złudzenie. Marszałek odwrócił się błyskawicznie.

Był to człowiek średniego wzrostu, o ogromnych siwych wąsach, które niemal całkowicie przysłaniały mu usta. Nos miał nieco za duży, skrzywiony. Twarz jego pokryta już była starczymi fałdami i zmarszczkami. A jednak Dmowski nie mógł się oprzeć wrażeniu, że patrzy na człowieka o sile lwa, który w przeciwniku widzi jedynie łup swój i myśli tylko o tym, jak dobrać mu się do skóry. Pod posiwiałymi krzaczastymi brwiami kryły się zielone oczy, których badawcze spojrzenie nie byle kto mógł wytrzymać. Ubrany był w prosty żołnierski mundur z nieodłącznym kepi. Patrząc na niego, Dmowski nie mógł się oprzeć pewnemu wrażeniu i pewnej myśli:

Więc ten człowiek, ten zgrzybiały starzec, wygrał drugą bitwę nad Marną. Wyprowadził swoją ojczyznę jakoby z dna, by dać jej przodującą pozycję na świecie. Ten człowiek, zajadły wróg Niemiec, których całkowite zniszczenie leżało mu na sercu...

– Witaj, Dmowski – rzekł marszałek uprzejmie. – Nie wiem, jaki masz tytuł w ramach polskiej delegacji, więc nie wiem, jak powinienem cię tytułować. Ale z tego, co słyszałem, nie kochasz Niemców, to i wspólny język znajdziemy.

– Nie kocham wrogów mojej ojczyzny, a ona ma ich zawsze dwóch: Niemców i Rosjan. Dlatego zwalczam ich działania, nie przebieając w środkach – odparł Dmowski.

Marszałek zatopił się przez chwilę w myślach i patrzył tępo przed siebie. Na koniec rzekł:

– A ja jednego: Niemców! Walczę z nimi od czasu, jak zacząłem brodę golić. I przysięgam sobie, że nie spocznę, póki nie obrócę

w grzyzie tego gniazda zbójców. Pamiętam, jak w czasie wojny 1870 roku zajęli mój Metz. Nienawidzę tych bulgoczących piwkiem barbarzyńców! – Mówiąc to, obnażył zęby, a na wąsach osiadły mu krople piany. – Powinniśmy ich przeciąć wraz z wami na dwie części: północną i południową, i pacyfikować. Ale moi cywilni zwierzchnicy tego nie rozumieją. Wierzą, że papierkami zapewnią wieczysty pokój w Europie. Politycy! Głupcy! Schlebiają strachowi swoich wyborców przed wojną, a tego nie rozumieją, że lepiej dokończyć jedną niż łapać oddech przed następną. Jeżeli traktat, który kreują, nie spełni niczyich oczekiwań, to będzie zwalczany przez wszystkich. A to jest rzecz pewna. Bo na przykład: i wy, i Niemcy nie wyobrażacie sobie swoich państw bez Gdańska. I jeśli Ententa przyzna go wam lub Niemcom, to albo wy, albo oni będziecie niezadowoleni. No ale ja jestem już stary i drugiej rundy nie zobaczę. Mam tylko nadzieję, że moi następcy nie zapomną, jak się Teutonów zwycięża.

Usiadł i splótł ręce na biurku.

– Ja również, panie marszałku – zauważył Dmowski. – Tymczasem robię wszystko, by moi rodacy przystąpili do przewidywanej przez pana drugiej rundy pod własną flagą i we własnym mundurze. Jak pan zapewne wie, w chwili obecnej Niemcy zachowują podwójne, janusowe oblicze: na zachodzie mówią o pokoju, a na wschodzie przygotowują wojnę. Wojsko, które jest skoncentrowane na froncie zachodnim, uznaje swoją porażkę, ale oddziały stacjonujące na wschodzie marzą jeszcze o podbojach. Zdają sobie doskonale sprawę z tego, co utraciły na zachodzie, ale na wschodzie chcą utrzymać to, co miały, a jeśli to możliwe – pójść dalej na wschód, aby zabezpieczyć sobie możliwość penetracji Rosji.

Foch słuchał uważnie, nie przerywając, tylko uderzając opuszkami palców o blat biurka.

– Oczywiście, że wiem. Nie są to żadne dla mnie tajemnice. Widzę po wzmożonym ruchu na magistralach kolejowych, iż Niemcy przerzucają swoje najbardziej doborowe jednostki na wschód. I zapewne nie chodzi im o przededefilowanie ulicami Poznania. Koncentrują je w rejonie Leszna. A wy nie dacie rady wspomóc swoich powstańców na tyle, by zdołali oni odeprzeć to uderzenie?

– Nie wspieramy powstania, choć jesteśmy żywo zainteresowani jego przebiegiem.

Marszałek uśmiechnął się z politowaniem.

– Nie bawmy się w dyplomatyczne kłamstewka, gdy jesteśmy sami. Obaj dobrze wiemy, że Warszawa przesyła do Wielkopolski zarówno broń, jak i doświadczonych oficerów, którzy kierują prowadzonymi tam walkami. Gdyby nie te działania, powstańcy dawno ponieśli by w starciu z niemiecką machiną wojenną sromotną klęskę.

Dmowski zrozumiał w tym momencie, że więcej wskóra, mówiąc z tym człowiekiem otwarcie, niż obchodząc go z daleka. Dlatego bez słowa zaczął wydobywać z teczki dokumenty i przesuwając je w stronę marszałka. Foch błyskawicznie pochylił się nad dokumentami i kartkował je pośpiesznie. W miarę czytania twarz coraz bardziej mu purpurowiała.

– Skąd to macie?! – wykrztusił z trudem. – Przecież tu jest wszystko: miejsca koncentracji, numery jednostek i dokładny opis przydzielonych im zdań. Zabezpieczone racje żywnościowe.

– To ściśle tajny projekt niemiecki przejęty przez nasz wywiad. – Dmowski uśmiechnął się. – Wynika z niego jasno, że między kwietniem a majem planują uderzyć na zachodnią Polskę. Prawdopodobnie chcą wykorzystać fakt, że grozi nam zbrojny konflikt na wschodzie. Gdy my będziemy tam zajęci, oni wbiją nam nóż w plecy.

Foch oparł dłonie na skroniach i zamyślił się, wbijając oczy w przeciwległą ścianę. Bardzo chciał pomóc Polakom, bo pomagając im, szkodził Niemcom, a do tego nigdy nie trzeba go było namawiać. Ale zdawał sobie też sprawę, że podlega cywilnej kontroli premiera, a on przed wyborami nie pozwoli mu wszcząć wojny. Od tygodni mówił tylko o rozejmie, który chciał za dwa dni zawrzeć w Trewirze. Na jego rady reagował burkliwie albo w ogóle nie chciał ich słuchać. Jego miejsce przy nim zajęli dyplomaci, którzy woleli głaskać bestię, zamiast wybić jej zęby.

Unióś głowę. Wstyd mu było spojrzeć w oczy tego człowieka, który do niego po pomoc przychodził z takimi dowodami na niemieckie knowania przeciw swemu narodowi, że chyba tylko ślepy zwątpiłby w ich prawdziwość. Ale co on miał zrobić? Złamać rozkazy, które zakazywały mu wszczęcia walki? Tego zrobić nie mógł, choć sam czuł, że powinien, ale był żołnierzem przywykłym do żelaznej karności i dyscypliny.

Unióś oczy i rzekł zboliałym głosem:

– Ja nie mam ruchu. Ultimatum nie przejdzie. Bo co zrobię, jeśli Niemcy je zlekceważą? Pójdę na Berlin? Bóg widzi duszę moją i wie, że do śmierci nie przestanę tego pragnąć. Ale premier mi na to nie pozwoli.

Dmowski zamyślił się na dłuższą chwilę. Na jego twarz wystąpiły gęste krople potu.

– Dobry z was żołnierz, ale kiepski polityk – rzekł. – I ja wiem, że ultimatum nie przejdzie. Zróbmy ultimatum bez ultimatum. Wsuńcie swoje jednostki na pierwszą linię, a artylerii wydajcie amunicję, głosząc, że bronicie w ten sposób nas przed agresywną polityką Berlina. Za dowód posłużą wam te dokumenty. To będzie wielki bluff. Ale gdyby Niemcy nie zarzucili swoich planów, to ośmieszyliby was i Francję. A tego nawet wasz premier nie będzie mógł tolerować. Myślę, że nie za pchły nadaliście mu przydomek: Tygrys.

– Dobra to rada. – Marszałek nie krył radości. – A gdyby Niemcy podjęli jakiegokolwiek nieprzyjazne kroki przeciwko mnie, to ja już będę wiedział, jak ich za to ukarać. – Straszliwy uśmiech rozjaśnił mu twarz. – Pozostaw mi te dokumenty, a sam wypatruj znaków burzy.

Dmowski wyszedł z jaśniejącą szczęściem twarzą.

Tymczasem Foch kazał budzić swoich oficerów i aż do świtu konferował, opracowując odpowiednie rozkazy. Już nazajutrz wojska francuskie stały w pełnej gotowości, jakoby brytan, który szczerzy kły i czeka tylko na tę chwilę, aż go spuszczą z łańcucha. Prasa zaś światowa przedrukowywała Wiosenne Słońce. I ambasadorowi niemieckiemu zabrakło nawet kłamstw, którymi mógłby nieszczerze intencje swojego rządu osłaniać. Pojechał więc do Berlina po nowe instrukcje.

Tymczasem prasa opublikowała artykuł, w którym Foch jasno wykladał swoje racje i zapowiadał, że jeżeli Niemcy nie cofną swych wojsk spod Leszna, na linię demarkacyjną, by tam czekać na sprawiedliwą decyzję konferencji pokojowej, to on ruszy na Berlin. I stamtąd będzie dyktował Niemcom nowe warunki porozumienia z Polską. Ciemne chmury przysłoniły polityczny widnokrąg Europy. Ludzkie umysły chwiały się między obawą a nadzieją.

Roman Dmowski chodził nerwowo po swoim gabinecie, trzepocząc rękami. Nie potrafił wytrzymać napięcia. Od kilkunastu godzin był na nogach. Jego wymięty, przepocony garnitur aż nadto wyraźnie o tym świadczył. On sam zresztą nie wyglądał ani trochę lepiej. Cerę miał ziemistą, oczy podkrążone i poczerwieniałe. Mimo to nawet nie pomyślał o tym, by się położyć.

Kazał sobie dostarczyć jak najwięcej porannych wydań gazet i od kilkunastu godzin ślezczał nad nimi. Starał się z tonu artykułów wysondować, w jakim kierunku pójdą wypadki. Sam wprowadzić nie wątpił, że Niemcy ustąpią. Wolał jednak trzymać rękę na pulsie. Wiedział zresztą, że nie tylko on nie zmrużył oka. Cała

polska delegacja funkcjonowała już na oparach. Nawet jednak przez myśl mu nie przeszło, by oszczędzać swych ludzi. O własnym trudzie i zmęczeniu nie myślał, więc i im nie zamierzał dawać taryfy ulgowej.

Wtedy drzwi prowadzące do jego gabinetu otworzyły się i do środka wszedł Paderewski, a wraz z nim niemal wszyscy członkowie delegacji. Paderewski rzucił okiem na wymizerowaną postać Dmowskiego.

– Wyglądasz, jakby cię psu z gardła wyjęli – rzekł wesoło. – Musisz uważać, bo Niemcy gotowi najpiękniejszy pogrzeb ci sprawić, żebyś tylko chciał umrzeć.

Dmowski przypadł do niego w jednej chwili i zaczął potrząsać nim, jakby mu rozum odebrało. Postronny obserwator mógłby odnieść takie wrażenie, ponieważ ten wytrawny polityk płakał, śmiał się i tupał nogami, jednocześnie wrzeszcząc:

– Odstępują!?

Ale Ignacy nie mógł od razu odpowiedzieć, bo brakło mu tchu od żelaznego uścisku, w którym go Dmowski trzymał. Więc tylko pokiwał pośpiesznie głową, bo oczy już wyłaziły mu na wierzch i zachodziły łzami. Wtedy Roman puścił go i ukląkł na środku podłogi, i zaczął się modlić gorliwie. Pod powiekami wezbrała mu wilgoć i zaczęła z nich kapać niczym płynne srebro.

Tymczasem Paderewski, wraz z pozostałymi członkami delegacji i stenotypistkami, zakrzętnął się gorliwie wokół jedzenia i trunków. Wszak taką okazję godnie uczcić należało. A gdy wszyscy zasiedli za stołem, Dmowski, który już przyszedł do siebie, podszedł do barku i sięgnął po tkwiącą tam butelkę gdańskiej wódki. Co widząc, Paderewski brwi zmarszczył i rzekł przez cały stół:

– Tę zostaw. To na specjalną okazję jest!

Zdziwił się, ale chwycił pierwszą butelkę z brzegu i postawił na honorowym miejscu.

– Jak to nie jest specjalna okazja, to co nią będzie? Dla mnie wódka to wódka – stwierdził Dmowski stanowczo.

– To gdańska wódka – wyjaśnił Paderewski. – Dokładnie taka, jaką pił Sędzia w *Panu Tadeuszu*. A ja ślubowałem sobie wypić ją w Gdańsku, gdy już wejdzie w skład naszego państwa, a granice nasze obmywane będą przez siwe fale Bałtyku. Teraz jesteśmy ledwie w pół drogi.

Dmowski sam nalał wszystkim, od kobiet zaczynając, uczciwą miarę i usiadł. Nie wypadało mu bowiem wznieść pierwszego toastu, jeśli w tym samym pomieszczeniu był obecny premier najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Paderewski zastukał w kieliszek, prosząc o głos, i tak rzekł:

– Niech mi będzie wolno wznieść ten pierwszy kieliszek za pomyślność naszego państwa. Za tych, którzy restaurują je, nie szcędząc ani zdrowia, ani krwi. Niech mi będzie wolno wyrazić, jak sądzę, życzenie nas wszystkich, by i ci, co żyją teraz, i nasi potomkowie, którzy dopiero po nas przyjdą, znaleźli w nim swój dom. By nie musieli tak jak my cierpieć i ginąć. By w spokoju wychowywali swoje dzieci na uczciwych ludzi i dobrych Polaków. Wznoszę ten toast także za oficerów tajnej służby, których nigdy nie poznamy, a którzy umożliwili nam dzisiejszy sukces. To oni sprawili, że nad Wielkopolską wzeszło dziś, mimo zimy, prawdziwe wiosenne słońce.

Rozdział V

Tomasz ocknął się pierwszy. W ogóle sen miał tak płytki, że zwykle podrywał go nawet najłżejszy szmer. Przez chwilę zastanawiał się, co go zbudziło tym razem. Nagle ponownie usłyszał końskie rżenie. Konie tutaj? – pomyślał. Spojrzał na swoje, które obojętnie przebierały pyskami w ściółce. Nie budząc Wieniawy, podsunął się po cichu ku szparze we wrotach obórki, przez którą przedzierało się światło. Zrozumiał, że trwa głęboka noc. Dlaczego jednak dziewczyna nie przyszła i nie zbudziła ich? Co poszło nie tak? Że ich zmógł sen, to i nic dziwnego, bo od dawna już nie dosypiali. Ale co stało się w wiosce i skąd wzięły się tu konie? Na te wszystkie pytania Tomasz na potrafił znaleźć żadnej logicznej odpowiedzi. Przetarł pięścią zaspane oczy, by spędzić resztki snu spod powiek, i spojrzął przez szparę w drzwiach.

Dostrzegł tabun koni z powiązanymi nogami, które gryzły się i kąsały. Wokół nich z krzykiem biegali żołnierze sowieccy, usiłując je rozdzielić. Lecz żaden z nich nie ważył się podejść blisko, słusznie rozumując, że gdyby dostali końskim kopytem, to żadna siła nie wyrwałaby ich z mocy śmierci. Zadowalali się tym, że smagali ich grzbiety batogiem z surowca. Miarowy świst batów co chwila przecinał powietrze.

Tomasz zresztą dostrzegł, że cała wioska zgoła odmienny przybrała wygląd. Przy ogromnych, strzelających iskrami w niebo ogniskach siedziało po kilku lub kilkunastu żołnierzy. Część piła wino prosto z manierek lub bezpośrednio z czapek. Blask

plonących ognisk dobrze oświetlał ich przepite, zaczerwienione twarze. Część szturmowała domy i wywlekała stamtąd dziewczyny. Potworne wrzaski, okrzyki pijackie i wystrzały mieszały się ze sobą i szły ku niebu.

Szukał oczami broni i dostrzegł sowieckie mosiny starannie złożone w snopki. Wozów tylko nigdzie nie mógł dojrzeć. Ale zaraz pomyślał sobie, że pewnie idą komunikiem, aby się nadmiernym ciężarem niepotrzebnie nie obciążać. A więc jest to grupa pościgowa. A kogo oni mogą tu ścigać, jeśli nie jego?

Zadrzał. Przysunął się ku Wieniawie, chcąc go budzić, ale okazało się, że i on już nie spał. Obaj więc podsunęli się z powrotem ku szparze. Przez chwilę przyglądali się obrazom żołnierskiej swawoli. Wtedy nagle Wieniawa zadrzał. Twarz pobladła mu z gniewu, a dłonie mimo woli zacisnęły mu się w pięści. Tak straszny widok uderzył go w oczy. Oto dostrzegł tamtą dziewczynę, która miała do nich przyjść nocą. Poznał ją mimo ciemności, bo w blasku ogniska widać było ją doskonale.

Walczyła jak lwica, drapiąc i gryząc swoich oprawców, gdzie popadło. Włosy miała rozrzucone. Twarz wykrzywioną w strasznej mieszaninie śmiertelnej twogi i zawziętości. Ubranie jednak miała całe. Soldaci wyraźnie wlekli ją w stronę jednego z domów. Wieniawa nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Ale z wyjaśnieniem pośpieszył Tomasz.

– Paniczyk – wymruczał. – Nie może gwałcić na powietrzu jak wszyscy.

– O czym ty mówisz? – spytał.

– Prowadzą ją do dowódcy – odrzekł ze zniecierpliwieniem, zły, że musi tłumaczyć oczywistości. – Każdy potrzebuje się zabawić.

Wieniawa odwrócił się ku niemu i spojrział na niego z błyskiem oburzenia w oczach, tak był głęboko w swym szacunku dla kobiet zraniony. Zwłaszcza że sam czuł się częściowo odpowiedzialny za

los tamtej dziewczyny. Szła tu przecież dla niego i jej krew spadnie na jego głowę.

Muszę ją ratować – pomyślał – choćby własną głową przyszło za to zapłacić.

– Uratujemy ją – rzekł głośno.

– To rzecz zwyczajna – odparował Tomasz, gdy tylko zdołał zamknąć usta i ochłonąć z pierwszego zdumienia wywołanego słowami kamrata. – Która po nocach chodzi, sama sobie szkodzi. Czego ty chcesz? Wyście stąd teraz to śmierć pewna. Nawet kroku nie zrobimy, a już nas złapią, potną w sztuki i psom dadzą. Człowiek powinien robić zawsze tyle, ile może zrobić. A nie więcej.

– Ciebie w ogóle ona nie obchodzi!?

Tak było w istocie. Tomasz przywykł do prawa wojennego, w którym wszystko to, co niegodziwe, jest dozwolone. Nawykł dbać tylko o własną skórę. Był człowiekiem prostym, zdziczałym – przez wojnę i przez świat, w którym się wychował. Wieś, w której żył, kierowała się pierwotnymi instynktami. Nie wpojono mu tam oglądy właściwej ludzkości, którzy wywodzili się z wyższych sfer. Nie uczył się z opasłych, pięknie oprawionych tomów, a całą swoją wiedzę opierał na własnej obserwacji.

To ten zmysł nauczył go kultu dla siły. Od dziecka widział, że chorzy i słabi muszą chodzić na żebry. Nie są w stanie sami zapracować na swój chleb i muszą czekać na przypiecku, aż młodzi dadzą im jeść. Niedołęstwo stało się dla niego synonimem słabości. Podobnie jak kobieta. Słaba, niezdolna do niczego. Można było ją chwycić w polu czy w sadzie i zrobić swoje. Nie mogła się obronić. Mężowie bili je do krwi, a one nic, bo bez chłopa gospodarki nie obrobią. Gardził nimi. Potrafiły tylko mleć ozorami, a żadnego z nich pożytku. Wojna po prostu jedynie ugruntowała w nim to przekonanie.

Tylko siła ratowała go przed śmiercią. Mniej silni, mniej wytrwali prędzej czy później kończyli jako padlina na

pobojowisku. Wojna była dla niego uosobieniem sprawiedliwości. Odbierała wszystko tym, którzy nie mieli krzepkich ramion, by się samemu obronić. Byli tylko łupem dla takich jak on, którzy byli sługami wojny. I nie było mu źle w tej służbie. Prawda, że mógł tu zginąć. Ale śmierć mu spowszedniała. A przynajmniej dostawał jeść. Był jak pies ułożony i wychowany przez myśliwego dla własnych celów. Nie oddawał się politykowaniu, które zawsze pod koniec wojny pleni się w okopach jak zaraza.

Nie miał ani chęci, ani dość bystrego rozumu, by odróżnić Białych od Czerwonych. Po drugie nigdy nie próbował. Rozkazy spełniał bez rozterek moralnych i bez wątpliwości. Było mu wszystko jedno, kogo bił. Z wojska odszedł pod wpływem impulsu. Znalazł się między ludźmi, którzy tak jak on uznawali prymat siły nad rozumem. I jeżeli z kimś wiązały go bliższe uczucia, to z nimi. Związała go z nimi wspólnie przelewana krew i przebyte dzieje. A jednak nie stał się taki jak oni.

Prócz chłopskiego prymitywizmu i zawziętości tkwiły w nim bowiem jeszcze wyniesione z domu przyzwyczajenia. Nawet w okopach modlił się rano i wieczorem, choć słowa pacierza mieszały się tam z hukami armat i wyciem pocisków nad głową. Próbował pogodzić nakaz chrześcijańskiego miłosierdzia z własnym okrucieństwem, którego liczne dał dowody. A jednak nie był zepsuty do końca. Potrafił zawierać przyjaźnie i raz się z kimś związawszy, trzymał się go dość wiernie. Tak właśnie zapoznał Sylwka Jaklicza, którego śmierć stała się początkiem jego tułaczki po syberyjskich bezdrożach. I taka właśnie przyjaźń połączyła go teraz z Wieniawą.

– A pewnie, skoro się sama obronić nie może, to i tak nie wyżyje na tej ziemi. Tu nie ma miejsca dla słabych.

– Po to się jest mężczyzną, by bronić słabych i pokrzywdzonych – obstawał przy swoim Wieniawa. – A ty Boga się przecież boisz, a on najsłabszych kochał. Dzieci, starców, kaleki.

Dla nich jest Królestwo Niebieskie. A może ty sam kobiety siłą brałeś, co?

– Raz czy dwa – odparł Tomasz. – Ale niezbyt mi się to podobało.

– Sumienie się w tobie obudziło?

– Nie – odparł Grobel prostodusznie. – Tylko utrzymać taką trudno. Wije się pod tobą jak węgorz; gryzie, drapie po rękach i twarzy. Znacznie prościej było znaleźć takie, które za łyżkę stawy lub skibkę chleba zrobiłyby to nawet z diabłem.

Tu Wieniawa poznał ostatecznie, że nie przekona tego człowieka do własnych racji. Zresztą nie był to właściwy czas po temu. W końcu obaj byli jakoby pod obuchem siekiery, od której oddzielały ich tylko drewniane wrota stodółki. Trzeba było natychmiast coś przedsięwziąć. Ale co? Spojrzał na Tomasza, jakby u niego spodziewał się radę znaleźć, ale zaraz poznał, że nie była to właściwa instancja. Tomasz bowiem był to człowiek, który nie chytrnością, a siłą swoich wrogów zwalczał. I pewnie dobrze mu z tym było na wojnie, gdzie nikt nie wymagał od niego myślenia. Tu jednak siła, a zwłaszcza liczba była atutem ich wrogów.

Przetarł spocone czoło. Czuł się niczym ryba w sieci, która wie, że niedługo stworzy świetną kompozycję z galaretą. Ale nie tracił jeszcze nadziei, wiedział, że Sowieci nie spodziewają się ich za swoimi plecami, a to było ich szansą. Niewielką, ale zawsze. Jednak wiedza ta sama w sobie nie poprawiała jego położenia. Był odważny, lecz nie głupi. I wiedział, iż idąc na bolszewików wprost, skazuje się na pewną śmierć. Niemniej umysł jego, choć bystry, nie zdołał opracować żadnego pomysłu, który rokowałby powodzenie i mógł być w życie wprowadzony.

To po to wydostałem się z bolszewickiego więzienia, by czekać teraz tutaj, aż jakiś bolszewik nadejrze na mnie w tej obórcie? – pomyślał. To się moja żona ucieszy. Lecz zaraz zawstydził się tej myśli. Jej przecież też ciężko – mówił sobie. Ciężej niż mnie. Ja mam praktykę w znoszeniu niedogodności zsyłanych przez życie,

a ona zdroje łez pewnie wylewa. Tu przyszedł mu na pamięć ten tabun kobiet, który przewiął się przez jego życie. Poprzez młodość w Paryżu, studia we Lwowie, które kończył z rozkazu ojca, Kraków i Warszawę. I gdy zdawało mu się, że wreszcie znalazł tę właściwą, która mogła dokonać tego, by zamienił siodło kawaleryjskie na fotel bujany, to właśnie ona nie chciała mu uwierzyć. Stare grzechy i reputacja, którą wyrobił sobie za młodu, dopadły go i zniszczyły.

Mimo natłoku dziwnych myśli, które kłębiły się pod jego czaszką, nie zapomniał, gdzie jest. Jakaś część jego umysłu – ta odpowiedzialna za chodzenie po ziemi, a nie za bujanie w obłokach – wciąż pracowała nad rozwiązaniem zaistniałego problemu. Twarz miał skupioną, zimną, a wzrok wyostrzony. Wypatrywał choćby najmniejszej szansy. Jakiegoś impulsu, przebłysku, który pchnie jego myśl na właściwe tory. I wreszcie dobry Bóg wysłuchał jego niemych modlitw.

Od jednego z ognisk oderwali się dwaj żołnierze sowieccy. Obaj byli już mocno pijani, bo wcześniej co chwila pociągali z dobrze wypełnionego bukłaczka. Nie wiadomo, dlaczego podnieśli się znad trzaskającego ogniska. Czy postanowili trzeźwieć spokojnie na słomie? Czy do obórki przyciągnęła ich nadzieja uzyskania bogatego łupu? Czy kierowały nimi jakieś inne względy? Dość, że wsparci wzajemnie na swoich ramionach ruszyli kołyszącym się krokiem ku stodółce, w której tkwili od dłuższego czasu Wieniawa z Tomaszem.

Wieniawa dostrzegł ich ruchy i oczy mu rozbłysły. Patrzył na nich niepewny, dokąd się skierują, bo mogli równie dobrze wejść na inne podwórze. Ale zaraz tę jego wątpliwość rozwiął dalszy rozwój wypadków. Zatarł ręce, bo w jego głowie nabierał już realnych kształtów plan. Zdawał sobie sprawę, że do przeprowadzenia go z powodzeniem będzie potrzebował czegoś

więcej niż szczęścia. Zamyśl ten był bowiem szaleństwem. Spojrzał na Tomasza.

– Jest dwóch. Urządzamy ich tak, by ani pisnęli, a potem zakładamy ich łachy i wychodzimy. Ani się będą spodziewać, ani mogą przypuścić, by dwóch ludzi, których tak pilnie szukają, właśnie przechodziło sobie przez ich obóz. Musimy tylko uważać, by końskie grzbiety osłaniały nas przed blaskiem ognisk.

Spodziewał się wybuchu protestów i złorzeczeń, ale Tomasz tylko kiwnął głową, jakby nie o jego skórę chodziło. Ba! Wyglądał tak, jakby wielki gład spadł mu z piersi. I tak właśnie było w istocie. Nareszcie miał rozkaz, który mógł wykonać. Szalony czy zwyczajny? O to mniej dbał. Od dawna bowiem nie trudził się myśleniem.

Szybko ukryli się po obu stronach wrót. Przyczajeni wstrzymywali oddech, jak dwa koty na mysz czyhające. Jednocześnie czujnie nasłuchiwali kroków, bojąc się przegapić odpowiednią sposobność. Po chwili je usłyszeli, a zaraz potem skrzypnięcie otwieranych drzwi. Sowiesi wsunęli się do środka. Lecz ledwie zrobili kilka kroków, obaj Polacy równocześnie skoczyli na nich, błyskawicą obalili na ziemię i po chwili dwa ciała drgały w konwulsjach przedśmiertnych na słomie.

– Kruchą mój miał głowę jak jaja – mruczał Tomasz, z wprawą zdejmując ze swojego nieboszczyka kolejne sztuki ubrania. Dopasowywał je na siebie z taką obojętnością, jakby je z szafy wyjmował, a nie z trupa zwlekał.

Bolesław większe miał opory i żołądek wywracał mu się do góry nogami. Twarz mu pobladła, a oczy się rozszerzyły. Ale przemógł się, bo innego środka ocalenia nie było.

Niepokoił się tylko tym, czy go kto nie rozpozna. Bo nie łudził się, by za prawdziwego bolszewika mógł uchodzić. Na to bowiem był zbyt gładki. Ale wydać by go to mogło tylko wówczas, gdyby mu kto prosto w twarz zajrzał. A noc na szczęście była ciemna.

Spojrzał na Tomasza i aż zadrżał, taki był z niego wyśmienity bolszewik. Wysoki, barczysty prezentował się znakomicie w futrzanej czapie z naszytą na nią gwiazdą. Na nogach miał długie saperki. Tors opinała żółta koszula. Szablę nosił wysoko przytwierdzoną do boku. Była to ciężka serpentyna, widocznie zrabowana przez poprzedniego właściciela pamiątka rodowa, ponieważ takich nie używano już w tamtym czasie.

Wieniawa patrzył na chłopską twarz Tomasza i zastanawiał się mimo woli, czy byłby on teraz żołnierzem Armii Czerwonej, gdyby parki odrobinę inaczej pokierowały jego losem. Jakies niejasne przecucie mówiło mu, że tak. Z pewnością nie powstrzymałoby go od wstąpienia w jej szeregi poczucie przyzwoitości. Zapewne dawno już zatracił ów zmysł, który pozwalał odróżniać dobre uczynki od złych. Poczuł, że patrząc na tego człowieka, zdołał pojąć więcej z fenomenu rozwoju bolszewizmu niż z setek uczonych rozpraw i dysput. Obcowanie z Tomaszem pomogło mu lepiej zrozumieć mentalność prostego człowieka. Jego tok myślenia. Dla ludzi pokroju Grobla, którzy nie mogli się poszczycić najmniejszym nawet wykształceniem, komunizm mógł być atrakcyjny. Oni nie potrafili bowiem dostrzec tkwiącego w nim fałszu. Ich nabierał przecież zwykły alumn hasający po kościele w przebraniu diabła. Jak nie mieli więc ulec chwytliwej propagandzie? Tego nie mogła zrozumieć światowa elita. Nie mógł zrozumieć on. Dopóki nie poznał tego olbrzyma.

– Co się tak na mnie patrzysz? – spytał Tomasz.

Nie odpowiedział. Tamten i tak by nie zrozumiał. Chwycił swojego konia za uzdę i wyprowadził na powietrze. Nie bał się. Od zawsze igrał ze śmiercią; w taki czy inny sposób. Był to dla niego stan normalny. Kochał to uczucie, gdy jego życie wisiało na cienkiej nitce jego umiejętności. Niezależnie od tego, czy pił na śmierć ze Stefanem Jaraczem lub Janem Lechoniem, czy stawał z szablą w ręku do rozpraw honorowych. Jego życie składało się właśnie

z takich szaleństw, które wyrobiły w nim odwagę i umiejętność panowania nad sobą.

Tomasz zaś nawet okiem nie mrugnął. I on nie odczuwał strachu. Z całkowitym opanowaniem chwycił swego konia za uzdę. Tak obaj wyszli na podwórzec.

Szli spokojnie, jakby wysłano ich po gorzałkę do karczmy. Tylko nadzwyczaj skupione twarze i napięte mięśnie, przygotowane na każdą ewentualność, mogły ich zdradzić. Bo ciała kontrolowane przez potężne umysły wykonywały swoje czynności. Nogi spokojnie wiodły ich przez obozowisko pełne wrogów. Wieniawa pogwizdywał z cicha melodię pijackiej piosenki, którą swego czasu ułożył, korzystając z pieczołowicie zebranych przez kolegów błuznierstw. Jednocześnie modlił się, by żaden z bolszewików nie zajrzał mu w twarz.

Na szczęście było to mało prawdopodobne. Sowietci leżeli półkolem przy ogniskach niczym ofiary bitwy. Tak zaciekle walczyli z gorzałką. Wielu piło prosto z własnych czapek, zanurzało głowy w beczkach. Rozlewali gorzałkę na brodę, piersi. Wielu w pijackim oblędzie skakało przez ogień. Polowało na dziewczyny, których wrzaski wznosiły się ku niebu, bo tylko tam mogły znaleźć zmiłowanie. Teraz nawet nie wiedziały, kto je krzywdził. Po prostu zaciągano im spódnice na głowy i rzucano się na nie niczym wilki na konia. Przechodząc między nimi, widzieli trupy ludzkie z zakrzepłym przerażeniem w twarzach. Leżały na progach swoich domostw, gdzie wcześniej ludzie ci dobytku i bliskich bronili. Posieczono ich szablami, zakuto nożami, zastrzelono. Horda bolszewickich upiorów deptała po ich ciałach, przedzierając się do domostw, gdzie wadzili się z towarzyszami o łupy po zmarłych. Ich ręce umazane były krwią. Twarze rozgrzane trunkiem.

Wieniawa drżał, obserwując to wszystko. Wydało mu się, że za życia trafił do piekła. Ci ludzie bowiem wydali mu się podobni do

hurmy szatanów, którzy wyszli z mrocznych czeluści piekieł. Dotychczas widział wiele, ale w tym okrucieństwie, którego był świadkiem teraz, było coś wyjątkowo strasznego, wręcz nieludzkiego.

Ci ludzie zapewne też byli chłopami – pomyślał – a teraz własnymi rękami własną ziemię niszczą. Mordują własnych rodaków. A przyjdą i do nas.

Wyobraził sobie, że tak będą potraktowane jego rodzinne strony. Taki obraz będą przedstawiały sobą polskie dwory, miasteczka i wioski. Bo ta horda nie oszczędzi niczego. Ani kołyski, ani domu. Wspólna niedola połączy przedstawicieli wszystkich stanów. Panowie będą wisieć na jednej gałęzi ze swymi sługami. Będą walczyć z nimi w jednym szeregu i wraz z nimi ginąć. Ich krew zmiesza się ze sobą i wsiąknie w rodzinną ziemię. Szlachcianki i chłopki będą gwałcone przez tego samego bolszewika i podobnie jak te tutaj na próżno będą wzywać pomocy niebiańskich zastępów. Chyba że zdołają zwyciężyć.

Orgia i pijatyka stawała się coraz wrzaskliwsza. Upadały wszelki porządek i dyscyplina. Wielu miało już dosyć i padło tam, gdzie kończyły odmawiały im posłuszeństwa. Część biegała za dziewczynami pijackim krokiem i oblewała je wódką. Ogniska, których nikt nie myślał pilnować, powoli przygasały. Ciemności przysłańały litościwym całunem obraz upadku człowieka.

– Po co oni trunek marnują? – pytał Tomasz, gdy szli obok siebie, przedzielając się od ognisk końskimi grzbietami.

– Cicho! – syknął gniewnie Wieniawa.

Bo właśnie docierali do domu, gdzie kwaterował dowódca. Łatwo się było tego domyślić, gdyż przed domem stało dwóch żołnierzy. Ich oczy błyszczały pożądaniem, ale sami bez rozkazu opuścić wyznaczonego im posterunku nie mogli. Znali bowiem Łazariewa. Patrzyli więc tylko na pijących towarzyszy z zazdrością i nadzieją, że może któryś z nich przypomni sobie o nich i o tym, że

należałoby ich zmienić. Lecz próżne to były nadzieje. W chwili powszechnego rozpasania nikt o nich nie myślał i nikt nie pamiętał. Łupy, gorzalka i kobiety ważniejsze były od służbowego obowiązku. I obaj mogli tylko ślinę łykać, patrząc na taczających się po wiosce towarzyszy.

Dlatego oczy zabłyśły im ledwie hamowaną nadzieją, gdy Tomasz i Wieniawa podeszli do nich.

– Przyszliście nas złuzować? – pytali jeden przez drugiego i niemal bojąc się odetchnąć, w napięciu czekali na odpowiedź niczym sądzony na wyrok.

Pragnienie wzięcia udziału w rozgrywającej się na ich oczach orgii było tak silne, że nawet nie zwrócili uwagi na dziwną trzeźwość obu nieznajomych, która pasowała do tego miejsca tak jak święta dziewica do piekła. W innym wypadku z pewnością wzbudziłoby to ich podejrzenia. Podobnie jak to, że nie rozpoznawali tych koni, które zdecydowanie nie należały do ich oddziału. Lecz teraz myśleli tylko o wódce, której w zastraszającym dla nich tempie ubywało na ich oczach.

Wieniawa kiwnął głową.

Dla obu stanowiło to jakoby hasło. Wystartowali do biegu jak niecierpliwe konie, które zbyt długo przebywały w stajni. Biegli z taką prędkością, że ich nogi nie nadążały za głową. Dlatego potykali się i upadali na ziemię. Podrywali się jednak jeszcze szybciej i nie otrzepując ani rąk, ani twarzy z brudu, mknęli ku pijącym. Wkrótce pili wraz z innymi i niemal natychmiast zapomnieli, komu powierzyli wartę pod domem, w którym przebywał ich dowódca.

Wieniawa patrzył za nimi przez dłuższą chwilę i w głowie nie chciało mu się pomieścić to, co widział. Był bowiem jeszcze dość młodym człowiekiem, ale od lat żołnierzem, który przywykł do dyscypliny jak człowiek do własnej skóry. I uważał ją za rzecz zwyczajną i oczywistą. Służąc w różnych obozach i wiele razy

będąc pośród pyłu bitewnego, nigdy nie spotkał się z tak jaskrawym naruszeniem dyscypliny. Wprawdzie i w innych formacjach zdarzały się chwile rozluźnienia, gdy wzrok dowódcy choćby na chwilę zwracał się w drugą stronę. I było to rzeczą zupełnie naturalną, bo najsurowszy rygor trzeba czasem umiejętnie dozować, by wojsko bało się, ale nie występowało otwarcie przeciwko swemu dowódcy.

Ale żołnierz Armii Czerwonej, który raz już wypowiedział posłuszeństwo swojej prawowitej zwierzchności, skłonny był teraz do oporu i buntu z lada powodu. Oficerowie, którzy sami dopiero niedawno do wysokich godności zostali wyniesieni, ani mogli, ani potrafili zapanować nad tą tłuszcą niesforną. Woleli dotrzymywać swoim podkomendnym towarzystwa w ich zbrodniach, niż samemu stać się ich ofiarą. A że podobne wypadki zabijania dowódców zdarzały się wcale nierzadko, cierpiała na tym siła i zdolność bojowa Armii Czerwonej. Trocki zdawał sobie sprawę z tego faktu, bo był mądrzejszy od innych i lepiej od nich znał się na sprawach wojska i wojennym rzemiośle. Ale i on bał się choćby napomknąć Leninowi o potrzebie wciągnięcia do służby przynajmniej części oficerów dawnej carskiej armii, choć robił wszystko, by było ich jak najwięcej.

I ta dzicz chce podbić Europę? – pomyślał Wieniawa. Byłe tylko zgoda była, to sobie z tym nieprzyjacielem radę damy. Bo oni są jak wóz, który toczy się z góry siłą własnego pędu, ale niech tylko pojawi się na drodze pień drzewny, to przewróci się i roztrzaska, bo nie będzie komu lejc uchwycić, by niebezpieczeństwo zażegnać.

Rozradował się tymi myślami. Poprzednio bowiem gryzł się i prawie upadał pod ciężarem różnych trosk i niepokojów, jakie opanowały jego duszę. Żałował, że nie zdołał wypełnić powierzonej mu misji. Upřednio, obserwując z daleka ową chmurę gradową, która huczała, a echa tego huku obieżyły cały kontynent, przekonany był, że burza, jaka się z niej rozpełta,

przewyższy rozmiarami wszystkie, jakie kiedykolwiek spadły na świat. Teraz, gdy spędził trochę czasu w jądrze owej burzy, przekonał się, że ani nie jest tak groźna, ani tak potężna, za jaką między ludźmi uchodzi.

Tak rozmyślając, wsunął się do środka ciemnej i mrocznej sieni; musiał wejść bokiem i pochylić głowę, bo wejście było wąskie i niskie. Sunął śladami Tomasza, który szedł przodem, przygarbiony, bo gdyby się był wyprostował, to głową przebiłby pułap. Przeszli po glinianej polepie, gdy nagle wrzask nieludzki przeciął ciszę jak mieczem. Na dźwięk tego potwornego wrzasku, który zdawał się nie mieć w sobie nic ludzkiego, obaj przyspieszyli kroku i niemal bez tchu w piersiach wpadli do izby stołowej.

Znaleźli się w izbie znacznie obszerniejszej niż sień. Jej ściany były pobielane wapnem, co w owym czasie w Rosji uchodziło za osobliwość. U pułapu zawieszono całe pędy ziół wszelakich niewiadomego przeznaczenia. Pod ogromnym kaflowym piecem stała ława okryta cielecą skórą. Na kuchennej blasze stały drewniane misy i naczynia. Palenisko pod kuchnią było wygaszone. Nie wyglądała ona tak, jak powinna wyglądać ostoja domowego ogniska. A mówiąc ściślej, wyglądała, jakby przeszedł przez nią halny.

Na podłodze walały się skorupki glinianych naczyń. Ze ścian pospadały święte obrazy, roztrzaskując swoje ramy w zetknięciu z podłogą. Stół został połamany i podzielony na części.

Był to rezultat walki, jaką wcześniej stoczyła tu dziewczyna. Rzuciła w swego oprawcę tym, co miała pod ręką. On jednak uchylał się z kocią zręcznością i śmiał się przy tym tak okrutnie zimno, aż ją dreszcze przeszły. Chwycił ją wreszcie w swoje ramiona i pchnął na stół. Następnie zwałił się na nią całym ciężarem. Gdy jego ręka brutalnie przebijała się do serca jej kobiecości, odruchowo próbowała złączyć kolana. Lecz mimo szалу i desperacji, z jaką walczyła, przegrałaby zapewne, gdyby nie stół,

który nie wytrzymał ich wagi i załamał się pod splecionymi ciałami. Obydwoje spadli na podłogę, pośród odłamków drewna i drzazg, lecz Łazariew dalej był na górze. Rozdrażniony oporem, jakiego doświadczył, zdierał z niej brutalnie odzienie. Gryzł jej piersi, ssał sutki. Broniła się przed nim, lecz nie mogła wytrzymać. Jego przesycony kwaśnym winem oddech odbierał jej przytomność. Oczy zachodziły mgłą, a barwy rozmywały się wokół niej. Tak samo jak wykrzywiona w lubieżnym uśmiechu twarz Łazariewa. Przyduślił jej lewą rękę do podłogi. Jeszcze chwila i z prawą zrobi to samo. Nagle poczuła, że obejmuje dłońią coś podłużnego. Zwalczyła pokusę, by obrócić głowę w tamtą stronę.

Cokolwiek to jest, musi mi wystarczyć – pomyślała z determinacją.

Skupiła się w sobie. Przestała walczyć. Jej ciało zeszywniało. Kumulowało energię na jeden stanowczy cios. Mikołaj także poczuł jej nagłą uległość, ale złożył to na karb pogodzenia się z losem. Nie po raz pierwszy toczył tego typu walkę. I zawsze kończyła się ona tak samo. Niemal wszystkie walczyły do pewnego momentu, a gdy opadły z sił i zrozumiały, że walka z przeznaczeniem jest bezcelowa, wtedy poddawały się swemu losowi.

Dłatego rozluźnił się. Pochylił się nad jej twarzą i zaatakował jej szczelnie zasznurowane usta językiem. Już on jej pokaże, co znaczy nie być uległą wobec niego, myślał. Pochłonięty wizjami przyszlých rozkoszy nie zauważył, że w prawej ręce dziewczyny tkwi szczapa ze stołu z ostrym końcem.

Dostrzegł ją dopiero wtedy, gdy mknęła ku jego oku. Wyciągnął rękę, chcąc ją powstrzymać, ale końce jego palców minęły się o centymetry z kawałkiem drewna. Cios zadany słabą kobiecą ręką, ale zadany z siłą, jaką daje desperacja, okazał się piekielnie skuteczny. Mikołaj zawył z bólu, jakiego jeszcze nigdy nie czuł. Odruchowo puścił dziewczynę i przyłożył dłoń do pokrytego krwią oka. Z ust wydobył mu się ów zwierzęcy okrzyk, który usłyszeli

Wieniawa z Tomaszem. Jednym okiem patrzył na świat przez łyżki, których nie mógł powstrzymać. Twarz jego wykrzywiła się w straszliwym grymasie.

Usłyszał za sobą kroki i poczuł, jak czyjeś niedźwiedzie ręce zacisnęły się wokół jego szyi.

– Nie zabijaj. – Łazariew znał ten głos i uszom nie wierzył.

– Czego znowu? – odparł z wściekłością Tomasz.

– Później go zabijesz, ale nie teraz – stwierdził spokojnie Długoszowski. – Teraz musi nam powiedzieć, kto na nas poluje. On wie, jakimi szlakami chodzą grupy pościgowe. Przydałby się też jakiś glejt do komend Czerwonych.

To mówiąc, przysunął się pod samą twarz Łazariewa i pochylił się nad nim. Rosjanin nie mógł powstrzymać uczucia przerażenia, które wypełzało mu na twarz z dna duszy. Nagłość napadu i jego niepodobieństwo odjęła mu jasność myślenia. Przecież był otoczony przez swoje wojsko. Naokoło tej chaty miał blisko trzysta szabel gotowych na każde jego skinienie. A mimo to wpadł w ręce ludzi, których miał schwytać. To przekraczało jego możliwości logicznego rozumowania. Skąd się tu wzięli? Skąd te mundury? Jak zdołali ominąć strażę? Te pytania paliły go w usta. Ale nad wszystkimi uczuciami górował strach.

Bez obracania głowy był pewien, kto za nim stoi i trzyma mu ręce na gardle. Ze wszystkich ludzi na świecie jego jednego chciał uniknąć, bo wiedział, że żadna siła ludzka nie wyratuje go z jego rąk, gdy się w nie raz dostanie. Zbyt wiele było krzywd, które mu wyrządził. Przeklinał teraz własną pychę, która kazała mu wydać tamten rozkaz.

– Marny z ciebie wódz – rzekł z szyderstwem w głosie Wieniawa. – Masz trzysta szabel, a ja jednego człowieka i to ja mam w swoim ręku twoje życie. Tfu. Własnych ludzi nie umiesz w posłuszeństwie utrzymać.

– Nie chełp się – wychrypiał Mikołaj przyduszonym głosem, bo Tomasz rozluźnił swój ucisk tylko odrobinę. – Gdyby nie ten wielkolud, to jeszcze by mnie na ciebie starczyło. Naokoło są moje straże. Zaraz ktoś tu wejdzie wszcząć alarm. Nie wyjdziecie stąd żywi. – Chciał hardo splunąć na podłogę, ale nie zdołał zebrać w tym celu dość śliny.

– Niby kto? Oni tam wszyscy czczą teraz z oddaniem Bachusa. A pijącym nie należy krzyczeć nad uchem, bo głowa od tego boli. Nie będę sobie twoją krwią rąk brudził, bo mi ich szkoda. Tomasz ma z tobą o wiele większe porachunki niż ja.

Łazariew zrobił ruch, jakby chciał się wyswobodzić z objęć muskularnego ramienia Tomasza, ale ból, jaki przy tym poczuł, prawie go oślepił. Uśmiechnął się więc tylko złośliwie i rzucił w przestrzeń:

– Hej, ty, psie wiejski! Widzę, że nowego pana dostałeś. Chcesz mnie zagryźć, a on ci każe zęby schować. Pamiętasz Sylwka? Dobrze zrobiłem. Taki jak ty nie ma uczuć. Powinno ci być wszystko jedno, czyje truchło niesiesz pod nogi pańskie. Jesteś zwierzęciem! To ja cię wyhodowałem! Ja! Do nogi, kundlu!

Twarz Tomasza skurczyła się, pobladła. Zaciśnął szczęki, aż dało się słyszeć zgrzyt naciskających na siebie zębów. Oczy jego pały żądzą mordy. Trząsał się cały niczym w ataku febry. Pot zalewał mu twarz, a usta drżały niebezpiecznie. Lecz nie spełniły się nadzieje Mikołaja, który pragnął, by Tomasz zabił go w zapamiętaniu. Panował nad sobą i nie zabijał, ale słuchał.

– Wieniawa to nie mój pan, a przyjaciel – odparł lekko drżącym głosem. – Jeśli jestem psem, to przez was. Powinieneś był mnie wtedy zabić, bo ja jestem psem i nigdy nie zapomnę, kto mnie głaszcze, a kto kijem przed oczami potrząsa. Wiem, że chcesz umrzeć szybko... Możem ja głupi... ale twoja mądrość niewiele ci teraz pomoże. Będiesz zdychał tak jak on. Zmusiłeś nas wtedy.

O tamtych ludziach z pociągu też wiem. Żywcem ci kości z ciała wyduszę.

Tomasz zdjął czapkę, jakby potrzebował rozpaloną głowę ochłodzić. Na twarzy wykwitły mu rumieńce gniewu, szoku i zemsty. Dyszał ciężko, bo mówił to wszystko na jednym oddechu, jakby nie chciał tych słów trzymać na języku ani chwili dłużej. Czoło lśniło mu od potu, oczy płonęły strasznym blaskiem, a twarz mieniła się jak tęcza.

Mikołaj Łazariew roześmiał się z przymusem, choć w twarzy nie miał ani kropli krwi.

– On twoim przyjacielem? Musiałbyś do takiej przyjaźni podskakiwać, a to przy twoim wzroście i wadze jest trudne. Ja zginę, ale wy dłużej nie pożyjecie. Tobie, Wieniawa, i papiery Dzierżyńskiego nie pomogą. Wszystkie drogi i trakty, które wiodą do granicy, są szczelnie obstawione. Wiadomość o pościgu poszła do wszystkich miast i miasteczek. Nigdzie w Rosji nie ma takich puszczy ani lasów, które by was przed nami ukryły. Towarzysz Stalin bardzo sobie życzy, żebyście przyznali, że to Feliks pomógł Groblowi w ucieczce, bo bardzo chce zająć jego miejsce.

– Tak, on mi przyjacielem – odparł Tomasz pewnie – bo ratował mnie, choć nie miał w tym interesu. A tak robi albo przyjaciel, albo głupi.

Sam bym lepiej przyjaźni nie zdefiniował – pomyślał Wieniawa. Ale ciekawe, ile z niej pozostanie, gdy poproszę, by Łazariewa oszczędził, nie tłumacząc dlaczego.

– Zwiąż go starannie, zatkał pysk, choćby jego własną czapką, i w drogę – rzekł pośpiesznie, jakby się obawiał, że sam nie zdoła drugi raz tego powtórzyć.

Dobrze pamiętał tamtych porzniętych ludzi, których przysięgł pomścić. I nie zamierzał słowa nie dotrzymać. Ale rozumiał, że chłodna kalkulacja zawsze przewagę nad emocjami mieć powinna.

Miał w sobie dość intelektu, by do wytyczonego sobie celu dążyć ostrożnie i przezornie, aż do udanego finału.

– Co?! – ryknął Tomasz. – Może już zapomniałeś tych, których on na twoich oczach jak zwierzęta wyrznął, ale ja nie zapominam niczego! Mam prawo do zemsty i zamierzam z niego skorzystać. I nie próbuj mi w tym przeszkadzać.

– Zaufaj mi. Proszę. Sam przyznałeś, że przyjaciółmi jesteśmy. Czy kiedykolwiek zrobiłem coś, co nie przyniosłoby nam obu korzyści?

– No nie – przyznał Tomasz po dłuższej chwili milczenia. – Zdam się na twój rozum, ale jeśli on umknie karze, to nie będzie między nami zgody – zapowiedział groźnie.

Wieniawa pokiwał poważnie głową, niejako dając znać, że zgadza się z takim postawieniem sprawy.

– Daję ci słowo, że jeśli tak się stanie, to będę do twojej dyspozycji i stawię się z bronią w rękę w wyznaczonym przez ciebie miejscu i czasie.

– To mi wystarczy. – To rzekłszy, chwycił Łazariewa, jakby ten ważył tyle co dziecko. Z wprawą prawdziwego zbója skrępował mu ręce i nogi. Użył do tego znalezionej sznura. Następnie podważył mu zęby jego własnym nożem i wsunął czapkę głęboko w gębę. Z rozbawieniem patrzył na jego zaczerwienioną i napełnioną powietrzem twarz. Cisnął go na podłogę i splunął na twarz. – Może się udusisz, nim twoje psy wytrzeźwieją i sobie o tobie przypomną.

Wieniawa-Długoszowski zajął się tymczasem cuceniem dziewczyny, która pod wpływem doznanych wzruszeń i trwogi omdlała ciężko. Delikatnie odchylił jej głowę do tyłu i przez chwilę nasłuchiwał szmeru oddechu. Uspokojony w tym względzie, podniósł jej nogi i czekał cierpliwie.

Jakoż nie czekał na próżno. Po chwili twarz dziewczyny z powrotem nabrała koloru. Jej oddech stał się głębszy i równy, a po upływie jeszcze jednej chwili otworzyła oczy. Migotały w nich

jeszcze strach i rozpacz, nie wygasł też ogień. Zamachnęła się ręką i byłaby podrapała mu całą twarz, gdyby się przewidująco nie uchylił.

– Do niczego nie doszło – rzekł. – Ja nie gwałcę, bo nie muszę. A mój towarzysz nie lubi. Jeśli mi nie wierzysz, to spójrz za siebie, a ujrzysz swego wroga spętanego i niegroźnego.

Obejrzała się za siebie i ujrzała Łazariewa, jak turlając się po podłodze, usiłował wyswobodzić się z ciasno splecionych więzów. Nad nim stał ten gburowaty, posępny olbrzym, którego już znała. Uśmiechał się tak straszno, aż ją ciarki po plecach przeszły, bo rozumiała, że tak patrzą na siebie tylko wrogowie. Zrozumiała też, że to już będzie jej przyjaciel. Na myśl o tym, jaki los mógł ją spotkać, gdyby nie pomoc tych nieznanym jej ludzi, zadrżała. Ale zaraz roześmiała się szczerze, patrząc na tego, który mienił się być mocniejszym niż wszyscy mocarze, a który teraz wił się u jej stóp spętany niczym dziecko.

Roześmiała się całą sobą. Ile w tym było autentycznej wesołości, a ile odreagowywania długiego napięcia nerwowego – sama nie wiedziała. Śmiała się jednak długo, mocno i szczerze, aż Tomasz odwrócił się ku niej i – ku zdumieniu Wieniawy – uśmiechnął się.

– Pierwszy raz widziałem kobietę, która by tak zaciekle walczyła – zwrócił się z uznaniem do dziewczyny. – Jednego oka on już miał nie będzie. I dobrze się stało.

– Pewno, że dobrze – odparła śmiało. – Bo gdyby mnie był pohańbił, toby mnie ani stary, ani wdowiec, ani kaleka nie wziął. I tobie muszę podziękować, żeś mnie ratował, choć jesteś obcy. Niejeden krewny byłby tego nie zrobił, co ty zrobiłeś dla mnie. Ja Wiera jestem. A ty?

Bolesław z pewnym rozbawieniem patrzył na widoczne w twarzy i w ruchach Tomasza pomieszanie. Odwykł pewnie od takich rozmów z dziewczyną – pomyślał. I żał mu się go zrobiło.

A nie chcąc, by zaprzepaścił szansę na coś głębszego, chrząknął i zgrabnie odwrócił rozmowę:

– A ty co myślisz teraz zrobić ze sobą? – spytał. – My do Homla idziemy. Masz tu jeszcze jakąś rodzinę? Krewnych?

Twarz Wiery powlekła się bezbrzeżnym smutkiem. Opuściła oczy, a wargę zadrżała jej lekko i głos drgał hamowanym płaczem, gdy rzekła:

– Ojca mi zabili. Chciał mnie bronić... Chwycił za siekierę... Ale mu ją odebrali. Kupa cała ich była. Odrąbali mu obie nogi, ręce, język i na moich oczach rzucili na stertę z trupami, by gnił wraz z nimi. Mam krewnych, ale daleko – mówiła dalej, ciągle szlochając. – Ale czy mnie pod dach przyjmą? Tego nie wiem. Głodno teraz wszędzie, a to zawsze dodatkowa gęba do miski. – To mówiąc, przypadła do Długoszowskiego i klękając przed nim, złożyła dłonie jak do modlitwy. Jej lzy kapwały na podłogę, wielkie jak groch. – Weźcie mnie ze sobą – prosiła.

Wieniawa szybko zmrzążył oczy, samym widokiem i płaczem dziewczyny wzruszony. Pod wpływem jej łez serce stopniało mu jak wosk. Chętnie byłby jej teraz nieba przychylił, zawsze bowiem sądził, że prawdziwy mężczyzna może zastać kobietą płaczącą, ale zostawić nigdy. Trzeźwy rozum przedstawiał mu jednak całe niepodobieństwo idei zabrania jej ze sobą. Jak miała wytrzymać długą drogę, jaka ich jeszcze czekała? Bez wygod. Bez sytych racji. Nocując pod gołym niebem pośród wyjącego wiatru i zimna. Żadna z kobiet, które znał, nie pomyślałaby nawet o takiej podróży. Co zrobić? – myślał.

Przechadzał się szybkim krokiem, czując na sobie wzrok Wiery. Czuł się źle pod jej spojrzeniem. I wahał się ciągle, przypatrując się walce serca i rozumu. A wiedział, że nie ma zbyt długiego czasu na rozważania. Byli w końcu w chacie otoczonej zgrają pijanych bolszewików. Pijani czy nie, lada chwila mogli tu wpaść. Niewiele

trzeba, by ich zgubę spowodowali. Wreszcie zatrzymał się przed Wierą i szybko podniósł ją za rękę, po czym rzekł:

– Nie klękaj przede mną na ziemi, bo ja przed tobą będę musiał zapaść się chyba pod ziemię. Jeśli chcesz, to cię zabiorę. Ale musisz wiedzieć, że to okrutny szmat drogi. Nie wiem, czy wytrzymasz.

Dziewczyna jednak uchwyciła się ukazanej jej nadziei obiema rękami.

– Może z innymi kłopot w drodze, ale nie ze mną. Mnie ani step, ani las nie nowina. Nie będę wam zawadą, a jeszcze pomogę. Znam ten kraj i ludzi. A skoro was jak zwierza ścigają, to lepiej się wam w publicznych miejscach nie pokazywać. Pojadę z wami choćby na kraj świata, bo tu nic mnie już nie trzyma – zapewniała gorliwie.

Tomasz tylko westchnął. Nie uśmiechała mu się ta droga z babą na plecach. Ale od początku pewien był, że sprawa na tym się zakończy. Znał już bowiem Bolesława na tyle, by wiedzieć, że prośbie kobiety nigdy nie odmówi. Obojętnie, czy była to zwykła wieśniaczka, czy dama. Nie mógł tego zrozumieć. Żeby Wieniawa tchórzem był podszyty, toby jeszcze zrozumiał, bo taki chętnie na innych odpowiedzialność za swój los zrzuca. Ale ten człowiek miał fantazję, której Grobel wiele przykładów znalazł, a mimo to pozwalał wodzić się za nos pierwszej lepszej pannie.

Było to dla niego dziwne, lecz postanowił głowy sobie tym nie zaprzętać. Zamiast tego zaczął się powoli zbierać do wyjścia, ale najpierw rozejrzał się jeszcze uważnie po kuchni. Chwycił wyprawioną cielęcą skórę. Przyda się może na co – pomyślał.

– Szkoła cielaczka – powiedziała Wiera.

– Jak to szkoda? Wolałbym, żeby to była skóra z kota, bo ona dobrze korzonki leczy. Ale i ta się nie zmarnuje.

Wiera pobladła, bo kochała zwierzęta, i spojrzała na tego olbrzyma, który patrzył na ową skórę tak, jakby była paprochem. I chyba naprawdę nie mógł zrozumieć, o co jej właściwie chodzi.

– A z psa też byś skórę zdarł? A może i z człowieka? – pytała z iskierkami gniewu w oczach.

– Głupiaś – mruknął. – Z psa się smalec topi. Działa na choroby wszelakie. Ale po co obdzierać człowieka ze skóry? Na co to by się mogło komu przydać? – Spojrzał na Wieniawę, którego rozumowi wierzył. Może to jaki ruski sposób leczniczy, o którym on nie słyszał. Jeśli tak, to warto go wypróbować.

Lecz nie usłyszał odpowiedzi. Wieniawa bowiem od dłuższej chwili dusił się ze śmiechu. A gdy się opanował, wyprowadził obydwój przed chatę. Następnie wskoczył na konia bez dotykania strzemion, po czym posadził Wierę przed sobą. Czuł się dziwnie skrępowany, obejmując ją w pasie. Był tym i zdziwiony, i zaskoczony. Ale jak przystało na człowieka kulturalnego, natychmiast się opanował.

– Czemu powiedziałaś głośno, że do Homla jedziemy? – spytał Tomasz, gdy jechali strzemię w strzemię przez pograżony w pijackim śnie obóz. – Łazariew głupi musiałyby być, żeby uwierzył, iż tam pojedziemy.

– Bo wszystkie drogi i szlaki, które wiodą ku granicy, szczerlnie są poobsadzone. Jak mielibyśmy przemknąć się przez posterunki? Ty nie masz glejtu na przejazd, a i mój nie wiem, czy pewny. To samo czekałoby nas we wszystkich większych miastach, bo w każdym jest jakiś komendant, który chce się przed swoją zwierzchnością wykazać. Liczyłem, że się przemkniemy, nim się zorganizują. Ale jednego nie przewidziałem: jesteśmy tylko pionkami, którymi grają ze sobą Dzierżyński i Stalin.

– Nie rozumiem.

– Kto pomógł ci w ucieczce? Kto naraził się na gniew Lenina? Przecież nie Duch Święty. Gdyby Stalin dostał nas w swoje ręce i złamał, miałby wówczas niepodważalny dowód na to, że Feliks dopuścił się zdrady. A wtedy nic by nie uratowało Dzierżyńskiego

przed zgubą. Stalin wie, o co gra, i robi wszystko, by zapewnić sobie zwycięstwo i fotel szefa tajnej służby.

– To po co głośno mówiłeś, że jedziemy na Homel? Nie zmylisz tym nikogo – naciskał Tomasz.

Westchnął, kierując koniem uciskiem kolan i zręcznie omijając pijanych sowieckich żołnierzy. Mógłbym jeszcze którego ze sobą wziąć, miałbym pacholika do posług – pomyślał. A zwracając się do Tomasza, rzucił:

– My naprawdę pojedziemy na Homel. Tam nas szukać nie będą.

Tomasz roześmiał się basowo.

Tymczasem wyjechali z pogorzelsk wioski i pomknęli przed siebie.

Rozdział III

Wieniawa nie mylił się w swoich przypuszczeniach. Dwóch ludzi pilnie śledziło ich ucieczkę i czekało na choćby najmniejszą wieść o niej. Ludźmi tymi byli: Feliks Dzierżyński i Józef Stalin. Ale o wieści nie było wcale łatwo. Kraj bowiem cały pogrążony był w rozkładzie i anarchii. Nie było poczty ani telegrafów. Kolej nie chodziła prawie wcale, a jeśli już chodziła, to według rozkazu podyktowanego przez Pana Boga. Komunikacja mogła się więc odbywać tylko przez kurierów lub za pomocą radiotelegrafu.

Toteż pewnego dnia na dziedziniec Łubianki wpadł na spienionym koniu kurier. Widać po nim było, że ani siebie, ani konia nie oszczędzał, bo cały był błotem powalany. Nie tracił też czasu na doprowadzenie się do ładu po długiej podróży. Wydało mu się bowiem, że widoczne na twarzy błoto i zmęczenie pozwoli mu się ukazać w korzystniejszym świetle w oczach Dzierżyńskiego. Zresztą i wieść mogła być tego kalibru, że lepiej było z jej przekazaniem nie zwlekać ani minuty. Przekonał się już wszak na własnym przykładzie, iż Żelazny Feliks potrafił być wspaniałomyślny dla tych, którzy mu dobrze służyli, ale nie znał też miary w okrucieństwie, gdy przez cudze niedbalstwo jego zamiary pokrzyżowano.

Dlatego w biegu zeskoczył z konia i nie troszcząc się więcej losem wierzchowca, który służył mu wiernie przez całą drogę, ruszył do gabinetu Dzierżyńskiego. Nie spodziewał się jednak dotrzeć tam zbyt prędko, zwykle bowiem musiał przechodzić

rozliczne procedury bezpieczeństwa. O zabezpieczeniach, jakimi otaczał się wszechwładny szef Czeki, krążyły plotki po całej Moskwie i dalej, gdzie tylko sięgały ludzkie języki. Lecz jedynie kurierzy zdawali sobie sprawę z faktu, że w tym przypadku pogłoska nie dorównywała prawdzie. Wielokrotnie musieli spędzać po kilkanaście godzin na żmudnych kontrolach, zanim ich przesyłka trafiała do szefa.

Tym razem miało być jednak zupełnie inaczej. Idąc schodami, kurier omal nie zderzył się z Feliksem, który właśnie zmierzał na spotkanie z nim. Gdyby kurier był mniej przerażony samym tym natknięciem się na Dzierżyńskiego, spostrzegłby na jego twarzy widoczne ślady napięcia. Ale teraz sam był zbyt przerażony widokiem człowieka, który trząsł całym państwem. Ręce mu drżały, gdy odpinał zabezpieczenia skrzyneczki, która wisiała na jego szyi. Byle szybciej – myślał – byle szybciej zejść sprzed tych piekielnych oczu!

Palce pokrywały mu się potem; wilgotne ręce ześlizgiwały się z zatrasków. Czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, a serce wali jak młotem. Bładł coraz silniej. Wiedział bowiem, że rozkazy wydane przez tego człowieka należało wykonywać dokładnie i błyskawicznie. Nawet jeśli dotyczyły najbardziej małoszkowatych spraw. I nikt się spod tego rygoru nie wyłamywał, choć oko Feliksa nie ciążyło nad wszystkimi. Ludzie opowiadali sobie zresztą, że Dzierżyński wie i widzi wszystko, a przed jego gniewem nie chroni nic. Nieraz widziano zasłużonych czekistów, których karał z błahego powodu, albo i w ogóle bez zaistnienia takowego.

Toteż biedny kurier trząsł się jak osika, gdy mocował się ze złośliwym zapięciem. I z ulgą wypuścił powietrze z płuc, gdy wreszcie zatraski puściły. Spojrzał na szefa wzrokiem wyrażającym obawę i nieme błaganie o litość. Nie był bowiem pewien, czy ten mimo wszystko nie każe skrócić go o głowę. Ale były to czcze obawy.

Feliks myślami błędził zupełnie daleko i nie zwracał najmniejszej uwagi na strach kuriera. Tak jak nie zwraca się uwagi na ziemię pod butami. Wyciągnął tylko rękę po dokumenty.

– Towarzyszu – wyjąkał błady kurier – powinienem sam sprawdzić, czy nie ma tam trucizny, wasze zdrowie jest zbyt cenne dla Partii i Rewolucji.

Feliks obrócił swoje oczy w jego stronę i zmrużył je z lekka, aż nogi ugięły się pod mężczyzną.

– Boisz się mnie – rzekł Dzierżyński. – Więc na idiotę nie wyglądasz. A tylko idiota mógłby chcieć przyjść tutaj, by mnie otruć. Dawaj, co masz. A, i jeszcze jedno. Pójdź dzisiaj do działu finansowego, niech ci wypłacą odpowiednią gratyfikację. Żenić się masz, to ci się przyda. A, i powiedz tej, która tam pracuje, by nie malowała sobie lakierem paznokci w godzinach pracy, bo wysłę ją w nocy na jezioro Ładoga... nago.

I jak tu nie wierzyć, że on wie i widzi wszystko – pomyślał kurier, podając żądane dokumenty.

Nie chciał pozostać tu ani chwili dłużej. I tak czuł, że przez tę sytuację przybyło mu co najmniej kilkadziesiąt siwych włosów. Ale nie śmiał odejść bez rozkazu, więc tylko obserwował, jak Feliks otwiera zaadresowaną do niego kopertę. Ze zdziwieniem dostrzegł, jak drżą mu przy tym ręce. Było to dla niego zaskoczeniem. Dotychczas bowiem sądził, że człowiek taki jak on po prostu nie ma się go bać.

Feliks zrezygnował z daremnych prób otwarcia pakietu dłonią. Zamiast tego jednym zręcznym ruchem rozerwał wiązanie. Następnie zaczął czytać półgłosem raport, ledwie przy tym poruszając wargami. Kurier nie mógł więc usłyszeć jego treści, ale po wyrazie twarzy Dzierżyńskiego poznał, że wiadomość, którą przywiózł, musiała być dla niego korzystna. Oczy mu się śmiały, a na koniec i z ust gruchnął śmiech.

– Związali, zatkali pysk, jego własną czapką... – rzucał tylko urywane wyrazy.

Kurier patrzył na niego coraz bardziej zdumionymi oczami, tak mało to, co o nim słyszał, zgadzało się z jego obecnym zachowaniem. Feliks musiał poczuć jego wzrok na sobie, bo obrócił się na pięcie.

– Jeszcze tu jesteś? – spytał.

I pewnie chłopcu drogo by przyszło zapłacić za niewolnicze trzymanie się przepisów, gdyby nie wyśmienity humor Feliksa. Chłopak sam owo zagrożenie przeczuwał i wezbrał w nim atak paniki. Ale Feliks uśmiechnął się tylko.

– Ach, prawda. Zapomniałem złożyć ci życzeń na cierniowej drodze życia. Ale zaraz naprawię to niedopatrzenie.

Zamyślił się przez chwilę, jakby układał sobie przedni wiersz; oczy zmrużył, a na czole pojawiły mu się zmarszczki.

– Kochaj ją, a ona ciebie i niech wam się dobrze wiedzie.

To rzekłszy, obrócił się na pięcie i udał się do swojego gabinetu. Dopiero gdy znalazł się za dobrze sobie znanym biurkiem, przestał się uśmiechać. Gra nie była jeszcze skończona. I on to wiedział najlepiej. Wprawdzie pierwszą rundę mógł zapisać na swoje konto, ale to bynajmniej nie rozstrzygało sprawy na jego korzyść. Łazariew wprawdzie poniósł kompromitującą porażkę, ale przeżył. Przynajmniej do czasu najbliższej rozmowy ze Stalinem. Tu uśmiechnął się raz jeszcze, bo wyobraził sobie wściekłość tego ostatniego.

Ale zaraz inne, mniej wesołe myśli go nawiedziły. Pies Stalina został poszarpany i upokorzony, jednak w niczym nie zmieniało to faktu, że Grobel z Długoszowskim nadal przebywali na terenie Rosji, gdzie wciąż łatwo schwymani być mogli. A wtedy i jego los byłby przesądzony. Nie łudził się ani przez jedną minutę co do tego, że tamci nie sprzedadzą go na torturach. Na poparcie Lenina też nie miał co liczyć. Tolerował go, bo był mu potrzebny. Ale

i nienawidził, bo Feliks nie tańczył nigdy, jak mu zagrał. Ośmielał się mieć zawsze własne zdanie, którego potrafił bronić do upadłego.

Dzierżyński czuł, że teraz przyjdzie mu za to zapłacić. Jego los zależał od powodzenia ucieczki dwójki ludzi. Było w tym trochę i jego winy. Po cóż ich uwalniał? Mógł ich zabić – i powinien. A teraz miał owoce swego miłosierdzia. Jeszcze ta ostatnia zadzierka z Leninem. Potrzebne mu to było jak łysemu grzebień. Był to prawdziwy splot negatywnych okoliczności, który przybierał kształt pętli, jaka zawisała nad jego głową. Wystarczył jeden błąd, jeden fałszywy ruch, by w sposób nieodwołalny zacisnęła się ona na jego szyi.

Potrząsnął głową.

Coś tu się pozornie nie kleiło. Jakiś element układanki wyraźnie kolidował z pozostałymi. Ale on tego nie dostrzegał. Czuł tylko, że ma to przed koniuszkiem nosa. Ciągłe umykał mu jakiś drobny, nieistotny szczegół. Małe ogniwo w łańcuszku, którego cały czas brakuje, by kółeczko się zamknęło. Skupił się w sobie, potarł skronie, chcąc zebrać rozpierchłe myśli.

Sięgnął po teczkę Wieniawy. Od dawna już tkwiła na jego biurku, by mógł zaglądać do niej, kiedy sam uzna to za konieczne. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Mógł się założyć, że polski wywiad również ma takie charakterystyki. Ciekawe, co o mnie tam piszą... – myślał, przeglądając kolejne strony starannie opracowanego dokumentu.

– Życie rodzinne to nie to. Kariera wojskowa też nie – mruzcąc sam do siebie, przeglądał kolejne strony. – Czego nie widzę? – pytał się siebie. – Co mi umyka?

Znał tę teczkę na wrywyki. I czuł, że jego ogniwo jest w niej zawarte. Wpatrywał się intensywnie w tekst, jakby chciał wyłapać jakiś błąd i powiesić stenotypistkę. I nagle jego wzrok zatrzymał się

na jednym mikroskopijnie małym zdanku. Przeczytał je ostrożnie. Aresztowany przez Mikołaja Łazariewa.

Uradowany uśmiechnął się. Relacja oczywiście nie wspominała nawet jednym słowem o okolicznościach, w jakich Wieniawa został aresztowany; o wyróżnieniu całego składu pociągu. Ale on znał tę relację z pierwszej ręki. I poczuł, że to jest to. Dlaczego nie chciał się zemścić? – myślał. Miał przecież doskonałą sposobność, by to zrobić. Czyżby był tak szlachetny? Nie – odrzucił tę myśl. Bóg czasem wybacza krzywdy, ludzie nigdy. A może los jego towarzyszy podróży tak naprawdę niewiele go obchodził?

Nad tą wątpliwością zatrzymał się przez dłuższą chwilę. Ale i ją w końcu odrzucił, gdy przypomniał sobie ich dyskusję o Groblu. Człowiek, który z taką odwagą i zaangażowaniem upominał się o los nieznanego sobie przedtem człowieka, nie przeszedłby obojętnie obok zagłady całego pociągu. Nie. Tu musiały wchodzić w grę inne względy. Ale jakie? Poczuł, że nie zna odpowiedzi. I ponownie zabrnął w ślepą uliczkę. Dlaczego Łazariew musiał przeżyć? Instynktem wyczuwał, że od tego, czy znajdzie prawidłową odpowiedź na to pytanie, zależy jego dalszy los.

Zamknął teczkę. Ona go dalej nie doprowadzi. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Potrzebował kawy. Musiał rozbudzić umysł. Nacisnął ukryty pod biurkiem przycisk, który uruchamiał brzęczek w przedpokoju, gdzie czekał jego osobisty sekretarz, gotowy na każde skinienie.

Mężczyzna bezszelestnie wsunął się do środka.

– Kawy. Takiego mocnego murzyna – zadysponował, nie podnosząc głowy znad rozłożonych na biurku papierów.

Usłyszał tylko odgłos zamykanych drzwi. Po kwadransie sekretarz wrócił z parującą filiżanką smolistej, mocnej kawy. Postawił ją przed nosem szefa i opuścił jego gabinet równie cicho jak poprzednio.

Dzierżyński pracował jeszcze przez chwilę. Ale aromatyczny zapach kawy zbyt silnie nęcił jego nozdrza. Wiedzieli Amerykanie, do czego niewolników używali – pomyślał. Od zawsze pił tylko taką. Nie troszczył się o to, że nawet sowieccy dostojnicy nie gardzili teraz kawą robioną z żołądździ. Nie dbał o nich. Nigdy nie próbował zrozumieć Rosjan. Swoje działania w tym kraju traktował niczym sekcję na zwierzęciu; wykonywał je w sposób obojętny i bezlitosny. Szybkim ruchem chciał sięgnąć po filiżankę, ale obrócił się przy tym zbyt gwałtownie i zahaczył ją łokciem.

Na ratunek było za późno; z przerażeniem wpatrywał się w ciemną plamę z kawy, która rozrastała się szybko, wsiąkając w dokumenty. W ostatniej chwili zdołał ocalić przed ostatecznym zniszczeniem raport, który nadszedł dzisiaj. Odruchowo spojrzął na podpis i zadrzał z ledwie hamowanej radości.

Raport – powiedział w myśli. Cały czas chodziło o raport. Łazariew musiał przeżyć, by móc go sporządzić i przesłać do mnie. Stalin też miał go otrzymać. Ale jaki oni mieli w tym cel? Co chcieli przez to osiągnąć?

Jeszcze raz pochylił się nad raportem. Przeczytał go kilkakrotnie, by zapamiętać każdą sylabę. Dostrzegł przy tym, że Łazariew zapewne o wiele sprawniej posługuje się szablą niż piórem. Świadczyły o tym prostackie sformułowania, właściwsze pobieżnie wykształconemu mieszczaninowi niż żołnierzowi, który piastował godność oficerską. Mikołaj nie zauważał też istnienia interpunkcji, co utrudniało nie tylko czytanie, ale nawet zrozumienie treści formułowanych przez niego zdań.

Po kilkakrotnym przeczytaniu jego wypocin mógł cytować treść raportu w dowolnych konfiguracjach. Ale w niczym nie przybliżyło go to do wyjaśnienia nurtującej go tajemnicy. Nie znosił tego. Zawsze kończył to, co zaczął. Ale czuł, że Wieniawa jest godnym przeciwnikiem. Nie wątpił bowiem, że to on rozgrywa tę partię. Tomasz nawet gdyby chciał, toby tego nie potrafił.

Feliks trawił godziny, usiłując przejrzeć myśli tego człowieka. I nie mógł tego dokonać. Czuł jednak, że rozwiązanie jest blisko. Myśl ta była dla niego nieznośna.

Wściekły chodził nerwowo po komnacie, patrząc na pogrążający się w ciemności świat. Rytmiczny stukot jego kroków mieszał się ze słabnącymi z każdą chwilą odgłosami ruchu ulicznego. Przebijał się on przez grube mury i drażnił go. Chwilami wargi mu drżały i wydawało się, że porywa go jeden z owych ataków szału, w których trakcie wydawał krwawe rozkazy. Ale tym razem był to tylko objaw pychy, która wrzała w nim, bo nie umiał znaleźć rozwiązania. Nie wiedział, co w tę szaloną pałkę mogło strzelić. Dlaczego oszczędził osobistego wroga, byle tylko otrzymali jego raport? Chyba że się myli. I od samego początku szuka ogników po bagnach.

Rozzłoszczony samą tą myślą uderzył pięścią w biurko, aż zsunął się z niego telefon, który łączył go bezpośrednio z sekretarzem Lenina.

– Do cholery, przecież nie chodziło mu chyba o to, żebyśmy ruszyli do Homla? – zadał pytanie na głos. – Tam jest tylko nic nieznacząca stacja węzłowa. A poza tym nawet dziecko by się na to nie nabrało.

Nagle stanął jak wryty, porażony nagłą myślą.

A jeśli było odwrotnie? Jeśli chodziło właśnie o to, byśmy nie ruszyli do Homla i wykluczyli go z kręgu poszukiwań? Tam jest stacja. Pociągi odchodzą do Mińska; biletów nikt nie sprawdza, bo wszędzie jest jeszcze bałagan. Łatwo im będzie przedostać się do miasta, a stamtąd nad Niemen, za którym stoi cała polska armia.

I mnie trzeba do Homla – postanowił.

Mógł tam łatwo dojechać, pozorując inspekcję mińskiej Czeki. Miał bowiem w zwyczaju jeździć po całej Rosji. Działo się tak wtedy, gdy znużył się już mordowaniem ludzi. Wówczas brał swój specjalny pociąg, osobistą ochronę i ruszał na inspekcje. Lenin nie

sprzeciwiał się temu, gdyż nic tak nie motywowało ludzi do pracy jak obecność bezlitosnego kata. Ledwie rozchodziła się między ludźmi wieść, że już ruszył i kosą nad ich szyjami dzwoni, starczyły same pogłoski, by wszyscy stawali na bacność i naprawiali wszelkie uchybienia.

Feliks nie nawykł namyślać się i pieścić długo z postanowieniami. Dlatego jeszcze tej nocy wskoczył na pokład swojego pociągu, ulokował się w sypialnym wagonie i ruszył. Gnał przez kraj, spędzając na odpoczynku tylko tyle czasu, ile trzeba było na uzupełnienie zapasów węgla. Wiedział bowiem, że tuż za nim prawdopodobnie mknie Stalin. Nie wątpił, że i on odgadł przewrotny fortel Wieniawy. Niemniej był dobrej myśli i miał pewność, że zdoła powikłać jego zamiary, gdyż jechał z gotowym planem.

Podróżował wygodnie byłym carskim pociągiem specjalnym, który nie jechał, a płynął po szynach. Razem z nim pędziły trzy wagony pełne czekistów. Wieść o jego jeździe do Mińska, przez Samarę, Petz, wyprzedzała go, ponieważ taki konwój zwracał na siebie uwagę. Wiadomość mknęła więc po drutach telegrafu. Dlatego na mijanych stacjach stała cała obsługa. Poprawiano semafony, zwrotnice. Wracano do rozkładów. I każda stacja przestawała żyć swoim życiem. Wreszcie wprowadzano ład. Ujednolicano ceny biletów, bo wcześniej opłaty były dowolne. Wszelkiej maści szlachcice, którzy jeszcze żyli, a nie wydostali się dotąd z bolszewickiej Rosji, teraz kryli się po kątach.

Feliks jednak nie zatrzymywał się na mijanych stacjach, by czasu nie tracić. Czasem tylko zabawiał się strzelaniem do ludzi ze strzelnic wagonów. I niejeden tam trup padał za nim. Tak gnał bez wytchnienia, dojechał do Homla.

Samo miasteczko sprawiało wrażenie dosyć sennego. Było bowiem położone na uboczu, na kształt cichej wyspy pośród burzliwego oceanu. Bolszewicy nie stosowali tu jeszcze swojej

inżynierii społecznej, bo mieli inne sprawy na głowie. A wielkość kraju utrudniała sprawne działanie. Dlatego w mieście wszystko pozostało po starym. Popi chodzili swobodnie po ulicach, u wielu mieszczan wisiały w pokojach ikony świętych obok portretów rodziny carskiej. Biedota, gnieźdząca się przeważnie na przedmieściach, siedziała cicho jak mysz pod miotłą, mało wiedząc o wszechrosyjskich rewolucyjnych swobodach.

Wprawdzie co rozsądniejsi ludzie nie wierzyli, aby taka sytuacja mogła utrzymać się przez dłuższy czas. Dochodziły do nich bowiem słuchy o zachodzących tam wydarzeniach. O mordach i łupiestwach. Lecz większość liczyła, że bolszewicy będą zbyt zajęci w innych częściach kraju, by poświęcać uwagę peryferyjnej linii Mińsk–Bachmacz. Mogła ich do tego zmusić chyba tylko konieczność uporządkowania panującego na stacji bałaganu. Ale większość mieszkańców Homla żyła złudzeniami, bo co mieli zrobić? Mogli tylko biernie czekać na rozwój wypadków.

Pociąg Dzierżyńskiego zatrzymał się z sykiem pary i potwornym zgrzytem hamulców. Sama stacja homelska została już przygotowana na jego przyjazd. Otworzono kasy biletowe, przygotowano rozkład. W magazynach kolejowych naprawiono kłódki, które nie miały czego strzec, bo magazyny dawno obrabowano. Sprawdzone zwrotnice i semafony oraz wybielono ustępy. Przygotowano nawet prowizoryczny bufet oraz uruchomiono pompy. Przygotowania te zabrały trochę czasu, ale teraz cała obsługa stacji stała przy peronie wyciągnięta na baczność z gotowością na to, co przyniesie los, wypisaną na twarzach.

Wiedzieli bowiem, że na poprzedniej stacji zginął naczelnik i trzech jego pomocników. I większość z nich miała nadzieję, że pociąg specjalny się nie zatrzyma; najwyżej padną strzały i już. I ta większość życzyła sobie tego z całej duszy, odżałowując tych, na których padnie wyrok losu. Jednak pociąg pancerny wtoczył się na

peron tak wolno, że ani przez moment nie mogli mieć wątpliwości, iż się zatrzyma.

Wieniawa-Długoszowski z Tomaszem i Wierą także stali przy peronie, nieco z tyłu. Nie mogli już teraz uciec. Wszyscy byli w Homlu od trzech dni i czekali na pociąg do Mińska. Powinien on już dawno odjechać, ale żona maszynisty zaczęła rodzić. Kochający mąż nie chciał jej opuścić, a chcąc być pewnym, że skład nie odjedzie bez niego i jego lokomotywy, coś tak pokręcił w mechanizmie, że nikt nie umiał tego naprawić. I nic mu za to nie było. Może by to i Bolesław zrozumiał, gdyby nie to, że teraz czas miał dla niego tak kolosalne znaczenie.

Przez kilka dni poznał dobrze panujące tu stosunki. I przyznać musiał, że nigdzie jeszcze nie widział takiej anarchii. Za bilety płacono się tylko pod koniec miesiąca, bo wtedy obsługa pobierała pensję. A że nie miała jej z góry wyznaczonej, więc dyktowała takie ceny, jakie jej się podobało. Jedynie bolszewicy otwierali sobie wagony – za pomocą pistoletu. O możliwości przewiezienia jakiegokolwiek towaru nie mogło być mowy, bo magazyny stały otworem, a paczki rabowano jeszcze na peronie, nawet się z tym nie kryjąc.

– Znaczny ktoś musi być – wymruczał Tomasz. – Bo jeszcze nie widziałem, żeby gdzieś w tym kraju taki ład panował. A tak fajnie było. Kto siłę miał, ten wziął, co mu pasowało. Próbowałem się wywiedzieć, gdzie ta Paskiewiczowa siedzi. Takiej jeszcze nie miałem. A ty wiesz, że naczelnik stacji, Iwanow, żyje w dobrej przyjaźni z głównym komisarzem miasta, Przeclawskim, którego szwagier, Ulatkin, jest pomocnikiem naczelnika?

– Wielkie masz uszy – odrzekł Długoszowski. – Ale to dobrze. Co jeszcze wiesz?

Był ciekaw tych nowin. Sam nie zbliżał się do ludzi z obawy, by się czym nie zdradzić. Tomasz zaś mógł z łatwością bywać między nimi. Głównie on składał mu więc relacje oraz zdobywał żywność

dla niego i Wiery. Jego nieokrzesane maniery i siła były mu w tym najlepszą pomocą. Czuł się w bolszewickim świecie jak ryba w wodzie.

– Ten Przeclawski był niegdyś oficerem dragonów w pułku imienia cesarza niemieckiego. Nie wiem tylko, jak się on zwał – mówił z zakłopotaniem Tomasz. – Potem został pomocnikiem miejscowego policmajstra, żonaty z utrzymanką hrabiego Ignatiewa, który ją dobrze zabezpieczył. Przed wojną miastem też zarządzał Polak, Dąbrowski. Człowiek starej daty – powtarzał zasłyszane zwroty, nie rozumiejąc ich znaczenia. – Co to znaczy utrzymanka i starej daty?

Nie usłyszał odpowiedzi, bo drzwi wagonu otworzyły się z potwornym zgrzytem. Wieniawa dostrzegł naczelnika Iwanowa, który wysunął się do przodu z wyciągniętą ręką. W drzwiach stanął Dzierżyński. Wszyscy cofnęli się, jakby ujrzeli samą śmierć. Nawet Bolesław poddał się ogólnej psychozie strachu i zrobił kilka kroków do tyłu. Ale też obiektywnie trzeba przyznać, że miał większe powody do obaw niż inni. Mimo to pierwszy się opanował.

– Uciekamy? – spytał szeptem Tomasz, ciągnąc Wierę w swoją stronę, by się nie rozdzielać. – Skoczę na czekistów i damy nura w pierwszą lepszą uliczkę.

– Nie – odszepnął Długoszowski. – Tacy jak on nigdy nie jeżdżą bez obstawy. Już żeś jeden zamach robił i przez to wpadłeś w kłopoty. Gdyby Dzierżyński chciał nas zabić, to mógł to zrobić jeszcze w Moskwie. Nie wiem do końca dlaczego, ale wierzę w jego słowo.

Obserwował Dzierżyńskiego, którego jakby na potwierdzenie jego słów natychmiast otoczył czworoboczny szpaler czekistów. Część z nich wysypała się na miasto i pobiegła nie wiadomo gdzie i po co. Iwan chciał złożyć meldunek, ale Dzierżyński machnął ręką, jakby się od uprzykrzonej muchy opędzał, i mruknął:

– Nie nada.

Zresztą nie zaszczycił najmniejszą uwagą nikogo spośród personelu, tylko Wieniawie wydawało się, że dostrzegł lekki błysk w jego oku, gdy ich spojrzenia skrzyżowały się przez moment. Ale nie był pewny, czy to nie złudzenie. Zrozumiał, że nie mają żadnych szans na ucieczkę. Żałował teraz, że zignorował szalony pomysł Tomasza. Obecnie nie mógł już o tym myśleć – wszędzie było pełno czekistów.

– Wybiła chyba nasza godzina – szepnął Tomasz i się przeżegnał.

– Zegarek ci się śpieszy – odparł Bolesław, nie tracąc fantazji.

Dalej obserwował Dzierżyńskiego, który tymczasem urządził się pośród swoich ludzi. Nie wiadomo skąd znalazło się biurko i krzesło dla niego, a posłuszni czekaści przynieśli z bufetu ławki, które kazał ustawić z boku. Prawie jednocześnie czekaści wprowadzili na peron, goniąc przed sobą jak bydło, tłum kilkudziesięciu ludzi z miasta, złowionych zaraz na ulicy Zamkowej i wywleczonych z pobliskich hoteli – Złotej Kotwicy i Metropolu.

Wieniawa mógł obserwować ich blade twarze, w których nie było już ani nadziei, ani woli życia. Słyszał świst batów, które przecinały powietrze i spadały na ich plecy, znacząc je krwawymi pręgami. Wielu miało na sobie niekompletne stroje – byli to głównie goście hotelowi. Zabrano im już wszelkie kosztowności – stały się one pełnoprawnym łupem czekistów. Ludzie z ulicy upadali pod ciężarem palt i butów. Jednak czekaści nie śmieli katować ich w obecności Feliksa, ponieważ nigdy nie wiedzieli, co zrobi. Czasem, gdy miał taką zachciankę, karał i ich. Teraz siedział za biurkiem z ostentacyjnie leżącym przed nim naganem. Zręcznie obracał nim w dłoniach.

Komisarz Przeclawski, mały człowiek o krępej budowie ciała, owalnej, nieco zbyt rumianej jak na komunistę twarzy, poprawił wielką czapę z jeszcze większą gwiazdą na niej i ruszył ku

Dzierżyńskiemu. Przebił się przez czekistów i przymusowo sprowadzonych ludzi. Stał oko w oko z Dzierżyńskim. Za nim uformowała się jego świta. Wyprostował się dumnie, wypinając pierś do przodu, i rzekł głosem podniesionym o dwie oktawy:

– Ja, towarzyszu komisarzu Dzierżyński, jestem miejscowy komisarz Przeclawski – przedstawił się, a wskazując ręką na zgromadzonych za nim popleczników, dodał: – A to moja drużyna. – Z komunistycznym pozdrowieniem Przeclawski wyciągnął rękę do Towarzysza.

Błąd – pomyślał Wieniawa.

Dzierżyński zmierzył Przeclawskiego zimnym spojrzeniem, aż temu zrobiło się sucho w ustach, a nogi pod nim zadrżały. Chciał zdjąć czapkę, ale z przerażenia nie mógł jej utrzymać i upuścił na peron. Lecz nawet nie pomyślał o ratowaniu oznaki swej partyjnej godności. Cofał się co prędzej, chcąc ująć spod tego spojrzenia, które wysysało z niego życie. Cofał się pośpiesznie w kierunku tłumu, a wszyscy jego ludzie, z równym przestachem, cofali się także, usuwając się przed nim.

Dzierżyński spokojnie usiadł na krześle i najspokojniej w świecie zaczął notować coś w swoich papierach. Miarowy zgrzyt jego pióra odzywał się straszliwym echem w sercach patrzących. Nie śmieli zmrużyć oczu, głośniej odetchnąć. Wielu zrobiło się gorąco, mimo że powietrze było mroźne. Poczuli się jak ryba w sieci. Wielu próbowało odczytać z twarzy Feliksa swój przyszły los. Lecz jego twarz była jakby wykuta z kamienia, obojętna. I tylko spojrzenie pozostało zimne.

Wreszcie uniósł je znad papierów i przebiegł nim przez tłum. Jego oczy ani na moment nie zmieniły obojętnego wyrazu, jakby patrzył na chmury, a nie na żywe istoty, których los tkwił w jego rękach. W końcu wykonał nieznaczny ruch dłonią.

Na ten znak dwóch czekistów wywlekło z tłumu dobrze odżywionego staruszka z twarzą pocziwca i w dobrze skrojonym

mieszkańskim ubraniu. Był bardzo spłoszony. Oczy latały mu dookoła jak wilkowi w klatce.

– Ty kto? – zapytał Dzierżyński.

Staruszek był zbyt przerażony, by składować i logicznie odpowiedzieć nawet na tak proste pytanie. Z ust wychodziły mu tylko monosylaby, a z oczu ciekły łzy. Feliks poznał, że nie powie ani słowa, więc skinął na Przeclawskiego, który wraz ze swoimi ludźmi trzymał się teraz na uboczu.

Komisarz przysunął się chętnie, zadowolony, że ma szansę zatrzeć pierwsze, niekorzystne wrażenie. Obiecywał sobie zrobić wszystko, co trzeba.

– Kto on? – zwrócił się do niego Feliks.

– Zapowiada pociągi – odpowiedział błady komisarz, bystro patrząc na Feliksa.

– Zamilknie.

Machnął ręką w stronę czekistów, którzy przez cały czas patrzyli mu w oczy niczym wierne psy myśliwego. Bez słowa chwycili staruszka pod ręce. Nawet się nie szamotał. Szedł między nimi obojętny, niemy i głuchy na wszystko i wszystkich dookoła. Najwidoczniej doznał pomieszania zmysłów. Czekaści odprowadzili go do tylnych szeregów, skąd po chwili do uszu tłumu doszedł strzał rewolwerowy. Tłum zafalował. Ludzie desperacko szukali drogi ucieczki. Krzyki i jęki tych, których tratowano, mieszały się z wrzaskiem tłumu, płaczem dzieci i razami czekistów.

Wiera zachwiała się, pchnięta przez jakiegoś jegomościa, który desperacko usiłował wymknąć się z dworca. Próbowała utrzymać równowagę, ale czuła, że nie da rady. I zdjął ją paniczny strach przed stratowaniem. Wiedziała, że jeśli upadnie, to już nie zdoła więcej powstać. I tak by się pewnie stało, gdyby nie Tomasz, który bezustannie nad nią czuwał. Błyskawicznie objął ją w pasie i holując przed sobą, rozdawał na prawo i lewo mocarne razy.

Ludzie umykali przed nim, bo wzrostem przewyższał ich co najmniej o głowę.

Wiera poddała mu się całkowicie. Nadal nie potrafiła zebrać myśli. To wszystko ją przerastało. To zdziwienie, jakiego stała się świadkiem, przerażało ją do szpiku kości. Jeszcze nigdy nie była w mieście. Homeł, choć nie mógł iść o lepsze z Moskwą i wieloma innymi miastami, wydawał jej się cudem. Teraz została brutalnie odarta ze złudzeń przez straszną rzeczywistość. Drżała jak łoża na wietrze, a jedynym, co do niej docierało, było to, że od śmierci ocalił ją człowiek, którym wcześniej zaczynała gardzić. Odsuwało ją od niego jego nieokrzesanie i pewnego rodzaju dzikość. Teraz poczuła, że nie był on taki prosty w ocenie.

– Dziękuję – wykrztusiła, gdy ją puścił.

– Za co?

Naprawdę nie rozumie – pomyślała ze złością. Nadal przekonywała samą siebie, że nie zależy jej w najmniejszym stopniu na jego uwadze.

– On już taki jest – szepnął Długoszowski, tak by tylko ona go usłyszała.

Tymczasem czekał zaprowadzili porządek i tylko kilka trupów z wywalonymi wnętrznościami pozostało na placu. Feliks znów skinął nieznacznie ręką. Na ten znak czekał wywlekli z tłumy człowieka w parcianych portkach z twarzą ogorzałą od słońca i wiatru, o dłoniach szerokich i pokrytych odciskami. Zachowywał się spokojnie i obojętnie.

– Ty kto?

– Murarz – odparł bez mrugnięcia okiem.

Dzierżyński zawiesił na nim wzrok przez sekundę, po czym wskazał mu ręką ławkę obok siebie i rzekł:

– Siadajcie, towarzyszu.

Robotnik wyprostował się i dumny jak paw rozsiadł się w pierwszej ławce. Dalej Dzierżyński przesiewał ludzi dokładnie

w ten sam sposób. W zależności od typu człowieka: albo wskazywał ławkę i kazał siadać, albo skazywał na śmierć. Między ocalonymi byli tylko ludzie prości, w większości mężczyźni i ledwie kilka kobiet – bezzębnych ulicznic.

I tak powoli kolejka doszła do trójki uciekinierów. Feliks obrzucił ich krótkim, przelotnym spojrzeniem. I ani jednym ruchem nie dał po sobie poznać, że ich zna. Jednak uradował się, widząc ich. Mógł być bowiem pewien, że zdoła ewakuować ich z Rosji, wytrącając Stalinowi potencjalną broń przeciwko sobie. Patrzył na obojętną twarz Wieniawy-Długoszowskiego. Zastanawiał się, czy ten człowiek w ogóle wie, co to strach. Jego wzrok zatrzymał się dłużej na Tomaszu.

– Pobiliście moich ludzi. Czemu? – spytał.

– A tak, z ochoty – odparł Grobel, opuszczając głowę, by Feliks mógł patrzeć na niego z góry.

Nie jest taki głupi – pomyślał Bolesław, uśmiechając się pod wąsem. Wiedział, że Tomasz był bezpieczny. O siebie nie troszczył się nigdy. Nie dbał o to, w jakie strony świata zawiedzie go los. Brał z życia pełnymi garściami, kochając, pijąc, nienawidząc.

– A ta kobieta to kto? – pytał Dzierżyński obojętnie, zbywając nieco wyzywającą odpowiedź na swoje pytanie.

Dostrzegł, że Tomasz nieznacznie ścisnął dziewczynę za rękę.

– Moja baba – mruknął. – Same mam z nią kłopoty. Do miasta się jej zachciało. A wiadomo, że tu żadnego ładu. Gwałci i łupi, kto chce. Ale to moja wina, bom ojca nie słuchał.

– Ojca?

– A tak – przyznał Grobel. – Mówił mi wyraźnie, bym bił ją trzy razy w tygodniu, a nie raz.

Dzierżyński się roześmiał. Podobał mu się ten człowiek. Panował nad sobą. Nie widział, aby ręce mu drżały czy twarz pokryła się najmniejszym śladem potu. Sprawiał wrażenie zimnego, a nawet znudzonego.

– Kim jesteś z zawodu?

– Ja świniopas. To jest, świnie pasłem u jaśnie pana, ale odkąd jego powiesili, to robię na tej ziemi, co mnie komitet dał.

– A ten drugi? – pytał, przenosząc spojrzenie na Wieniawę.

– Sam mam język w gębie i mogę za siebie odpowiadać – przerwał gwałtownie Bolesław i palnął: – Ja też świniopas. A jestem taki gładki, bom pierw przy pani dziedzicze był, co chłopą starego miała. Tak i byłem na pańskich pokojach. Ale od czasu, jak ona dostała chłopów nadmiar i ją od tego nadmiaru szlag trafił, to ja się do gospodarzenia wziął.

– Siadajcie na ławce – rzekł Dzierżyński.

Usiedli i mogli obserwować dalsze przedstawienie.

Dzierżyński wstał. Podeszedł do obsługi stacji, która nadal stała na baczność. Patrzył z satysfakcją, jak ludzie klękają pod jego spojrzeniem. Przeclawski nie tylko upadł na kolana, ale chwycił go za nogi i płaszczyl się do obrzydliwości.

– Mieczu rewolucji! Gorące serce! Ja ideowy komunista – mówił szybko.

– Nie umiesz stać – warknął Dzierżyński – to cię posadzę. Pod ścianę z nim!

Czekiści chwycili Przeclawskiego pod ręce i wywlekli. Potem do uszu tych, którzy mogli jeszcze słyszeć, doszedł strzał.

Feliks usiadł za biurkiem.

– Teraz tych – warknął, wskazując na obsługę stacji.

Pierwszy podeszedł naczelnik Iwanow.

– Nazwisko? – spytał, nie zaszczycając Iwanowa nawet spojrzeniem.

– Iwanow – odpowiedział bełkotliwym głosem, który z trudem wyszedł z jego ściśniętej krtani. – Naczelnik stacji, urzędnik klasy szóstej... kawaler krzyża zasługi... ja...

– Ty krzyżem? – zapytał Dzierżyński ze zdumieniem. – Każdy kawalerem swojego krzyża. – Wyszczrzył zęby do przerażonego

Iwanowa, po czym zwrócił się do ludzi na ławkach: – Macie co przeciw niemu?

– Pociągów nie puszcza – padła odpowiedź Tomasza.

– Nie puszcza... – powtórzył Dzierżyński i od razu do czekistów: – Puścić jego... w rozchód.

Chwycono Iwanowa i po chwili padł strzał.

– Następny! – ryknął.

Podprowadzono Ulitkina.

– Ja komunista – zameldował od razu przy swoim nazwisku.

– Komunista? Znaczy towarzysz – przytaknął Dzierżyński.

Pewność siebie naczelnika rosła jak na drożdżach. Podniósł pochyloną uprzednio głowę i potoczył po obecnych triumfującym spojrzeniem. Twarz mu jaśniała szczęściem. Już widział siebie na ławce. Ale Dzierżyński obrócił się do ludzi tam siedzących i spytał pośród głuchego milczenia:

– A przeciw temu co macie?

Jedna z kobiet, ulicznica o modelowym wyglądzie czarownicy, odcharknęła ślinę, by wydobyć z siebie głos:

– Spokoju nie daje dziewczuchom. Nie ma dnia, żeby której dziecka nie zrobił, a potem psem szczuje, gdy się o robotę dopomina.

– Jej nie daje spokoju też – zauważył murarz i splunął daleko przed siebie.

Wicenaczelnik od razu stracił cały rezon i skurczył się w sobie, a na ławkach rozległa się salwa śmiechu. Feliks uśmiechał się również.

– Ma prawo, komunista – rzekł, a do czekistów rzucił: – Dać mu dziwkę: kulę.

Wicenaczelnik zemdlął ze strachu, wywlekli go więc bez życia i strzelili.

Następny podszedł Filipow. Był zadziwiająco pewny siebie i spokojny, zważywszy na to, co już słyszał i widział. I zaraz sam

wyjaśnił dlaczego.

– Ja kasjer – rzekł i zaraz dodał dumnie: – Krewny towarzyszki Krupskiej, żony Lenina. Możecie sprawdzić.

Feliks zdawał się nie słyszeć tej uwagi, ale po chwili mruknął ledwie dosłyszalnie:

– Sprawdzi się. – I znowu odwrócił się do ludzi. – A ten co?

– Drobnych reszty nie wydaje – odpowiedział basowym głosem murarz. – Ty, człowieku, zarabiasz w skwarze, w spiekocie. Ściany tak układaj, żeby pion trzymały, a ten bierze, siedząc na dupie, i jeszcze reszty nie wyda. Bo co mu kto zrobi?

– Nie wydaje? – spytał lekko zdziwiony Feliks. – A krewny Krupskiej... Wydać go całego. – Ruch ręką.

Czekiści chwycili Filipowa pod ręce. Podnieśli go w powietrze, choć ten wrzeszczał i majtał nogami.

– Ja naprawdę jestem jej krewnym! – wrzeszczał dopóki jakiś czekista nie zamknął mu ust kawałkiem szmaty. Zaczął się dusić, a dusząc się, nie walczył. Wyniesiono go i wyrok wykonano.

Zostali już tylko telegrafista i jego zastępca. Obaj przyglądali się w najwyższym skupieniu ludziom siedzącym na ławkach, sprawdzając w swej pamięci, czy w czymkolwiek im nie uchybili. Ale i tak nie byli pewni, czy nawet brak wrogów przyniesie im ocalenie.

Pierwszy wystąpił telegrafista. Był to człowiek z natury swej tajemniczy. Typ samotnika. Swoją robotę wykonywał dobrze i nie było do niego żadnych zastrzeżeń. Nie stykał się bowiem z ludźmi. Nie podlizywał się nawet naczelnikowi, choć wszyscy inni przypochlebiali mu się, czym tylko mogli. On nie musiał. W jego dziedzinie nie miał go kto zastąpić. W całym Homlu nie było nikogo, kto znałby alfabet Morse'a.

– A ten co? – spytał Dzierżyński głosem, w którym można było dostrzec pierwsze ślady znudzenia i zmęczenia.

Tym razem z ławek odpowiedziała mu cisza. Większość z tych, którzy byli na nich zgromadzeni, nie znała telegrafisty osobiście. Nie wiedziała nawet, czym się zajmował. O rozumieniu przez nich zasad działania telegrafu mowy być nie mogło.

– Naprawdę nic nie macie przeciw niemu?

Znowu cisza.

Telegrafista uśmiechnął się głupkowato, jakby zdziwiony, że nagle stał się obiektem powszechnego zainteresowania. Nie był bowiem przyzwyczajony do spokojnego znoszenia jego objawów. Był wysoki i chudy jak szczapa, z wiecznie zaciśniętymi ustami, w binoklach. Nie miał nawet wąsów.

– Ideał – stwierdził Dzierżyński. – Takich nam na Rusi nie potrzeba.

Czekiści wykonali swoją robotę. Człowieka, który nigdy nikomu nic nie zawinił, zastrzelili jak psa i pospolitego łotrzyka.

Łatwo więc zrozumieć strach, z jakim przed Feliksem stanął jego zastępca.

– Nazwisko? – mruknął Dzierżyński, zbierając papiery z biurka; najwidoczniej szykował się już do odjazdu do Mińska.

– Sawicki.

Dzierżyński drgnął lekko, unosząc z zainteresowaniem powieki na człowieka, o którego losie miał za chwilę rozstrzygnąć.

– Polak?

– Tak – padła odpowiedź.

– Mickiewicza znasz?

Chłopak chyba zgłupiał, bo mógł się spodziewać wszystkiego, ale nie pogawędki o arcydziełach literatury polskiej.

Wieniawa patrzył na tę scenę w nadzwyczajnym skupieniu. Mógł bowiem z niej wyciągnąć pewne wnioski co do swego dalszego losu. Ciekawiła go ona także pod względem psychologicznym. Dotychczas bowiem wystarczyło mu jednorazowe spotkanie z kimś, by wystawić mu opinię

charakterologiczną. Natomiast Feliksa rozgryźć nie potrafił. Nie umiał pojąć, czym się kierował. Co sprawiło, że był, kim był? Jaka trauma kryła się za narodzinami Czerwonego Kata?

– Znam.

– A co uważasz za jego największe dzieło?

– *Pana Tadeusza*.

– Do wagonu go. Tych dwóch świniopasów i babę też. Dołączą do mojej osobistej eskorty.

Wieniawa robił wszystko, by nie okazać po sobie zdziwienia. Nie wiedział, w co gra Feliks, ale miał dziwne przeczucie, że ani jemu, ani jego przyjaciółom włos z głowy nie spadnie. Zresztą, tak czy siak, to Dzierżyński był panem położenia. Jego rozkaz był tu prawem, a im nie pozostało nic innego, jak podporządkować się jego woli. Dlatego wstali i wskoczyli do jednego z wagonów. Wierę należało podsadzić, ale Tomasz poradził sobie z tym. Długoszowski zaś stanął w wieży strzelniczej, skąd mógł obserwować końcowe akordy sceny na dworcu.

Zobaczył, jak Feliks ustawia swoich ludzi szeregiem przed sobą. Następnie, idąc przed ich frontem, wysuwał z szeregu pojedynczych. Wszyscy, których wybrał, byli lekko bladzi. Widać nie wiedzieli, czy zostaną ukarani za jakieś przewiny, czy wyróżnieni. Wszystko zależało od humoru jednego człowieka.

– Kim byłeś z zawodu przed wojną? – pyta Feliks pierwszego.

– Ja szewc.

– Będziesz nowym naczelnikiem stacji.

Następnie każdy z wyznaczonych uprzednio czekistów podawał swój przedwojenny zawód, a on rozdzielał między nich wszystkie urzędy kolejowe. Nawet te najważniejsze. Lecz nie było w tym nic dziwnego dla kogoś, kto znał specyfikę nowego ustroju. Nie wykształcenie, nie fachowa wiedza, lecz wola góry dawała władzę i pozycję. Dzięki temu wieśniak na pana wyrastał. I mógł krzepić

się nadzieją, że jego potomkowie będą w przyszłości obsadzać najważniejsze urzędy w państwie.

Ukończywszy tę robotę, Dzierżyński rzekł:

– Jesteście teraz za tę stację odpowiedzialni. Kto czego nie wie, niech się od kolegów z innych stacji nauczy. Pamiętajcie, jesteście nadzieją proletariatu. I nie wolno wam go zawieść. Za trzy miesiące sprawdzę, jak wam idzie.

Ciekawe, jak się czują z taką perspektywą nad karkiem – pomyślał Wieniawa-Długoszowski. Jeszcze nie widziałem takiej ścieżki awansu.

Dzierżyński wskoczył do swojego wagonu. Po chwili pociąg ruszył. Bolesław obserwował, jak równomiernie nabiera prędkości. Stukot kół stawał się coraz bardziej równy. Obserwował mijane budynki magazynów i samej stacji, która zdawała się uciekać przed jego wzrokiem. Ale nim znikła, zdążył jeszcze zobaczyć wyłożone przed dworcem trupy. Jedyne ślad, jaki pozostał po wizycie Czerwonego Kata...

Rozdział VIII

Feliks nie miał zbyt wiele czasu, by zająć się osobiście swoimi więźniami. W Mińsku bowiem czekało na niego wiele spraw. Na przykład wizytacja miejscowej Czeki, która zajęła mu sporo czasu, bo swoim zwyczajem przyglądał się wszystkiemu dogłębnie. Godzinami pracował nad setkami tomów akt. Poza tym musiał jeszcze wygłosić okolicznościowe przemówienie na spotkaniu miejscowego bundu. Nie znosił tego typu uroczystości, ale należało to do jego bezpośrednich obowiązków.

Jego eskortę zakwaterowano w miejscowych koszarach, pozostałych po carskim wojsku, które tu niegdyś stacjonowało. Przez większość dnia nie mieli nic do roboty. Przy Dzierżyńskim przebywali rotacyjnie. A że było ich dużo, to nie narzekali na przepracowanie. Większość dnia schodziła im na czyszczeniu broni, grze w karty i rozmowach o niczym. Nikt z nich nie zwracał uwagi ani na Tomasza, ani na Wieniawę – traktowano ich jak swoich.

Gorzej rzecz się miała z Wierą. Czuła się źle między tymi ludźmi. Miała wrażenie, że wszyscy patrzą na nią wygłodniałym wzrokiem. Usiadła między Tomaszem a Wieniawą, którzy siedzieli na pryczy we wspólnej sali. Całe wielkie pomieszczenie wypełnione było pryczami. Między nimi ustawione były stoliki, gdzie każdy mógł trzymać rzeczy osobistego użytku. Na środku sali stał olbrzymi stół, przy którym ciągle grano w karty. Słyszać było głośne przekomarzania się i licytacje.

Wieniawa przypatrywał się temu obojętnie. Postanowił mieć się na baczności i mówić jak najmniej. Nie wydawało mu się, by byli poddani jakiemuś szczególnemu nadzorowi. Co niechybnie miałoby miejsce, gdyby czekiści wiedzieli, z kim mają do czynienia. Ale z tym mógł się zdradzić tylko on, gdyż trudno mu było udawać prostaka. Za długo obracał się w wykwintnym towarzystwie poetów, pisarzy i artystów. Nawet jeśli większość z nich równie chętnie szukała dna butelki jak ci tutaj.

– Gdyby co – szepnął – trzymaj się kłamstwa, choćby wam stołek w dupę wsadzali. Tomasz, mówisz za mnie i za siebie. I pilnuj Wiery, żeby sama nigdzie nie chodziła.

– Tak i będzie – mruknął Grobel. Na dowód tego otoczył Rosjankę ramieniem.

Zadrzała lekko, ale był to przyjemny dreszcz. Przy tym człowieku czuła się równie bezpiecznie jak w domu. Zastanawiała się teraz nad dziwnym zrzędzeniem losu, które połączyło ją z tymi ludźmi. Byli tak od siebie różni. Tomasz, dziki i nieokrzesany, odpychał ją, ale i w niezrozumiały sposób pociągał. Mówił normalnie, jak zwykli ludzie z jej okolic. Czasem tylko wtrącał niezrozumiałe słowa, zapewne polskie. Natomiast Wieniawa był inny. Poczwała to już wtedy, gdy tylko pierwszy raz go zobaczyła. Nie potrafiła tego jednoznacznie określić, ale ten człowiek umiał roztoczyć wokół siebie dziwną aurę, która przyciągała ludzi, zniewalała ich i onieśmielała zarazem. Wiera przylapywała się na tym, że chce być jak najbliżej niego. Otrzeć się, dotknąć. A jednocześnie wiedziała, że się nie ośmieli.

Wiedziała, że owa tajemnicza siła działa także na Tomasza. W kontaktach z nią bywał opryskliwy i gburowaty. Do Bolesława zaś odnosił się z szacunkiem, choć ten często sobie z niego żartował. Widać czuł, że ma do czynienia z kimś lepszym od siebie. Nawet teraz nie oponował ani słowem, gdy kazał mu ją chronić. Schlebiało jej to. A więc jednak była dla nich ważna. Spróbowała

się do niego uśmiechnąć, ale nie odpowiedział jej tym samym. Jego oczy wciąż były skupione i nieobecne. Ale musiał dostrzec, co zrobiła, bo odwrócił się w jej stronę i rzekł:

– Przypominam ci, że chwilowo jesteś żonata.

– Taki to i mąż – odparła – co żonę raz na tydzień bije.

– Co miałem powiedzieć? Inaczej bylibyśmy wszyscy zdechli – bronił się Tomasz.

Wieniawie twarz jednak spoważniała. Dostrzegł bowiem, że gra przy stole się skończyła, a wódka mocno szumiała już w głowie wszystkim uczestnikom rozgrywki. Dwóch z nich ruszyło w ich stronę. Nie chcieli się jeszcze, bo ich organizm musiał być wyjątkowo odporny. Ocenił ich wzrokiem i musiał przyznać, że Dzierżyński umiał dobrać sobie ludzi.

Patrzył na ich porośnięte ciemną brodą twarze, mocno zarysowane szczęki. Obaj byli wysocy. Dobrze widział ich wyrzeźbioną muskulaturę ramion, gdyż jeden i drugi miał podwinięte rękawy koszul. Ich szerokie klatki piersiowe napinały się przy każdym oddechu. Gdy stanęli przed nim, otoczył go ostry zapach gorzałki i zjełczałego potu.

– Ja jestem Wasyl, a to Fiedia – rzekł jeden z nich. – Ten tu strzelił mnie i jego w pysk, aż mi zęb wyleciał. – Wskazał Tomasz paluchem dłoni, na której przegubie wisiały zegarki.

– I co mnie do tego? – spytał na pozór spokojnie Wieniawa, choć domyślał się już, że sprawa ta nie rozejdzie się po kościach.

Wasyl uznał najwidoczniej słuszność tego prostego w gruncie rzeczy argumentu, bo zwrócił się do Tomasza:

– Posłuchaj, chłopie. Podzielisz się babą ze wszystkimi, a ja zapomnę, że straciłem przez ciebie złotego zęba. Albo stawaj z nami do szabli.

Mówiąc to, pewien był, że mu Tomasz placu nie dotrzyma. Wasyl był to bowiem mistrz pojedynkowania się, słynny ze swojej siły. Chepił się tym głośno, że jeszcze takiego nie spotkał, którego

by nie rozciągnął na ziemi. Nie odstraszała go nawet mocarna i rozrosła sylwetka Tomasza, bo wiedział, że między wieśniakami bywają chłopcy krzepkie, ale brak im wojennego rygoru i ćwiczenia. Zresztą ten człowiek uraził go w jego miłości własnej i naraził na śmieszność w oczach towarzyszy. Musiał zmyć tę hańbę. I było mu wszystko jedno jak – czy biorąc jego babę, czy upuszczając mu krwi. Obie te rzeczy uważał za jednakowo łatwe i był pewny swego.

Wierze wszystka krew odpłynęła z twarzy. Bała się, że zemdleje, i z niepokojem wbiła wzrok w Tomasza. Ten jednak uspokajająco położył sękatą dłoń na jej głowie i uśmiechnął się. Następnie spojrzął na chełpiącego się do towarzyszy Wasyla i rzekł:

– Obieraj śmierć, bo ostatnia twoja godzina nadeszła.

Po tych słowach zapadła cisza śmiertelna. Zdumienie odebrało wszystkim mowę. Nikt nie rzucił jeszcze wyzwania Wasylowi. I kto się na to poważył? Zwyczajny świniopas? Tu i ówdzie odezwały się urywane śmiechy, ale zaraz obumarły na wszystkich ustach. Twarz Wasyla była w tej chwili po prostu straszna. Szpecił ją bowiem potworny grymas wściekłości i gniewu. Usta zacisnęły mu się ze złości i sięgnął po szablę. Zdało się wszystkim, iż uderzy bez ostrzeżenia. Ale on tylko zataczał kręgi dokoła siebie, aż powietrze zawarczało w sali, wtórując świstowi żelaza.

Wasyl potrzebował wyparskać z siebie gniew i gorzałkę. Wiedział, że gdyby był uderzył bez ostrzeżenia, to naraziłby się na drwiny towarzyszy i gniew Dzierżyńskiego, który włączył tego człowieka w poczet swoich ludzi. Mimo wódki, która krążyła mu w żyłach, nadal bał się Feliksa. Bo nie raz sam mordował tych, którzy byli poprzednio w Czeka, ale narazili się czymś jej szefowi i kończyli smutno. A gdy pokona tego kmiotka w uczciwej walce – w co nie wątpił ani przez chwilę – to Dzierżyński nie będzie mógł mu jednego złego słowa powiedzieć.

Schował szablę do pochwy i przeszedł na drugą stronę sali. Towarzysze jego tymczasem podeszli do Tomasza i lustrowali go, podziwiając mocne ramiona, mięśnie, które zdawały się rozsadzać skórę. Niejednemu przeszło mimo woli przez myśl, że Wasyl postąpił pochopnie, zadzierając z tym człowiekiem. Z tym większą ochotą skoczyli dosuwać łóżka bokiem do ścian, tak by zrobić więcej miejsca dla walczących. Spodziewali się bowiem dobrego widowiska.

Wieniawa-Długoszowski tymczasem chwycił Tomasza i odprowadził go nieco dalej, poza zasięg słuchu innych.

– To się nam sprawy pokomplikowały – szepnął. – Ale nie masz wyjścia. Sam bym stanął za ciebie, ale ja nie mogę. Pamiętaj, trzymaj swoją broń mocno w ręce; żadnych sztuczek. Masz sprawiać wrażenie, że masz więcej do czynienia z widłami niż z szablą. Najlepiej zaraz daj się lekko zadrasnąć, a ja już jakoś tam sprawę wyprostuję.

Mówiąc to, nie umiał się wyzbyć przygniatającego go uczucia niepokoju. Ot, martwił się po prostu o tego mrukliwego wielkoluda, którego zdążył polubić. Stało się tak może dlatego, że obaj byli tacy różni. On obrotny, szparki, z szybkim językiem, czarem i galanterią. Tamten mruk, bez żadnych oznak ogłady, który nie umiałby zachować się w takim otoczeniu, w jakim on nawykł przebywać. Ale Tomasz stał się jego prawdziwym przyjacielem. Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości. Poznał go przecież jako człowieka, którego głowa lada chwila mogła stoczyć się z szafotu. Spojrzał teraz uważnie w jego twarz.

Dostrzegł, że malowała się na niej nadzwyczajna jakaś powaga i skupienie. Sprawiał wrażenie kompletnie nieobecnego i pogrążonego we własnych myślach. Wydawał się ani nie dostrzegać robionych przez Rosjan przygotowań i zakładów, ani nie słyszeć jego nauk i przestróg. Zaniepokoiło go to niepomiernie.

Źle jest – pomyślał – traci fantazję i wigor, czyli już po nim.

Lecz Wieniawa błędnie tłumaczył sobie zachowanie Tomasza. Jego przyczyną nie był wcale strach. Bo choć Tomasz był sobie tylko prostym żołnierzem, to nie po raz pierwszy przystępował do tego rodzaju walki. Nieraz bił się z innymi, czy to dla wprawy, czy przy różnych innych okazjach. Toteż tego typu walka nie napawała go żadnym niepokojem. Bo nawet gdyby zginąć przyszło, to przecież nie bez sławy.

Ten cały Wasyl musiał być nie lada szermierzem, skoro wszyscy się go boją – myślał.

Jego gnębiło co innego. Bardzo chciał okazać się godnym towarzyszem Wieniawy. Chciał rzetelnie zasłużyć na jego szacunek. Pokazać, że i on, choć tylko prosty chłop, bez szkół i kształcenia, co to pisanego nie rozbierze, to jednak sroce spod ogona nie wypadł. Niby dotychczas nie miał się na co uskarżać. Długoszowski traktował go jak przyjaciela, ale nie potrafił sobie do końca potwierdzić, czy robi to tylko z obowiązku. Słowa Łazariewa wywarły nań jednak pewien efekt. Próbował wyrzucić je z myśli, ale nie mógł. Zawsze powracały.

Spojrzał w twarz Wieniawy i mimo woli zastanawiał się, czy martwi się o niego, czy jedynie o swój los. Złościło go, że wymagał od niego, aby się podłożył już po kilku złożeniach. Jak mógł tego od niego żądać? Czy sam postąpiłby podobnie?

Westchnął i spytał Bolesława:

– Czy ty naprawdę jesteś mój przyjaciel? Pomimo tego, że ja prosty chłop, a ty Bóg wie kto?

Na twarzy Wieniawy odbiło się prawdziwe zdumienie.

Też porę sobie wybrał na wątpliwości! – pomyślał.

– Posłuchaj, to, co my razem przeżyliśmy, jednoczy nas bardziej, niż ci się zdaje. Co ci w celi powiedziałem? Ty człowiek i ja człowiek. A że ciebie bocian zrzucił w jakiejś wiejskiej chacie, a mnie trochę gdzie indziej, to mi bez różnicy. Nie mam wielu takich przyjaciół, którzy by w jednej celi ze mną chcieli posiedzieć.

A prawdę powiedziawszy, to nie mam ich wcale. Każdy z nich chętnie wypije za moje i po moich plecach wspina się na szczyt. A najzabawniejsze jest to, że sądzą, iż ja o tym nie wiem.

– Ale ty bogaty człowiek, a ja nawet ziemi pewnie nie mam. Bo tam siostra z chłopem swoim siedzi zapewne, jak ci mówiłem.

– I co z tego? Pieniądze odziedziczyłem po ojcu. I nie ma już ich znowu tak wiele. Bo co się miało, to się wydało. Nie moja to zasługa. Bardziej jestem dumny ze stopnia oficerskiego, bo na niego własną krwią zapracowałem. A ziemią się nie przejmuj. Nie zechcą ci krewni oddać, co twoje, to ja cię przytulę.

Tomasz udobruchał się od tych słów znacznie i rzekł cicho, niemal wprost w jego ucho:

– Daj mi go zabić. Ja wiem, że życie nasze narażę, ale ja się mu sam nie podłożę. Jeśli faktycznie jesteś moim przyjacielem, to nie odmówisz mi tej łaski. – Wbił w niego natarczywe, pytające spojrzenie.

– Ech – odparł Wieniawa z uśmiechem – przyjaciół jak kobiety ciągle na nowo zdobywać trzeba. Dobrze. Daj mi jednak słowo, że więcej nie będziesz się tymi kwestiami zadręczał i że do mnie po wojnie przyjedziesz.

– Daję.

W samą porę skończyli rozmawiać, bo właśnie Sowievi ukończyli przygotowywać salę. Tomasz rozejrzał się spokojnie, zapamiętując nową topografię terenu. Wszystkie łóżka stały już zwrócone bokiem do ścian. Środek parkietu był wolny. Żadnych nierówności. Nic, na czym można by się potknąć. Uspokojony w tym względzie, zrzucił wierzchnie okrycie, pozostając tylko w koszuli i butach. Podwinął rękaw na prawym ramieniu. Wydobył szablę, zważył ją w dłoni. Sprawdził wyważenie, trzymając na palcu. Następnie wysunął prawą nogę do przodu i stanął w pozycji.

Wasył czekał już na niego z błazeńskim uśmiechem na ustach. W twarzy jego nie odbijał się najmniejszy ślad niepokoju. Przypatrywał się ostrzu swojej szabli i ostentacyjnie ziewnął.

Sekundant stanął pomiędzy walczącymi. Rozstawił szeroko ramiona.

– Zaczynamy na trzy – rzekł. – Skrzyżować.

Tomasz rzucił spojrzenie na Wieniawę. Dotychczas nie brał bowiem udziału w walkach rozgrywanych według kodeksu honorowego. I czuł się zagubiony.

– Skrzyżuj swoją z jego – szepnęła Wieniawa.

Dwa wrogie ostrza szczęknęły o siebie; stał skrzyżowała się ze stalą. Patrzący wstrzymali oddech. Za chwilę miało się zacząć.

Ale sekundant wtrącił jeszcze:

– Do pierwszej krwi czy na śmierć?

Wasył obnażył zęby w straszliwym uśmiechu i odrzekł bez namysłu:

– Może świniopas chce się tylko drapać. Ja nie.

Tomasz jedynie pokiwał głową.

Następnie skupił się w sobie, jak gepard szykujący się do skoku. Znikli ludzie wokół niego. Znikła sala, w której się znajdowali. Pozostało tylko jego ostrze i ostrze przeciwnika. Widział tylko jego twarz. Jego oczy. Odliczanie słyszał, jakby dochodziło zza ściany. Dostrzegł, jak sekundant uskoczył pod ścianę i wtedy Wasył natarł na niego z furią.

Bronił się spokojnie, podstawiając swoje ostrze pod jego. Parował cięcia, odbijał pchnięcia. I cofał się ciągle. Widział żarzące się ogniem oczy Wasyła, jego twarz, która powoli stawała się coraz bledsza. Pierś unosiła mu się coraz szybciej. Męczył się. Ale bił z siłą młota. Tomasz obawiał się, czy zdoła wytrzymać. Ramię drżało mu od obijania coraz mocniejszych uderzeń. Krople potu wybiły mu na czoło, a rumieńce na policzkach stawały się żywsze.

Nogi niosły go coraz bliżej ściany, bo Wasyl nie dał mu odetchnąć ani przez moment. Ale i jego zimna krew zaczynała się wyczerpywać. Przystępując do tej walki, myślał o niej jak o przeprawie przez wyschnięty strumień. Już po kilku cięciach poznał, że ma z nie lada atletą do czynienia. Choć sam silny, spostrzegł, że siłą nie dorównuje rywalowi. Najpierw ogarnęło go zdumienie, potem podziw, a na końcu rozpacz. Patrzył na ściśnięte szczęki przeciwnika, słyszał jego chrapliwy oddech i zrozumiał, że musi zwyciężyć go teraz, bo jeśli walka się przedłuży, to zginie niezawodnie.

Zaczął uderzać z rozpaczą, byle tylko przełamać obronę przeciwnika. Szczęk żelaza stawał się coraz szybszy, patrzący nie mogli nadążyć za ruchami broni. Wielu zamknęło oczy i nasłuchiwało tylko świstu szabel, pędu powietrza. Tak robiła i Wiera. Każde uderzenie odzywało się w jej sercu zwielnokrotnionym echem, jakby godziło bezpośrednio w nią. Chwyliła mocno Wieniawę za rękę i co chwila pytała, drżąc jak łoża:

- Broni się jeszcze?
- Tak.
- Czemu nie atakuje?
- Uspokój się. Tomasz wie, co robi.

Wieniawa nie mówił tego wyłącznie po to, by uspokoić dziewczynę. Sam niemało staczał walk, czy to incognito po karczmach i zajazdach, czy to walk honorowych. Znał się więc na rzeczy. I był spokojny. Wiedział, że Tomasz gra na znużenie przeciwnika. Sam nieraz używał tej strategii, choć była ona niezwykle ryzykowna. Rozmyślne oddawanie pola wrogowi było bowiem rzeczą bardzo niebezpieczną. Ten, kto nie docenił umiejętności szermierczych przeciwnika, a przecenił własne, kończył zwykle na przykościelnym cmentarzu. Ale wydawało mu się, że tym razem tak nie będzie. Tomasz chyba dobrze wszystko

wyliczył. Wasyl wydawał się bardziej zmęczony. Szabla chodziła coraz ciężej w jego rękę. Tomasz zaś poruszał się szybko na nogach, cofając się pod ścianę. Poczował, jak spocona ręka Wiery zaciska się na jego palcach.

– Przyparty do ściany – rzekł. – Ale spokojnie, zaraz zaatakuje.

Taką przynajmniej mam nadzieję – pomyślał. I ze zdziwieniem złapał się na tym, że też ma ochotę zamknąć oczy, by nie patrzeć na decydujące chwile pojedynku. Nigdy nie czuł się tak spięty. Nigdy serce nie waliło mu jak oszalałe. Nawet gdy sam walczył. A teraz z najwyższym trudem zachowywał opanowanie.

Tomasz istotnie poczuł ścianę za plecami. Wasyl ciął potężnie, kierując cięcia w brzuch. Lecz on odbijał je w przysiadzie z taką siłą, że Wasyl zachwiał się od rozmachu i, by nie upaść, musiał się cofnąć. I od tej pory cofał się ciągle. A Tomasz ruszył do natarcia. I nacierał żwawo. Tak żwawo, że patrzącym na jego poprzednią, rozpaczliwą, wydawałoby się, obronę niemal stanęły serca. Okazało się teraz w całej rozciągłości, że wybrał mądrą strategię, oszczędzając siły na decydujące momenty pojedynku.

Nogi niosły go prawidłowo. Ciągle zmieniał miejsca, zataczał kręgi wokół przeciwnika, skakał jak żaba. I uderzał z coraz większą furią. Nie dbał o finezyjne sztychy, po prostu uderzał o szablę rywala. Wasyl obracał się w miejscu, by nadążyć za jego ruchami i uderzeniami, ale nie mógł ich nawet przechwycić. Poczował, że koniec jest blisko. Zadał dwa rozpaczliwe pchnięcia, ale bez nadziei, by mogły dosięgnąć konkurenta. Zastawił się przed jeszcze jednym ciosem i nagle szabla prysła mu w dłoni, a w rękę została tylko rękojeść. W oczach zaświeciło mu przerażenie. Spróbował się cofnąć, ale ujrzał tylko błysk szabli, której ostrze spadało prosto na jego czaszkę.

– Chryste! – ryknął, przypomniawszy sobie o duszy, którą dawno zatracił. I padł z rozwaloną na dwie połowy głową.

Natychmiast też podłoga zaczerwieniła się od jego krwi. Obecni zdrętwieli na chwilę, nie mogąc słowa przemówić. Tomasz tylko wsparł się na szabelce, bo nie mógł utrzymać się na drżących nogach, i oddychał ciężko. Ale uśmiechał się, bo zadowolony był z siebie. Po chwili jednak odrętwienie przeminęło. Ludzie ruszyli ku trupowi i podziwiali jego wzrost, bo wielką przestrzeń na podłodze zajmował.

Wieniawa zaś podszedł do Tomasza i bez słowa ramiona mu otworzył. Padli sobie w objęcia. Dusili się przez chwilę we wzajemnym uścisku, ale zaraz przestali, w ich sercu wezbrała bowiem obawa. Co teraz zrobią pozostali czekaści? Czy ich w nocy nie zabiją lub za pomocą trucizny kary nie wymierzą? W końcu Wasyl był jednym z nich. Lecz, jak pokazał czas, były to obawy mocno przesadzone.

Tomasz zyskał wielki szacunek między czekistami i w chwale własnej jako w słońcu chodził. I dumny był z tego. Po raz pierwszy bowiem ktoś darzył go szacunkiem. Cieszył się też po cichu tym, że stał teraz w hierarchii wyżej od Wieniawy. Ten patrzył na nowe zachowanie Tomasza przez palce. Rozumiał, że kto pierwszy raz pije z krynicy sławy, ten łatwo zadławić się może. Nie martwił się tym jednak teraz szczególnie, mając wiele innych trosk na głowie.

Sprawa z Wasylem chyba rozeszła się po kościach – trupa zakopano po cichu na koszarowym dziedzińcu; nikt go tam szukał nie będzie. Ale zagrożenie nie z tej strony przyjść mogło. Nie wiadomo było jeszcze, jak wieść o porąbaniu swego człowieka przyjmie Dzierżyński. A było więcej niż pewne, że sprawy ukryć się przed nim nie da. Zbyt wielu było świadków. Na razie jednak Bolesław postanowił czekać na rozwój wypadków, bo i nic innego nie mógł zrobić. Cieszył się tylko bezpieczeństwem Wiery, która mogłaby teraz między czekistami i nago chodzić, gdyż wszystkim było wiadomo, czym kończy się wyciąganie po nią rąk.

Cios, którego się spodziewał, nadszedł wkrótce.

Pewnej nocy poczuł lekkie pociągnięcie za ramię. Poderwał się błyskawicznie i sięgnął po sztylet, który przezornie trzymał pod poduszką. Lecz zimny głos wstrzymał go w połowie ruchu.

– Towarzysz Dzierżyński pragnie natychmiast widzieć całą waszą trójkę. Żywi przed jego obliczem stanąć macie, więc nie zmuszajcie mnie, bym nie dopełnił rozkazu.

Długoszowski przesunął się na skraj pryczy. Opuścił buty na zimną podłogę – spał w pełnym ubraniu, gdyż w murach koszarowych było zimno i wilgotno. Patrzył, jak czekista budzi Wierę i Tomasza.

– Czego? – mruknął ten ostatni.

– Towarzysz Feliks Dzierżyński nas wzywa – odrzekł Wieniawa ze słodyczą.

– A po cholere? – spytał Tomasz.

– Cholera go wie.

I obaj roześmiali się z przymusem, chcąc dodać ducha swojej towarzyszce. Bez słowa wzięli ją między siebie i trzymali ją mocno za ręce. Pocieszali przy tym, jak umieli, choć sami niepewni byli własnego losu. Przewodnik wyprowadził ich z pomieszczeń koszarowych. Przeszli przez dziedziniec, następnie dotarli do podwórza, gdzie w niewielkiej chatce kwaterował Feliks. Warty nie było.

Nie chce mieć świadków – pomyślał Wieniawa. Tylko przy czym? Przy egzekucji czy przy uwolnieniu?

Poczuł, jak jego ciało przenika dreszcz. Spojrzał w górę na srebrną tarczę księżyca i mimo woli pytał sam siebie: Zobaczę cię jeszcze kiedyś?

Wprowadzono ich do niewielkiego pomieszczenia, w którym za biurkiem siedział Feliks. Na początku zdawał się w ogóle nie zauważyć ich wejścia, bo pochylony był nad papierami. Jednak obok niego stała butelka hiszpańskiego wina i przygotowane

cztery kubki. Uniósł głowę. Nieznacznym ruchem odprawił wartownika, a gdy ten wyszedł, rzekł:

– Siadajcie. Nie wypada kazać gościom stać. Czyż nie? – Spojrzał na nich tym swoim nieodgadnionym wzrokiem, który zdawał się przewiercać ludziom dusze. Wskazał im trzy krzesła i dodał: – Znajdzie się czym gardło przepłukać. To jeszcze z carskiej piwnicy, ręczę, że niezatrute.

Feliks uśmiechnął się.

– No widzicie. My Polacy przy butelce zawsze się dogadamy. – I nalał sobie i im. Następnie wypił duszkiem i otarł usta.

– Co tam, napić się lubię, mogę nawet z tobą – mruknął Wieniawa.

Stuknął się z Tomaszem i Wierą kubkami i wypił.

Trunek był nieco cierpki, ale zgodnie z obietnicą nie okazał się zatruty.

– Nie chcę być dla was tutejszym Feliksem. Nie bójcie się. Za bardzo się napracowałem, by was z łap Stalina wyrwać, żeby was teraz zabijać. Chcę tylko porozmawiać. Jeszcze tej nocy wyjedziecie na inspekcję posterunków na Niemnie. I nie wróćcie tu więcej – zapewnił ich. – Zauważyłem tam na dworcu, że chciałeś mnie rozgryźć, Wieniawo. Przekonać się, dlaczego jestem tym, kim jestem.

– Chcę tylko wiedzieć, jak jej na imię.

– Nie domyślasz się wciąż? A przecież dałem ci wskazówkę. Ten głupiec Sawicki nawet się nie domyśla, że gdyby wybrał każdy inny utwór, to byłby już martwy.

– Zosia, tak?

– Tak. Zosia. – Wypowiedział to imię miękko i z uczuciem. – Zosieńka Kasprzak... Była córką dozorczy fabrycznego. Organizowałem tam wiece dla robotników. Ona miała wtedy osiem lat. Przysiadowała na schodkach, słuchała i patrzyła... tak, patrzyła. Lubilem ją wtedy. Zawsze brałem ją za rączkę

i prowadziłem do domu. Jeszcze łyka? – zaproponował. – Ja odwykłem od picia. Zwykle piję tylko wodę. Kiedy ostatni raz piłem alkohol? Na moim „świętej pamięci” ślubie w Krakowie.

Rozlał do kubków następną kolejkę. Gdy wypili, kontynuował:

– Po pewnym czasie nasze zebranie nakryła policja. Chodziłem jeszcze wtedy do szkoły. Miałem więc na sobie mundur studenta. Któryś robotnik rzucił mi swoją kurtkę, żebym w niej wyszedł. Odmówiłem, chciałem cierpieć za sprawę. Wtedy Zosia chwyciła mnie mocno za rękę. Tak mocno, że ani jej rodzice, ani ja oderwać jej nie mogliśmy. W końcu kazałem im przestać i wraz z nią przeszedłem przez kordon żandarmów. – Uśmiechnął się do wspomnień.

Patrzył w ścianę, jakby tam właśnie mógł zobaczyć swoją Zosienkę. I uśmiechał się jak dziecko.

– Ponownie spotkałem ją po ośmiu latach. Ja byłem już wtedy rewolucjonistą z pełnym stażem. Byłem i w więzieniach, i na katordze. Ona miała szesnaście lat. Ech, jaka ona była piękna. Nawet Mickiewicz nie potrafiłby jej opisać.

Nie będę wam opowiadał, jak po raz pierwszy się z nią kochałem na polanie pod Warszawą, jak zerwałem kwiat jej dziewczectwa. Lepiej przejdę od razu do rzeczy. Razem działaliśmy w konspiracji; ona i ja. W konspiracji. Ona i ja. Aresztowali mi ją. Aresztowali. Wpadli do jej mieszkania na Starym Mieście, gdzie mieszkała na poddaszu. Zajmowała małą, oddzielną komórkę łączącą się z facjatą jej bratowej, Kasprzakowej, której męża powiesili.

Bolesław zwrócił uwagę, że mówiąc, Feliks powtarza wyrazy, jakby nie potrafił poprawnie składać zdań. Ale nie przerywał. Paliła go bowiem ciekawość.

– Wyłem jak wilk. Wybiegłem z tej izdebki, jakbym spadał w przepaść. Chciałem zburzyć całe miasto, byle tylko ją uwolnić. Gdybym kiedyś miał taką władzę jak dziś... Sprawdziłem Pawiak,

Daniłowiczowską i pawilon X w Cytadeli. Byłem u adwokatów. Chciałem dać sam siebie, byle ją uwolnili. Krążyłem przed więzieniem dzień i noc. W końcu mnie złapali. Czy sam im w łapy wlażłem, byle tylko być z nią? Już dziś nie pamiętam.

Odrzucił ze wstrętem pustą butelkę i mruknął:

– Nie lubię pustych naczyń.

Sięgnął pod biurko po następną i zachęcał do picia:

– Pijcie. Bo na trzeźwo ciężko tego nawet wysłuchiwać, a mnie wspominać.

Torturowali mnie, żeby wydusić nazwiska towarzyszy. Wyprowadzali mnie boso na czterdziestostopniowy mróz na spacer. Szło się po gładkich kamieniach, aż skóra schodziła ze stóp. Ale byłem twardy. Kamień byłby miększy ode mnie. Ale znaleźli sposób. Pewnego dnia, jakoś trzy miesiące po uwięzieniu, wprowadzono mnie do celi piwnicznej, bez okien. Między więźniami chodziły od dawna słuchy, że tu odbywają się tortury specjalne. Nic to, myślałem. Zabiję któregoś z oprawców, a nic nie powiem. Ale pozostawiono mnie samego. Znalazłem jakiś tapczan i zaczęły się dla mnie długie godziny oczekiwania. Nie wiedziałem tylko na co. Zasnąłem. Obudziłem się w chwili, gdy poczułem, że nie powinienem spać.

Feliks patrzył błędnym wzrokiem w kubek.

– Zobaczyłem światło w drugiej celi, tej, od której oddzielały mnie drzwi bez zawiasów. Podbiegłem do kraty. I co widzę? Naprzeciw niej stoi drugi tapczan więzienny. Otwierają się drzwi tamtej celi. Nie wierzę. Widzę moją Zosię. Ale jakąś inną. Błądą, śmiertelnie wymizerowaną. Widzę, jak idzie, niczym otumaniona. Chwytam się konwulsyjnie kraty. I nie wierzę. Nie wierzę, że to może być rzeczywistością...

Przerwał na chwilę, by rozlać następną kolejkę. Wiera chwiała się już na wpół świadoma, ale Tomasz podstawił swój kubek co prędzej. Wieniawa podsunął też swój tak, że stykały się bokami.

– Rzucił ją na łóżko... Próbowałem wyłamać kratę... Za mocna. Gwałcił ją na moich oczach. Gryzłem kratę do krwi. Wyłem. A on tylko pytał o nazwiska moich towarzyszy. Nie chciałem patrzeć, ale musiałem. Jakaś siła trzymała mi oczy otwarte. Patrzyłem i dopatrzyłem.

– Powiedziałeś mu te nazwiska? – spytał Tomasz, po raz pierwszy włączywszy się do rozmowy.

– Nie – odparł dumnie.

Wypili po kilka głębszych, osuszając butelkę do dna.

Feliks wydobył następną.

– To już trzecia – zauważył Bolesław.

– Już tak późno? Ale zaczekajcie, zaraz będzie koniec.

– Spotkałeś ją jeszcze kiedyś? – pytał Wieniawa, autentycznie zafrasowany.

Jego wrażliwa, poetycka dusza kazała mu zapomnieć, że siedzi przed nim wróg. Teraz widział w nim tylko nieszczęśliwego człowieka. Zaczynał go rozumieć i mu współczuć.

– Tak – odparł głucho Feliks. – Spotkałem. Ale bodajbym jej nie spotkał. Mógłbym ją wtedy pamiętać taką, jaką była, a nie – jaką się stała. Ale po kolei.

Nalał i wypili.

– Po tamtym aresztowaniu siedziałem w najróżniejszych więzieniach aż do wybuchu rewolucji. Wtedy tłum szturmował więzienia, więc odbito i mnie. Lenin mianował mnie szefem Czeki. Ale ja nie miałem do tego głowy. Szukałem mojej Zosieńki. I nie tylko jej. Szukałem też mojego dziecka, które urodziła. Chciałem je zobaczyć, ale naczelnicy kolejnych więzień odmawiali mi tego. Znam ich nazwiska – rzucił jakby mimochodem. – Znalazłem ją – mówił z trudem. – W burdelu. W Moskwie. W mojej Moskwie. Jedyną kobietę, którą ja kochałem, mógł mieć każdy za parę kopiejek. – Wybuchnął strasznym śmiechem. – Wpadłem tam

z moimi ludźmi. Do jej barłogu. O, jak zbrzydła. Czym się stała! Alkoholiczka.

„Ty tu?” – pytałem.

„Ja tu” – odparła. „No cóż... rozbieraj się, pogadamy”.

Feliks dyszał ciężko jak po nadmiernym wysiłku, ale nie przestawał rekonstruować tamtej sceny przed oczami słuchaczy.

„Co z moim... z naszym synem? Co z nim zrobiłaś?”

„Nie pytaj” – odparła. „Dawno go ryby zjadły”.

Zrozumiałem. Ale jeszcze chciałem ją ratować.

„Kobieto...” – mówiłem. Nie mogłem nazwać jej Zosią, bo ona dla mnie umarła, tam wtedy, w tamtej chwili. „Zapomnę. Wróc ze mną. Staniesz się dawną Zosią. Ze mną. Zapomnę” – przekonywałem.

A ona stała nade mną w bezruchu.

„Zosiu, najmilsza!” – ryknąłem w rozpacz. „Zapomniałaś?! A nasze wyznania? Wiersze, które ci pisałem? Nasze noce? Czy to wszystko nic już dla ciebie nie znaczy?”

„Co miałam zapomnieć? Biedę z nędzą, które życie przędzą?” – odparła szyderczo. „Rób swoje i płąć. Albo wynoś się. Każdy z was, rewolucjonistów, ma w zanadrzu piękne słówka, którymi robotników na wiecach porywa, ale groszem nie śmierdzi”.

Spojrzał w oczy swoim słuchaczom; zatrzymał spojrzenie na pochlipującej ze wzruszenia Wierze.

– Nie wiedziała, że jestem teraz kimś potężniejszym od Boga. Że cała Rosja była teraz na moje jedno skinienie, jak ja byłbym kiedyś dla niej. Ale ona wyrzekła się mnie. Uwolniła mnie. Zabrała serce. – Uderzył się w pierś. – Tam już nic nie ma. Używam go zgodnie z naturą, tylko do pompowania krwi. Zabiłem ją wtedy. Tę karykaturę Zosieńki. Pochyliłem się nad jej ciałem, umoczyłem usta w jej krwi i powiedziałem sobie:

„Za tę krew twoją ja z miliona ludzi tutaj wytoczę, tak mi śmiercią swoją niewinną, Zosiu, dopomóż”.

Struchleli. A on kończył:

– Tak słowa dotrzymuję. Wiem, że już niedługo. Kaci rewolucji długo nie żyją. Ale póki żyję, zemsta jest rozkoszą bogów. Żaden Polak nie zabił tylu Rosjan. Ale największą przyjemność sprawiło mi zabicie tamtych z celi mojej Zosi. Z tych, co ją do tego doprowadzili, nikt już po ziemi nie chodzi. Szukałem ich po całym świecie i znalazłem. Ostatni był ten żandarm z celi.

Podniósł się z trudem. Wypity alkohol mocno szumiał mu w głowie. Obiema dłońmi wsparł się na biurku. Otworzył jedną z szuflad i wyjął z niej niewielki sygnet z rubinem w oku. Przesunął go w stronę Tomasza. Patrzył przez chwilę, jak toczy się po blacie.

– Weź go na pamiątkę naszego sympozjum – rzekł. – Ten sygnetek ustrzeże ciebie i twoich od przygody, gdy mróz nadejdzie ze wschodu. A pogoda zaczyna się zmieniać. Ty, Wieniawa, nigdy nie wyjawisz, dlaczego ci pomogłem. Rozgłaszaj wszędzie, że to żona mojego adwokata wpłynęła na mnie, bym okazał ci łaskę. I czekaj na mnie w Warszawie. Niedługo się spotkamy.

Wyszli odurzeni alkoholem i tym, co usłyszeli.

– Co on mówił, jaka zima teraz, kiedy ku wiośnie właśnie idzie? – mruczał Tomasz, obracając sygnet na małym palcu. – Upił się chyba. – Spojrzał na Wieniawę tak, jakby od niego miał usłyszeć rozwiązanie tej zagadki.

Ten jednak bez słowa podał mu Wierę, która leciała mu przez ręce, po czym sam wskoczył na konia i pomknęli ku Niemnowi.

Jechali długo, milcząc. Jedyнным odgłosem, jaki mącił ciszę, był stukot kopyt i chrapanie Wiery, którą Tomasz trzymał przed sobą na kulbace. Jechali krajem w większej części spustoszoneym przez wojnę i bezludnym. Jak okiem sięgnąć widzieli tylko morze śniegu, spod którego nieśmiało powoli wynurzały się trawy. Wieniawa milczał, bo wpatrywał się w gwiazdy, ustalając za ich pomocą odpowiedni kierunek. Tomasz milczał, bo pilnował Wiery, która

chwiała się na kulbace niczym Żyd na modlitwie. Musiał więc być uważny, by mu nie spadła pod końskie kopyta, co łatwo mogło się zdarzyć, gdyż lecieli cwałem. Na szczęście Dzierżyński podarował im dobre konie i w dwie godziny zobaczyli, a raczej usłyszeli, trzaski na Niemnie.

– Odwilż idzie – szepnęła Tomasz. – Jeszcze dzień i kra się ruszy... Trzeba nam próbować...

Nie dokończył... Podniósł się w strzemionach i dostrzegł wysuwających się zza niewielkiego pagórka jeźdźców sowieckich. Było już jednak za późno, żeby się wycofać. Sowieci rozpuścili konie w skok i gnali ku nim. A jeden z nich strzelił niby dla postrachu, ale kula wymierzona była. Trafiała Wierę prosto w pierś. Dziewczyna rozłożyła tylko ręce i padła bokiem na ziemię.

Ta kula była dla mnie – pomyślał Tomasz. Włos zjeżył mu się na głowie z wściekłości. Dobył szabli i leciał z bronią wzniesioną do cięcia, z obłędem w oczach. Przy nim gnał Wieniawa. I on zrozumiał, że śmierć idzie. Ale sławę swą żołnierską kochał nad życie. Ich konie gnały z rozwianymi grzywami, a ziemia umykała im spod kopyt. Dostrzegli las karabinów, które celowały w ich piersi. Obaj skryli się za końskimi grzywami. Salwa gruchnęła strasznym błyskiem i zakryła ich siwym obłokiem dymu.

Wynurzyli się z niego straszni, obłąkani, z szaleństwem w oczach. Wpadli między nieprzyjaciół. Tomasz z furią gasił żywoty ludzkie. Rzucał się ku wrogom i ścinał ich. Przy nim szedł Wieniawa, pilnując mu boku. Obaj siekli bez miłosierdzia. Krew obryzgała ich twarze, trupy utworzyły wielki stos pod kopytami ich koni. Końskie kopyta miażdżyły rannych. Jęki i krzyki walczących wzbijały się pod niebiosa. Szaleństwo tego napadu odebrało bolszewikom odwagę. Oddawali życie prawie bez walki.

Lecz zaraz przyszli do ładu i zaczęli okrążyć obu szaleńców. I pewnie drogo by im przyszło za to szaleństwo zapłacić, gdyby nagle od strony Niemna nie pokazały się konie. Wieniawa

spozstrzegł je pierwszy, ale myślał, że to wrogowie. Wciąż machał szablą z zacięciem, osłaniając Tomasza, na ile się dało. Już czuł znużenie w ręce. Poczuł, że krew zaczyna z niego uchodzić. Wzrok zaczął mu się zaćmiewać krwawą mgłą. Czuł furję. Bił z wściekłością.

I nagle poczuł głucho uderzenie, po czym spadł z konia. Tomasz walczył jeszcze przez chwilę, ale i on nie utrzymał się na zwierzęciu, a fala wrogów pokryła go zupełnie.

• • •

Bolesław otworzył oczy. Spozstrzegł pochylonego nad sobą żołnierza.

– Wieniawa-Długoszowski? – spytał ten, nalewając mu wody do ust z manierki.

– Tak – odparł, gdy po kilku łykach mógł silniej odetchnąć.

– Jerzy Dąbrowski. Dowódca ochotniczego oddziału jazdy. Dawna Samoobrona Wileńska. Po kapitulacji miasta nie złożyliśmy broni, tylko szarpaliśmy bolszewikom tyły.

Chwycił Wieniawę za rękę i pomógł mu wstać.

– Co z moim przyjacielem? Żyje?

Na twarzy Bolesława odbiła się niepewność; wbił spojrzenie w pytanego w niemym oczekiwaniu.

Twarz Jerzego rozjaśnił uśmiech.

– Żyje. Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Jeszcze moment i byliby was posiekali na plasterki. A tak, do wesela się zagoi. Przegnaliśmy bolszewików. Jeszcze nie widziałem, żeby dwóch na tyłu uderzyło. Nie na darmo tyle o panu mówią. – Nieklamany podziw zabrzmiał w jego głosie.

– Dziękuję. Ale skąd wy tutaj?

– Naczelnik kazał robić wypadu poza front i przywieźć pana, choćby w juku.

– Jaki ja tam pan? Wieniawa.

Podali sobie ręce. Długoszowski od razu wybrał się na poszukiwanie Tomasza. Znalazł go z zaciętością kopiącego grób. Obok napoczętego wykopu leżało ciało Wiery. Długoszowski bez słowa chwycił drugą łopatę i wziął się do pomocy. Pracowali, aż pot zalewał im oczy, a odciski porobiły się na palcach. Ziemia była bowiem jeszcze zamrznięta. Następnie Tomasz ułożył Wierę w mogile. Zasypali ją szybko, utwardzili kamieniami, by zwierzęta nie dobrały się do zwłok. Ukłękli i modlili się przez chwilę nad jej grobem.

– Nie mamy nawet z czego krzyża zrobić – rzekł Tomasz. – Zresztą nie wiem, czy ona nie prawosławna. Nic o niej nie wiem. Dobrze, że ci twoi mieli przynajmniej łopatę do kopania latryn, bo inaczej psy by jej kości rozniosły. – Zapłakał.

– Na sądzie ostatecznym każdy swoje kości znajdzie. A ty co myślisz teraz robić? – spytał Tomasz Długoszowski.

– Babę sobie wezmę. Dom chcę mieć, jak inni – odrzekł.

Przyjaciół położył mu dłoń na ramieniu.

– Możesz zostać ze mną, skoro tam u ciebie nie wiadomo, jak jest. Potrzebuję dobrych żołnierzy, lepszego trudno by mi było znaleźć. Babę i dom też ci znajdę. – Uśmiechnął się pod wąsem. – W Warszawie jest tego cały tabun.

– Mnie potrzebna kobieta robotna, a nie miastowy kwiat – odrzekł Tomasz. – Nawojowałem się już i dosyć mam tułaczki. Poza tym ojcowizna rzecz święta.

– Jak chcesz. Pamiętaj, co ci przyrzekłem. Gdybyś potrzebował pomocy, w czymkolwiek, przyjedź do mnie. I pamiętaj, że obiecałeś mnie odwiedzić.

Pół godziny później oddział Dąbrowskiego przeprowadził się przez skutą lodem Niemen. Na drugim brzegu rozciągała się Polska. Tomasz odwrócił się i patrzył długo na dobrze widoczny

w promieniach wschodzącego słońca grób Wiery. Dwie łyżki stoczyły
mu się po policzkach...

Rozdział VIII

Pierwsza wieść o wykryciu tajnej operacji Wiosenne Słońce przez polski wywiad wprawiła Hindenburga w taką wściekłość, że nikt z jego najbliższego otoczenia nie śmiał przez dobę zbliżyć się do niego. Opowiadano sobie szeptem, że w gniewie ciął nożem biurko i rzucał tym, co wpadło mu w ręce. Wazy z czasów dynastii Ming nie były bezpieczne. Służba kryła się przed nim po kątach, byle tylko nie wpaść mu pod rękę. Jakkolwiek sytuacja polityczna nie była godna pozazdroszczenia, to berlińska śmietanka towarzyska, a zwłaszcza ludzie, którzy nie byli zbyt przychylnie ustosunkowani do marszałka, mieli setną uciechę.

Ale stary marszałek miał wielkie powody do gniewu, a nawet rozpacz, porażka ta bowiem sprowadziła na jego głowę całą burzę polityczną. Najpierw Foch, który jawnie zmobilizował swe siły, stawiając je z bronią u nogi na linii frontu. Wiedział, że stary głupiec blefuje, ale nie stać go było na „sprawdzam”. Potem kanclerz odciął się od niego z obawy, by nie pociągnął go za sobą na polityczne dno. Skompromitowany, zaszył się w swym pałacyku w Ogrodzieńcu i czekał, aż sytuacja nieco się unormuje.

Siedział teraz na leżaku naprzeciw błotnistego stawu, po którego powierzchni pływała rzęsa. W lewej ręce trzymał bambusowe wędzisko i dość tępym wzrokiem wpatrywał się w leniwie kołyszący się na wodzie spławik. Ciepłe promienie słoneczne muskały go po srogiej twarzy, a pierzaste chmury przemieszczały się nad głową, napędzane lekkim zefirkiem. Lecz

on nie potrafił skupić się na podziwianiu piękna natury ani rezydencji Hindenburgów, która była w rękach jego przodków od prawie dwustu lat. Myśli jego błądziły wokół klęski, którą sam tak lekkomyślnie sprowadził na swoją głowę.

A przecież projekt był dobry. Śmiały i ryzykowny, lecz z pewnością – dobry. Oparł go na dogłębnej analizie politycznej i chłodnej kalkulacji. To prawda, że było w nim ryzyko. Lecz nawet kładąc się spać, ryzykujemy, iż się nie obudzimy. Uśmiechnął się gorzko. Ludzie małej wiary, gotowi pierwsi rzucić kamieniem, gdy zawiodłem. Lecz gdzie byli, gdy trzeba było ratować kraj? Gdzie byli ci, którzy teraz odsądząją mnie od czci i wiary, gdy komuniści podpalali kraj? To ja i moi ludzie wzięliśmy na siebie konieczność przelewania krwi rodaków, byle tylko ratować państwo. Chciałem podnieść Niemcy z upadku, nieznanym dotąd blaskiem przyozdobić, odzyskać nasze ziemie. I cóż za to dostałem? Ostracyzm. Wściekły uderzył wędką o lustro wody, aż bryznęła.

Nagle przysłonił oczy ręką i podniósł się nieco na leżaku. Patrząc pod słońce, dostrzegł idących wąską ścieżką, wciśniętą między wysokie kępy traw, dwóch ludzi. Uniósł brwi w zdziwieniu. Dawno nikt nie szukał z nim kontaktu. Jakby zaraza padła na jego pałacyk. A przecież jeszcze nie tak dawno pokoje i sale w jego rezydencji nie mogły pomieścić interesantów i petentów. Ale oni znikli, gdy tylko wydało im się, że stracił wpływy, dzięki którym mógł załatwiać intratne państwowe posady i urzędy. Teraz pałac stał się oazą spokoju.

Toteż z niemałym zdumieniem rozpoznał w jednym z idących pułkownika Waltera Nicolaia⁴. Znał go z dawnych czasów, gdy zgodnie współpracowali na froncie rosyjskim. To dzięki jego agentom i zdobywanym przez nich danym znał każdy ruch sztabowców Mikołaja Mikołajewicza. Walter imponował mu już wtedy swą wielką intuicją i darem przewidywania. To on nadzorował operację przewiezienia Lenina do Rosji, by siał tam

zamęt. Ale chyba nawet on nie przewidział, jak potężny ów zamęt się okaże.

Spojrzał na szczupłą twarz pułkownika, który trzasnął obcasami i stał przez chwilę na baczność. Towarzyszący mu młody człowiek trzymał się z tyłu, w postawie pełnej uszanowania, lecz przypatrywał się gospodarzowi z ciekawością niczym okazowi w zoo, co zdziwiło marszałka. Ciekawe, czy w jego oczach jestem tak samo przegrany, jak we własnych.

Machnął ręką w stronę pułkownika.

– Nie salutuj przegranemu – rzekł zaczepnie. – Przyszedłeś napłuć leżącemu w twarz czy go kopnąć?

Nicolai przykucnął na trawie, dając znać towarzyszącemu mu człowiekowi, by zrobił to samo.

– Ani jedno, ani drugie – odrzekł. – Przyszedłem cię podnieść i pocieszyć. Czemu się załamujesz? Czyż tobie jednemu zdarzyło się upaść? Nie. I dobrze o tym wiesz. Jeśli krzywisz się na kanclerza i wojsko, że odcięło się od twoich działań, to powiem ci jedno. Co mieli zrobić? Pochwalić cię za próbę ponownego wszczęcia wojny? Musieli zareagować tak, jak zareagowali. Inaczej skutki mogłyby być oplakane. A tak rana się zasklepi, a ból przeminie.

– Nie ciebie prasa miesza z błotem. Szarga nazwisko, którego właściciel mógł cieszyć się wszędzie szacunkiem od przeszło dziewięciuset lat. Wszyscy patrzą na mnie przez pryzmat tej sprawy. Jestem ulubionym obiektem salonowych żartów, którymi notoryczni uwodziciele zabawiają debiutantki na balach. – Spasował i mówił lekko zachrypniętym głosem. – Do tego tylko przydaje się dziś zwycięzca spod Tannenbergu.

Walter zadrżał. Idąc tutaj, spodziewał się znaleźć politycznego lwa, który tylko czeka na szansę, by w chwale powrócić na salony. Znał go przecież dawniej i wiedział, że nikt tak jak on nie potrafił przekuwać porażek w sukces. Robił to, zrzucając winę na kogo innego. Udawało mu się, ponieważ ludzie chcieli w nim widzieć

wcielenie wielkości. Tymczasem znalazł steranego życiem i załamane go niepewnościami dziadka. Czy zechce chwycić się oburącz możliwości, jaką mu ofiaruję? – pomyślał z niepokojem.

Spojrzał na Johanna Wolfa. Ciekawe, jak on widział Hindenburga. Ciekawe, czy zdołał w nim teraz zobaczyć niegdysiejszego króla pół bitewnych. Uradował się, że Johann wrócił z Poznania. Bardzo cenił i szanował tego oficera. Wiązał z nim wielkie nadzieje. Dlatego jego pierwszego postanowił ocalić przed rysującymi się w niedługiej perspektywie zwolnieniami. Nie wyobrażał sobie, by tak utalentowany i perspektywiczny młody oficer miał szukać pracy poza wojskiem. Gdzie miał ją znaleźć, jeśli w ogóle nie miał w ręku fachu, który umożliwiłby mu podjęcie pracy zarobkowej w cywilu? Miał cierpieć głód tylko dlatego, że Francuzi pragnęli ich upokorzyć? Wiedział, że w podobnej sytuacji jest bardzo wielu ludzi, ale nie wszystkim mógł pomóc. Dlatego pragnął ocalić przynajmniej najlepszych. Ale do tego potrzebował pomocy Hindenburga.

Chrząknął.

– Naprawdę przejmujesz się opiniami ludzi, których nazwiska zaginę, gdy tylko umrze ostatni potomek ich lędźwi? Języki są bronią ludzi małych i małosłownych. To tacy jak ty czy ja kreują świat. A czy sądzisz, że mnie się wszystko udaje? Nie zapobiegłem rewolucji w Berlinie, którą ty z trudem musiałeś tłumić. Nie wykryłem na czas wprowadzania przez Francuzów czołgów, a i gra z Leninem, którą wszcząłem, wymknęła mi się spod kontroli. O tak, lista moich klęsk jest wyjątkowo długa i bolesna. A i twoja właściwie jest moją.

Johann uśmiechnął się, słysząc ostatnie słowo. Ceniał pułkownika Nicolaia i uważał za kogoś w rodzaju mentora. To on wybrał go spośród setek oficerów, choć był synem prostego karczmarza spod Frankfurtu, a ci, którzy z nim rywalizowali, mogli poszczycić się przedrostkiem *von* przed nazwiskiem.

A jednak pułkownik wybrał właśnie jego. Starał się, by nigdy nie musiał żałować tej decyzji. Uczył się pilnie, ale spostrzegł, że nigdy nie dorówna swojemu przełożonemu.

Dostrzegł, że twarz marszałka pojaśniała. Widać bardzo chciał podzielić się z kimś swoją klęską. Poderwał się z leżaka i rzekł powoli, z namysłem:

– Jak mam to rozumieć?

Nicolai starannie ukrył ogarniającą go radość. Wiedział, że jest już blisko celu. Znał Hindenburga lepiej niż on sam siebie. A nikt tak jak on nie potrafił manipulować ludźmi. Obojętnie, czy kierował poczynaniami ludzi przeciętnych, czy wybitnych jednostek. To był jeden z wielu jego talentów, w którym osiągnął mistrzostwo. Innym było inspirowanie.

– Och. Sądzisz, że Polakom o Wiosennym Słońcu zaśpiewały słowiki? Jesteśmy wywiadem o ponad trzydziestoletniej tradycji i naprawdę nie lubimy przegrywać z dzieckiem, które w kołysce macha grzechotką. – Uśmiechnął się do własnego porównania. – Musimy znaleźć źródło przecieku, by podobne sprawy nie zdarzały się w przyszłości. Przedstawiam ci Johanna Wolfa, który właśnie wrócił z Poznania. To, co mówi, pozwoliło mi rzucić nowe światło na tę sprawę.

Johann przysunął się szybko i pochylił głowę. Rozumiał już bowiem, że Hindenburg bardzo był wrażliwy na punkcie czci własnej. Bezpieczniej było się przed nim poniżyć, by nie być przez niego z powierzchni ziemi zmiecionym.

Hindenburg nie zwrócił jednak na jego ukłon najmniejszej uwagi. Pobladł tylko i syknął przez zaciśnięte zęby:

– Skoro był w Poznaniu, to musiał wiedzieć, na co się tam zanosz. A jeśli nie wiedział, to znaczy, że źle wypełniał swoje obowiązki. Przez niego dałem się zaskoczyć biegowi wypadków i musiałem działać pod presją. Jeśli masz więcej takich zdolnych oficerów, to nic dziwnego, że wojna przybrała taki obrót.

Johann zdębiał. Wiedział, że Hindenburg szuka winnych swojej porażki. I pies wściekły sam siebie nie kąsa, tylko drugich – pomyślał. Ale rozumiał, że sytuacja przybrała dla niego wyjątkowo niekorzystny obrót. Znalazł się między młotem a kowadłem. Wprawdzie mógł bronić się przed zarzutami o niedbalstwo, pokazując meldunki, w których raportował do centrali o wzroście niepokojów w Wielkopolsce, ale oznaczałoby to krytykę szefa, który nie reagował na jego alarmujące raporty. Mógł ukąsić swojego szefa, ale nie zagryźć. Nicolai byłby niełatwym przeciwnikiem, nawet dla Hindenburga. A jemu zapamiętałby zniewagę. Poza tym nie miał zamiaru ratować swojej skóry kosztem cudzej.

Spojrzał na pułkownika, jakby od niego oczekiwał wsparcia.

Walter uśmiechnął się.

Musiał być pewien swoich ludzi. Zawsze dobierał ich tak, by mieć gwarancję, że nie sprzedadzą go nawet pod wielką presją. A czy można sobie wyobrazić większy nacisk niż gniew jednego z najpotężniejszych ludzi w państwie? Znał wielu, którzy zrzucaliby winę na wszystko i wszystkich, byle od siebie uwagę groźnego człowieka odwrócić. Był zadowolony, że Johann zdał ostatni test. Teraz miał dowód, że nie pomylił się w jego ocenie.

– To mój człowiek i ja go sądzić będę, nikt inny – odparł nieznoszącym sprzeciwu tonem. – Zresztą nie czas teraz na rozliczenia, bo są sprawy, którymi pilnie zająć się trzeba.

Hindenburg sapnął. Ale rozumiał, że Nicolai ma słuszność. Poza tym nie chciał wdawać się z nim w konflikt. Pułkownik słyszał bowiem z tego, że zawsze chronił swoich ludzi. A jako szef tajnej służby wiedział dużo – o wszystkich i wszystkim. O jego tajnym archiwum opowiadano sobie prawdziwe legendy. Niczym o mitycznym skarbie strzeżonym przez smoki. Wprawdzie nikt z tych, którzy o nim mówili, nigdy nie widział go na oczy, ale

wszyscy byli pewni jego istnienia. Hindenburg nie był w tym względzie wyjątkiem.

Dlatego rozpogodził twarz i odprawił Johanna. Ten szybko stanął za plecami swojego szefa i natychmiast poczuł niemal namacalną ulgę. Jako oficer wywiadu przywykł do poruszania się w cieniu. Miał swój własny świat, którego reguły znakomicie opanował. Tam był jego dom. Intrygi, spiski, śledztwa nie przerażały go. Ale w realnym świecie, tym, do którego duszą i ciałem należeli zwykli ludzie, okazywał się bezbronnym. Nie potrafił kontaktować się z politykami. Wolał te sprawy pozostawiać ludziom pokroju pułkownika.

Po chwili rozmowa wróciła na poprzednie tory.

– Czy dobrze rozumiem, pułkowniku, że nie przybyliście tu tylko po to, by mnie pocieszyć w strapieniu? Rozumiem, że sprawę macie do mnie.

Nicolai skinął głową.

– I to niejedną – potwierdził. – Zapewne z równym niepokojem patrzymy na Wersal, więc pewnie wiesz, co się tam dzieje.

Marszałek wyduł wargi w geście lekceważenia, ale oczy rozbłysły mu wściekłością.

– Nie można obrażać się na rzeczywistość – zaczął czym prędzej Walter, bojąc się, by starzec znowu nie wybuchnął gniewem. – Trzeba zręcznie naginać ją do własnej woli. A jeśli się nie da, to przynajmniej zmniejszać rozmiary porażki. Francuz dąży do niemal całkowitego zlikwidowania naszego wywiadu ofensywnego. Ich zdaniem naszemu państwu w zupełności wystarczy tajna służba, której zadaniem będzie tropienie wywrotowej działalności własnych obywateli. Wiesz, boją się komunistycznych haseł.

– I chyba nie będziesz się temu spokojnie przyglądał? – wypalił Hindenburg wściekle. – Nie lepiej będzie dogadać się z Sowietami? – Tu spostrzegł, że się zdradził, ale nie miał wyboru,

więc brnął dalej: – Mamy dać się spokojnie zepchnąć do rangi wasala Francji?

– Mówisz o Sowietach, a kto ci zaręczy, że rozzuchwaleni powodzeniem w Polsce, nie zechcą zwiedzić Berlina? To niebezpieczna gra. Anglicy szybko redukuje swoje oddziały, żeby ich żołnierze nie przenieśli czerwonej zarazy na wyspy. Amerykanie pakują walizki i wyjeżdżają za ocean. Polska odrodzona po stuleciu państwowego niebytu nie będzie dla nich przeszkodą. Przestań palić fajkę na becze z prochem i nie wysyłaj więcej ludzi do Radka. Na mój rozkaz odebrano mu wszelkie przywileje.

Z pewnym rozbawieniem śledził, jak twarz marszałka czerwienieje z gniewu. Jak z trudem łapał powietrze, niczym ryba wyjęta z wody. Drżącymi palcami rozpiął kołnierzyk munduru, by wziąć głębszy oddech. Sapał przez chwilę niczym miech kowalski. A odzyskawszy oddech, rzekł przerywanym głosem:

– Więc ty wiesz...? I co zamierzasz z tym zrobić? Pójść do kanclerza? Wiesz, że to będzie mój koniec. Nie podniosę się po dwóch klęskach. Przyszedłeś święcić swój triumf nade mną?

– Gdybym istotnie miał taki zamiar, toby tu nie przychodził – stwierdził Nicolai. – Ty i ja mamy wspólny cel: wielkość Niemiec. Tylko że tobie brak cierpliwości. Nie rozumiesz, że w obecnej sytuacji musimy bardzo uważać?

– Moje plany były dobre. To twój wywiad pokpił sprawę. Pod twoim nosem działa polska agentura. A może i rezydentura... To jest mój warunek. Chcę wiedzieć, kto i jak przejrzał nasze plany. Masz wskazać mi drogę, a także człowieka, który nią szedł.

– Grałeś kiedyś na giełdzie? Gdy ktoś ma mały kapitał, nie może wchodzić w inwestycje, które mogą wprawdzie dać mu wielkie zyski, jeśli się powiodą, ale i zakończyć się ogromnymi stratami, gdyby coś poszło nie tak, jak powinno. Tu był twój błąd. Nas absolutnie nie stać na to, by ponosić jakiegokolwiek straty. Co do

Polaków – odwrócił się w stronę Johanna – przedstawiam ci człowieka, który poprowadzi to śledztwo.

Johann przełknął głośno ślinę, modląc się, by nikt tego nie usłyszał. Była to sprawa, na jaką zawsze czekał. Nie był jednak pewny, czy już do niej dorósł. A wiedział, że ani pułkownik, ani tym bardziej Hindenburg nie darują mu porażki. Była to jedna z tych spraw, które rozstrzygają o dalszych losach oficerów wywiadu. Wiedział o tym i przygotowywał się do tego momentu przez całe dorosłe życie. Temu służyły wszystkie szkolenia i wykłady. Ale czy go one faktycznie przygotowały?

Z trudem zapanował nad sobą i ukrył rozterki. Ale nie było to konieczne. Hindenburg i Nicolai rozmawiali ze sobą, jakby jego w ogóle tu nie było. Nigdy się tym nie przejmował, a teraz nawet był im za to wdzięczny. Potrzebował bowiem chwili wytchnienia, by móc się uspokoić.

– Dostanie najlepszych ludzi – mówił pułkownik. – Ale to rzecz przyszłości. Takie sprawy lubią bowiem ciszę. My mamy inne problemy, które dobijają się o naszą uwagę. Jeśli Francuzi wprowadzą do traktatu praktyczną likwidację naszego wywiadu, to będę musiał pozbyć się mnóstwa ludzi; prawie całej fachowej kadry. Ale na to nic nie mogę poradzić. Francuzi przepchną w Wersalu, co tylko będą chcieli. Mogę uratować jedynie najważniejszych. Musimy przechować mózg wywiadu na lepsze czasy.

– Oczekujesz w tym mojej pomocy – stwierdził Hindenburg. – Oczywiście nie odmawiam, tylko proszę o szczegóły.

– Znasz swój sztab jak nikt inny. Chcę, żebyś utworzył w nim jeszcze jedną, dodatkową komórkę organizacyjną. Ale musisz to zrobić tak, by umknęła ona uwadze francuskich komisji rozbrojeniowych. Szczegóły i sprawy techniczne omówią nasi oficerowie. Teraz potrzebuję jedynie twojej zgody.

Hindenburg zastanawiał się przez dłuższą chwilę. Operacja, którą przedstawiał mu Nicolai, była z pewnością obarczona dużą dozą ryzyka. Wystarczy jeden błąd, jeden moment nieuwagi, by Francuzi zwęszyli, że coś jest nie tak. A będą węszyć na pewno – pomyślał gorzko. W końcu na pewno wykorzystają okazję, by bezkarnie panoszyć się na niemieckim terytorium i wściubić nos we wszystkie ich tajemnice. Nie mógł strawić tej myśli. Była nieznośna.

Nicolai nigdy nie postawił na złego konia. Odkąd pamiętał, on zawsze miał szczęście. Szło za nim jak cień za człowiekiem. Poza tym byłoby rzeczą nierozsądną zadzieranie z szefem wywiadu i kontrwywiadu, gdy chodziło o tak niewielką przysługę. Bo właściwie niczym nie ryzykował. Przecież zawsze mógł odwrócić od siebie odpowiedzialność, podczas gdy sukces dałby mu paliwo polityczne potrzebne do powrotu do gry.

Tak – pomyślał – jeszcze pokażę tym wszystkim pismakom, co znaczy układać literki w nieprzemyślane zdania.

Przez chwilę przed oczami stały mu wyobrażenia kar, na jakie ich skaże. Wydawało mu się, że nie ma dość okrutnych, aby były wystarczające. Nikt dotychczas nie zszargał tak jego nazwiska. Dużo by dał, by sprawcy tego upokorzenia znaleźli się wreszcie w jego rękach. Spokojnie splótł dłonie na brzuchu i rzekł:

– Dobrze. Zlecę moim ludziom poczynienie odpowiednich przygotowań. – Przyglądał mocno przeredzone i posiwiałe włosy. – Jednak są też inne kwestie. Sytuacja na Śląsku ulega coraz większemu zaostrzeniu. Nasi dyrektorzy kopalń donoszą, że polscy górnicy dopominają się o wypłaty. Ten cholerny Korfanty i jemu podobni głoszą otwarcie chęć oderwania tamtego regionu od macierzy. Chcą pójść drogą Wielkopolski.

Hindenburg zacisnął zęby. Zdawał sobie sprawę ze znaczenia Śląska. W końcu to tam znajdowało się drugie płuco niemieckiego przemysłu. Odbudowa potęgi Niemiec bez śląskich kopalń i hut

byłaby dużo trudniejsza, o ile w ogóle byłaby jeszcze możliwa. Nie mówiąc już o tym, że ich przejęcie dałoby Polakom bazę przemysłową konieczną do zbilansowanego rozwoju. Polska przestałaby już być krajem typowo rolniczym, a w niedalekiej przyszłości mogłaby się stać przemysłową potęgą.

– Spokojnie. Sytuacja na Śląsku jest wprawdzie mocno napięta, ale trzymam rękę na pulsie – zapewnił Walter. – Nasi śląscy przemysłowcy już zbierają pieniądze na uformowanie ochotniczych oddziałów gotowych walczyć za ich bogactwa. Polakom też sytuacja nie jest na rękę. Sądzę więc, że będą dążyli do deeskalacji napięcia.

– Nie zechcą pójść za ciosem? – pytał Hindenburg niedowierzająco.

Nicolai usiadł na wolnym leżaku i wystawił bladą twarz do słońca.

– Chcieliby, ale nie mogą. Słyszałeś już zapewne, że ich wojska zderzyły się z Sowietami. Teraz wojna jest jedynie kwestią kilku ciepłych dni. Nie stać ich na posłanie na Śląsk choćby jednego bagnetu w sytuacji, gdy na wschodzie gromadzą się wojska sowieckie. Dlatego będą tonować nastroje. I my powinniśmy zrobić to samo.

Hindenburg aż poderwał się i klasnął w ręce ze złości. Przez chwilę patrzył ponuro na staw, który leniwie toczył swe wody. Z wściekłością wyjął i zanurzył wędkę, nawet nie patrząc na haczyk.

– Niby dlaczego? – zapytał napastliwym tonem i dorzucił: – Jeśli pozwolimy Polakom odnosić kolejne sukcesy, to niedługo będą im musiał oddać i tę rezydencję, bo wyciągną swoje brudne łapy i po Mazury. To lepiej od razu oddać im Berlin, bo to kiedyś były słowiańskie ziemie. Przez taką postawę mamy to, co mamy. I przez Żydów. To oni zadali naszej walczącej armii cios w plecy.

Walter odwrócił się ze zdziwieniem w stronę Hindenburga i zamyślił się smutno.

Ot, do czego doszło. Najpierw oszukiwano społeczeństwo, zakłamując sytuację na froncie. Sam układał komunikaty i artykuły prasowe, w których wychwalał męstwo i ofiarność niemieckiego żołnierza oraz zapewniał, że zwycięstwo jest już blisko. To był wymysł kwatery głównej. Jeden z wielu głupich rozkazów, jakie w życiu wykonał. Czyż teraz można się dziwić, że ludzie są rozgoryczeni i wściekli na tych, którzy obietnicą rychłego zwycięstwa zachęcali ich do ponoszenia coraz większych ofiar na rzecz trwającej zbyt długo wojny? Czy ludzie pokroju Hindenburga, który pozwalał, by żądze i namiętności kierowały jego poczynaniami, kiedykolwiek pojmą, że nie staną się nigdy bogami?

Biedni Żydzi – pomyślał. Deszcz się spóźnia, Żyd winien. I czemu? Bo mądry. Bo nawet z kamienia pieniądź wycisnie. Że nieuczciwy w interesach? A kto jest w nich uczciwy? Każdy dąży do bogactwa za pomocą wszelkich środków, jakie ma do dyspozycji. Ale Żyd jest obcy, nie jest nasz, więc można mieć do niego pretensje o wszystko. Jeśli nawet tak obcy i wykształceni ludzie sięgają po tego typu prostackie argumenty, to czegoż wymagać od mas?

– Nie zapominaj, że w armii cesarskiej walczyło i walczy nadal miliony Żydów. Byli już tacy, co posyłali ich na stosy. I gorzko za to odpokutowali. Żydzi wyjadą, zabiorą swój kapitał, a my piasek na dnie skrzyni zobaczymy, a nie ich złoto – rzekł nie bez drwiny.

– Obwiniasz armię o klęskę? – pytał marszałek, a w kącikach jego ust zebrała się ślina. – Będę podsycał niepokój na Śląsku. Zmiażdżę polski ruch państwowy na tamtym terenie za pomocą żołnierskiego buta. Nasi przemysłowcy dostarczą gotówki na uzbrojenie ochotniczych oddziałów. Gdy zniknie kilkanaście tysięcy największych krzykaczy, wtedy ład zapanuje.

Tu uwagę Hindenburga zwrócił spławik, który zanurzył się i skakać zaczął na wodzie. Delikatnym ruchem kołowrotka zwinął żyłkę i zapomniał o wszystkim dokoła. W tej chwili myśl jego zaprzętało tylko to, co połykało haczyk. Twarz miał skupioną, a ręce mu drżały. Czuł uginanie się wędziska.

Byłe nie za wcześnie – myślał – niech się dobrze nadzieje na hak, gdyż inaczej gotowa się zsunąć. Ciągnął żyłkę i mocno trzymał, bo ryba walczyła jak wściekła. Przemieszczała spławik to w lewo, to w prawo. Próbował dostrzec ją przez lustro wody, ale widział tylko pochylony spławik, który gnał po powierzchni. Śledził go oczami, bardzo niespokojny. Żałował teraz, że nie ma w pobliżu podbieraka. Nie miał go ze sobą, bo nie spodziewał się, by o tej porze jakaś większa sztuka mogła na żer wyjść. Zadrzał z niepokoju, gdy zobaczył, że ryba umyka w porastające brzeg stawu chaszczce.

Na Boga! Gotowa splątać w tych łożach żyłkę – pomyślał i jął wściekle ciągnąć w przeciwną stronę. Twarz naszła mu krwią. Usta zacisnął, zębem zgrzytał i sapał jak miech. Pot zalewał mu oczy, a serce biło niespokojnie. Wędka wygięła się niebezpiecznie, ale porządne bambusowe wędzisko nie puściło. A i ryba musiała już poczuć znużenie, bo szarpnięcia powtarzały się z coraz większą częstotliwością i były coraz słabsze. Wreszcie Hindenburg przyciągnął ją do brzegu i szarpnął w górę.

Na końcu srebrnego haczyka wiła się ogromna, tłusta ryba. Paulowi, gdy tylko ją zobaczył, oczy zaświeciły się z żądzy. Rybołówstwo było bowiem jego wielką namiętnością. Od czasu, jak zaczął chodzić, lubił nade wszystko spędzać czas nad wodą, mocząc wędkę. Mógł też rozprawiać godzinami z błyskiem w oczach o wszystkim, co się łowiectwa tyczyło.

Nagle serce mu niemal stanęło. Spełniły się bowiem jego najstraszniejsze przeczucia. Ryba, która najwidoczniej nie nadziała się zbyt mocno na haczyk, zsunęła się i byłaby znikła w wodzie,

gdyby nie Johann, który od dawna już wszystko obserwował. Wcześniej pobiegł po podbierak i teraz wysunął go błyskawicznie. Ryba spoczęła bezpiecznie na dnie plecionej siatki.

Hindenburg poderwał się szybko i potrząsnął ręką Johanna, jakoby kogoś sobie równego. Jednocześnie patrzył w wyłupiaste oczy ryby, która poruszała pyszczkiem. I poczuł, jakby czyjaś ręka ścisnęła go za serce. Odwrócił co prędzej wzrok. Rybę smażoną uwielbiał, ale nigdy ani jej sam nie mordował, ani nie oprawiał.

– Chodźcie ze mną, panowie – powiedział Hindenburg. – Chętnie was ugoszczę pod moim dachem. Zobaczycie, jak smakuje smażona ryba. A mam do jej przyrządzania mistrza nad mistrzami.

I ruszył żwawo ku rezydencji. Walter i Johann pozostali nieco z tyłu.

– Naprawdę sądzi pan, pułkowniku, że jestem już gotów do tego zadania? – Oficer zadał pytanie, które paliło mu usta od dłuższego czasu.

Pułkownik zatrzymał się i chwytając go za ramię, odrzekł:

– Nikt tego nie wie. Przeniosłem cię na polski odcinek, byś tam uczył się wywiadowczej roboty. Nie będę ukrywał, że wiązę z tobą wielkie nadzieje. Zwłaszcza w walce z Polakami. Widziałeś Hindenburga. Jego niechęć do Polaków zaćmiewa mu osąd. Czyni go słabszym. Choćby teraz. Jak oceniasz strategię, jaką przyjął na Śląsku?

Johann zawahał się, nie chciał krytykować zwierzchnika całej armii. Rzucił spojrzenie za oddalającym się marszałkiem.

Nicolai spostrzegł to i uśmiechnął się zachęcająco.

– On nie zna Polaków – rzekł wreszcie Johann. – Sądzi, że złamie ich przemocą. A to błąd polityczny i źle obrana droga. Tylko ich zjednoczy. Czy on naprawdę sądzi, że Warszawa zamknie oczy i uszy na krzyk tych ludzi? Udzieli powstańcom pomocy. Bo oni będą walczyć. A my też sił nie mamy.

– Cieszę się, że nie zawiodłem się na tobie – odparł pułkownik. – Bo przeciwnika trzeba rozumieć, lubić i szanować. A nasi zwierzchnicy noszą zbyt wysoko głowy i śnią o miejscu na słońcu.

– Ja lubię tylko Polki – odparł Wolf z uśmiechem. – Piękniejszych kobiet jeszcze w życiu nie widziałem. Nic dziwnego, że Polacy tak ich bronią.

– No widzisz. A ja o tym właśnie mówię. Czyż Hindenburg kiedykolwiek przyznałby Polkom wyższość nad niemieckimi kobietami? A teraz kolejne pytanie. Dlaczego Polacy przyznali swoim kobietom prawo wyborcze?

Johann zamyślił się nad odpowiedzią, a na koniec palnął się w czoło i rzekł:

– Bo Polka potrafi z niczego zrobić zupełną awanturę. Po prawdzie to one są całkiem inne niż nasze. My swoje musimy trzymać jak ten cień, bo bez nas ich nie ma. A w Polsce, choć bywają i takie, to znajdują się i inne, które same pod nieobecność męża majątek poprowadzą i nie tylko go nie uszczuplą, ale i podwoją jego wartość. Sam poznałem taką. I powiem szczerze, że niejeden z naszych junkrów, który się ma za zawodowego gospodarza, powinien u niej bydło wypasać i uczyć się. Zanim przyjechałem do Poznania, to myślałem, że polskie majątki są na skraju bankructwa z powodu fatalnego zarządzania. Teraz widzę na jawie, że to wierutna bzdura.

– Nigdy nie wolno karmić siebie i innych fałszywymi wyobrażeniami o przeciwniku – ciągnął Nicolai poważnie. – Kiedyś obejmiesz polski wydział naszego wywiadu. Stanie się to może za kilka lat. Ale ta chwila nadejdzie. Dlatego teraz mówię ci: Rozglądaj się. Dobieraj ludzi. Bo nadejdzie jeszcze czas, gdy trzeba będzie odebrać to, co tracimy dzisiaj. Wydrzemy Polakom wszystko z gardła, razem z ich krwią. Ale jeszcze nie dziś. Jeszcze nie dziś. A teraz chodź, bo gospodarz pewnie już się niecierpliwi, a i ja pustkę w brzuchu czuję.

Willa Hindenburga do późna rozbrzmiewała okrzykami, brzękiem kieliszków i wybuchami śmiechu. I późno już było, gdy Johann wracał nieco chwiejnym krokiem do swej kwatery. W głowie szumiało mu marszałkowskie wino, którym ten obficie go zalewał, a na żołądku ciążyła mu ryba, którą rzeczywiście przyrządzono umiejętnie. Było mu przez to gorąco i nie mógł spać. Wiercił się więc na szerokim łożu z baldachimem, patrząc na księżyc, który wzeszedł na niebo i zaglądał do jego pokoju.

On zaś rozmyślał o swym przeznaczeniu. Był pewien, że kiedyś wróci do Polski. Myślał też trochę o czekającym go śledztwie, ale myśl jego była ciężka i leniwa. Zresztą zajmowały ją także i inne sprawy. Myślał o bracie człowieka, którego zabił. Zastanawiał się, czy kiedyś się spotkają. I kto wówczas zwycięży. Wreszcie owe myśli tak go zmęczyły, że znużony zasnął.

⁴ Szef niemieckiego wywiadu, który ocalił jego podstawowe kadry po traktacie wersalskim.

Rozdział IX

Kraków przyprawił Wiktora niemal o zawrót głowy. Samo miasto wydało mu się hałaśliwym rojowiskiem ludzi poruszających się we wszystkich możliwych kierunkach. Kilkakrotnie omal nie wpadł pod koła dorożki, gdy usiłował przejść przez ulicę. Obserwował ludzi jawnie żałujących Austriaków, z którymi zżyć się zdążyli. Było to dla niego szokiem niemałym, gdyż tam, skąd przyjechał, takie zachowanie rozpatrywano by niemal w kategoriach zdrady narodu. Ale tu wszystko było inaczej niż w Kongresówce i w jego rodzinnej Wielkopolsce. Austriacy pozwalali Polakom cieszyć się swobodą niedostępną ich rodakom w innych częściach podzielonego państwa. Toteż Wiktor z niemałym zdumieniem patrzył na pomniki bohaterów narodowych, które władze zezwoliły ufundować. Na polskie nazwy ulic, tu traktowane jako coś zupełnie zwyczajnego. Z przyjemnością wsłuchiwał się w polską mowę, której nikt nigdy tu nie zwalczał, więc posługiwali się nią wszyscy. I chłonął wszechobecną atmosferę swobody.

To pozwoliło mu zapomnieć o wzruszającym pożegnaniu na warszawskim dworcu. Bo oczywiście zarówno Lucyna, jak i Stasia odprowadziły go aż na stopnie wagonu, wcześniej jeszcze wręczając mu garść austriackich koron na drogę, które dał im dla niego pułkownik. W Polsce nie wprowadzono jeszcze jednolitego systemu monetarnego. Ale pułkownik myślał o wszystkim. Dostarczył mu też odpowiedni mundur i papiery wystawione na nazwisko, pod jakim miał występować na balu.

Szedł więc teraz na Podzamcze, bo zawsze chciał zwiedzić Wawel i okolice. Jednocześnie cieszyła go myśl, że ma na sobie galowy mundur, który zwracał uwagę kobiecych oczu. Bo choć z natury nieśmiały, lubił jednak wygrzewać się w blasku ludzkiego podziwu. Idąc ulicą Kanoniczą, obserwował piękne krakowianki, które rewanżowały mu się tym samym. Widział ich piękne parasolki, pod którymi ukrywały nieco blade oblicza i uśmiechy. Nie odpowiadał na nie. Szedł bowiem w kierunku ulicy Grodzkiej i placu Wszystkich Świętych, gdzie chciał zobaczyć kościół franciszkanów. Myślał też o Wawelu, ale obawiał się, czy starczy mu czasu i pieniędzy, wejście na Wawel było bowiem bardzo drogie. Dlatego postanowił zwiedzić sam kościół.

Zajęło mu to jakąś godzinę. Podziwiał zwłaszcza prezbiterium i sklepienia krzyżowo-żebrowe. Piękne, nieco mroczne wnętrze napawało go dziwną otuchą. Klęcząc z głową wspartą na oparciu ławki, słuchał ciszy. I czuł, jak spływa na niego spokój. Przestał żałować, że wysłał przez Stasię list pułkownikowi, w którym przekazywał wszystko, co ustalił odnośnie do Zofii. Takie postępowanie wydało mu się rozsądnym. A jednak nie mógł wyzbyć się dręczącego go uczucia niepokoju. Bo czy miał prawo rzucać na kogokolwiek takie podejrzenie? Przecież wiedział, co za to grozi. Opierał je tylko na podstawie własnych przeczuć i dowodów, które obali każdy porządny adwokat. A z drugiej strony: czy miał prawo nie zareagować? A jeśli ta kobieta naprawdę poszła na współpracę z jednym z wrogich wywiadów? Przecież nie mógł wykluczyć i takiej ewentualności. Co o niej wiedział? Nic. A jeśli nie ma racji, to rzetelne śledztwo z pewnością ją oczyści. On tylko zrobił swoje. Jako dobry obywatel i oficer tajnej służby.

Usłyszał szybkie, pośpieszne kroki. Uniósł oczy i zobaczył młodą kobietę w długiej sukni, która z zaczerwienioną od płaczu twarzą przebiegła obok niego. Wstał, jakby zamierzał to zrobić od

pierwszej chwili, i ruszył za nią, sam nie wiedząc dlaczego. Wyszedł na zalane wiosennym słońcem miasto i dostrzegł ją, jak biegnie ulicą Kanoniczą na Podzamcze i dalej na Bernardyńską, w kierunku Wisły. Straszne przecucie ścisnęło mu serce i ruszył za nią biegiem. Roztrzącał przechodniów i ścigany przez ich przekleństwa podązał za dziewczyną. Zwinnie manewrował między ludźmi, przeskakiwał nad wyrwami w jezdni.

Szybko wpadł na most wiślany łączący oba brzegi i dostrzegł dziewczynę, która stała na barierce i patrzyła w wodę. Podbiegł, ale nie krzyknął, by ze strachu nie zsunęła się w nurt.

– Nie rób tego – powiedział łagodnie.

– Niby dlaczego?! – warknęła.

– Bo woda jest zimna – mruknął.

– Jak zimna? – zapytała z lekkim niepokojem.

– Lodowata. I bynajmniej nie chcę zawierać z nią bliższej znajomości. A jeśli ty skoczysz, to i ja będę musiał.

– Dlaczego?

Zrobił kilka kroków do przodu.

– Bo ty nie chcesz tego zrobić, prawda?

– Skąd wiesz? Moje życie straciło sens. Studiowałam medycynę tyle lat, by teraz nigdzie nie móc znaleźć pracy. Wszystko temu poświęciłam. Znosiłam prześladowania konserwatywnych wykładowców, którym nie chciało pomieścić się w głowie, że kobieta może też chcieć robić karierę, choć nie ma drażka między nogami. Walczyłam z rodziną, która chciała dobrze wydać mnie za mąż, za miejscowego szlachetkę. Chodziłam pieszo na uniwersytet aż z Podgórze. Łapałam się wszelkich prac, byle tylko mieć na jedzenie i dach nad głową. – Załkała. – I teraz się dowiaduję, że wszystkie te wyrzeczenia na nic. Bo nikt nie ceni moich kwalifikacji, choć byłam najlepsza na roku. Jak ja wrócę do domu? Co powiem ojcu? Na śmierć mnie zaśmieje. Wolę już umrzeć.

Wiktor zamarł. Teraz dopiero zaczął kojarzyć pewne fakty. O Jezui! – pomyślał. Czyżby to była ona? Zdążyłem w ostatniej chwili!

– Gdybyś tego właśnie chciała, to już byś to zrobiła. Jestem Wiktor. Mam z tobą więcej wspólnego, niż sądzisz. Mój ojciec też chce mnie osadzić na rodzinnej ziemi z o wiele starszą panną u boku. I nie obchodzi go to, że ja się do tego kompletnie nie nadaję. Nie umiem żyć w rytmie: wiosna, lato, jesień, zima. Ciągłe robić tego samego. Pragnę czegoś więcej. Też nie utrzymuję z nim kontaktów, choć serce boli, ale trudno. A ty jak masz na imię?

Zastygł w bezruchu, czekając na odpowiedź.

– Nazywam się Iwona. Iwona Mielnik.

Zastanawiał ją ten człowiek. Miał miły, urzekający głos. Wydawało jej się, że mówił prawdę. Było to wyczuwalne w jego tonie. Widać nie tylko ona miała ojca despotę, który dążył do realizacji swoich zamysłów, nie oglądając się na jej pragnienia. Odkąd pamiętała, zawsze wiedział wszystko najlepiej. Zawsze wszystkimi dyrygował. Do dziś pamięta tę awanturę, jaka się rozpetała, gdy oświadczyła, że idzie na studia. Kto wie, czy wyszłaby z tego żywa, gdyby matka nie powstrzymała ojca. Ale i ona była uparta, tylko dzięki uporowi zносиła szykany rówieśników i ukrytą pogardę niektórych wykładowców. I to wszystko po to, by skończyć w lodowatych nurtach wezbranej Wisły?

– A gdybym zaoferował ci pracę? – Głos Wiktora wyrwał ją ze świata wspomnień.

Zawahała się. Wyczuł to.

Teraz! – pomyślał i bez chwili wahania przyskoczył do niej, objął ją w pół i przerzucił na bezpieczną stronę mostu.

– Zdrajco – szepnęła i zaczęła płakać mu w nowy mundur.

Przytulił ją bez chwili wahania i gładził po blond włosach.

Poczuła, że w tym dotyku nie było żadnego erotycznego podtekstu. Zupełnie jakby ten człowiek autentycznie jej współczuł. Jakby wiedział, co w tej chwili myśli i czuje. Żałowała, że niszczy jego mundur. Zamglonym wzrokiem spojrzała na epolety.

– Kapitan? – spytała, odsuwając się od niego i wstając. Przeglądziła sukienkę.

– Kapitan – odrzekł, biorąc ją pod ramię. – Chodź ze mną. Znasz jakąś fajną restaurację, gdzie można dobrze zjeść? Pierwszy raz jestem w Krakowie i nie znam miasta.

Opuściła oczy.

– Wolałabym nie. Nie mam już zbyt wiele pieniędzy, bo wszystko poszło na koszty utrzymania, a rodziców nie chciałam prosić. – Jej jasnyniebieskie oczy zabłyśły stalową determinacją. – I nie chcę, żebyś za mnie płacił.

Spojrzał w jej pociągłą twarz o delikatnych rysach, bladej cerze, dziwnie kontrastującej ze stalowymi, błękitnymi oczami, w których widoczne były duma i upór. Rzucił szybkie spojrzenie na długą, czarną suknię, która dodawała jej powagi i dostojeństwa. Nie dostrzegł żadnej biżuterii ani ozdób. Widać naprawdę nie miała na to środków. Musiała zauważyć jego badawczy wzrok, bo zapytała z uśmiechem:

– Podobam ci się?

Zarumienił się i uciekł spojrzeniem.

– Ja boję się kobiet – wyjąkał z trudem, patrząc na własne buty.

– Aż takie straszne jesteście?

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Wreszcie, po chwili wytężonego umysłowego wysiłku, odrzekł:

– Widzisz... pistolet też bywa straszny. Ale wiem, jak się nim posługiwać. Kto się raz nauczy, temu on wiernie służy. A kobieta? Jest jak morze. Za każdym razem inna. Przy pistolecie wystarczy zapamiętać kilka ruchów i działa.

– Przy kobiecie też – przerwała, chichocząc.

Aż ją samą to zdziwiło. Od tak dawna się nie śmiała. Ze zdziwieniem słuchała własnego śmiechu. I patrzyła na Wiktora. Nigdy nie interesowała się mężczyznami. Zbyt wiele czasu zajmowała jej wytężona nauka. Wiedziała, że nie może dać władzom uczelni najmniejszego pretekstu do relegowania z uczelni. Dlatego nie chodziła ani na wieczorki zapoznawcze, ani na inne okolicznościowe uroczystości. Poza tym wiedziała, że większość mężczyzn woli głupie gęsi, które będą ładnie wyglądać i uśmiechać się, kiedy trzeba. Ona tego nie potrafiła. Zdawała sobie z tego sprawę.

Jednakże jej oko z przyjemnością spoczęło na sylwetce i twarzy Wiktora. Spodobał jej się od pierwszej chwili. Miał piękne czarne włosy i twarz o dziecinnych jeszcze rysach, która dziwnie kontrastowała z jego sylwetką.

Musiał często ćwiczyć i dbać o kondycję – przebiegło jej przez myśl.

Prowadziła go ulicą Grodzką w kierunku Stradomskiej, gdzie były najlepsze restauracje. Gdy tylko tam dotarli, zobaczyli ludzi, którzy wylegli na ulice, wywabieni pierwszymi ciepłymi promieniami słońca. Z trudem znaleźli wolny stolik. Wiktor chciał szarmancko odsunąć krzesło, ale Iwona powstrzymała go ruchem ręki.

Sama je sobie odsunęła. Rozbawiła ją mina Wiktora, który przypominał spłoszonego psa.

– Nie lubię tego – rzuciła tytułem wyjaśnienia. – Sama też za siebie zapłacę.

– Na to nie mogę się zgodzić. Wrzucę to sobie w koszty delegacji i dostanę zwrot.

– Chyba że tak.

Zgodnie studiowali kartę dań. Wiktor wybrał jakieś tanie wino i zraziki z polędwicy po włosku. Iwona wzięła dla siebie kuropatwę à la castrol. Ober przyjął zamówienie i zniknął.

Wiktor patrzył przez chwilę przed siebie.

– Posłuchaj. Gdy mówiłem, że mam dla ciebie pracę, nie kłamałem. Proszę, nie obwiniaj mężczyzn o swoje niepowodzenia. Przyczyna jest inna. Powinnaś podpisać zobowiązanie do zachowania tej rozmowy w tajemnicy, ale nie mam przy sobie odpowiedniego druku. Cóż, planowałem to spotkanie w zupełnie innych okolicznościach. Ale chyba powinienem być wdzięczny losowi, że zetknął nas ze sobą nieco wcześniej.

– Kim ty jesteś?– zapytała z trudem, bo w jej głowie szalała burza myśli.

Zastanawiała się, kim był siedzący przed nią. Kto w tak młodych latach mógłby mieć już kapitańskie szlify? Dlaczego chciał, by zachowała tę rozmowę w tajemnicy? Jeśli miała dotyczyć pracy, pracy dla wojska, niby co miałyby tam robić? Łatać tyłki kawalerzystom?

– Podąłem ci swoje prawdziwe imię, choć nie powinienem – odrzekł. – Jestem oficerem wywiadu i kontrwywiadu. Służby mają jednolite kierownictwo.

Przerwał, bo kelner postawił przed nimi zamówione potrawy, następnie nalał im krwistoczerwonego płynu do głębokich kieliszków. Zraziki polane sosem przyciągały wzrok Wiktora. Wziął nóż i widelec, by odkroić kęs, i rzekł:

– Jedz i zamknij usta. Powinniśmy sprawiać wrażenie normalnej pary. Zaraz ci wszystko wyjaśnię, tylko zatopię zęby w tych smakołykach.

To rzekłszy, zabrał się za jedzenie. Iwona, nie mając innego wyjścia, zajęła się swoją kuropatwą. Ale nie cieszyła się nią tak, jak powinna. Głównie obserwowała zrazy, które pozostały na talerzu Wiktora. Odetchnęła z niekłamaną ulgą, gdy ostatni kęs zniknął w jego ustach.

– Chcieliśmy zapewnić sobie prawo pierwokupu twoich usług, dlatego to my zadbaliśmy o to, byś nam nie uciekła do któregoś ze

szpitali. Nie przewidzieliśmy, że targniesz się na własne życie. Potrzebujemy utalentowanych ludzi, a tobie przyglądaliśmy się już na studiach, przynajmniej moi szefowie.

Iwona kiwnęła tylko głową. Była zbyt zdumiona, by wypowiedzieć choć słowo.

Zamiast tego chwyciła kieliszek z winem i wypila jak wodę. Oblizwała usta językiem.

– Więc nie mam wyjścia. Bo jeśli odmówię, to zostanę na lodzie, tak?

– Nie. Bardzo chcemy mieć cię u siebie, ale nie zmuszamy do niczego. Możesz wybrać dowolny cywilny szpital i gwarantuję, że teraz już zostaniesz przyjęta. Wymagamy jedynie, by ta rozmowa pozostała tajemnicą.

– A ile u was zarobię?

– Możesz sama wyznaczyć sobie pensję, bo zdaniem mojego szefa wiedza nie ma ceny. Ale musisz zdawać sobie sprawę, że zdrada karana jest śmiercią. Zobowiązujesz się też do ścisłego wykonywania rozkazów. U nas przysięga Hipokratesa nie obowiązuje. Lekarze muszą ratować życie, ale ty będziesz się czasem musiała przyczynić do jego odebrania. Dobrze się więc namyśl.

Rzeczywiście się namyślała. Jej żywa natura popychała ją do przyjęcia tej pracy. Z drugiej strony obawiała się sprzedać duszę tym ludziom. Bała się, że będą ją zmuszać do rzeczy, z którymi w sercu nie będzie się mogła pogodzić. Spojrzała w twarz Wiktora, który patrzył na nią uważnie. Polubiła tego chłopca – jak przyjaciela. I naprawdę chciała, by nim został.

– A ciebie jak zwerbowali? Chyba że to tajemnica...

Zobaczyła, że jego twarz skurczyła się jakoby z bólu. Jakby dotknęła jakiejś wyjątkowo bolesnej struny jego duszy. Ale opanował się szybko. Tak szybko, że nie była pewna, czy wrażenie, jakie odniosła, było prawdziwe. Niemniej poczuła dla niego

współczucie. Wsunęła mu kieliszek w dłoń i stuknęła palcem o jego brzeg.

– Popatrz – mówiła. – Wszystko, co dobre, musi mieć odpowiednią oprawę. Wino. Ileż straciłoby na smaku, gdybyśmy go nie pili w tak cudownym szkłe? Ale pij swoje, bo bukiet stracisz. I opowiadaj.

Posłusznie wypił i opowiadał. Mówił o sobie. O swoim domu rodzinnym, o ojcu, który nie potrafił zaakceptować jego życiowych wyborów. A jej przed oczami stawało własne życie, tak podobne, ale zarazem odmienne. Bo mężczyźni wolno wiele. Wolno się buntować przeciw władzy rodzicielskiej i choć ponosi tego konsekwencje, to jednak nie staje się przez to pariasem. Z nią było inaczej. Odrzucono ją, bo chciała wstąpić na drogi zarezerwowane dotychczas tylko dla mężczyzn. Nie chciała być kolejną szlachcianką, której życie upływało na prowadzeniu domu i dbaniu o dzieci. Czułaby się w tamtym świecie uwięziona niczym ptak, który nie może rozprostować skrzydeł, by wzbić się do lotu.

Podobnie jak Wiktor pragnęła od życia czegoś więcej. On nie chciał pracować na roli, bo praca ta w najmniejszym stopniu go nie pociągała. Ona także od zawsze chodziła własnymi ścieżkami. W medycynie pociągała ją różnorodna gama przypadków, z jakimi mogłaby się zetknąć. Oraz możliwość rywalizowania z mężczyznami. Dobrze pamiętała chichoty chłopców i dziewcząt, gdy nie chciała spędzać czasu na trywialnych spotkaniach między nudnymi ludźmi. Chłopcy rozmawiali głównie o polowaniach, wychwalając siebie i swoją odwagę, jakby w męczeniu zwierząt było cokolwiek chwalebne. Jej znajome nie były lepsze. Płytkie gąski. Nie interesował ich świat, który je otaczał. Jedyne ich zajęciem było wymyślanie coraz modniejszych strojów, układów fryzur i odwiedzanie drogich modystek. Nie mogła patrzeć, jak wymieniały kapelusze zaledwie po jednokrotnym ich włożeniu. Obwieszały się błyskotkami, za które można by wykarmić całe

stadko głodnych dzieci. I to wszystko po to, żeby złowić bogatą partię, która rzuci je, gdy tylko nieco się zestarzeją.

– Czekaj – przerwała. – Czytałam ostatnio w krakowskim „Czasie” o tym, jak wykryto Wiosenne Słońce. Ale to tylko hipotezy. Jedne bardziej niedorzeczne od drugich. Ty musisz wiedzieć, jaka była prawda. A ja jestem bardzo ciekawa. Wiele czytałam o Macie Hari. Musiała mieć fascynujące życie.

Nie mogłaś znaleźć lepszego źródła – pomyślał. Sam także czytał wiele artykułów na temat wykrycia Wiosennego Słońca. Podziwiał płodną wyobraźnię ich autorów. Stawiane przez nich hipotezy były często znacznie ciekawsze od prawdy. On sam przeżywał z tego powodu istne katusze. Czasem wręcz chciał powiedzieć: „Tak, to ja. To ja byłem istotną częścią tej gry operacyjnej, która ocaliła Wielkopolskę przed niemieckim potopem”. Wtedy pokazywał wszystkim ludziom, że wcale nie jest taki nieśmiały. Staje się takim tylko przy kobietach. Ale nie mógł. Wiedział, że zawsze tak będzie. Owoce jego pracy, którą wykonywał z oddaniem, zawsze będą spijać politycy. Nikt nigdy nie odda mu tego, co mu się należy.

Odsunął od siebie talerz, by mieć więcej swobody.

– O tym nic mi powiedzieć nie wolno – rzekł. – Zresztą i tak niewiele na ten temat wiem, bo nie brałem udziału w tej operacji. Jeśli jednak chodzi o tancerkę, to tu mogę być nieco pomocnym. Zapewne znasz dobrze zarówno jej biografię, jak i pełną listę kochanków, więc nie będę cię nią zanudzał.

Skinęła gorliwie głową.

– Cóż, nie wiemy na pewno, czy była agentką, czy nie. Jeśli jednak się nią stała, to swoją pracę wykonywała z chęci zysku. Taki agent jest najlepszy, bo stosunki są jasno zdefiniowane. Nasza tancerczka zdobywała informacje od swoich kochanków, które przekazywała zarówno Niemcom, jak i Francuzom, aby od wszystkich skorzystać.

– Cwana była – mruknęła, dolewając sobie wina. – Wykorzystywała mężczyzn.

– Albo oni ją – odparł. – Ale niech ci będzie. Problem w tym, że zaczęła obracać zbyt dużymi sumami, których pochodzenia nie była w stanie udokumentować. Tak wszedł na nią francuski kontrwywiad. Sama rozumiesz. Obracała się pośród wpływowych ludzi, a takich zwykle trzyma się pod osłoną kontrwywiadowczą. Przeniesiono ją do aktywnego rozpracowania. Ale brakowało im zaczepki. Do czasu.

Napił się wina. Przez chwilę szukał w pamięci faktów zapamiętanych ze skryptów, które czytywał. Znał już różne sposoby demaskowania szpiegów i sposobów łączności z nimi. Nigdy w życiu się tyle nie naczytał. Ale było to konieczne, gdyż w spokojnym czasie miał go czekać egzamin praktyczny. Za to teraz mógł opowiadać o archiwalnych sprawach ze szczegółami i to z zamkniętymi oczami.

– Wiesz, są różne metody łączności z agentami. Są tak zwane skrzynki kontaktowe, gdzie agent pozostawia sporządzone przez siebie meldunki. Oczywiście ich usytuowanie nie może budzić podejrzeń. Skrytka musi pozwalać na zatrzymanie się przy niej. Wiesz, jakaś nisza w murze... czy głąz przy ruchliwej trasie. Ile głów, tyle pomysłów. Istnieją jednak agenci specjaliści. Tacy, którzy podlegają centrali i przesyłają meldunki bezpośrednio do niej. Na ich użytek pracują radiostacje. Meldunki, zaszyfrowane, idą do centrali.

– Ale francuski wywiad złamał szyfr, tak?

– Brawo. – Klasnął w ręce. – Szyfr złamali Anglicy, ale gdy tylko zorientowali się, z czym mają do czynienia, położyli ten kartofel na biurku Francuzów. Los tej kobiety był przesądzony. Nie pomogło jej nawet wstawiennictwo i wpływy kilku kochanków. Została rozstrzelana. Do dziś nie wiadomo, czy słusznie. Ale dość o tym. To smutna historia. Mnie interesuje dzisiejszy wieczorny bal

w magistracie. Wyznam ci szczerze, że się tam wybieram. Tylko nie wiem, czy wypada iść w mundurze.

– Ty?

Obruszył się.

– Czemu jesteś zdziwiona?

Uśmiechnęła się.

– Bo to by było tak, jakby owcę wpuścić między wilczyce. Naprawdę chcesz pójść między te wszystkie hrabiny: Potockie, Tarnowskie i inne? Twoje nazwisko wypełni ich karnety. Kraków słynął z wielkich bali od zawsze... Urządzali je prezydenci, poszczególne rody magnackie. Były też bale charytatywne. A mówią, że tylko alkoholik szuka pretekstu, żeby się napić.

Roześmiał się serdecznie, aż siedzący blisko odwrócili się w ich stronę. Przeprosił ich za zakłócenie konsumpcji i żywo toczonych przy innych stolikach rozmów.

– A może poszłabyś ze mną na ten bal?

Wytrzeszczyła oczy. Ona miałaby tam pójść między te wszystkie posażne panny, które są łowczyniami bogatych mężów? Byłaby przy nich tylko obiektem drwin i żartów. Mogła zapomnieć o długiej balowej sukni z cekinami, o koliai na szyi, o bransoletach na rękę. Gdyby nie poznała już Wiktora, pomyślałaby, że z niej drwi. Ale wiedziała, że jest na to za uczciwy. Więc co strzeliło w tę szaloną pałkę?

– Co ci strzeliło do głowy? – odrzekła zaczerwieniona z gniewu. – W czym miałabym pójść na taki bal? Nie mam ani pięknych strojów, ani biżuterii. Musiałabym wejść tam nago, by przykuć wzrok kogokolwiek. Natychmiast mi to wyjaśnij albo dosypię ci trutki do wina.

Wiktor wykonał obronny gest, nieco zaskoczony jej wybuchem, i dopiero po chwili tak mówił:

– Masz pieniądze. Mieszkam w koszarach, na Zwierzynieckiej. Trzymam tam zaliczkę dla ciebie. To pokażna sumka, starczy na

kosztowne stroje. Proszę – złożył ręce – muszę mieć tam kogoś, kto ochroni mnie przed tymi wszystkimi kobietami.

Nie mogła się zgodzić. Wiedziała, że zrobił jej tę propozycję z dobroci serca. Ale równie dobrze wiedziała, że tamten świat nie był dla niej. Nie cierpiała arystokracji. Uważała ją za grupę utrzymującą masy w ciemnocie dla własnej korzyści. Sądziła, że bez ich opóźniającego wpływu praca oświatowa miałaby daleko większy zasięg. I tak tłumaczyła to Wiktorowi.

– Ich to wina – mówiła. – Branickich, Potockich i całej tej magnaterii, która od wieków krzyżuje się ze sobą. Powiedz mi, gdzie jest taki drugi kraj, gdzie by taka nędza szczyrzyła zęby z każdego kąta? Byłam na wsi. Tam całe rodziny w jednej zadymionej izbie siedzą. Wszy i brud są ich normalnym elementem życia. Przed nami, lekarzami, uciekają w najciemniejsze kąty, bo myślą, że my ludzi żywcem krajemy. Tak pojmują operacje. O budowie szkół czy dróg nikt słyszeć nie chce. Powiedz mi, czyja to wina, jeśli nie ich? Balowali przed dwustu laty, balują i teraz, a w kraju po staremu. Czy naprawdę takiej Polski chcemy? Czy ci, którzy żywią tę ziemię i bronią jej, mają być na niej obywatelami drugiej kategorii? – Następnie zasypała go dosłownie tytułami prac różnych pisarzy i społeczników, o których nigdy nawet nie słyszał.

Z trudem powstrzymał się, by nie ziewnąć. Nigdy nie zaprzętał sobie głowy takimi sprawami. Jako młody, chciwy był zabaw, walki i niebezpieczeństw. Inne sprawy wołał pozostawiać siwobrodym starcom, którym się głowy trzęsły. A już naprawianie krzywd i zła całego świata wydawało mu się celem tyleż chwalebny, co bezsensownym. Jednak teraz wstyd mu się zrobiło. Dostrzegł bowiem, że ustępuje tej dziewczynie nie tylko pod względem wrażliwości, co jeszcze by zrozumiał, bo litość jest przecież domeną kobiet, ale i ogólnej erudycji.

Jednakże znajdował pewną przyjemność w przyglądaniu się jej, podczas gdy mówiła. Jej oczy i twarz płonęły bowiem prawdziwą pasją. Może tacy ludzie, pasjonaci, społecznicy, rzeczywiście uczynią tę ziemię miejscem zdatnym do życia? – pomyślał. Ale jeszcze nie teraz.

– Posłuchaj – rzekł, wykorzystując chwilę przerwy w jej monologu. – Jeden, choćby nie wiem jak chciał, wszystkiemu nie zaradzi. Jak my mamy wewnątrz domu urządzać, jeśli ciągle murów pewni nie jesteśmy? Na każdej granicy pożar. W Galicji Ukraińcy Lwów szturmują, a i Niemiec z bolszewikami po nasze ziemie ręce wyciąga. Ot, ja nie wiem. Moja rzecz wojna, nie polityka. Ja mam swoje małe pole bitwy, które prowadzę. Może gdy wszystkie pożary pogasimy, może wówczas tacy jak ty wezmą władzę w ręce. A wtedy niech ci szczęście sprzyja. Pamiętaj tylko, że ten sam lud, o którego byt tak się troszczysz, tęsknymi oczami na wschód spogląda.

– Bo ciemni są – stwierdziła. – Ale instynktem prowadzeni dążą do sprawiedliwości. A że błędną drogą? Dajcie ludziom choćby ułamek tego, co im się należy, a bolszewizm straci podstawę swojego bytu.

– Ech – westchnął – jak ty to mówisz, to wszystko wydaje się takie proste. Widziałas gdziekolwiek takie państwo jak nasze? Gdzie by obowiązywały trzy środki płatnicze? A tylko dolar i złoto stanowiło jakąś lokatę kapitału? U was tutaj obowiązuje nawet ruch lewostronny, a u nas prawo⁵. My mamy rolnictwo i przemysł. A wy? To nie jest takie proste. To praca na lata. My tylko karczujemy. Pole będzie uprawiał kto inny. Kto inny zbierze kiedyś owoce naszej pracy. A tymczasem trzeba harować, żeby nasi następcy mogli urządzać swój dom. Daj mi kontakt na siebie.

– Oficer wywiadu, a nie wie, gdzie mieszkam?

– Wiem. Po prostu chcę być uprzejmy. Mieszkasz przy Jagiellońskiej, u takiej jednej staruszki.

Podsunał jej serwetkę, na której szybkim ruchem zapisała dokładny adres, i machinalnie wsunął ją do kieszeni spodni.

Zapłacił za obiad i pożegnał się z nią uprzejmie. Następnie złapał dorożkę i opłaciwszy kurs, kazał się wieźć do koszar. Tam spędził czas aż do wieczora, przypatrując się szkoleniu nowego rekruta. Sam chętnie wziąłby w nim udział, ale nie mógł, bo to się powadze jego obecnej szarży sprzeciwiało.

Dzień zleciał mu szybko jak sen – na przeglądaniu magazynów z amunicją i innych czynnościach wojskowych. Noc już była zupełna, gdy wyszedł z koszar i skierował się w stronę budynków magistratu.

Samo miasto jednak nie spało. Kupcy bowiem nęceni zyskiem, jaki obiecywała im zabawa, pootwierali swoje budy i kramy. Jakoż nie zawiedli się; stały przed nimi całe tłumy ludzi – różnego wieku, płci i stanów. Ludzie kupowali, czy czego potrzebowali, czy nie. Kupcy zaś zacierali ręce i liczyli zyski. W karczmach panował podobny huk i rozgardiasz, bo ci, którzy zaproszenia prezydenckiego nie dostali, zadowalali się lichym krakowskim piwskim, wznecając hałasy i swary. Na ulicach płonęły ogniska, które oświetlały drogę, więc Wiktor dobrze widział owe tłumy. I tych, którzy już przebrawszy miarę, taczali się od jednego brzegu ulicy do drugiego.

Uśmiechnął się. Wolałby bowiem pić z tymi do bólu szczerymi ludźmi, których zabawy były spontanicznymi odruchami radości, niż spędzać czas w kole arystokratów, ciągle udających wytwornych paniczy, niezdejmujących nawet na chwilę maski konwenansów. Jedyną pociechą była dla niego myśl, że szybko się z tym upora i zajdzie jeszcze pod wiechy, a potem na jutrznię.

Widział wytworne powozy magnackie, które wiozły uczestników balu. Czasem zza firanki mignęła mu blada, wysmukła rączka i twarz kobieca. Zastanawiał się wtedy, czy jest jedynym, który postanowił udać się do gmachu władz miejskich na

piechotę. I sam przed sobą przyznać musiał, że chyba tak. Nie chciał jednak męczyć koni na tak krótką podróż.

Za chwilę minął gmach dawnego odwachu i znalazł się przed siedzibą władz miasta. Łatwo mu było rozpoznać, iż dobrze trafił, bo przed bramą stał cały tłum powozów, stangretów i koni. Patrzył na nie okiem znawcy. Na ich lśniącą sierść, strojne grzywy, wyczyszczone kopyta. Chód wilka, chrapy łosia, pierś kobiety – pomyślał. Ale nie na końskich jarmarkach takie konie sprzedają. Skinął głową stangretom. Co, jak zauważył, zdziwiło ich niemało. Pewnie nie przywykli do jakichkolwiek oznak zwykłej ludzkiej uprzejmości ze strony swych państwa – pomyślał.

Właśnie chciał przejść przez bramę, gdy zza zakrętu wynurzyła się rozpędzona karetka. Dostrzegł tylko rozhukane konie z rozwianymi grzywami i spłoszonym wzrokiem; stangret najwidoczniej postanowił zajechać przed siedzibę magistratu z brawurą, bo był bez cylindra i machał batem. Wiktor poczuł się tak, jakby czas gwałtownie zwolnił. Przetoczył się błyskawicznie na drugą stronę, o włos unikając stratowania. Zaczerwieniony i pokryty ulicznym błotem, poderwał się i przyskoczył do stangreta, który właśnie hamował swoje cuganty.

– To nie hipodrom, głupcze! – ryknął rozzłoszczony. – Jak ja się teraz na balu pokażę?! Popatrz, coś narobił!

Hałas sprawił, że firanka w oknie powozu uchyliła się i wysunęła się z niego główka jasnowłosej dziewczyny o delikatnych rysach, złocistej cerze i fiołkowych oczach. Poruszyła przez chwilę małym noskiem, jakby badając stan powietrza. Szybkim ruchem otworzyła drzwiczki i stanęła na stopniach powozu. Było to niemałą sztuką, jeśli się weźmie pod uwagę, że miała na sobie ciężką suknię z dość szerokim dekoltem w kształcie serca. Kremowa suknia miała bufiaste rękawy, zdobione koronką. Nie miała żadnych ozdób prócz cekinów.

Rzuciła Wiktorowi przenikliwe spojrzenie i uśmiechnęła się. Poczł się dziwnie pod jej taksującym wzrokiem i wiedział, że jego lico oblewa się rumieńcem. Tym bardziej że odruchowo spojrzł w jej dekolt. Miał nadzieję, że tego nie dostrzegła. Ze zdziwieniem stwierdził, że właściwie nie wie już, o co przed chwilą się złościł. Teraz widział tylko fiołkowe oczy i jej ciemne rzęsy. Zręcznie zdjął czapkę i przyłożył ją do piersi, pochylając głowę w geście szacunku.

Ona zaś patrzyła z pewną dozą rozbawienia na jego czarne, oblepione błotem włosy. Na twarz, na której najpierw malowała się złość, a potem zażenowanie. Następnie dostrzegła podziw i dziwne ciepło, które poczuła, patrząc na jego kształtne usta, szeroką wypukłą klatkę piersiową, zdającą się rozsadzać mundur. Błyskawicą rzuciła okiem na dystynkcje – kapitan. Dostrzegła też, że spojrzł w jej dekolt, a potem z zażenowaniem opuścił oczy. Dziwne. Nawet mnie to nie oburzyło – pomyślała. Ciekawe, co powiedziałyby mama.

Dobrze pamiętała, jak ciężką miała z nią przeprawę, zanim zgodziła się, by mogła pójść sama na ten bal. Nie obyło się bez płaczu, wrzasków i tłuczenia szkła. Ale w końcu postawiła na swoim. Potem była walka o suknię. Taki dekolt nie przystoi młodej panie i tak dalej. Ale zawsze stawiała na swoim. Znała swoją matkę dość dobrze i wiedziała, czym najlepiej poruszyć jej serce. I nie odczuwała przy tym żadnych wyrzutów sumienia – miała już przecież dwadzieścia lat. Niektóre dziewczyny w jej wieku bawiły już gromadkę dzieci.

Ale jej matka zawsze wiedziała swoje. Trzymała ją pod kloszem: Nie biegaj. Nie baw się z wiejskimi dziećmi, bo stracisz bladą cerę. Nie jeźdź konno na oklep i po męsku. I tak dalej... i tak dalej...

– Przepraszam – rzekła najbardziej melodyjnym głosem, jaki on kiedykolwiek słyszał. – To moje nowe cuganty, jeszcze nie wiedziałam, jak są szybkie. Proszę, nie gniewaj się na mojego

stangreta. Wykonywał tylko moje rozkazy. Nie powinnam ich testować na ulicach krakowskiego grodu. Cóż, rozsądek nie jest przywilejem naszego wieku. A ty lubisz konie?

– Nie wtedy, kiedy usiłują mnie stratować – odrzekł. – Ale mój ojciec ma całe stado. Pamiętam, jak kiedyś ukarał mnie za to, że wziąłem łoszaka i trenowałem na nim skoki, skacząc ponad grzbietem krowy; upadłem wówczas i miałem złamane żebra.

– Pewnie ci ojciec wybaczył i tylko dla zachowania powagi rodzicielskiej ukarał.

– Sklął mnie tak, że aż słońcu wstyd było na to patrzeć, bo mu krowy z cielęciami żal było.

To mówiąc, zerkał, jak zręcznie schodziła po maleńkich stopniach powozu. Zdawała się płynąć nad ziemią. Patrzył na długie sploty jej jasnych włosów opadających aż za plecy. Ona zaś szła ku niemu i stanąwszy przed nim, wysunęła dłoń w rękawiczce. Zawahał się przez chwilę, po czym ujął ją z galanterią i przytknął do ust.

– No, a jednak masz górnołotne maniery! – rzekła, by przykryć własne pomieszenie, gdyż prąd przeszył ją od stóp do głów.

Zręcznym ruchem starła z jego policzków plamy błota. Czuł opuszki jej palców na swojej skórze i miał wrażenie, jakby dotykała go rozpalonym do białości żelazem. Drżał niczym liść, gdy przesunęła palcem po jego ustach. Skończywszy tę robotę, przyjrzała się dość krytycznie jego mundurowi i mruknęła:

– Twarz ujdzie. Ale mundur diabli wzięli. Na to już i ja nic nie poradzę. Będziesz musiał tańczyć ze mną w ubłoconym stroju.

– Nie musisz...

– Muszę – przerwała. – Jestem ci to winna. Rezerwuję sobie twoją osobę na wszystkie tańce. Mój karnet jest do twojej dyspozycji, kapitanie.

Nie chciała, by odmówił. Za nic. Czuła, że tańczyłaby z nim nawet wtedy, gdyby wykąpał się w błocie. Gdy na nią patrzył, czuła

się jak kwiat, na który padają promienie słoneczne. Z trudem panowała nad sobą, by się nie zarumienić. Czuła, jak gorset dławi jej oddech, lecz nie była pewna, czy to tylko jego zasługa. Nie знаła miłości, ale w sercu miała ogromną gotowość do kochania. Patrzyła w niego jasnymi, fiołkowymi oczami i czuła, że nogi drżą pod nią.

– Jestem do twojej dyspozycji – rzekł szarmancko, biorąc ją pod ramię. – Proszę jednak z góry o wybaczenie, jeśli nie we wszystkim będę potrafił dostosować się do dostojnego towarzystwa. Więcej czasu bowiem spędziłem między żołnierzami niż pośród elity.

Bądź sobie, jaki chcesz, tylko mnie nie puszczaj – pomyślała, czując szybsze bicie serca. Czy to miłość? – zastanawiała się mimo woli, gdy prowadził ją przez wnętrze magistratu miejskiego. Weszli do głównej sali. Była ona wielce okazała; zdawała się cała płonąć od światła bijących z ogromnych lichtarzy, które zawieszono nad niebieskim sufitem. Wiktor odruchowo spojrzął do góry i dostrzegł precudnej urody mozaikę wyobrażającą Herę zsyłającą sen na Zeusa. Sklepienie wsparte było na połączonym filarze, który umieszczono pośrodku sali. Na ogromnych stołach pyszniły się potrawy lekkostrawne i wino musujące, gdyż upicie się na podobnej uroczystości uważano za wielki nietakt. Prócz tego na stole stały świece zapachowe, które miały być zapalone, gdy zapanuje zupełny mrok.

Wiktor patrzył na to wszystko z lekka onieśmielony. Nie znał tu nikogo, gdyż zgodnie z niepisanymi regułami krakowskich bali zaniechano wzajemnego przedstawiania gości przy wejściu. A poza tym obawiał się, by się nie ośmieszyć jakimś nieprzemyślanym słowem czy gestem. Czuł, że brak mu oglady, że nie pasuje do tego wysublimowanego towarzystwa.

Patrzył na mężczyzn w frakach, w lakierkach. Dostrzegał złote spinki w mankietach i tym straszniej odczuwał własną nędzę. Nigdy by nie przypuszczał, że kiedykolwiek poczuje się

w mundurze tak niezręcznie. Wydawało mu się, że wszyscy widzą plamy błota, które miał na sobie. Patrzył na piękne panie w atlasowych sukniach, koronkach i Bóg wie czym jeszcze. Zachwycał się ich wytwornymi fryzurami, które wydały mu się do niczego niepodobne, a jednak patrzył na nie z pewną dozą ciekawości. Czuł się jak żebrak, który pomylił drzwi. Bał się, że stanie się przedmiotem ogólnych drwin.

Tymczasem ludzie kłaniali się sobie wzajemnie. Znajomi szli do znajomych i wkrótce potworzyły się koła przyjaciół. Profesorowie uniwersyteccy dyskutowali zaciekle o nowych perspektywach, jakie ukazały się oświacie po odzyskaniu niepodległości. Kobiety lustrowały wzajemnie wzrokiem najdrobniejsze detale sukni i fryzur. Ich szczebiot stawał się coraz szybszy, lecz nagle zamarł jak nożem ucięty. Niemal wszystkie kobiety oczy spoczęły na Wiktorze i na jego towarzyszcze. Ich wzrok przykuła zarówno uroda partnerki, jak i plamy błota na mundurze chłopaka.

Wiktor zmieszał się pod wpływem tych spojrzeń i chciał zrobić krok do tyłu, ale jego towarzyszka przytrzymała go mocniej za rękę i szepnęła w ucho:

– Co ty wyprawiasz? Chcesz mi uciec?

– Nie chcę, ale muszę – odszepnęła, a ją objęło ciepło jego oddechu. – W tym mundurze narażam cię na pośmiewisko. Wszyscy są we frakach, pod krawatami, a ja w błocie. Tak, chcę stąd wyjść, ale nie mogę. Gdyby było inaczej, wyskoczyłbym oknem.

– Czemu nie możesz?

Tu Wiktor spostrzegł, że jeszcze chwila, a powiedziała by o jedno słowo za dużo. Ta dziewczyna wpływała na niego w dziwny sposób. Otepiała go. Czyniła bezbronnym. Czuł jej oddech na swojej skórze. Wydawało mu się, że jeszcze chwila i dotknie ustami jego skóry. Czuł, jak buzuje w nim krew. A mimo tego nie potrafił

się przekonać, czy i ona coś do niego czuje. Ba, nie wiedział nawet, jak ma na imię. Postanowił to naprawić.

– Jak właściwie masz na imię?

Roześmiała się, a on poczuł, że znowu wyszedł na głupca. Czemu, dobry Panie Boże, stworzyłeś kobietę na obraz i podobieństwo grzechu? – pomyślał, mimo woli używając określeń używanych przez ojca.

– Myślałam, że nigdy mnie o to nie zapytasz – odparła. – Nazywam się Eliza Dobrowolska.

Poczuł się tak, jakby ktoś nagle uderzył go obuchem w potylicę; w oczach mu pociemniało, ręce zadrżały, a lśniący parkiet zawirował mu przed oczami. Zachwiał się i niemal bezwiednie wsparł się na ramieniu swojej towarzyszki, córki... swojego szefa, którą miał dyskretnie chronić. A teraz miał przeczucie, że to on jest dla niej największym zagrożeniem, a ona dla niego.

Eliza nie umiała sobie wytłumaczyć tego nagłego osłabienia. Czyżby już go gdzieś spotkała? Ale nie, zapamiętałaby. O tak, na pewno. A może to jakiś znajomy jej ojca? Tak, to możliwe. Wszystkie trepy siebie znają. Bo wszyscy wojskowi to łotry. Zawróci taki mundurem, w tańcu zakręci, obejmie, pocałuje, a potem wyrzuci – myślała, prowadząc go tymczasem do stołu. Ale Wiktor doszedł już do siebie, nim doszli na miejsce.

Chwycił ją mocno za rękę i poprowadził na środek sali. Poczuł, że wszystkie oczy skupiły się na nich. Ale nie dbał o to. Liczyło się tylko to, że trzymał ją w ramionach. Dotykał dłońmi jej dłoni, udami jej ud. Piersią jej piersi. Oddzielała go od nich tylko tkanina jej sukni. Czuł każdy nerw jej ciała. Czuł się z nim złączony. Jej twarz miał przed sobą. Widział, jak pokrywa się rumieńcem i potem. Widział jej lekko rozchylone usta, koniuszek różowego języczka. Sam nie wiedział, jak zdołał wykonać poprawnie figury walca. Chyba stało się tak tylko dlatego, że Eliza w lot odgadywała jego ruchy. Tworzyli jedność.

– Co ty ze mną robisz? – szepnęła, gdy wielokrotnie obtańczyli oba krańce parkietu.

– Tańczę – odparł, choć wiedział, co miała na myśli. – Wybacz mi, jeśli zrobiłem coś złe. Ja ledwie umiem tańczyć.

– To nie był tylko taniec i dobrze o tym wiesz. To było coś niezwykłego. Ja nie panuję nad sobą. Nie mam woli, nie mam siły. Czuję się tak, jakbym mdlała i płonęła. A tańczyłam już wiele razy i nigdy nic podobnego mi się nie przytrafiało. Muszę usiąść.

I istotnie widać po niej było, jak jest wyczerpana. Chwiała się na nogach, a jej twarz miała kolor szkarłatu. Jej oczy były rozszerzone i błyszczały z podniecenia i emocji. To wszystko ją przerastało. Pierwszy raz miała na sobie balową suknię, w której wirowała w blasku świec, w morzu światła, tańcząc z człowiekiem, z którego istnienia jeszcze godzinę temu nawet nie zdawała sobie sprawy. Jadąc tu, sądziła, że stanie przed nią tłum pięknych kawalerów, którzy z oddaniem będą rywalizować o jej względy. Te myśli były pełne dziecinnych rojeń i marzeń, a oto coś podobnego realizowało się na jej oczach.

Bo czyż mogła sobie w ogóle wyobrazić piękniejsze spotkanie? Przecież gdyby nie te konie, nawet by go nie poznała. Pozwoliła swobodnie poprowadzić się do stołu i usiadła na jednym z krzeseł. Wiktor zaś stanął za jego oparciem i nakładał jej na talerz przemyślnie zakąski, które stanowiły arcydzieło sztuki kulinarnej. Patrzyła na to z niemalym zdumieniem, ale i mile polectana w swojej kobiecej dumie. Żaden z jej przyjaciół nie zniżyłby się do takiego usługiwania kobiecie. I to publicznie. Zaś w jego ruchach było coś tak naturalnego, że ani przez chwilę nie mogła przypuszczać, że robi to tylko po to, by pozyskać jej względy.

– A ty jak masz na imię? – zapytała, biorąc do ręki nóż i widelec.

– Wikt... Jan Nowicki – poprawił się błyskawicznie. – Myślałem, że nigdy nie spytasz.

– Wolałam cię podziwiać, niż marnować czas na nudną konwersację. Zastanawiam się, gdzie rodzą się chłopcy tacy jak ty.

– Mój pierwszy krzyk usłyszała cała Wielkopolska, gdy przyszedłem na świat w majątku ziemskim mojego ojca pod Poznaniem. Szkoliłem się wojskowo w ramach Strzelca i potem brałem udział w powstaniu.

– I za to masz stopień oficerski?

Wiktor, korzystając z chwili, gdy nikt na nich nie patrzył, pocałował ją w kark i rzekł:

– Pożyczyłem mundur od kolegi. Ale o tym sza.

Zrozumiała, że żartował z siebie i z niej. Ale ujęło ją to za serce jeszcze bardziej. Dotychczas bowiem nie spotkała mężczyzn, którzy potrafiliby odnosić się do siebie z takim dystansem. Wręcz przeciwnie. Zawsze nosili głowy dumnie uniesione, a na kobiety patrzyli z góry, jak na garść lichego robactwa. Za to potrafili godzinami konferować w zadymionych gabinetach, przy szklaneczce brandy. Rozmawiali wtedy o polityce, polowaniach i nieprzyzwoitych kobietach.

– Lubisz polowania? – zapytała i natychmiast dodała stanowczo: – Bo ja nienawidzę.

– Mówisz jak moja znajoma – zauważył dość obojętnie Wiktor. – Ale przecież polowanie jest próbą zręczności i odwagi. Trzeba wiele zaparcia, by stanąć z karabinem naprzeciw błyszczących ślepi wilka. Oczywiście rozumiem, że ty jako kobieta wolisz igłę i haft. Ale polowanie jest nierozzerwalnie związane z ludzką naturą. To mężczyzna polował i przywoził do jaskini połacie świeżego mięsa i preparował skóry...

– Tak, wiem – odparła zirytowana. – A kobieta opalała się przy domowym ognisku. Starcie z wilkiem byłoby odwagą, gdyby i on miał karabin. A co do tego, czy moja ręka bardziej przywykła do igły, czy do broni, to... Zresztą, wy sobie strzelacie, ale to my was kurujemy, gdy zajdzie taka potrzeba.

– Dlatego dajemy się trafić – odparł, dziwiąc się sam sobie, z jaką lekkością prowadzi tę rozmowę i flirt.

Zauważył, jak sięga dłonią po kryształowy kieliszek.

– Nie wiem, czy powinnaś pić. Wprawdzie są to tylko wina musujące, które pije się jak wodę, ale dla kogoś, kto nigdy nie pił...

Umilkł, gdy odwróciła się ku niemu z roziskrzonym spojrzeniem fiołkowych oczu.

Nalał jej szybko. Z góry patrzył na pieniające się wino.

– Nie jesteś moją niańką! – warknęła. – Wy mężczyźni zawsze wszystko wiecie najlepiej. Ale przyzwóicie zachowujecie się tylko w świetle dnia i gdy jesteście na oczach ludzkich. We frakach prezentujecie się dobrze, ale dusze macie czarne od sady i zła. Ty też pewnie jesteś arystokratą, który krzywdzi kobiety.

Piła kolejkę za kolejką i nawet nie poczuła, kiedy zaczęła seplenić i mówić od rzeczy. Ale Wiktor zmiarkował od razu, co się stało. Objął jej ciało jakoby żelazną obręczą i wyniósł na dwór. Czuł jej ciężar na swoich ramionach, jej głowę wtuloną w swą pierś.

– Co mi jest? – szepnęła. – Kręci mi się głowie.

– Wino. Ale wiatr i powietrze pomogą – zapewnił. – I mylisz się co do mnie. Nigdy nie skrzywdziłem żadnej kobiety. I nie nazywaj mnie więcej arystokratą, bo niczym sobie nie zasłużyłem na taką obelgę.

Zachichotała.

– Myślałam, że wszyscy żołnierze są tak samo podli. Mój ojciec zostawił mnie i moją matkę, gdy byłam mała. Sądziłam, że to moja wina. Płakałam w poduszkę. Wylałam całe noce. Przestałam jeść słodczyce, byle tylko wrócił.

Wiktor zadrzał. Nie czuł się właściwą osobą do prowadzenia tej rozmowy. To pułkownik powinien jej wszystko wyjaśnić, a nie on. Z drugiej strony nie potrafił znieść spokojnie widoku jej łez. Pragnął ją pocieszyć, choćby słowem. Tylko jak miał to zrobić, nie mówiąc przy okazji zbyt wiele?

– Nie zastanawiałaś się nigdy, skąd biorą się pieniądze twojej mamy?

– Co masz na myśli? Chyba nie sugerujesz mi, że ona zarabia je w sposób niegodny?

Masz diabła pokutę – pomyślał ze złością.

– Nic takiego nie powiedziałem. Chcę tylko zauważyć, że może źle sądzisz swego ojca. Na pewno między twoją matką a nim coś zaszło, ale to wcale nie znaczy, że zostawił was na pastwę losu. Na pewno wciąż łoży na wasze utrzymanie.

– Bronisz go, bo jesteś mężczyzną – zauważyła z przekąsem. – A co byś powiedział o dowódcy, który porzuci swoich żołnierzy, jego rozkazom powierzonych, by siebie ratować? Zgaduję, że okryłby się w twoich oczach hańbą. Ale czy nie gorszym uczynkiem będzie pozostawienie swojej krwi, kości ze swoich kości? Odpowiedz.

Gdyby był poliglotą, kląłby we wszystkich językach świata. Nie lubił tego typu dysput. Nigdy nie czuł się pewnie, gdy rozmowa schodziła na kwestie dylematów moralnych. Był jeszcze zbyt młody, by należycie pojmować i oceniać pewne sprawy. Dlatego i teraz pożałował tego, iż w ogóle wdał się w tę rozmowę. Stosunki rodzinne jego szefa i stopień ich skomplikowania nie były jego sprawą. On miał tylko zająć się dziewczyną i dopilnować, by nic złego jej się nie przydarzyło. Ale teraz nie było już odwrotu i musiał brnąć dalej.

Posadził ją na skraju niewielkiej fontanny, tuż nad basenem z wodą. Przez chwilę przyglądał się wodzie wytryskującej z dysz w kształcie lwiej paszczy wprost do basenu, jakby spodziewał się, że przyniesie ona jakąś radę dla niego. Wreszcie usiadł obok niej. Przez chwilę wpatrywał się w widoczną z oddali linię powozów i karet. Miał więc już niedaleko, ale czuł, że musi jej coś powiedzieć. Nie może pozostawić jej tak bez słowa. Odnosił dziwne wrażenie, że i ona na to czeka. Czuł na sobie jej spojrzenie.

– Masz rację. – Z trudem wyrwał z siebie poszczególne słowa. – Taki człowiek zasłużyłby tylko i wyłącznie na potępienie. Ale czy sąd wydaje wyrok bez rozprawy, nie usłyszawszy nawet słowa z obrony oskarżonego? Ja go nie bronię. Krzywd sprawiedliwością nie nazywam, ale każdy ma się prawo wypowiedzieć. A jeśli nie chcesz rozmówić się z nim, to zapytaj swojej matki, jak to wszystko było. Dwie kobiety łatwiej się dogadają.

Eliza spróbowała odwrócić się w jego stronę, gdy nagle zakreśliło jej się w głowie i przechyliła się do tyłu. Byłaby wpadła do wody, gdyby Wiktor błyskawicznie nie wysunął ręki i nie podtrzymał jej pleców. Teraz, głęboko wychylona nad brzeg fontanny, miała jego twarz tuż nad swoją. A on miał tylko jedną wolną ręką, bo drugą cały czas trzymał ją tuż nad lustrem wody. W głowie szumiało jej wypite wino. Bez wahania, jakby od dawna zamierzała to zrobić, objęła jego twarz rękoma i przyciągnęła jego usta do swoich.

Całowała go bez wprawy, ale jemu wydawało się, że znalazł się w przedsionku raju. Czuł jej chłodne wargi o smaku dojrzałych wiśni. Bezwiednie rozchylił usta, wpuszczając jej język do środka. Chciał, by ta chwila trwała jak najdłużej, a w duszy grały mu skowronki, śpiewały słowiki, a serce wykonywało taniec. Chciał utrwalić tę chwilę w swoim sercu niczym na kliszy i odtwarzać ją, odtwarzać bez końca. Bo wiedział, że to pierwszy i ostatni raz... że nigdy już... I może właśnie dlatego nie mógł się od niej oderwać. Nie słyszał szumu wody, nie czuł mrozu, który wraz z nastaniem nocy zaczął przybierać na sile. Nie czuł drętwienia ręki. Wreszcie jednak musiał przestać ją całować.

Podciągnął ją znad wody, przywracając do bezpiecznej pozycji. Przez chwilę obydwójce oddychali z trudem. Wiktor usiłował ukryć swoje rozczarowanie. Ale ona musiała to dostrzec, bo twarz jej pociemniała.

– O co chodzi? Było aż tak źle?

– Było za dobrze – odparł. – Ale to już się nigdy nie powtórzy, przyrzekam. Boję się, że nie będę umiał zapomnieć ani ciebie, ani tego pocałunku. Nie będę umiał i nie chcę. Ale my nigdy nie będziemy razem. Bo... – W tej jednej chwili chciał jej wszystko powiedzieć, ale przed oczami stanęła mu groźna twarz pułkownika.

Eliza zaś spochmurniała. Nie wiedziała, ile w tym wszystkim było uczucia, a ile kaprysu pijanej dziewczyny. Ale miała pewność, że to było coś niezwykłego. Nigdy bowiem nie przeżyła czegoś takiego. I nie umiała oprzeć się nurtującemu ją żalowi. Korciło ją, by złamać jego opór. Instynktem właściwym kobietom wiedziała, że może i potrafi to zrobić. Z drugiej strony chciała wiedzieć dlaczego. Pchała ją do tego ciekawość, płci jej właściwa. Postanowiła zaspokoić przynajmniej ją.

– O co chodzi? Przecież widziałam, jak mnie pragniesz, twoje ciało to powiedziało. Masz dziewczynę, żonę, kochankę?

Uśmiechnął się boleśnie.

– Na żonę i kochankę jeszcze mnie nie stać. Ale jeśli umiem czytać we własnym sercu, to tak, mam dziewczynę.

Spuściła głowę i dwie łzy zakręciły jej się w oczach.

– Jak jej na imię? – spytała lękliwie i cicho.

– Eliza, Eliza Dobrowolska – odparł, patrząc gdzieś przed siebie. – Ale zapomnij o mnie. Znienawidziłabyś mnie, gdybym ci wszystko o sobie powiedział. Kiedyś zrozumiesz. Ja nie zapomnę o tobie nigdy, ale ty musisz zapomnieć o mnie. Ta fontanna będzie mi zawsze o tobie przypominać.

Wstali i szli do karety, nie zamieniwszy ze sobą ani słowa. Żadne z nich mówić nie mogło i nie chciało. Wiedzieli, że błaha słowa tu nie pasują, a nie znali dostatecznie wielkich. Woleli cieszyć się wzajemnie swoim towarzystwem, póki jeszcze mogli. Wiktor szedł przodem. Dostrzegł karety i stangreta na koźle.

Uśmiechnął się, widząc, jak siedzi pochylony z czapką nasuniętą na oczy.

– Upił się – mruknął do Elizy. – Ale trudno się dziwić.

Eliza zbladła i chwyciła go mocno za rękę. Spojrzał na nią zaskoczony. Jej długie, smukłe palce zacisnęły mu się na ramieniu, a paznokcie wbiły się w skórę.

– On nie pije. Tylko wodę. Boję się, czy coś mu się nie przydarzyło. Stary to domu mojego przyjaciel, który na rękach mnie nosił, kołysanki nucił. – Głos zadrżał jej hamowanym wzruszeniem. – Bóg mnie skarże, jeśli mu nie pomożemy.

Wiktor zadrżał z niepokoju. Jeśli Eliza miała rację, to na pewno stało się coś niedobrego. Ale co? Napad? A może istotnie starego słabość tylko chwyciła, co w jego wieku nie było przecież sprawą nadzwyczajną. Niemniej postanowił mieć się na baczności. Wiedział przecież, kogo pilnował. I choć pozornie nie miał najmniejszych powodów do obaw, to postanowił być na wszystko gotowym. Nie na darmo bowiem Mikołaj wpajał mu żołnierskie umiejętności. Wyjął i odbezpieczył pistolet. Spojrzał na Elizę, która, nie czekając na niego, mknęła ku karecie.

Podbiegła do stangreta, pochyliła się nad nim, a wtedy on wyciągnął ręce i przyłożył jej do twarzy nasączoną szmatkę. Poczowała ogarniającą ją gwałtowną słabość. Mrok objął jej głowę i osunęła się jak martwa wprost na ramiona porywacza. Drzwi karety się otworzyły.

– Dawaj, Sasza! – krzyknął ten, który wychylił się z cienia. – Wiem, że chcesz ją wymacać, ale nie jesteśmy jeszcze bezpieczni.

Wiktor biegł, jak mógł najszybciej. Widział jak na dłoni, jak Eliza wciągana jest do swojej karety. Nie mógł jednak strzelać, gdyż dookoła panował gęsty mrok. Poza tym jego oddech był zbyt szybki, by mógł spróbować oddać strzał. Biegł więc tylko, oczy mając utkwione w tyle karety. Dopadł do niej, gdy ruszała, i niemal w ostatniej chwili chwycił się tylnego pudła.

Ręce mu zadrżały i wyprostowały się w nieprawdopodobnym wysiłku, gdy ciało wleczone było po ulicy. Ale podciągał się wytrwale. Czuł, jak szoruje po bruku. Karetą nabierała tempa, konie przyśpieszały i rzucały nim niczym rybą na haczyku. Podciągnął się jednak wreszcie i wspiął na pudło. Spojrzał na swoje okrwawione ramiona, ale nie żałował ich. Bardziej niepokoił go brak pistoletu. Był bezbronny.

Zwinnie odbił się z pudła i wskoczył na dach. Położył się na nim i ostrożnie przesunął się nad jego skraj. Liczył na to, że zostanie zauważony, co zmusi tajemniczych porywaczy do reakcji. Dostrzegł tego, który siedział na kozle. Zareagował dokładnie tak, jak Wiktor tego po nim oczekiwał. Wstał i próbował sam wejść na dach. Wiktor dostrzegł najpierw jego dłonie, a potem oczy. Na nie też liczył najbardziej i był odpowiednio przygotowany. Wbił mu oba kciuki w oczodoły. Usłyszał zwierzęcy ryk, który przejąłby go grozą, gdyby w ferworze walki miał czas o niej myśleć.

Zamiast tego pochwycił go za ręce i wciągnął do góry. Jego własne pokiereszowane ramiona zawyły żywym ogniem, ale na dwie ręce poradził. Spojrzał na swoje ubrudzone śluzem i krwią dłonie, a potem na puste czerwone jamy, jakie pozostały po oczach przeciwnika. Wiedział, że musi go zabić. Albo on, albo ja – pomyślał, kończąc jego życie ciosem w krtań. Obserwował, jak upada, dławiąc się własną krwią.

Wiktor przeszukał go błyskawicznie; znalazł polskie papiery i nagana. Zwłaszcza pierwsze znalezisko zaskoczyło go dość mocno, bo o ile nagany były dość powszechne, o tyle na posiadanie przy sobie prawdziwych dokumentów nie mógł pozwolić sobie ktoś, kto planował porwanie. Schował je z myślą, by dać do sprawdzenia, komu trzeba. Choć już teraz miał dziwne przeczucie, że jest to pierwszorzędną fałszywką.

Zważył w dłoni rewolwer i skoczył na kozła, upewniwszy się przedtem, że nie można będzie pchnąć go od tyłu. Chwycił jedno

i drugie lejce i zaczął ciągnąć je do siebie. Konie przez chwilę stawiały opór, chętne jeszcze trochę pohasać, ale zaraz je powściągnął. Kareta zatrzymała się, a on przypominał sobie w biegu, co pamięta o rewolwerze, który trzymał w dłoni.

Ośmiostrzałowy magazynek, zasięg praktyczny pięćdziesiąt metrów, przed każdym strzałem odciągnąć kurek – powtarzał w myślach jak mantrę. Czuł silne napięcie. Nie strach i niepokój, ale po prostu skupienie, bo wiedział, że jeszcze czeka go walka. I to z zawodowcem. Ktoś, kto zadał sobie tyle trudu, by zorganizować tę akcję, z pewnością nie wysłał do jej wykonania partaczy. Zeskoczył na bruk.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi karety, a następnie odgłos butów. Nie zrobił żadnego gwałtownego ruchu, czekał. Nieznany mu przeciwnik przetoczył się po bruku i strzelił. Kula jednak minęła jego głowę o kilkadziesiąt centymetrów i przeleciała ze świstem gdzieś dalej. Nie odpowiedział strzałem. Przy takiej ciemności nie miałby szans na trafienie. I nie z rewolweru przeznaczonego przecież do walki na krótki dystans. Jego przeciwnik z pewnością zdawał sobie również z tego sprawę – strzelał, by go sprowokować do ujawnienia swojej pozycji. Może i jestem żółtodziobem, ale nie aż takim – pomyślał ze złością.

Zamiast tego zręcznie wtoczył się pod koła karety. Myśl tę podsunęło mu szaleństwo młodości. Wiedział, że konie się spłoszą, jeśli nie zrobiły tego po pierwszym strzale. Z tego wywnioskował, że są one kolejnym darem pułkownika Dobrowolskiego dla niczego nieświadomej córeczki. Poza tym zdawał sobie doskonale sprawę, że w otwartej walce nie dorówna przeciwnikowi i jego jedyną szansą jest pokonanie go dobrym pomysłem. Nie miał pewności, czy ten właśnie taki jest, ale nic lepszego nie wykluczało się w jego głowie.

Czołgał się ostrożnie pomiędzy kołami, trzymając rewolwer przed sobą. Starał się robić to jak najciszej, jednocześnie starannie

nasłuchując kroków przeciwnika. Dlatego ograniczał swoje ruchy do minimum. Starał się oddychać bardzo wolno i przez nos. Mimo panującego zimna czuł, jak robi mu się ciepło, a pot cieknie po linii krzyża małymi strużkami. Źrenice rozszerzyły mu się, gdy tylko przyzwyczaiły się do panujących dokoła ciemności. Wodził oczami od jednego boku karety do drugiego, nie chcąc dać się zaskoczyć.

I wtedy dostrzegł jego nogi. Nie usłyszał, a dostrzegł. Widział zwykłe spodnie, jakich najchętniej używali średniozamożni krakowianie – żadnej ekstrawagancji, żadnych lampasów ani innych ozdób. Buty znoszone, o lekko startych obcasach. Ale też nic nadzwyczajnego.

Zawodowiec, który wie, jak wtopić się w tłum, być nikiem, jednocześnie będąc kimś – zauważył w duchu.

Wiktora podkręcała walka z kimś takim. Ale nie pozwolił, by podniecenie wzięło górę nad rozsądkiem. Pewność, że walczy z kimś, kto umie o wiele więcej od niego, sprawiła, że stał się ostrożny; niczym sęp, który nie wylądowuje przy konającym, póki się nie upewni, że obiad gotowy. Skupił się w sobie. Wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę. Ostrożnie uniósł się na łokciach, wysunął rewolwer przed siebie, zgrał przyrządy celownicze. Poczul, jak nabój trafił z bębna prosto do lufy, trzask odwodzonego kurka rozległ się w jego uszach z siłą dzwonu wzywającego wiernych na modlitwę.

Przeciwnik musiał go usłyszeć, bo rzucił się do ucieczki. Wiktor wstrzymał oddech, jak uczył go Mikołaj, i oddał strzał. Odrzut sprawił, że zadrżały mu ręce, a lufa poszła nieco do góry. Ale wziął na to poprawkę, trzymając ją nieco niżej, niż pozornie należało. I właśnie dlatego pocisk utkwiał dokładnie w celu; przeszył staw kolanowy porywacza. Ze zdziwieniem obserwował, jak ten, trafiony w pełnym biegu, gwałtownie runął do przodu, przekoziółkowawszy wcześniej po bruku.

Wiktor przeżegnał się, dziękując Bogu za celny strzał. Z trudem zwalczył w sobie pokusę, by do niego podejść. Pamiętał jednak, że nawet ciężko ranny może jeszcze zabić. Dlatego oddał spokojny, kontrolny strzał w plecy, przygważdżając go do bruku. Następnie wyczołgał się spod karety, wskoczył do środka i zobaczył Elizę.

Jednym rzutem oka dostrzegł, że nie ma na ciele żadnych widocznych ran ani nawet zadrapań. Leżała ze szczelnie zamkniętymi powiekami, z jedną dłonią zwisającą bezwładnie z siedziska. Przytrzymał ją za tę właśnie dłoń i sprawdził puls. Odetchnął z ulgą, gdy przekonał się, że żyje. Powstrzymał się z trudem, by nie dotknąć jej twarzy uwalanymi we krwi dłońmi – mogłaby się bowiem przerazić śmiertelnie. Moja śpiąca królewna – pomyślał. A gdyby tak zbudzić ją pocałunkiem? Odrzucił od siebie tę myśl.

Zamiast tego zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić. Jeden napad udaremnił. Ale kto mu zaręczy, że tajemniczy wróg, chybiwszy raz, nie spróbuje ponownie? Mogli przecież wiedzieć, gdzie Eliza mieszka. Wiedział, że uzyskanie czyjegoś adresu jest sprawą dziecinnie prostą. Zastanawiał się więc, czy nie wziąć jej ze sobą do koszar, ale to znów nie było odpowiednie miejsce dla dziewczyny z porządnego domu. Z drugiej strony szukanie wolnego kąta w czasie balu, na który zjeżdżali ludzie z najdalszych nawet okolic, wydało mu się niepodobieństwem. I nawet pełna sakiewka nie byłaby tu żadnym rozwiązaniem.

Zdesperowany, odruchowo wsunął rękę do kieszeni. Poczul tkwiący w niej kawałek serwetki. Wyjął go, rozwinął i przeczytał, po czym palnął się w czoło, jak człowiek, który wpadł na satysfakcjonujące go rozwiązanie problemu. Podniecony wyskoczył na dwór, wskoczył na kozła i zaciął konie batem. Mknął przez puste krakowskie ulice i pewnie przyszłoby mu zapłacić solidny mandat za kawalerską jazdę, gdyby nie to, że jak zwykle

w czas świąteczny dyscyplina była rozluźniona i nawet policja państwowa pozwalała sobie na wypoczynek.

On jednak nie myślał wcale o grożących mu karach. Jego myśl zaprzętała tylko Eliza. Nie wiedział, co jej podali. Wprawdzie nie wydawało mu się, by mogło to być coś, co byłoby groźne dla jej życia, bo gdyby tajemniczy porywacze chcieli ją zabić, to mieli na to dość czasu i nie musieliby się w tym celu uciekać do podawania jej trucizny. Wystarczyłoby, aby skręcili jej kark. Ale nie miał co do tego pewności i niepokój o jej zdrowie doprowadzał go do szaleństwa.

Dlatego okładał konie bez miłosierdzia, chłoscząc je batem po zadach. Ponaglone bólem, leciały przez ulice miasta, jakby szły z wiatrem w zawody. Koła karety turkotały po bruku i obracały się coraz szybciej. Wiktor nawet nie patrzył na mijane kamienice i sklepy, skupiony tylko na tym, by wejść prawidłowo w następny zakręt. Ale mimo jego skupienia i całkiem nielichych umiejętności kareta parokrotnie przechyliła się niebezpiecznie, to w jedną, to w drugą stronę. I tylko szczęściu i opatrności Boskiej zawdzięczał fakt, że dojechał na ulicę Jagiellońską.

Była to ulica położona w samym centrum Krakowa. Ale, wbrew swej nazwie, którą wzięła od renomowanej krakowskiej uczelni, nie miała wśród mieszkańców krakowskiego grodu zbyt dobrej opinii. Przyczyną takowego stanu rzeczy byli przede wszystkim żacy, którzy często nawiedzali ową ulicę w poszukiwaniu wytwórców taniego piwa, uciech cielesnych lub po prostu... guza. I często go znajdowali, wzniecając rozruchy, które czasem objęły się aż o uszy prezydenta miasta, bo studenci niszczyli kramy, rozpędzali kupców, narażając miasto na liczne straty. Ale i sam prezydent niewiele mógł zrobić, gdyż on również obawiał się dobrze zorganizowanej i solidarnej w tych sprawach społeczności. Sprawy więc kończyły się zwykle na niczym.

Lecz owa atmosfera dusznego niepokoju, jaka otaczała Jagiellońską, miała i swoje zalety. Biedniejsi ludzie mogli tam znaleźć tańsze mieszkania, gdyż ich właściciele nie mogli wybrzydzać, ponieważ mało kto chciał słyszeć o zamieszkaniu w takiej okolicy. Dlatego tamtejsze kamienice zamieszkiwali głównie studenci pochodzący ze wsi, którzy musieli liczyć się z każdym groszem, a napadów i łobuzów się nie obawiali, bo sami chętnie chodzili na nocne wyprawy. Poza tym studencka brać swoich nie ruszała.

Wiktor zatrzymał karete przed jedną z takich kamienic. Jej numer zgadzał się bowiem z tym, jaki podała mu Iwona. Ostrożnie wziął Elizę na ręce i przytuliwszy ją do piersi, przemknął przez podwórze kamienicy, nie zwracając uwagi na jego niedostatki. Następnie wszedł wąskimi, pogrążonymi w ciemności schodami. Ich upierne skrzywienie napawałoby go niepokojem, gdyby wszystkie jego myśli nie koncentrowały się na dziewczynie.

Musiała mi ona czegoś zadać, jakiegoś zioła – myślał, obserwując jednocześnie numery na drzwiach i przeskakując przez poszczególne stopnie. Jest chyba coś takiego. Lubczyk czy co? To nie to samo co z Gerdą. Ta to kanister z benzyną, a tamta tylko zapalniczka. Nawet teraz dreszcze mnie przechodzą i ciepło, i tkliwość. Ale co ja jej powiem, jak ona się dowie, kim jestem? Łeb mi urwie i słusność będzie po jej stronie. Ale przynajmniej raz jeszcze mnie dotknie.

Tak rozmyślając, stanął przed właściwymi drzwiami. Niewiele się namyślając, zaczął w nie łomotać, nie troszcząc się o nocny spokój ludzi ani duchów. Drzwi odpowiadały mu za każdym uderzeniem głuchym jęknięciem. I działa się tak przez dłuższą chwilę – najwidoczniej ktoś miał mocny sen.

Ale Wiktor nie ustawał w pracy. Namyślał się nawet, czy nie otworzyć drzwi kopnięciem, ale porzucił ten zamiar, gdyż z dziewczyną na ręku trudno by mu było go w czyn wprowadzić.

Aż wreszcie rozległo się wściekłe sapanie i szuranie kroków. Po chwili drzwi uchyliły się z potwornym skrzypieniem źle naoliwionych zamków. W przerwie, jaka utworzyła się między framugą a drzwiami, ukazała się starcza kobieca twarz.

Wiktor przypatrywał się matowej, błyszczącej twarzy pokrytej siatką głębokich zmarszczek. Usta były nerwowo zaciśnięte, a zielone oczy wpatrywały si w niego wrogo.

– Czego?! – warknęła staruszka. – Rodzice pasem nie nauczyli, że nie budzi się nikogo po nocy?!

– Ja do panienki – wysilił się na wyjaśnienie, choć tracił już cierpliwość.

– Czynszu napłaci tyle co kot napłacze i będzie mi tu jeszcze mężczyzn sprowadzała – odparła pogardliwie. – Lokatorka upierdliwa.

– Stara, siwa, a jaka upierdliwa – odparował.

Od dobrej godziny nerwy miał napięte do granic, gotowe pęknąć z lada powodu. Więc pękły właśnie teraz i rozlały się potokiem wyzwisk i złorzeczeń, których by się żaden mieszkaniec ryszotku nie powstydział. Nie one jednak skłoniły kobietę do otwarcia drzwi, a nagan, który dostrzegła, gdyż wystawał mu z kieszeni. Było bowiem w twarzy tego człowieka coś, co kazało jej nie wątpić, że jest na granicy wybuchu, a w takim stanie ludzie niebezpieczni bywają.

Zresztą dostrzegła też i dziewczynę, która leżała bezwładnie na jego rękach. To zaś kazało jej przypuszczać, że ma do czynienia z człowiekiem, który desperacko szuka pomocy medycznej, a nie okazji do rabunku.

– Włóż pan, tylko buty wytrzyj, bo błota naniesie.

Szeroko otworzyła drzwi i usunęła się z nich, robiąc mu przejście.

– Schodami na górę. Tylko niech nie ma pretensji, jak pana szpikulcem do lodu przebiję. Tyle się teraz tej hołoty za studiami

nazjeżdżało, a uczciwego człowieka między nimi nie upatrzy. Każdego pilnuj, by ci chałupy z dymem nie puścił albo policji na łeb nie sprowadził. A upomnij się o komorne, to prychną na ciebie jak na tego kocura. Na swoją złego słowa powiedzieć nie mogę, chyba tylko tyle, że zalega z opłatami. Tak to nocami między uczonymi księgami siedzi, z których słowa jednego nie zrozumiesz, bo cudacznym językiem napisane.

Wiktor nie słuchał paplaniny starej, tylko szybko wskoczył na schody i zapukał do pokoju Iwony. Szczęściem ta nie spała jeszcze, bo zazwyczaj nie sypiała po nocach, poświęcając je na naukę. A i teraz, choć końcowe egzaminy miała już za sobą i mogłaby rzucić pudła z książkami w kąt, to starych przyzwyczajęń wyzbyć się nie mogła. Został ją stojącą z lampką wina w dłoni i nasłuchującą, co też się tam na dole dzieje.

Drgnęła, gdy wpadł bez pukania, lecz zaraz uśmiechnęła się, dostrzegłszy dziewczynę. Uśmiech ten zgasł, gdy spojrzała w przerażone oczy Wiktora.

– Co jej jest?

– Nie wiem. Uśpili ją czymś. A potem może coś podali?

Nie zadawała więcej pytań, były zbędne. Szybko zrzuciła z tapczanu kilka książek i kazała Wiktorowi ułożyć na nim Elizę. Spojrzała w jej źrenice – miały naturalną wielkość. Więc nie podano jej narkotyków – pomyślała. Spojrzała na ramiona, szukając śladu po wkłuciu, ale nic podobnego nie znalazła. To sprawiło, że odetchnęła z ulgą. Bała się trucizny, której jad wnika do krwiobiegu. Wiedziała bowiem, że wtedy nie zdołałaby pomóc tej dziewczynie domowymi sposobami. A wątpiła, by ambulans mógł przybyć na czas, gdy teraz sanitariusze mieli mnóstwo pracy z ofiarami szampańskich zabaw.

Zbadała puls, starając się nie patrzeć na Wiktora, który krążył wokół niej niczym sęp. Rozumiała go, ale jego chód ją irytował. Potrzebowała skupienia. Przeklinała teraz owo nieszczęsne wino

w kryształowym szkle. Nie czuła jego efektów, jako lekarz wiedziała jednak, że już niewielka ilość alkoholu powoduje zaburzenia, które są niedostrzegalne, ale mogą stanowić zawadę przy pewnych czynnościach.

– Siadaj na dupie! – wrzasnęła w stronę Wiktora. – Ty zrobiłeś swoje, to daj mi postąpić tak samo. A chcesz się na coś przydać, to przynieś mi szklanę wody z solą. Trzy łyżki.

Wiktor wyskoczył bez słowa. Cieszył się, że mógł zrobić dla Elizy cokolwiek. Myśl, że musi tylko stać i patrzeć, przyprawiała go o obłęd. Dlatego chodził dookoła tapczanu, byle tylko znaleźć sobie zajęcie – niczym żołnierz na warcie. I przyglądał się temu, co robiła Iwona. Podziwiał ją. Nie dostrzegał żadnych objawów paniki. Była profesjonalistką w każdym calu. On sam nie potrafiłby nad sobą tak zapanować, będąc w podobnej sytuacji.

Kierując się wskazówkami starej, która rozbudziła się już była zupełnie, dotarł do kuchni. Tam przygotował wszystko, po co go posłano, i ignorując życzliwą mowę właścicielki, która chętnie by się była czegoś dowiedziała, wrócił do Iwony.

Zastał ją mozołącą się nad suknią Elizy. Spojrzała na niego z nadzieją.

– No pomóż mi. Powinieneś się na tym znać.

Zarumienił się i uciekł spojrzeniem.

– Z tobą rzeczywiście jest coś nie tak. Przecież będę przy tobie i krzywdy nie dam jej zrobić. Zresztą mogłabym wezwać tu staruchę, choć mogę się założyć o butelkę dobrego tokaju, że i tak czuwa pod drzwiami. Ale wolałabym tego nie robić, bo to plotkara okrutna, a coś mi się zdaje, że ta sprawa powinna między nami pozostać.

Przykląkł na jedno kolano i zabrał się za zdejmowanie pantofelków. Poszło mu to sprawnie. Gorzej rzecz się miała z gorsetem, którego mocne sznurowania rozerwać należało. Iwona utyskiwała na to, mówiąc:

– Widzicie, coście narobili? Oduczyliście nasze babki oddychać, a teraz tylko kłopot z tym. To wam powinno zależeć na tym, żeby łatwo nas było rozebrać.

Jednocześnie podawała Elizie wodę z solą, by sprowokować wymioty. Wiedziała, że jest to przedsięwzięcie ryzykowne, ponieważ dziewczyna była nieprzytomna. Ale nie miała pewności, czy jej istotnie czegoś nie podano. A zniweczyć skutki działania ewentualnie podanej doustnie trucizny mogła tylko tym sposobem, ponieważ o sporządzeniu antidotum nie mogła nawet marzyć. Do tego bowiem potrzebowałyby dokładnego składu trucizny i przyrządów laboratoryjnych.

– Podtrzymaj jej głowę – poprosiła Wiktora, a sama przytknęła jej brzeg szklanki do ust. Trzymała mocno, bo dziewczyna drżała i wypluwała płyn; wyciekał jej on kącikami ust. Obserwowała tempo, w jakim ubywało wody w szklance.

No dawaj, maleńka – myślała. Walcz mi tutaj. Jeszcze trzeba, żebyś się ożeniła i rozwód wzięła.

– Nic się nie dzieje – rzekł Wiktor z pretensją w głosie. – Pamiętaj, cokolwiek się stanie, to ona musi przeżyć. Musi! Rozumiesz? – Na dowód położył nagana, zwracając go lufą w jej stronę.

Spojrzała na broń tak, jakby patrzyła na wronę.

– To za śmierć. A za życie to pewnie mnie pocałujesz? Będzie żyła, jeśli będzie mogła. Na śmierć rady nie ma. Czasem lepsze pierw do mogiły kładą, nim do łóżka włożą. Dopiero czas pokaże, czy zdołałam jej pomóc. W każdym razie ja swoje zrobiłam. No, czas pokaże.

I faktycznie pokazał. Po upływie kwadransa Elizę zaczęły wstrząsać gwałtowne torsje; Wiktor czuwał przy niej przez cały czas ataków, mimo przykrego zapachu, którym sam nasiąknął. Patrzył na żółte wymiociny i zastanawiał się, co to za świństwo. Jednocześnie cały czas trzymał dziewczynę za głowę, póki

niebezpieczeństwo zadławienia nie minęło. Nie było w tym zgoła nic romantycznego. I motały nim uczucia zgoła odmienne niż te, gdy całowała go nad fontanną. Ale za każdym razem odrzucał propozycje Iwony, że może zastąpić go przy chorej. Nie oddałby tego miejsca za nic i nikomu.

Iwona patrzyła na to i powoli składała wszystko w całość. Dziewczyna była ładna. A nawet piękna. To musiała jej przyznać. I było rzeczą zupełnie naturalną, że Wiktor się w niej zadurzył. Ale to, jak się nią opiekował, zaskoczyło ją i nastawiło do niego pozytywnie. Znała bowiem zdecydowanie zbyt wielu mężczyzn, którzy adorowali kobiety dopóty, dopóki ich nie zdobyli. Jeśli oczywiście ich uroda skłaniała ich do podejmowania zabiegów w tym względzie. Ale ich zainteresowanie kończyło się zwykle, gdy tylko kobieta straciła powab lub zachorowała. A jednego była pewna: w wymiotującej kobiecie nie ma nic romantycznego.

Opadła na swój fotel. Czowała się kompletnie wyczerpana. Zimny pot uperlił jej czoło. Napięcie ostatnich minut schodziło z niej powoli. Ale potrzebowała czegoś, co przyspieszyłoby ten proces. Wiedziała, że zdecydowanie za wiele pije. Ale naprawdę lubiła smakować alkohole. Poza tym jeszcze nigdy nie upiła się do nieprzytomności. Obiecała sobie kiedyś, że jeśli kiedykolwiek do tego dopuści, to skończy z alkoholem raz na zawsze.

– Napijesz się, Wiktor? – spytała, bo naprawdę nie lubiła pić w samotności.

– Po dzisiejszych przeżyciach to nawet z chęcią.

Wstała, podeszła do barku, który był umieszczony pomiędzy półkami z książkami; wyjęła z niego pękatą butelkę spirytusu i dwie szklanki, po czym podeszła do Wiktora.

Chłopak spojrzął na trunek i uniośł brwi w zdumieniu. Nie sądził, że kiedykolwiek spotka kobietę, która piłaby czysty spirytus szklankami. Sam nie miał w tym względzie zbyt wielkiego

doświadczenia, tym bardziej więc nie znał ani jednej kobiety, która potrafiłaby tak pić. Zwykle bowiem pijały tylko wina, i to słabe.

Wziął szklanę i pozwolił nalać sobie aż po brzeg.

Nie skłamał. Naprawdę tego potrzebował. Dziś zabił dwóch ludzi. I nawet nie wiedział, kto ich przysłał. Nigdy wcześniej nie widział ich na oczy, a los sprawił, że musiał ich zabić. I nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. To napawało go największym niepokojem. Spodziewał się bowiem wyrzutów, rozterek, a tymczasem nie czuł nic. Czyżby stał się aż tak obojętnym na rozlew krwi? Czy nie zatracił człowieczeństwa?

Obserwował, jak jego towarzyszka nalała sobie na samo dno i piła małymi łydkami. Sam miękko przechylił szklanę i pił powoli, ale bez wytchnienia, nie odrywając ust od jej brzegu.

– Alkohol się smakuje, a nie żłopie – zwróciła mu uwagę Mielnik. – Pijesz jak mój stryjek, który mnie pić uczył i do chrztu trzymał.

– W carskiej armii nie do pomyślenia było, by oficer nie wypił duszkiem szklanki spirytusu – wyjaśnił. – A poza tym chyba pomyliła ci się z lekka kolejność.

– Przecież nie służyłeś w carskiej armii – zauważyła. – Ale masz rację. Jest to nawet opisane w *Wojnie i pokoju* Tołstoja.

– W czym? – zapytał zarumieniony i zawstydzony, bo nie lubił zdradzać się lukami w wiedzy.

Powstrzymała westchnienie. Rozumiała, że Wiktor nie jest tępym osiłkiem, a po prostu nie miał dość czasu, by zadbać o odpowiednie uzupełnienie licznych braków w erudycji.

– To klasyka literatury rosyjskiej i dzieło tak wybitne, że prawie nikt go już nie czyta. Ale opowiadaj lepiej, co się z tobą działo i jakim sposobem upolowałeś tę śliczną sikoreczkę.

Wiktor był zadowolony, że może się przed kimkolwiek wygadać, więc opowiadał szeroko, jakim to sposobem znalazł się pod jej drzwiami z dziewczyną na ręku. Ona zaś słuchała uważnie

i w miarę rozwoju opowiadania patrzyła na niego z coraz większym podziwem. Dotychczas bowiem nawet nie sądziła, by człowiek ten potrafił zabijać. Cieszyło ją też to, że opowiadał jej o tym bez chępliwości, a nawet z jakimś dziwnym smutkiem wypisanym na twarzy. Więc gdy skończył, rzekła:

– Nie ciesz się cię to, widzę. I dobrze. Bo nikt normalny nie powinien lubić rozlewu krwi. Ja na przykład kocham medycynę, ale swoją obecność przy sekcji zwłok do dziś wspominam ze strachem. Choć gdyby wypadło mi ją przeprowadzić, to wiedziałabym, jak się do tego zabrać.

– Po co mi to opowiadasz? – spytał, choć domyślał się już, do czego zmierza.

Zrozumiała, że musi mówić prosto, by przywrócić mu równowagę ducha.

– Chcę powiedzieć, że czasem trzeba kogoś zabić. Gdy dobywasz broni, nigdy nie myśl o tym, kogo zabijasz, lecz komu ratujesz życie. Dziś uratowałaś ją. A jutro następnych. Kto wie, kim byli ci ludzie i jaki los dla niej przeznaczyli? A gdy ktoś zagraża kobiecie, którą oddano ci pod opiekę, to pał mu w łeb i mierz dobrze. Będziesz mi dostarczał trupy, a ja je będę kroić. – Uśmiechnęła się do Wiktora, chcąc, by się rozchmurzył i przestał bujać myślami w obłokach.

Uśmiechnął się blado i anemicznie, lecz najwidoczniej nie wyzbył się jeszcze wszystkich rozterek, bo zapytał:

– A prawa Boskie i opinia ludzka?

– Pewnie, że Bóg wybaczył nawet Judaszowi. Ale on był Bogiem i miał swoje obowiązki, a człowiek ma swoje prawa. Czy zabiłeś ich zdradą, trucizną? Nie. Zginęli w równym, uczciwym boju. I jeszcze jedno ci powiem. Gdybyś spokojnie patrzył, jak jej dzieje się krzywda, to miałabym cię za ostatniego psa. No, dosyć teraz wykładu. Kładź się obok niej.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, niepewny, czy nie żartuje. Lecz nie dostrzegł w jej twarzy najmniejszych oznak wesołości. Ona jednak spostrzegła jego zdumione spojrzenie, bo wyjaśniła:

– Na twoją nieśmiałość najwięcej liczę, bo bałabym się kogo innego z nią pozostawić. A muszę, bo nie wiem, czy jej w nocy torsje nie pochwycą, a wtedy mogłaby się łatwo zadławić. No chyba że ci przy niej za ciepło będzie. Wtedy nie będę hubki i krzesiwa blisko siebie trzymać, bo łatwo pożar zacząć mogą.

– Nic mi do niej ani jej do mnie – odparł, bojąc się, by głos go nie zdradził. – To córka mojego szefa i ja o tym pamiętam. A tobie się pewnie po spirytusie w głowie roi.

Bał się jednak. Czy tak łatwo we mnie czytać? Czy to aż tak widać? Bo jeśli ona to widzi, to widzieć będą i inni. A co z tym zrobić? Wyrwać ziarno, póki płytko zakorzenione, bo potem będzie bolało gorzej. Co ja jej powiem, kiedy wyjdzie na jaw, że poszedłem tam jako przyzwoitka? Gotowa pomyśleć o mnie, że zbliżyłem się do niej dla własnej korzyści. Bodaj to tego wszystkiego nie było. Ale to było i jest. Pojadę do Lwowa, ucieknę jak najdalej, a uczucie samo po drodze uwiędnie, gdy go jej widokiem podsycal nie będę.

Tu jednak inne myśli przyszły mu do głowy. A jeśli i ona coś do mnie poczuła? Lecz zaraz zaprzeczył sam sobie. Ejże, gdzieżby tam taka dziewczyna choćby spojrzała na mnie! A zresztą, choćby i co było, to zapomni o mnie przy krasnych oficerach, którzy się przy niej obracać będą. I tak będzie dla wszystkich najlepiej. Zakończywszy rozmyślenia taką konkluzją, przestał czoło marszczyć i patrzeć przed siebie w zadumie.

Natychmiast zaczął się rozbierać, korzystając z tego, że Iwona wyszła. Gdy wróciła po godzinie, zastała go leżącego obok Elizy. Ze zdumieniem dostrzegła, że oboje rozdzielal pistolet. Był ułożony w ten sposób, że Wiktor musiałby go dotknąć, gdyby chciał wykonać jakikolwiek ruch. Liczył najwidoczniej, że to go otrzeźwi i powstrzyma przed zrobieniem czegoś niestosownego.

Uśmiechnęła się na ten widok. A mówił, że nie zna się na literaturze – pomyślała i usiadła w fotelu. Zasnęła w nim z książką w ręku, tak jak robiła to przez całe lata studiów.

5 Gdy sto lat temu ktoś jechał samochodem z Warszawy do Krakowa, jeszcze przed Radomiem musiał zmienić pas ruchu. Polska była jednym z nielicznych miejsc w Europie, w których obowiązywał ruch zarówno lewo-, jak i prawostronny.

Dlaczego w ogóle jeżdżono po lewej stronie? Według źródeł zasada wywodzi się jeszcze ze średniowiecza, a jej powodem była wygoda. Wtedy rycerzom, najczęściej praworęcznym, łatwiej było wyciągnąć miecz do obrony. Z tego powodu przez długie lata te reguły panowały we wszystkich krajach. Ruch lewostronny dotyczył nie tylko dróg, ale również torów tramwajowych i kolejowych. Ruch prawostronny narodził się we Francji. Tam zaczęto go popularyzować. Niektórzy wprowadzenie tego systemu przypisują samemu cesarzowi Francuzów, a inni twierdzą, że zaczął on funkcjonować już kilka lat wcześniej.

Rozdział X

Tomasz, gdy tylko przekroczyli Niemen, rozstał się z Wieniawą, obiecawszy mu przedtem solennie, że go w sposobnym czasie odwiedzi. Zostawszy sam, bez asysty wojskowej, ruszył co prędzej do domu.

Przedzierał się bocznymi drogami, bo nad granicą nikt jutra pewnym być nie mógł. A to dlatego, że było to pole ustawicznych wzajemnych napadów i późniejszych akcji odwetowych. Dlatego właśnie omijał główne trakty, by nie spotkać ani Armii Czerwonej, ani jednostek Wojska Polskiego.

Wsie nad granicą po większej części były już opuszczone przez swoich mieszkańców, bo ludzie zostawiali swoje dotychczasowe siedziby, by ich wojna nie zaskoczyła. Jechał więc krajem pustym, kierując się na Lublin. Miało to tę dobrą stronę, że ludzi nigdzie nie napotykał, uniknąć mógł nieszczęścia. Ale z drugiej strony nie miał gdzie zapasów uzupełnić, więc musiał wydzielać sobie szczupłe racje z tych, które posiadał. Na szczęście był przyzwyczajony do jazdy o chłódzie i głodzie, bo w armii carskiej przeszedł porządłą szkołę życia.

Jazdę utrudniały mu wezbrane wody, które zalewały drogi, zrywały mosty. Nieraz musiał po kilka dni czekać na to, by przepawić się przez topieliska, w które zmienił się cały kraj. Im bardziej jednak oddalał się od granicy, tym częściej zastawał ludność spokojną i na miejscu siedzącą. Wszędzie zaś przyjmowano go gościnnie i koniowi jeść dano, więc przymusowa

zwłoka w podróży nie była dla niego przykra. Gorzej rzecz się miała z ludźmi, którzy udzielali mu gościny, a w zamian żądali nowin o wojnie, bo i tu groza już się przedostała. Zwłaszcza młodzi mężczyźni wypytywali go o to z troską, bo wojna oznaczała dla nich mobilizację.

Tomasz zaś niewiele mógł im w tym względzie wyjaśnić, bo sam się niezbyt na tych sprawach rozumiał. Nie pojmował też owej obawy przed wojną, tak typowej dla polskich wsi, gdyż wojnę uważał za rzecz normalną. Mógł im tylko to rzec, co mu Dzierżyński przy ostatnim widzeniu powiedział. Ale sam nie rozumiał dwuznaczności jego słów. Poza tym wołał ich nikomu nie powtarzać, bo jeśli oznaczać miały wojnę, to lepiej, by ci ludzie, za których gościnność był wdzięczny, nie od niego się o niej dowiedzieli. Czasem tylko obracał sygnet na palcu – miał go ze sobą. Po co miał w zbójcejskich rękach pozostać? Poza tym słowa Dzierżyńskiego napawały go takim niepokojem, że wołał się z nim nie rozstawać. Rozmyślał też o tym na popasach, gdy wypadło mu nocować pod gołym niebem. Właśnie wtedy czuł się najlepiej, gdy obcował tylko z naturą i nie musiał reagować na życzliwe nagabywania ludzkie i opowiadać o sobie. Rozumiał, że pytania te są przejawem życzliwości, ale sam nie wiedział, co ma o sobie mówić. Nie był pewny tego, co myśli i czuje. Wiedział, że Wiera siedzi w nim jak pocisk w ciele.

Starał się o niej nie myśleć, bo wiedział, że myślami nikogo nie wskrzesi. Ale niełatwo mu to przychodziło. Dlatego gnał do domu, nie żałując ani siebie, ani konia. Mimo to wiosna dobrze rozgościła się już na świecie, gdy zobaczył rodzinne strony. Jechał pomiędzy świeżo zasianymi zagonami, na których dopiero wschodziły zboża, i patrzył na rodzinne niebo, pod którym od dawna nie bywał. Zdało mu się inne niż to, które zapamiętał. A jednak gardło dławilo go ze wzruszenia, bo nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek je

zobaczy. Nosił w sobie wcześniej stałe przekonanie, że jeśli nie dziś, to jutro głowę położy. A oto wrócił.

Tylko do czego? – pomyślał kwaśno.

Ani wiedział, dokąd iść, gdzie się obrócić. Do siostryjechać nie chciał. Nie przyjmie go tam miło, to wiedział. A może jego siostra dzieci już ma? To tym gorzej, bo jego prawo do dziedziczenia po ojcach pierwsze by było niż jej i jej dzieci. Tomasz nie chciał jej krzywdy, ale przecież z czegoś żyć musiał. Tu pewnie mieczem na wikt nie zarobi, bo na cóż komu wysłużony już żołnierz. Wolał jednak, by się siostra od kogo innego dowiedziała, że z wojny powrócił, żeby miała czas się z tą wieścią oswoić.

Postanowił więc zajechać najpierw do swojej ciotki, żeby zasięgnąć wieści o rodzinie, a także poradzić się w kwestii dalszego postępowania. Sam bowiem nie wiedział, co robić. To postanowiwszy, ruszył w drogę. Ale przedtem jeszcze chciał pojechać nad wodę, by opłukać się i doprowadzić do porządku.

W tym celu wybrał się nad niewielki staw, który od zawsze służył okolicznej ludności za pralnię, a po Bożym Ciele za kąpielisko. Gdy dojechał na miejsce, nie mógł poznać okolicy. To, co pamiętał jako tętniący życiem zbiornik wodny, było teraz zarosłe szuwarami. Zwinnym ruchem zeskoczył z konia i pozostawivszy go samego, posunął się ku tatarakom. Ostrożnie wszedł między sitowia i rozchylił je.

Wtedy ujrzał nagą dziewczynę, która najwidoczniej przyszła tu w tym samym zamiarze co i on. Stała w wodzie po kolana, tak że mógł podziwiać ją w pełnej krasie. Widział jej posągowe, jakby wykute z kamienia ciało, szerokie biodra; przyglądał się kroplom wody ściekającym po jej brązowej skórze, puszystym, pszenicznym włosom ujętym w dwa warkocz, które opadały jej za plecami. Patrzył jak zaczarowany na piersi jak ze skały wykute.

Podobała mu się – naprawdę. Wspomnienie Wiery przygasło w nim jak ognisko przy pożarze. Podkręcił węża i uśmiechnął się

do własnych pragnień i marzeń. Czuł, że taka dałaby mu synów i stanowiłaby dobry materiał na żonę. Lecz zaraz inna myśl przysłała mu do głowy i spadł na nią kubek zimnej wody.

Gdy stary młodą bierze, to diabeł obrączki im poda. Pewnie, że mam w sobie jeszcze krzepę i kosturem zapierać się nie potrzebuję, ale gdzie mi do takiej młódki. Jej by się jaki gospodarski syn nie powstydział, co to gospodarki rozdrabniać nie potrzebuje. A ja? Muszę wpieryw wiedzieć, na czym stoję, nim coś postanowię. Trzeba z ciotką pogadać, niech powie, co myśli.

Chciał się cichaczem wycofać, ale pochłonięty innymi myślami zahaczył czubkiem buta o splątane krzewy i runął do przodu. Towarzyszył temu dziewczęcy okrzyk przerażenia. Poderwał się zaraz i spojrzał w jej zarumienioną, okrągłą twarz, na której malowało się w tej chwili bezbrzeżne zdumienie pomieszane ze strachem; rękoma osłaniała się, jak mogła, ale stała zawstydzona, nie wiedząc, gdzie oczy podziać, jakby własną pięknnością zawstydzona.

– Nie bój się – rzekł, zamykając oczy, by jej nie krępować. – Z wojny wracam. I muszę ci podziękować, żeś mnie takimi widokami uraczyła w ojczyźnie.

Zamiast odpowiedzi, której się po prawdzie nie spodziewał, usłyszał tylko chlupot wody. Domyślił się, że dziewczyna wybiegła ze stawu. Pewnie w poszukiwaniu ubrań, które z pewnością miała rozwieszane na pobliskich trzcinach. Stał spokojnie, nie poruszając się, czekając, aż się spokojnie ubierze. Gdy otworzył oczy, już jej nie było. Westchnął i zajął się swoim ubraniem i ablucją. Następnie musiał poczekać, aż bielizna wyschnie; w tym celu porozwieszał ją na okolicznej roślinności. Sam pływał wzdłuż stawu, rozkoszując się lodowatą wodą.

Taka zaprawa nie była dla niego niczym nadzwyczajnym, bo w carskich koszarach poddawano go znacznie ostrzejszej, traktując

ją jako element przygotowań do służby liniowej. I wychodziło na to, że instruktorzy mieli rację, bo przeżył.

Opłukawszy się z wielodniowego brudu, założył wszystkie części garderoby i odnalazłszy konia, ruszył do ciotki.

Janina Stachyrzanka siedziała w Skrudkach na gospodarce nie najzasobniejszej wprawdzie, ale nie potrzebowała nikogo o chleb prosić. Kształcenia żadnego nie miała, bo na wsi każdy uważał to za niepotrzebną fanaberię. Pracowała więc z mężem na gospodarce i wychowywała córkę. I dobrze jej tu było, bo innego świata nie znała, a tu, gdzie jej Pan Jezus żywot wyznaczył, szacunek i uznanie u ludzi miała. Znała się bowiem na gusłach wszelakich.

Czy kto potrzebował urok odczytać, czy nowo narodzone dziecko zamówić, ten do niej szedł. Choroby i ból odczytniać umiała, więc czasem nawet z bardzo dalekich okolic przychodzili do niej ludzie, którym dolegały przeróżne dolegliwości. Pogodę także zamawiać potrafiła, mleko krowom odjąć czy urok na złego sąsiada rzucić, więc przychodzono do niej i w tych sprawach. Ona zaś nie odmawiała, bo to zawsze profit dodatkowy. Każdy bowiem, choćby najuboższy, poczuwał się do tego, by jakąś zapłatę zostawić: ten dał oselkę masła, ten mleka kankę, ten płótno, ten len. I tak mienie jej rosło przy pomocy męża, który na wyrobek nie potrzebował chodzić.

Tomasz jechał przez wieś i ze zdumieniem się przekonywał, że prawie nic się w niej nie zmieniło. Chyba tyle, że ciasno zbudowane chaty poczerniały jeszcze bardziej ze starości i zapadły się w ziemię. Jechał spokojnie między opłótkami, a dzieciarnia spoglądała zza pochyłonych płotów błyszczącymi z podniecenia oczami na wojskowy mundur i konia. Wyprostował się więc w kulbace, podkreślił dumnie wąsa i jechał.

Dzieci patrzyły jednak na niego wiedzione tylko ciekawością, większości z nich bowiem nie było jeszcze na świecie, gdy jego do

wojska brali. Poznać go mogli chyba tylko ich rodzice, którzy wyrostkami byli, gdy wyjeżdżał, a teraz już na własnych gruntach siedzieli. Ale ich wiosna wyгнаła z chałup w pole, więc jechał przez wieś nie niepokojony przez nikogo, jeśli nie liczyć psów, które oszczekiwały go z wściekłością, biegnąc wzdłuż swoich pólów.

Nawet one mnie nie poznają – pomyślał. I nagle poczuł się bardzo samotny. Gdzie miał szukać przyjaciół, żony, jeśli życie jak woda przez palce przepłynęło? Dopiero powrót w strony rodzinne i zmiany, jakie tutaj zastał, uświadomiły mu z całą ostrością, że zmarnował najpiękniejsze lata na wojnie, której sensu nigdy zrozumieć nie mógł. A ci, z którymi było niegdyś wypasał, dorabiali się w tym czasie, kochali, żenili. A on? Z wojny wyniósł tylko rany w skórze i wilgoć w kościach. Nawet łup Pan Jezus mu odjął, który miał być zabezpieczeniem starości. Bo to wiedział, że najgorsze dopiero przed nim?

Bo nic to jeszcze dziś. Moc w kościach czuł. Stary też jeszcze nie był, bo wchodził dopiero w wiek średni i robić jeszcze na ziemi mógł. Lecz co będzie, gdy wiek siły mu odejmie, do ziemi pochyli i włosy ubieli? Kto wówczas mu pomoże? Drżał na myśl o takiej przyszłości, bo wiedział, że sam z kłopotem i trudem zostanie, jak ta makowa grusza, co sama w polu sterczy. I do nikogo pretensji mieć nie mógł, bo na wsi już tak było, że każdy o swoim dobru tylko myślał. A jeśli komu pomagano, to w nadziei na odrodek. A on nikomu na starość pomóc nie będzie już w stanie. Więc i pomocy od innych oczekiwać nie powinien. I nie oczekiwał.

Ale czarne myśli osiadły go jak kruki ścierwo. Opędzał się od nich jak ranny na polu bitwy, lecz spochmurniał i głowę pochylił tak, że włosami niemal dotykał końskiej grzywy. Tak zatopił się w rozmyślaniach, że niemal minął dom ciotki Janiny. W ostatniej chwili uniósł głowę i skierował konia na podwórze. Rzucił po nim okiem. Dom był zwykły, kmieci, otoczony z trzech stron

budynkami gospodarczymi, które wzniesiono z drewna, jednak niestarannie, skutkiem czego były pochylone niczym ten pijany szewc.

A jednak ryczały w nich krowy, chrumkały maciory, co było znakiem, że to gospodarstwo to nie torebka szezki. Na podwórzu biegały kury, nad którymi czuwał kogut, przepatrując wszystko wokoło. Stary, wyliniały pies wyskoczył z budy, napiął łańcuch i szczełał, ale bez młodzieńczej werwy, chyba tylko po to, by mu niedbałości nikt zarzucić nie mógł.

Lecz i to szczełanie odniosło pewien skutek, bo kobieta stojąca dotąd przy studni odwróciła się twarzą w stronę Tomasza i przysłoniła oczy ręką, przyglądając mu się. Na jej pomarszczonej, suchej twarzy znać było wysiłek, z jakim usiłowała skojarzyć go sobie. Najwidoczniej zakopała myśl o jego powrocie tak głąboko, że nawet mundur nie zdołał naprowadzić jej na właściwy trop. Uśmiechnął się boleśnie, widząc siwe włosy tej, którą pamiętał jako hożą kobietę. Po raz kolejny boleśnie przekonywał się o upływie czasu.

Podszedł do niej.

– Witaj, ciociu – rzekł, przysiadając na skraju studni.

Dostrzegł, jak pobladła, zerwał się i podtrzymał ją w obawie, by się nie przewróciła. Posadził na studni i nabrawszy w ręce wody ze stojących w pobliżu wiader, prysnął jej na twarz. Zadrżała, łzy pojawiły się w jej oczach i po omacku chwyciła go za rękę, jakby potrzebowała się dowodnie przekonać, że nie z duchem ma do czynienia. Następnie zadarła w górę głowę i przyglądała mu się przez chwilę. W końcu oparła swą siwą głowę na jego piersi i cichutko płakała. Tulił ją i uspokajał przez dłuższą chwilę.

Dopiero gdy przysła trochę do siebie, rzekła:

– Żyjesz, Tomku? Matko Boska! A myśmy cię już pochowali! Z tych, co ich z tobą wzięli, ani jeden nie wrócił. Mój Boże! Tyle lat. Nawet listu...

– Jak miałem list napisać, kiedy pisać nie umiem? A i tam, gdzie byłem, poczta nie chodziła. Zresztą po cóż miałem pisać, skoro wiedziałem, że nie wrócę?

– Chodź do domu. Nie będziemy gwarzyć przy studni. Zresztą głodny i strudzony być musisz, boś z drogi. Zaraz coś naszykuję. I moją córkę poznasz. Dzieciak to był, gdyś wyjeżdżał, a teraz świeca nie panna. Tak, tak, ty matko chesz, strzeż i jeszcze dopłać komu, żeby wziął z domu.

To rzekłszy, zabrała go do kuchni, gdzie zaraz zakrzątnęła się wokół jadła i napitku. Wkrótce postawiła na stole pękatą misę kaszy i butelkę samogonu, którą rozlała do kubków. Sama usiadła naprzeciw niego i patrzyła, jak je. On zaś podjadł mało, jako obyczaj nakazywał, a głodny nie był, bo wszędzie, gdzie zajechał, gościny mu nie pożałowano.

Janina czekała niecierpliwie, aż skończy, bo ją ciekawość paliła, by się czegoś bliższego o jego dziejach dowiedzieć. Toteż uradowała się, gdy szybko odłożył łyżkę.

– Opowiadaj, co się z tobą przez tyle lat działo.

Uśmiechnął się.

– Nocy i dnia by nie starczyło, gdybym ci wszystko tak, jak było, chciał opowiedzieć. Zresztą będzie jeszcze czas na wszystko, bo myślę, że mnie z progu pędzić nie będziesz.

– Możesz przyjeżdżać, kiedy chcesz – zapewniła. – My ludzie biedni. Wieści żadne ze świata do nas nie dochodzą, to i nowin jesteśmy spragnieni. A ty kawał świata zwiedziłeś, to pewnie masz co opowiadać.

– Ano, zwiedziłem – potwierdził gorzko. – I tyle mi z tych wędrówek, że młodość na nich zgubiłem. A na wojnie człowiek się tylko ran w skórze dorobił i krwi na rękach.

Spojrzała na niego bystro. Zastanawiała się, po co przybył i czego chciał. Bała się, czy nie po wspomnienie. Prawda, krewniakiem był, temu przeczyć nie mogła, ale skąd miała brać?

Pewnie, głodu nie cierpiała. Ale miała córkę, którą musiała wywianować, by ją który gospodarz zechciał. I nie stać jej było na rozdawnictwo.

– Posłuchaj – rzekła niepewnie. – Ja cię ani groszem nie wspomogę, ani na piec cię nie wezmę, bo mnie samej z ust na polepę nie kapie. Córkę mam na wydaniu. Brzydka ona nie jest, ale jak jej morgi albo dwóch nie dam, to i ten dziad spod kościelnego muru na nią nie spojrzy.

Kiwnął głową ze zrozumieniem. Niczego innego zresztą się nie spodziewał. Na wsi nikt nie miał tyle, by dzielić się tym z innymi. W niejednej chałupie głodno było, bo majątki pańskie zajmowały ogromną większość ziemi nadającej się pod uprawę. Wszystkie lepsze pola, łąki do dziedziców należały, a ludzie musieli gnieździć się po sześcioro w jednej izbie, łajnem się ogrzewać. Szczupłe i uprawiane prymitywnymi narzędziami pola nie chciały i nie mogły wyżywić przeludnionej ponad miarę wsi.

Tomasz sięgnął po kubek i opróżnił go jednym haustem.

– Wiem to i nie po wsparcie przyjechałem. Powiem ci szczerze, jak jest. Jeszcze w domu nie byłem, tylko tu zajechałem, by się ciebie o radę zapytać. Z wojny wróciłem biedny jak mysz kościelna. Jedyna nadzieja w tej ziemi, co się po ojcach ostała. Ale to przecież teraz do siostry należy. A ona może już własne dzieci z tym swoim chłopem ma. Nie chcę jej chleba odbierać. A jeszcze dzieciom? Dlatego wolałem się sam tam nie pokazywać. Różnie mogłaby mnie przyjąć, a ja wadzić się z nią nie chcę. Wolałbym się z nią dogadać. I chciałbym, żebyś ty do niej poszła i jej o wszystkim powiedziała. Niech sobie to przemyśli i swoje słowo powie.

Janina zadrżała. Niby wiedziała, że on nie był świadom tego, co się zdarzyło, gdy był na wojnie. Tego, że rodzice jego zmarli, mógł być pewien, bo starzy już byli, gdy na poniewierkę ruszał. Ale nie wiedziała, jak przekazać mu pozostałe nowiny. Bała się, jak zareaguje. Wieści były wprawdzie dla niego w pewnym sensie

pomyślne, ale i jednocześnie trudne do przelknięcia. Zwłaszcza w sytuacji, gdy spadną na niego niespodziewanie. Lecz Janina wiedziała, że trzeba raz wszystko powiedzieć. Już otwierała usta, gdy Tomasz sam obrócił rozmowę w tę stronę.

– Chętnie się dowiem, co tam w domu słychać i na wsi.

Gdyby Janina była wykształconą kobietą, starałaby się osłabić siłę ciosu gładkimi słowami, lecz ponieważ była prostytutką, rzekła prosto z mostu.

– Twoja siostra nie żyje. Będzie z pół roku, jak ją na cmentarz zawiedli.

Zachwiał się na stołku, jak szablą pchnięty. Ale nie płakał. Opuścił tylko głowę na pierś i trwał w milczeniu. Wiedział, że to okoliczność dla niego wielce pomyślna, bo ułatwiała mu odzyskanie ojcowizny. Ale nie potrafił się z tego cieszyć. Jego mała siostrzyczka, którą na barana nosił, kołysał, była już pod ziemią. I teraz naprawdę nie miał już nikogo bliskiego na ziemi. Bo choćby się z siostrą skłócili, to przecież z jednego łona wyszli. To ich wiązało i była jego rodziną. A teraz? Został sam.

Za to droga do objęcia gospodarstwa stanęła przed nim otworem. Przed walką o schedę z siostrą miałyby pewne opory. Jej chłopca, którego nawet nie poznał, ta obawa nie dotyczyła. Nie będzie przybłąda uprawiał tej roli, na której jego ojciec i dziady siedzieli.

– I co teraz robić zamierzasz? – zapytała ciotka. – Skoro po moją radę przyjechałeś, to ci powiem, co myślę. Ot, kobieta ci potrzebna. Samemu ciężko na świecie i dobrze pokrewną duszę koło siebie mieć. A gospodyni każdemu domowi potrzebna jak drzwi. Miałbyś się i kogo zaradzić, od kogo pomocy i wyręki oczekiwać. – Uśmiechnęła się życzliwie.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem w oczach, a gdy spostrzegł, że nie żartuje, odparł:

– Kpisz? Nie za starym jest? Jest tu niemało młodszych ode mnie. Mają gospodarki, gotowiznę i inwentarz. A ja? Chyba tylko szablisko, konia i mundur, który mam na grzbiecie. Który ojciec da córkę na niepewną gospodarkę? Bo tamten pewnie też nie ustąpi bez walki. Pewnie się już dobrze na mojej ziemi rozłożył. A nikt z dobrej woli nie odda tego, co raz w zęby wziął.

– Nie gadaj takich rzeczy, by cię Bóg za bluźnierstwo nie skarał. – Uniosła ręce do góry, jakby sama chciała wezwać Boskiej pomsty nad nim. – Ty stary!?! Chłop z ciebie jak dąb. A tylko ten stary, kto o własnej mocy do gęby nie trafi. Zresztą grunt będziesz miał. Bo lepiej będzie, żebyś ty go uprawiał niż ten parch.

Widać Janina nie kocha męża mojej siostry – pomyślał.

– Jeszcze ona dobrze nie ostygła – kontynuowała kobieta – a tamten już nową sobie pod pierzynę wziął i rządzi się obydwójce, jakby od wieków byli tu panami. Ale teraz koniec z tym. Prawo za tobą. Nie mają się na co powołać.

– Choćby na to. – Podniósł swoją ogromną pięść. – Nie gorsze to od prawa, bo ja na przykład prawa nie rozumiem, a jak mi kto tym powie, to pojmem. No ale i mnie takie prawo nie nowina i nie byle czego też się ulęknę. Jak nie ustąpi przed prawem, to go wezmę lewem.

Nie odpowiedziała na to nic, bo takie sprawy były rzeczą powszednią. Żaden szanujący się chłop nie przeszedł do porządku dziennego nad jedną odoraną skibką. Miedz strzeżono troskliwiej niż dzieci rodzonych. I wystarczyło najmniejsze podejrzenie zaboru ziemi, by do bójek dochodziło, które nieraz krwawy przybierały obrót. Jeśli tak działo się, gdy w grę wchodziły małe powierzchnie, to co się stanie, gdy bój rozgorzeje o całe gospodarstwo z inwentarzem? Ale wiedziała, że Tomasz nie może ustąpić. Bo miał święte prawo do dziedziczenia po ojcach, a po drugie nie miałby z czego żyć, gdyby bez ziemi pod nogami został.

Namyśliwszy się, doszła do wniosku, że lepiej zaczekać ze swataniem go, póki się sprawa nie wyjaśni.

– Rób, jak chcesz, ale póki będzie można, dobrych sposobów próbuj.

Tu musieli przerwać rozmowę, bo do kuchni wpadła córka ciotki Janiny. Tomasz przyglądał jej się z ciekawością, ale i ze zdumieniem, bo pamiętał ją jako podlotka, który obcierał sobie kolana na drzewach. A tymczasem miał przed swoimi oczami hożą pannę o rumianych, pełnych policzkach, chabrowych oczach i małym, zgrabnym nosku. Dziewczyna spełniała wszystkie wymogi wiejskiego kanonu urody: wysoka, szeroka w biodrach; tylko włosy nosiła luźno rozpuszczone, co było sprzeczne ze zwyczajem. Ich rude sploty przypominały tańczący ogień, który rozlewał się po pomieszczeniu.

Ciotka patrzyła na nią z dumą i rodzicielską miłością w oczach. I co chwila spoglądała na Tomasza, jakby sprawdzając jego reakcję na widok swojej latorośli.

On zaś istotnie pełen był podziwu dla jej urody i nie musiał się silić na sztuczne pochwały, rzekł bowiem ze szczerym podziwem:

– Ależ ta róża ci rozkwitła. Nie dziwota, że każdy chce ją przesadzić do swojego ogródka. Ale ty szukaj jej takiego z dobrą ziemią, choćby na garbowszczyźnie.

Dziewczyna spłonila się i przysłoniła twarz ręką.

– Skocz no, Józia, do Weronki i powiedz jej, by tu przyszła – rzekła Janina, ulitowawszy się nad córką. – Jej matka chciała ode mnie lnu pożyczyć na koszule.

Dziewczyna chętnie skorzystała z podsuniętego jej przez matkę pretekstu, bo ledwie jej słowa w powietrzu przebrzmiały, a już jej nie było.

Biegła środkiem wsi, każdy ją pozdrawiał, a zwłaszcza młodzi, bo to niejednemu w oko wpadła. Ale że matka trzymała ją twardą ręką, więc tylko się skłoniła i nie przystanęła nawet na chwilę, by

słowo ze znajomymi zamienić. A знаła tu przecież wszystkich, bo do niejednej chałupy chodziła pomagać, a to przy darciu pierza, a to przy kiszeniu kapusty. Głównie zaś po to, by rozrywki zażyć, których na wsi nie było wiele. A przy robocie, gdy się parobeczków i dziewczyn naszło, to prześmiejców i żartów było zwykle co niemiara. Dla biednej dziewczyny były to jedyne dostępne formy zabawy. Czasem jeszcze wybierała się na jarmark czy odpust, gdzie od wędrownych żydowskich handlarzy mogła nabyć chust, przepasek i czego tam jeszcze potrzebowała. Wtedy mogła przypatrzeć się ludziom, dziedzikom ukrytym przed ludzkim wzrokiem pod parasolkami. Poza tym życie dziewczyny upływało między opłótkami.

Zarumieniona i zdyszana wpadła do obejścia swojej przyjaciółki i nie zastawszy jej na podwórzu, wtargnęła do izby. W domu panował półmrok, jak to zwykle w chłopskiej chacie, bo małe kwadratowe okienka niewiele światła przepuszczały. Pod belkowanym pobielanym sufitem kręciły się już pierwsze muchy, które zostały pobudzone przez pierwsze oznaki nadchodzącego ciepła.

Przebiegła przez sień i wpadła do kuchni, z której można było wejść do dwóch następnych izb, gdzie sypiali gospodarze. To samo w sobie stanowiło luksus rzadko na wsi spotykany. Przeludniona wieś polska gnieździła się bowiem pośród płotów. I Skrudki nie były tego żadnym wyjątkiem. Większość ludzi, którzy je zamieszkiwali, musiała zadowolić się jedną izbą, w której mieściło się czasem i dwanaścioro ludzi. A w zimie, gdy obory nie stanowiły bezpiecznego schronienia, napędzano do nich i inwentarz: kurki, gąski i prosiaki. Nic zatem dziwnego, że warunki sanitarne pozostawiały wiele do życzenia.

Józka zastała zarówno Weronikę, jak i jej matkę przy pracy. Starsza pani szyła lnianą koszulę, trzymając ją rozwiniętą na kolanach; i tylko igła i nić migała w jej dłoniach, a precyzyjny ścieg

pokrywał rozdarcie. Dziewczyna zaś stała nad stolnicą i pracowicie ugniatała ciasto drożdżowe. Z tego powodu ręce miała utyłane w mące aż po łokcie, a koszula otworzyła jej się na piersiach, odsłaniając je przy każdym ruchu. Lecz ona nie zwracała na to uwagi, będąc w domu i przy pracy.

– Szczęść Boże przy robocie – rzekła Józka i pokłoniła się matce Weroniki, jak szacunek dla wieku nakazywał.

Kobieta zaś ukazała swą suchą, ogorzałą od słońca twarz i włosy z lekka tylko przyprószone siwizną. W ogóle Bogna prosta była jeszcze jak świeca i poruszała się po domu z dawną żywotnością, choć mogła we wszystkim zdać się na Weronikę, która miała dryg do gospodarki. Matka jednak nie chciała tego zrobić i sama doglądała wszystkiego. I mąż miał z niej niemałą pociechę, bo mógł sam spokojnie zająć się robotą w polu, ufając, że ma kto przy domu i zwierzynie chodzić. Nie było go w domu i teraz.

– Panu Bogu oddajemy – odparła Bogna i spojrzawszy bystrymi, błękitnymi oczami na zarumienione lico dziewczyny, dodała: – Siadaj z nami, boś się, widzę, zmęczyła. Weronka zaraz jeść i pić ci da, jak prawo gościnności nakazuje.

– Jakby nie leciała jak głupia, toby jej się pić nie chciało – odparła córka lekko kpiąco, bo nie w smak jej było odrywać się od roboty.

Ale Bogna jednym ostrym spojrzeniem przywołała ją do porządku. Dziewczyna się zawstydyła, bo to był przecież stary polski z prawieków uświęcony obyczaj, by nikogo od drzwi swoich nie odganiać, a raczej każdego przyhołubić i ugościć w domu. Otarła więc ręce i już miała się zabierać za przygotowanie jakiejś stawy, gdy Józka wybawiła ją z kłopotu.

– Zostaw – rzekła. – Gęb do miski nikomu nie braknie, a przednówek ciężki trafił się nawet dla gospodarzy. Są tacy we wsi, co to z gotowanej kory placki sobie robią i tym się pożywiają,

czekając na Boskie miłosierdzie. A ja tylko przyszedłam powiedzieć, żebyś po ten len przyszła, co go moja matka wam obiecała.

Weronika spojrzała na nią ze zdziwieniem, a nawet podejrzliwie. Dziwnym jej się bowiem wydało, że z tak błahą sprawą pędziła tutaj na złamanie karku.

– A cóż to, pali się u was, że nam len tak nagle oddajecie?

– Milcz, głupia. A to plecie byle co, jak ten chłop po gorzale. Jeszcze nam tu czerwonego kuru brakuje – huknęła na nią Bogna. – Tfu, na Żyda urok. Jeden na drugim siedzi, to by i gasić nie było po co. Jeszcze i o wojnie przebąkują. Znowu młodych wybiorą, a kto będzie na polu robił? Kto? Kto nam da jeść?

Mówiła tak jeszcze przez długą chwilę jakoby ten kołowrót turkotał.

Zmęczona tym gadaniem Weronka chwyciła chustę i wybiegła razem z Józką. Po drodze nie rozmawiały ze sobą, bo Weronika piliła do pośpiechu. Zostawiła przecież robotę rozgrzebaną. A matka, choć mocna jeszcze, też z wszystkim sobie nie poradzi. Toteż prędko dotarły na podwórze Janiny. Weronika weszła pierwsza, bo nic jej nie onieśmiało. Była tu przecież nie raz, bo z Józką w przyjaźni żyła i często się odwiedzały.

Weszła więc do kuchni, jakoby do siebie, i już chciała zwyczajowo się przywitać, gdy jej wzrok padł na Tomasza. Poznała go też w jednej chwili i szybko poprawiła koszulę. Wiedziała, że to zauważył, ale nie dał nic po sobie poznać. Uśmiechnął się tylko. Ona zaś zezłościła się, sama nie wiedząc dlaczego, że to widzi ją tak nieogarniętą. I złość ją chwyciła za gardło na Józkę, że jej w porę nie ostrzegła. Ale że była przy starszych, skłoniła się tylko Janinie i spojrzała fiołkowymi oczami na Tomasza. Niech wie, że się go nie boję – pomyślała. Przystojny jucha.

– Matka mnie po ten len przysłała, co go miałam odebrać w czas sposobny – powiedziała do Janiny, jednocześnie krzyżując spojrzenia z Tomaszem, niby te miecze w boju.

Przyjął wyzwanie i badał ją wzrokiem, zatrzymując go dłużej na piersiach, które nieudolnie skryć usiłowała. Podkreślił przy tym wąsa i patrzył, jakby chciał duszę wypatrzeć. Janina przyglądała się temu okiem kobiety doświadczonej i natychmiast odgadła, że między tymi dwojgiem iskrzy. Nie chcąc ich w niczym krępować, wyszła z córką po len, który w przyległej komorze trzymała. Młodzi zostali sami.

– Nie krępuj się. Przecież pokazałaś mi już tak wiele, że lepiej nie można, moja ty syrenko – zagadnął dziewczynę Tomasz.

– Dobrze, że ci oczy nie wypadły – odparła zła, że tak łatwo jej tajne myśli przeniknął. – Przyszłam, bo mnie wezwali, ani mi to w głowie nie powstało, że cię tu zastanę.

– Przyjechałem, bo chciałem, ani mi w głowie nie powstało, że ciebie tu zastanę – odparował, nieco parafrazując jej zdanie. – Ale skoro już tu jesteś, to może powiesz mi co o sobie?

– Interesuje cię pewnie, ile mórg ziemi i włók lasu na mnie przypadnie. Wszystkie chłopy jednakowe, za zyskiem jeno patrzą; może być kulawa, byle ziemię miała.

Uśmiechnął się.

– Wiadomo, że ziemia cenniejsza od życia, tak jak i koń od baby. Weronika poczerwiała z irytacji.

– To sobie konia pod pierzynę zaproś. – I wyskoczyła z izby cięta jak osa.

Lecz od tego dnia zaczęła się pomiędzy nimi przyjaźń pomieszana z wzajemną uszczypliwością. Bo o ile Tomasz zwykle rzadko słowo z gęby wypuszczał, to przy niej stawał się rozmowny i pełen werwy. A że świata zwiedził niemało, więc miał o czym opowiadać i czym imponować dziewczynie. Zmilczał tylko o wszelkich swawolach, jakich się w spółce z kompanami dopuszczał. Natomiast opowiadał jej szeroko o wspaniałościach Kijowa, które na własne oczy oglądał. I dziewczyna chętnie go słuchała, bo otwierał przed nią nieznaną jej, szeroki świat. Mówił

o miejscach, gdzie wszyscy chodzą w butach, gdzie budynki są wielkie, jakoby kto kilkanaście chat na sobie postawił. Mówił o ogromnych kopułach, wielkich i błyszczących od złota, srebra i drogich kamieni.

Wymykali się więc razem na miedze, do sadów i rozmawiali. I na takich to rozmowach zlatywały im dni jak sen. Zbliżyły ich one ze sobą i coraz mniej w ich rozmowach było uszczypliwości, a więcej czułości. Radziła go się, co robić, a on wzajemnie z trosk i kłopotów jej się zwierzał. A właśnie miał nad czym głowę sobie łamać. I tak rzekł jej, gdy razem siedzieli na kłodzie, mocząc nogi w wodzie:

– Sam nie wiem, co ze szwagrem moim mam robić. Jechać do niego, układać się, czy siłą po swoje sięgnąć. Bo to wiem, że jeśli ustąpi, to niechętnie. A przecież młodszy się nie robię. U ciotki dłużej też siedzieć nie mogę. Czas by mi już na gospodarce osiąść, żonę pojąć. – Tu spojrział na nią bystro, a badawczo, ale uciekła wzrokiem.

Spochmurniał, bo wziął ten ruch za brak nadziei dla siebie. Otom wybrał – pomyślał. Starym, a głupi kiej ten młody pies, co zamiast zwierza szukać, przy nogach się pęta i łąsi się. Ale dobrze, że do cna się nie wygłupiłem i nie spytałem, bobym kosza dostał. Widać nie udało mi się jej serca poruszyć i tylko z przyrodzonej dobroci ze mną przestaje. Ale dobrze, że wiem już, na czym stoję.

Ale Tomasz się mylił. Weronika kochała go już, sama o tym nie wiedząc. Tęskniła za nim, gdy go przy niej nie było. Śmiała się, gdy on się śmiał. I był dla niej tym, czym jest słońce dla ziemi. Podobał jej się i jako mężczyzna, i jako człowiek. Cichy, spokojny, opanowany. Przy niej stawał się zupełnie inny. A jednocześnie było coś w jego ruchach, co kazało jej przypuszczać, że lepiej z nim nie zadzierać. I opowiadał jej przy tym rzeczy, o jakich dotychczas wyobrażenia nie miała. Ale to nie znaczyło nic.

Nie miała i nie mogła mieć w tych sprawach własnej woli. Co z tego, że dobrze jej z nim było, jeśli ziemi nie miał. Wiedziała, że ojciec prędzej odda ją do klasztoru niż za niego. A woli ojcowej sprzeciwić się nie śmiała. Dlatego uciekła przed nim wzrokiem, bojąc się, by z jej oczu prawdy nie wyczytał. A bała się powiedzieć mu prawdę, by urazy do niej nie zaczął mieć. Bo jak miała mu powiedzieć? Poszłabym za ciebie, gdybyś był bogaty...

Ale i on musiał przecież to rozumieć, bo nie bez przyczyny tak często o odzyskaniu ziemi napomykał. Wiedziała, że chciał to zrobić przede wszystkim dla niej i z nią założyć rodzinę. Ale bała się tej walki, która rozgorzeć musiała. Takie spory na wsi nie były niczym nadzwyczajnym, ale zwykle kończyły się krwawo. Mogła być wprawdzie niemal pewna, że to Tomasz wyjdzie zwycięsko z tego starcia, ale nie chciała zaczynać wspólnego życia pod krwawą wróżbą. Tomasz nie usłyszał więc odpowiedzi.

I wkrótce ją się zbierać do drogi. Pożegnał się z nią burkliwie. Grała w nim zawiedziona nadzieja, urażona męska duma i własne ambicje. Oto już zaczynał marzyć o wspólnym życiu i znowu wszystko mu się posypało. Był jednak na tyle uczciwy, że całą winę obarczał siebie, nie obciążając Weroniki. Znowu mu się coś wyroiło w tym starym, głupim łbie, a dziewczyna nie jest temu winna.

Wskoczył na konia i skierował się prosto do szwagra. Walczył ze sobą, by się nie obejrzeć, i faktycznie tego nie zrobił.

Rozdział XI

Mimo natłoku spraw wszelakich Misza Kostriulew nie zapomniał o swoim młodym uczniu. Pilnie śledził raporty na temat Iwana Saszkina, bo musiał przedkładać je Dzierżyńskiemu. Jak na razie obaj mogli być zadowoleni z czynionych przezeń postępów. Chłopiec bowiem, po odkarmieniu i odchuchaniu, pilnie zabrał się do nauki, wykazując w tej dziedzinie niemałe uzdolnienia – tak przynajmniej twierdzili jego wykładowcy. Misza nie miał żadnych podstaw do tego, by im nie ufać. Wierzył w zdrowy rozsądek kadry pedagogicznej, która dobrze wiedziała, dla kogo i po co szkoli chłopaka. Mimo to postanowił sam go wybadać i w tym celu umówił się z nim na spotkanie przed budynkiem jego szkoły, na Twerskiej. Przechadzał się, wolno ćmiąc papierosa i przyglądając się zwyczajnemu budynkowi szkolnemu. Obserwował bawiącą się na placu dzieciarnię, usiłując wypatrzeć swego podopiecznego. Lecz było to trudne. Dziecięce szkolne mundurki przemieszczały się bowiem w takim tempie, iż nie mógł nawet marzyć o uchwyceniu twarzy któregokolwiek z właścicieli. W końcu zrezygnował z daremnych usiłowań i postanowił zaczekać na chłopca na ławce usytuowanej naprzeciw okien szkoły.

Dla zabicia czasu przyglądał się mijającym go ludziom, usiłując odgadnąć z twarzy ich zawody i charaktery. Sposób noszenia ubrań wiele mówi o człowieku. Stopień zniszczenia butów, noszenia kapelusza. Dobrze pamiętał, jak jego tego wszystkiego uczono. Sposobów werbunku, cichego zabijania, fotografii. Dziś

miał tego samego nauczyć Saszkina, by ten kiedyś wykorzystał tę wiedzę, aby zabić jego.

Nikt nie zmieni swojego przeznaczenia. Ja też – pomyślał. A tymczasem muszę pozamykać swoje stare sprawy. Przede wszystkim muszę znaleźć Olgę.

Przyznawał sam przed sobą, że niewielkie zrobił w tym względzie postępy. Raz dlatego, że ciągle był na przeróżnych kursach, na których szkolił młode kadry Czeki, a po drugie: miał pewność, że każdy jego krok jest dobrze znany Feliksowi. A nie chciał, by po jego śladach trafił on do Ołgi. Znał go bowiem i wiedział, że jej nie oszczędzi. Dlatego musiał ostrożnie całą rzecz poprowadzić, by nie zdradzić się przed kimś ze swoimi rzeczywistymi zamiarami. Nie było to rzeczą prostą w świecie pełnym zdrad, intryg i szpicli różnego autoramentu. Poza tym nie wiedział, jak ona zareaguje, gdy dowie się, kim teraz jest i co robi. Czy zrozumie, że chciał żyć dla niej, czy raczej splunie na niego i pogardzi jak plugawym gadem? Tego nie wiedział. I tego się bał.

Miarowy stukot butów wyrwał go z zamyślenia. Spojrzał w kierunku, skąd docierał. Dostrzegł Iwana Saszkina. Poznał go z trudem, tak niełatwo było poznać w nim tego zabiedzonego chłopca, który jeszcze niedawno hasał po ulicach Moskwy. A teraz kroczył po tych samych ulicach w mundurku szkolnym, który przypominał krojem mundury wojskowe. Nadal chudy, nie był już jednak zabiedzony – widać obchodzono się z nim autentycznie dobrze. Blond włosy nosił obcięte po wojskowemu. Pod pachą niósł jakieś opasłe tomisko, ale wzrok jego błędził po okolicznych drzewach i ulicach.

Misza gwizdnął, zwracając na siebie jego uwagę, i po chwili siedzieli obok siebie. Żaden z nich nie zaczynał rozmowy. Kostriulew obojętnie kończył swojego papierosa, a Iwan spoglądał przed siebie. Siedzieli tak dobry kwadrans, nim wreszcie Iwan odezwał się pierwszy:

– Dziwny ten wasz świat. Nie mogę go pojąć. Od kiedy zabraliście mnie z ulicy, nie mogę sobie miejsca znaleźć. Nie muszę się troszczyć ani o jedzenie, ani o opał, ani nawet o ubranie. To po co mam żyć? Czytam te wasze książki i tam całkiem co innego piszą, niż ludzie robią. Jaka równość, jakie braterstwo? Albo ten cały leninizm. Tam piszą, że car był zły. A Lenin to kto inny jak nie car? Tylko że tytułu nie ma.

Misza rozejrzał się niespokojnie dokoła w obawie, czy kto nie usłyszał tej niestosownej uwagi.

– Milcz, jeśli ci młoda głowa miła! – warknął. – Rozumiesz czy nie rozumiesz, uczyć się masz, jak drudzy. Może jeszcze nie wiesz, ale Dzierżyński nie wziął cię z ulicy z dobroci serca, tylko dlatego, że ma związane z tobą plany. Jeśli go zawiedziesz, to nie wrócisz na ulicę, tylko...

– Wiem, że na tym świecie nie ma nic za darmo. I milczeć nauczyłem się już. Ja tylko z wami szczerze, bo nie jesteście tacy jak oni.

Drgnął. Skąd ten szczeniak mógł to wiedzieć? Przecież nie od wykładowców ani od Feliksa. Niemniej należało coś mu odpowiedzieć. Zły był teraz na siebie, że pozwolił sobie na dość gwałtowną reakcję. Zupełnie jak jakiś żółtodziób.

Saszkin spojrzał na niego bystro, jakby odgadując jego myśli.

– Swojego oni by po gębie nie okładali – rzekł tytułem wyjaśnienia. – A wasza strasznie pokiereszowana. Ja umiem wypatrywać znaków burzy, bo inaczej runęłyby na mnie, gdybym nie dostrzegł jej w porę. Ciekawi mnie, czym was w szachu trzyma Krwawy.

Nad wiek dojrzały smarkacz. Ale ciekawy egzemplarz. Nareszcie ktoś, kogo warto szkolić. Rozszyfrował mnie bezbłędnie, to muszę przyznać – pomyślał Kostruiulew.

– A ciebie? – odparł pytaniem na pytanie.

Dostrzegł, że Saszkin spojrział przez chwilę na swoje buty. Był ciekaw, czy się przełamie.

– Przecież towarzysz wie – wystękał wreszcie. – Siostra. Jest taka szczęśliwa. Nareszcie nie jest głodna. Ma dzieciństwo, lalki, koleżanki, którymi może się przede mną chwalić. A wszystko to dlatego, że ja jestem tutaj. Nie potrafię jej tego odebrać. Wiem, czego ode mnie chcecie. Ale przyrzekłem matce, że o nią zadbam. Może dzięki mnie będzie kiedyś kimś? A ja będę czekistą. Strażnikiem rewolucji.

– Najpierw szkoła, potem szkolenie u mnie. Nauczę cię wszystkiego, co powinien umieć as wywiadu. A jak tam kurs, radzisz sobie?

– Tak. Mam problem tylko z wychowaniem politycznym, bo nie wszystko pojmuję. Ale to drobiazg. Przyłożę się.

– No! – Pogroził mu palcem. – Pamiętaj, że nie tylko ja przeglądam twoje świadectwa. A rozczarowanie Feliksa nie skończy się na bolącym tyłku. Ja teraz wyjeżdżam, wrócę za parę dni, to cię szkolić zacznę jak trzeba. A tymczasem ćwiczeń cielesnych nie zaniedbuj, to wyrosnie z ciebie chłop na schwał. No, może prośbę jaką masz do mnie?

Na twarzy Saszkina odbiła się niepewność, jakby zastanawiał się, czy powiedzieć coś, czy nie. Misza spojrział na niego uważnie, ale do zwierzeń nie zachęcał. Wiedział, że chłopak sam przełamać się musi.

– Bo ja nie wiem, jak zacząć. Tu wszyscy bogaci, partyjni, notable. A ja przy nich wyglądam, jakbym koniowi spod ogona wyleciał. Ciągłe do nich ktoś z domu przyjeżdża. Z pozdrowieniem, pokłonem, jadłem. A ja nie mam ani ojca, ani matki. Szydzą ze mnie wszyscy, bo biedny, a przecież nie mogę im powiedzieć, czym jestem protegowanym. – Na twarzy odbił mu się smutek i zawziętość. – Ja się nie uczę dla Dzierżyńskiego, tylko dla siebie

i dla nich, żeby im pokazać, że nie gorszy. No i jest taka dziewczyna. – Iwan się zarumienił.

Misza uśmiechnął się.

– Posłuchaj, dzieciaku – odparł po namyśle. – Mężczyzną byłeś i jesteś, gdy oni dziećmi są. A ojców nikt nie ma. Odchodzą, gdy potrzebni być przestają, bo za nas życia nie przeżyją. A ty masz wszystko, co potrzeba, by osiągnąć wielkość. Nie mów tylko nikomu, komu służysz, bo za to śmierć. Przyjdzie taki czas, że będziesz ponad nimi. A i na dziewczyny czas jeszcze. Młody jesteś. Ja wiem, że chciałbyś mieć kogoś, kto stałby za tobą bez względu na własne korzyści. Ale taka miłość rzadko bywa widziana na świecie.

– Ale ona jest ludziom potrzebna!

– I pieniądź każdemu potrzebny, a nie każdy ma go do zbytku – odparł Misza złośliwie. – Mów, czego chcesz, bo mi czas w drogę.

– Jest taka dziewczyna. A mnie o to idzie, jak zrobić, żeby ona... – Iwan się zająknął.

– Kiedy następnym razem ją spotkasz, spójrz na nią, ale nie dłużej niż dziesięć sekund, a zaraz potem ucieknij ze wzrokiem. Sama podejździe.

– Nie wierzę.

Kostriulew wzruszył ramionami i rozejrzał się uważnie po ulicy. Dostrzegł wychodzącą ze szkoły starszą kobietę w długiej sukni. Wskazał ją Iwanowi.

– Widzisz? Ot, masz eksperyment.

– Nie dacie rady, jeszcze z waszą twarzą – odparł Saszkin, ale mimo woli skupił uwagę na kobiecie. – Rozpoznał w niej ich nauczycielkę rosyjskiego.

Z tego, co wiedział, była burżujką o mocno przedrewolucyjnych, arystokratycznych korzeniach. Ale upadek caratu zmusił ją do poszukania bardziej dochodowego zajęcia. Musiała więc podjąć się nauczania. Arystokratów chroniła bowiem przed śmiercią tylko

przydatność dla nowej władzy. Lecz pewnie i to nie uratowałyby kobiety przed śmiercią, bo i głupi może pracować na pomyślność komunizmu, gdyby nie to, że w szkole po cichu szkolono agentów wywiadu, dla których prawidłowe opanowanie języka, bez gwarowych naleciałości, było niezwykle ważne.

Lena była twarda i dla niego, i dla innych. Ale nigdy nie traktowała go inaczej z powodu braku ogłady, gwarowej mowy i innych przywar, które wyniósł z ulicy. Dlatego lubił ją, choć nie próbowała się z nikim przyjaźnić. Spojrzał na Miszę, który popatrzył na nią przez krótką chwilę natarczywym spojrzeniem, po czym spuścił wzrok. Lena odwróciła się w ich stronę. Przypatrywała się im przez chwilę, by wreszcie podejść do nich.

Zamienili ze sobą kilka niezobowiązujących zdań, po czym kobieta poszła swoją drogą, a Iwan patrzył na swego mentora z podziwem. Misza uśmiechnął się, widząc to spojrzenie, i rzekł:

– No to pokazałem ci, jak dojść do połowy drogi. A czy dotrzesz do końca, to już tylko od ciebie zależy. – Tu zrobił surową minę. – Lecz pamiętaj: nie wolno ci wspomnieć ani jednym słowem o tym, czym się zajmujesz. I jeszcze jedno: do dziewczyny czy do bitwy śmiało trzeba iść.

Wstał i pożegnawszy się z nim, skierował swe kroki na dworzec. Idąc, rozmyślał o Iwanie. Chłopak miał otwartą i pojemną głowę; tego był pewien. Ale to, co w normalnym świecie premiowało i ułatwiało awans społeczny, tu mogło przesądzić o zgubie myśliciela. Nieopaczne słowa, jakie Iwan wypowiedział o Leninie, były tego najlepszym dowodem. Wprawdzie tylko on je słyszał i nie powtórzy, ale kto mu zaręczy, że Saszkin nie pozwala sobie na podobne wypowiedzi także w murach szkoły? A w Czeka myśli tylko towarzysz Dzierżyński, nikt więcej. No właśnie. Lecz czy z tego powodu powinien tępić w chłopcu wszelki samodzielny sąd? Czy powinien wpajać w niego, by był ślepym narzędziem w rękach szefów?

Chyba nie. Ich zadania, rola, jaką pełnią, sprawia, że muszą umieć myśleć niezależnie. Wiedział o tym przecież z własnego bogatego doświadczenia. Orientował się dobrze, jak niewielu jego dawnych i obecnych zwierzchników miało choćby minimalne pojęcie o pracy operacyjnej. Ich wykreowane przez literaturę i gazetowe opowieści wyobrażenie o technikach pracy wywiadu u fachowca budziło tylko uśmiech politowania. I dlatego zręczny oficer musiał podsuwać swemu przełożonemu rozwiązania w taki sposób, by tamten myślał, iż wylęły się one w jego głowie. Bo to jego, a nie doradcę, będzie się rozliczać z wyników.

Nie – pomyślał – musi być taki, jaki jest, inaczej nie da sobie rady w tym świecie, do którego wciągnięto go przez przypadek. Muszę go tylko nauczyć, że pewnych myśli nigdy nie należy na głos wypowiadać.

U zbiegu ulic złapał dorożkę i rozparłszy się na tylnym siedzisku, kazał się wieźć na dworzec. Wsłuchując się w miarowy stukot kopyt dwóch chudych koników, patrzył na uciekające od niego domy i z wolna zapadał w sen. Lecz był on płytki i zbudził się, gdy tylko ustał stukot kopyt. Rozliczył się z dorożkarzem i zeskoczył na ziemię. Znalazł się przed halą dworcową. Szybko przekroczył jej próg i przekonał się, że nawet Moskwie wiele jeszcze brakowało do normalności. Po peronach hulał wiatr, a na dworcu nie było prawie ludzi, wyjąwszy żebraków, którzy szukali tutaj schronienia przed zimnem.

Podróżnych nie było prawie wcale, bo nawet na podróże krajowe trzeba było mieć specjalne przepustki, które nie były łatwo wystawiane przez ludzi Dzierżyńskiego. Sowiety zmieniały się powoli w gigantyczne więzienie, lecz były ledwie na początku drogi. Władza jeszcze nie okrzepla na tyle, by móc w pełni rozwinąć kształtujący się powoli aparat ucisku. Dopiero późniejsze doświadczenia kazały ludziom zatęsknić za czasem przejściowym.

Na razie jednak narzekano na brak możliwości wyjazdu za granicę. Wprawdzie ludzie wiedzieli, że władzy chodzi o burżujów, którym nowe prawo miało uniemożliwić wywiezienie swych głów, a zwłaszcza majątku za granicę, ale Misza wiedział lepiej. Sam oglądał wielkie plany budowy łagrów, których koncepcję opracowywał osobiście Dzierżyński, pragnąc usprawnić proces mordowania. Na razie jednak – z powodu chaosu gospodarczego i politycznego, który uniemożliwił sprawne wprowadzenie tej koncepcji w życie – musiał ją zarzucić. Lecz on wiedział, że wszechwładny szef Czeki nie odstąpi od swoich zamysłów. I drżałby, myśląc o przyszłości tego narodu, któremu służył, gdyby nie wiedział, że żadna przyszłość nie rysowała się już ani przed nim samym, Miszą, ani przed społeczeństwem.

Szedł wzdłuż sznura zamkniętych kas biletowych. Wreszcie dostrzegł jedną, która była otwarta. Podeszedł do niej szybko i pochyliwszy głowę, spojrział w ukrytą za szybką kobietę. Patrzył, jak z obojętnością miesza łyżeczką herbatę. Była lekko pucołowata – co zdziwiło go trochę, gdyż w tych czasach, z powodu braków aprowizacyjnych, trzymanie diety nie było trudne. Szklą jej okularów były lekko przybrudzone.

Uniosła głowę, gdy uderzył kostkami palców w blat. I omal nie wywróciła stolika, przy którym siedziała, spojrzawszy w jego twarz. Przyjął to obojętnie. Nawykł już do tego, że kobiety mdlały na jego widok z obrzydzenia, a nie z rozkoszy. Było to piętno, jakie wypalił na nim Dzierżyński, i cena życia. Ale niezbyt mu ona doskwierała. Kobiet nie potrzebował. A poza tym strach, który jego wygląd budził w ludziach, przydawał mu szacunku u towarzyszy, którzy tylko przelew krwi mieli na celu. Dlatego nie zareagował na to, tylko mruknął:

– Bilet do Warszawy, trzecia klasa.

Kobieta masowała się jeszcze w okolicach serca i patrzyła na niego wylęknionym wzrokiem, jakby nie rozumiejąc, o co chodzi.

Wreszcie jednak odzyskała oddech i głos.

– Jezusie Nazareński, Królu Żydowski! Wyglądacie, jakbyście się z pociągiem zderzyli. Jakby was w ciemnym zaułku spotkać, to można by pomyśleć, że gwałciciel jakiś.

Takie jak ty to posuwa tylko czas, bo wyboru nie ma – pomyślał, a na głos rzekł:

– No widzicie, nie taki diabeł straszny. Dawajcie bilet.

W umyśle kasjerki mignęło jednak podejrzenie. Ludzie uczyli się dopiero złowrogiej logiki sowieckiego terroru. Ale już wiedzieli, że z obitą gębą można wyjść nie tylko z wypadku, ale i z siedziby Czeki. I prędzej stamtąd niż skąd indziej. Wprawdzie człowiek, który przed nią stał, nie wyglądał jej na burżuja, ale kogo to z takich znała? Pewnie nikogo. Głupi by być musiał, gdyby aż dotąd w stolicy siedział. Na prowincji zawsze łatwiej się przyznać i burzę przeczekać; tam się jeszcze ludzie na dokumentach nie rozumieją, więc i o nie pytają, myślała. Ale przecież taki burżuj nie kupowałby biletu sam. Dałby komu rubli albo złota. Mało to mają w ubrania wszyte? Tacy to przed wojną kawior i inne specjały jedli, a teraz ich jak zwierzęta ścigają. Jest jednak sprawiedliwość na świecie...

– Zezwolenie na wyjazd za granicę jest?! – warknęła, wypluwając pytanie razem ze śliną.

Cofnął się odruchowo i wydobyl zezwolenie spod płaszcza; przesunął je w kierunku kasjerki. Następnie przyglądał się przez dłuższą chwilę, jak z pietyzmem studiuje dokument, przysuwając go pod nos, choć – czego był niemal pewien – niewiele rozumie z urzędowego pisma. Zwróciła mu je, a na jej twarzy pojawił się wyraz uniżoności i niepokoju. Nie uszedł on jego uwadze.

– Z którego peronu odchodzi pociąg?

– Z czwartego. Zaprowadzę – zaproponowała uniżenie.

Odrzucił jej propozycję. Przyzwyczajony był do samotnego włóczenia się po bezdrożach; poza tym chciał spokojnie pomyśleć. Do Polski wybierał się nie po raz pierwszy. Wcześniej bywał

w Warszawie wielokrotnie, ponieważ często składał meldunki bezpośrednio do centrali wywiadu zachodniego, która znajdowała się właśnie w tym mieście. Znał je więc dość dobrze. Wiedział jednak, że zapewne sporo się w nim zmieniło. Najprawdopodobniej cyrylicę zastąpił alfabet łaciński. Ale to akurat nie stanowiło dla niego problemu, gdyż płynnie posługiwał się zarówno językiem niemieckim, jak i polskim. Mógł więc być prawie pewien, że zdoła wtopić się między tamtejszych mieszkańców. Dużo większym problemem wydały mu się sprawy, jakie miał do załatwienia zarówno w samym mieście, jak i poza nim.

Wolna rozprawa z Polską była już postanowiona, choć przetrzutu wojsk jeszcze nie rozpoczęto. Wiele bowiem rzeczy przygotować należało. Ale wywiad wiedział o wszystkim wcześniej niż inni, bo przyszła wojna nakładała na niego wiele trudnych zadań. Jednym z ważniejszych było zebranie pewnych wiadomości o planach, według których przeciwnik zamierzał poprowadzić swoje wojska. Bo nikt w naczelnym dowództwie Armii Czerwonej nie wątpił w to, iż Polacy dobrze wiedzą, że wojna polsko-bolszewicka jest jedynie kwestią czasu. Na pewno mieli więc jakiś plan obronny, jednak ich siły były niedostateczne, by mogły pozwolić sobie na skuteczną obronę całej granicy, więc należało rozpoznać miejsca ich koncentracji.

A takie rozpoznanie mogły zapewnić tylko dobrze zbudowane i zakonspirowane sieci wywiadowcze. Ale na to potrzebny był czas. Dlatego wywiad znał plany dowództwa i przystępował właśnie do ułatwiania ich realizacji. Misza miał działać na jednym z najważniejszych odcinków. Miał bowiem zostać człowiekiem odpowiedzialnym za pracę sowieckiego wywiadu na terenie Polski. Była to funkcja niewdzięczna i trudna, bo kontrolowanie agentury działającej głęboko na zapleczu wroga mogło się odbywać tylko

poprzez kraje neutralne. Ale wiązało się to z licznymi trudnościami.

O nich właśnie rozmyślał, siedząc na drewnianej ławce w wagonie trzeciej klasy. Brak podziału na przedziały nie był zbyt uciążliwy, gdyż niewielu ludzi uzyskało zezwolenia na podróż. A ci, którzy je otrzymali, kimali na ławach, choć niewygodnie im być musiało. Ale co mieli robić w czasie tak długiej podróży? Spali więc, toboły i tłumoczek trzymając pod ręką, z obawy przed kolejarzami, którzy chętnie przetrząsali bagaże podróżnych, jeśli tylko dało im się ku temu okazję. Misza nie przejmował się tym zbyt, gdyż żadnego bagażu ze sobą nie wiozł.

Opuścił okno wagonu i przyglądał się jednocześnie mijanym krajobrazom. Miarowy stukot szyn nie rozpraszał go, bo często podróżował pociągami i nawykł do niego. Dlatego nic nie wrywało go z transu. Ktoś, kto przyglądałby mu się z boku, mógłby być zaskoczony jego lekko błędnym wzrokiem, bo cały czas myślami był przy tym, co mogło go czekać w Warszawie i w Toruniu. Przy czym Toruń niepokoił go zdecydowanie bardziej. W Warszawie miał tylko odebrać meldunek od Zofii i przekazać świeżo spreparowane listy od męża. Zdecydowanie bardziej martwiła go sprawa toruńska.

Posłanie dwóch pięknych kobiet do Torunia, by bywały w tamtejszych knajpach i uwodzając napotkanych w nich oficerów, zbierały informacje o planach obrony przepraw na Wiśle, nie było bynajmniej głupim pomysłem. Wiedział z doświadczenia, że kobiety mogą być znakomitymi szpiegami, ponieważ mają do tego naturalne predyspozycje. Świetnie nadawały się do pracy w wywiadzie, ale nie były zbyt dobrymi kandydatkami na agentki. Miały bowiem zbyt łatwą pracę rozrzucania pieniędzy, a poza tym trudno je było utrzymać w ryzach. Osobiście nigdy nie lubił z nimi współpracować. I teraz też ta perspektywa nie napawała go zbyt radością.

Ale nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Zamiast więc poświęcać czas na jałowe rozmyślenia, skupił się na ponownym przeglądaniu swoich fałszywych papierów. Jechał do Polski jako zecer Jan Szymański. W dokumentach miał wpisane ukończone szkoły i warszawski adres. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że dokumenty te nie wytrzymają dokładnego sprawdzenia zawartych w nich danych. Ale nie sądził, by zwykłym kontrolerom chciało się sprawdzać jego szkoły i adres. Przyznać musiał, że niemiecki wywiad wykonał kawał dobrej roboty, fabrykując polskie dokumenty; zostały nawet lekko podniszczone, by sprawiały wrażenie często używanych. Uspokojony w tym względzie ułożył się na wąskiej ławce i na resztę podróży odpłynął do krainy Morfeusza.



Spał rozciągnięty na ławce, a jego pierś unosiła się miarowo. Powieki miał lekko przymknięte, a na twarz padały mu nieśmiałe promienie słoneczne, które zaczęły wysysać z ziemi nadmiar wilgoci z topniejących śniegów. Tymczasem pociąg jechał przez wyniszczony kraj. Za oknami migały tylko spalone wsie, zboże schodzące zazwyczaj na pniu⁶. Choć na pierwsze siewy było na razie za wcześnie, to tu nikt jeszcze o tym nawet nie myślał, bo nie było ani komu siać, ani czym. Ludzie, którzy nie zginęli w czasie pożogi dwóch wojen, dopiero wracać zaczęli na swoje popioły i często nie od zasiewów, a od odbudowy chałup zaczynać musieli. Więc pola po większej części puste jeszcze były, jeśli nie liczyć wody, która rozlała się szeroko, gdyż wystąpiła z brzegów.

Wreszcie jednak pociąg dojechał do granicy. Zgrzyt hamujących wagonów i jazgot zaczepów zbudził Miszę. Poderwał się, odsunął okno i wystawił przez nie głowę. Dostrzegł budkę strażniczą,

szlaban przecinający tory i kilkunastu strażników z psami tropiącymi.

Mają już straż graniczną – pomyślał z uznaniem. Wsunął się w głęb wagonu i usiadł możliwie najwygodniej. Po chwili usłyszał trzask otwieranych drzwi i do środka weszli dwaj strażnicy.

Zlustrował ich jednym ruchem gałki ocznej, nie odwracając głowy. Byli to mężczyźni w średnim wieku. Ich okrągłe twarze okalał ciemny zarost. Broń nosili przytwierdzoną do boku, ale kabury pozostawały zamknięte. W ich ruchach dało się wyczuć rutynowość wykonywanej pracy i obojętność dla niej. Najwidoczniej takie pociągi z repatriantami nie przyciągały zbyt wielkiej uwagi Polaków. Pogratiulował sobie w duchu trafnego wyboru. Właśnie na to bowiem liczył.

Przypuszczał, że Polacy nawykli już do takich transportów i nie poddają ich pasażerów zbyt drobiazgowej kontroli. Nie byłoby to nawet możliwe. Do Polski uciekało bowiem tysiące ludzi, którym z różnych powodów mogło się zrobić w Sowietach ciepło, a więc: arystokraci, fabrykanci, biali buntownicy, byli carscy urzędnicy i Polacy, których przodkowie wieki wcześniej przybyli tu w kajdanach. Oni to właśnie składali się na tę uchodźczą rzeszę, która wartkim strumieniem płynęła do nowo powstałego kraju. Wprawdzie ostatnimi czasy strumień ten nieco zwolnił swój bieg, bo groźba wojny, jaka od początku wisiała nad oboma państwami, przybierała coraz realniejsze kształty. I dlatego większość ludzi wcześniej chroniła się przed nią, umykając pociągami z nieludzkiej ziemi. Bo wszystkim było wiadomo, że i ta droga ucieczki nie pozostanie zbyt długo otwartą.

Strażnik graniczny stanął przed nim i bez słowa wyciągnął rękę. Misza swobodnie sięgnął po dokumenty i wsunął mu je w rękę. Z obojętnym, jakby znudzonym wyrazem twarzy obserwował, jak strażnik je kartkuje. Jednocześnie zaś cały czas kontrolował

położenie jego towarzysza, który sprawdzał dokumenty pozostałych podróżnych. Ale wszystko miało rutynowy przebieg.

– Wyście zecer Jan Szymański? – spytał strażnik.

– Nie – odparł z udawaną powagą. – Te papiery są fałszywe. Naprawdę nazywam się Misza Kostriulew i jestem oficerem sowieckiego wywiadu.

Strażnik wytrzeszczył oczy, twarz pokryła mu się czerwienią, po czym parsknął śmiechem. Śmiał się tak, jakby zupa w garnku bulgotała. Trzymając się za brzuch, zwrócił Miszy dokumenty i przyjrząwszy się jego naznaczonej torturami twarzy, rzekł:

– Wesoły z was człowiek. Tylko, wnosząc po stanie waszej gęby, tam, skąd wracacie, nie poznali się na waszych żartach.

– Bo tam już nikt się nie śmieje, tylko płacze – stwierdził, odbierając swoje papiery. – I więcej podobnych do mnie tam znajdziecie, tylko że w większości pod ziemią ich szukać trzeba. Słyszeliście zapewne o Czeka?

Strażnik widać należał do tego typu ludzi, których do rozmowy zachęcać nie trzeba, bo przysiadł obok niego i wydobywszy z kieszeni papierosnicę, podsunął ją usłudźnie Miszy. Kostriulew wziął szybko papierosa i pozwolił sobie przypalić gazową zapalniczką strażnika. Przez chwilę obaj zaciągali się dymem.

– Słyszeć, my słyszeli, bo po to człek uszy ma – zaczął filozoficznie strażnik. – I to też wiemy, że prawda to, co mówicie, jakoby ludzi tam katowali. Nie wy pierwsi, ale chyba ostatni schronienia u nas szukacie. I ja, i on. – Wskazał na kolegę, który wypełniał obojętnie swoje obowiązki. – Strach powtarzać, co mówią. Twierdzą, że diabeł zstąpił na ziemię i dzień sądu Chrystusowego jest już bliski.

Tym razem ci durnie mogą nawet mieć rację – pomyślał Misza.

– Głupstwa. Na co komu diabeł, kiedy ludzie sami za niego wszelką robotę odwalają? – odrzekł, wypuszczając kilka kółeczek dymu. – Miałem ja swoją chudobę, nikomu nie wadziłem. A tu

przychodzą do mnie i mówią mi, że ta ziemia, na której robię, to tera państwowa będzie. Kombinat, kolchoz czy coś? A przecież jeszcze mój dziad na niej robił, co go na Sybir na katorgę w kajdanach powlekli. No, odsłużył swoje i został, bo mu wrócić nie dali. Wziął tę ziemię, gdy do Boga jeszcze należała i nikomu nic nie był winien. Kto przyszedł pierwszy, ten zajmował... Broniełem. To dali mi po łbie. Ale i tak miałem szczęście, że żywego stamtąd wypuścili.

Strażnik zamyślił się na chwilę, jakby ważył w sobie to, co usłyszał.

– To i kraju przodków pewnie nie znasz – stwierdził wreszcie. – Ale nie troskaj się o to. W innych stronach do śmierci człowiek obcym zostaje, choćby mu w nich włosy srebrem się pokryły. A nasza ojczyzna to ci każdego do serca przytuli, jakoby matka. Tylko za często swoje dzieci krwią karmi. I teraz znowu słychać: wojna idzie, jakby jednej nie dość było. Strasznie dziś ludzie zaczepne, biją się i biją. A ja nie po to dwóch synów na kolanach bujałem, bym sam na starość ostał. Mówcie no, co ludzie o tej sprawie mówią.

I widać istotnie zaniepokojony musiał być bardzo, bo wbił w niego badawcze spojrzenie, a twarz zakrzepła mu w poważnym wyrazie.

Miszy zrobiło się żal starszego człowieka, któremu wojna zagrażała przemarnowaniem dobytku i utratą bliskich. Ale przecież żadnych bliższych objaśnień dać mu nie mógł, by siebie nie zdradzić. Bo nie wypadało zwykłemu zecerowi wdawać się w sprawy, nad którymi najbieglejsi politycy na próżno głowy łamali. Dlatego rzekł:

– Ja tyle wiem, co ludzie gadają, a Bóg wie, czego nie gadają. Ani Lenin, ani Dzierżyński u mnie nie bywa. Tyle tylko wiem, że masę wojska koncentrują na granicy, bo dniem i nocą wagony pełne chłopa tam jadą. A wszystkie wsie w tamtych stronach puste, bo się

ludzie przed burzą chowają, gdzie kto może. Co z tego wyniknie, nie wiadomo – rzucił na pociechę rozmówcy.

– Wiadomo – mruknął strażnik. – Poczciwie to z twojej strony, że mi oczy chcesz zamydlić. No trudno. Skoro wojna, to wojna.

Misza zdziwił się. Spodziewał się bowiem raczej gromów na Piłsudskiego, rząd i parlament, a nie chłodnego pogodzenia się z losem. Bo nie była to nawet desperacja, która w tym przypadku mogłaby być więcej niż usprawiedliwiona. Dlatego pociągnął go z lekka w tym kierunku.

– I nie żal wam synów? Może by inny rząd nieszczęściu zapobiegł?

Stary wstrząsnął grzywą, aż pokryte siwizną włosy opadły mu na oczy, i rzekł z mocą:

– Nie o rząd tu idzie, a o wolność. Lenin chce, byśmy wyrzekli się wolności i dobrowolnie pochylili głowy, by nam tym łatwiej jarzmo narzucił. Ale niedoczekanie jego. Pewnie, że wojna nikomu nie w smak, ale jeśli mam wybierać niewolę albo wojnę, to jeszcze do grobu zstępując, powiem: wojnę. A jeśli trzeba będzie za wolność położyć głowę, to damy. Bo nie zaprzemy się swoich przodków. Mój dziad zginął w powstaniu listopadowym, ojciec w styczniowym życie oddał. Oddam i ja swoje, gdy czas nadejdzie. A synowie moi tak samo. Kto chce przyjść po nasze głowy, swoją przynieść musi.

Misza nie odpowiedział na to nic. Jednak w duszy pomyślał sobie, że Lenin nie byłby tak pewny siebie i łatwego triumfu nad Polską, gdyby tego jej obywatela mógł usłyszeć. A coś mu mówiło, że takich właśnie ludzi jest w Polsce dużo więcej. I oni to oporem i przyszłą walką kierować będą. Los da wiktorię, komu zechce, ale kampania ta może być długą i o wiele cięższą, niż przypuszczają rosyjskie naczelne dowództwo.

Pogadał ze strażnikiem jeszcze chwilę, po czym pożegnał się z nim dość uprzejmie. Przed halą dworcową znalazł kilka dorożek,

których właściciele czekali na wychodzących z dworca podróżnych, by przewieźć ich tam, gdzie sobie zażyczą. Umówił się z jednym z nich i opłaciwszy kurs, kazał się wieźć na Krakowskie Przedmieście. Dorożkarz przypalił fajkę, wziął pieniądze, i zaciąwszy batem swego siwka, ruszył w kierunku Nowego Świata. Misza znał dobrze centrum Warszawy. Wiedział, że Krakowskie Przedmieście należało do reprezentacyjnych arterii miasta. I choć nie był znawcą urbanistyki, to musiał przyznać, że jest to urokliwe miejsce, jakby z innej epoki przeniesione.

Sama ulica zdawała się być ściśnięta między dwoma rzędami ogromnych kupieckich kamienic, które okrywały ją cieniem głębokim. I były zarazem wspomnieniem tych czasów, gdy ulica ta była częścią traktu handlowego, na którym przyjezdni kupcy wystawiali swoje towary. Na nich rosły ich bogactwa. Dziś jedynym po nich śladem pozostały tylko kamienice z kunsztownie wykończonymi elewacjami, które stanowiły małe dzieła sztuki. Jedno tylko pozostało niezmiennie – przy drodze dalej odbywał się handel. Przechodniów, tych bogatszych, kuśiły witryny sklepowe z konfekcją męską i damską. Panie zaopatrywały się tu w najnowsze wyroby paryskich krawcowych i ich szwaczek, a mężczyźni dobierali garnitury, które przyszły z Londynu.

Nic więc dziwnego, że w oczy Miszy rzucali się tylko wytworni dżentelmeni i damy, na które wydawali oni pieniądze. Mógł więc sycić oczy widokiem sukien, dobrze skrojonych garniturów i lakierków. Starsi panowie wspierali się na laseczkach i nosząc staroświeckie surduty, dalej hołdowali modzie, do której nawykli. Nigdzie nie było żebraków, ludzi uboższych ani prostytutek. Ani nędzy, ani zbrodni. Ani zdegenerowanych ludzi – ułomnych i fizycznie, i psychicznie. Ani ludzi czekających na tych, którzy rzucą im pracę. Bo to była Warszawa lepsza, rozciągająca się od Kolumny Zygmunta po pomnik Kopernika.

Misza wiedział o tym. W niejednym mieście bowiem bywał i we wszystkich było pod tym względem tak samo. Obok siebie, lecz w różnych warunkach, żyli i biedni, i bogaci; ich pozycję definiowała zasobność portfela. Ci, którzy poruszali się między granicami dwóch światów, mogli ulegać wrażeniu, jakby znajdowali się w zgoła innym świecie. A przecież wystarczyło przejść ledwie kilka przecznic czy ulic, by natrafić nie na piękne kamienice, cieszące oko artystycznym kunsztem, lecz na zwykłe szopy, zbudowane z drzewa zrabowanego w okolicznych lasach. Pokryte mchem i darnią, byle tylko przetrwać zimę. Tak było na Nalewkach, Powiślu, na Pradze.

Wyskoczył z dorożki przed kościołem karmelitów. Przez chwilę podziwiał olbrzymią budowlę, wieże godzące w błękit nieba i zastanawiał się, po co to wszystko. Po co ludziom Bóg. Czyż nie jesteśmy niczym dzieci, którym trzeba wymyślić Świętego Mikołaja, by poczuły się lepiej? Wymyśliliśmy sobie Boga, by móc wierzyć, że tam na górze, nad obłokami, siedzi nobliwy staruszek z siwą, sięgającą pasa brodą, który podźwignie nas, gdy wpadniemy w kłopoty. Chuja podźwignie – pomyślał. Mnie nikt nie poratuje. Przeżyłem sam siebie. Ja arystokrata, którego przodkowie przegrywali w karty całe wsie, wysługuję się ludziom, którzy nie bardzo potrafią się podpisać, a wyższej kultury to nie znają nawet ze słyszenia.

Potrząsnął głową. Poczekał, aż dorożkarz straci go z oczu. Wprawdzie nie sądził, by zdołał go zapamiętać, ale wolał, by nie mógł nikomu powiedzieć nic istotnego. Trzeba było przecież pilnować sieci. Diabli wiedzą, czy Polacy już się orientują, że pod ich nosem działa siatka wywiadowcza. Nie sądził, by tak było, ale to nie zwalniało go od odpowiedzialności i zastosowania należytych zabezpieczeń. Dlatego zrobił trasę sprawdzającą, by przekonać się, czy nie ma ogona. Przez kilka ładnych godzin kluczył pozornie bez celu w poszukiwaniu najmniejszego śladu

ekipy obserwacyjnej. Wchodził do tramwajów konnych, po czym z nich wysiadał. Znikał w bramach, by wyjść z nich w tym samym miejscu. Zapamiętywał numery przejeżdżających dorożek, by później sprawdzić, czy którąś z nich nie porusza się ekipa obserwacyjna.

I dobrze już było z wieczora, gdy stanął przed drzwiami prowadzącymi do sklepu z kapeluszami madame Vavet. Natychmiast po przekroczeniu jego drzwi znalazł się w pomieszczeniu dość małym, ale przytulnym i ze smakiem urządzonym. Kobięcą rękę znać było w doborze kolorów obić ścian; pokryte były pluszem. Za typową sklepową ładą pięły się w górę podłużne półki, na których piętrzyły się całe stosy pudeł i kapeluszy. Lecz nie były to proste nakrycia głowy. Niemal wszystkie wyróżniały się jaskrawymi kolorami czy wymyślnym kształtem. Były bowiem przeznaczone dla warszawskich elegantek, które chciały zrobić w nich odpowiednie wrażenie w wytwornych salonach czy na konnych wyścigach, które organizowano na Polu Mokotowskim.

Misza patrzył na sklepowy towar z taką obojętnością, z jaką tylko mężczyzna patrzeć potrafi. Tylko przez chwilę pomyślał o Oldze, która zapewne czułaby się w tym miejscu doskonale i zapewne zaraz odchudziłaby jego portfel o ładne kilkaset rubli. Uśmiechnął się do tej myśli.

Dźwięk dzwonka umieszczonego nad drzwiami musiał zaalarmować właścicielkę, która wyszła z zaplecza znajdującego się za kotarą. Zaraz po wejściu otaksowała Miszę spojrzeniem, jakby chciała sprawdzić, na ile może oszacować kwotę, którą prawdopodobnie pozostawi w jej kasie. Zatrzymała wzrok na jego pokiereszowanej twarzy i w jednej chwili wyraz spokojnego zaciekawienia zszedł z jej twarzy, a wylała się na nią pycha i duma. Wydęła wargi pogardliwie.

Misza obserwował ją również. Miał przed sobą kobietę kreującą się na paryską damę i modystkę. Twarz miała szczupłą, usta małe, zaciśnięte. Pomiedzy nimi tkwił cienki papieros. Pomalowane jaskrawoczerwonym lakierem paznokcie tworzyły idealną kompozycję z małymi, wypielęgowanymi dłońmi, których biel mógł porównać tylko z bielą śniegu. Czarne włosy nosiła obcięte na chłopięcą modłę. Spojrzał na jej ciemne, duże oczy ukryte pod sobolowymi brwiami, które miała krótko przycięte. Jej blada cera zdawała się błyszczeć od nadmiaru maści i pomad.

– Tu jałmużny nie dostaniesz – stwierdziła, mierząc go pogardliwie oczami. – Idź na ulicę, szukać pracy. Ręce masz sprawne, to jakąś robotę ci do nich dadzą. Ja za gotówkę tylko handluję, a u ciebie chyba z nią krucho.

– Ech, jak to prędko bogactwo uderza ludziom do głowy – rzekł, odsłaniając bezzębne dziąsła i napawając się widocznym w jej twarzy przerażeniem. – Masz sobolowy szal na szyi, piękną suknię, sklep w reprezentacyjnym punkcie... panno Woźniak. Nie poznaje pani inwestorów?

Pobladła i chwyciła się mocno za kontuar lady, by nie upaść. Stała z otwartymi ustami, nerwowo patrząc na drzwi, w obawie, by nie wszedł jakiś klient. Gdyby ktokolwiek usłyszał tę rozmowę, byłaby skompromitowana.

– Nazywam się Vavet – wyjąkała z trudem. – A pan jest nikim. Mogę wezwać policję. Na pewno bardzo się zainteresują tym, co pan teraz powiedział.

– Miło mi poznać koleżankę. Ja też co godzina nazywam się inaczej. Ale to nie oznacza, że zmieniając imię i nazwisko, zostawiam przeszłość za sobą. Niestety życie to taka książka, której nie można zniszczyć, gdy się ją raz zapisze. Mówić wolno wszystko. A policję z pewnością bardziej zainteresuje dzieciobójczyni niż pospolity zecer. Dlatego radzę nie realizować pochopnie rzuconej groźby. Bo inaczej akta pewnej starej sprawy znajdą się w rękach

polskich prokuratorów, a wtedy otrzyma pani sznurowaną kolię na szyję.

Obojętnie patrzył na przemianę zachodzącą w twarzy Vavet, czy też raczej Renaty Woźniak. Widać poznała, że butą i agresywnym zachowaniem nic z nim nie wskóra, i postanowiła uciec się do najlepszej kobiecej broni: do łez. On jednak obojętnie patrzył na jej nienaturalnie wykrzywioną twarz, na zaczerwienione policzki. Bo dobrze wiedział, z kim – a raczej z czym – ma do czynienia. Znał bowiem jej akta. I zapewne znał je lepiej niż urzędnik, który z ramienia carskiego miał ją oskarżać w trakcie rozprawy sądowej. Jednak sprawa ta nigdy nie trafiła na wokandę. Carski wywiad już o to zadbał.

Historia była w gruncie rzeczy prozaiczna i typowa dla hołdujących hedonizmowi wyższych sfer Petersburga. Panna Renata była typową wiejską gąską, która postanowiła opuścić swoje hermetyczne środowisko i udać się do stolicy carskiego imperium, gdzie gwiazda jej losów miała wreszcie rozbłysnąć mocnym i trwałym blaskiem. Skorzystała z referencji udzielonych wspaniałomyślnie przez byłą faworytę dziedzica majątku, który należał do jednej z wpływowych petersburskich rodzin. Dzięki owej metresie udało się Woźniak otrzymać dobrze płatną jak na jej oczekiwania pracę. I wszystko szłoby świetnie, gdyby nie zaczęła parać się akuszerstwem.

Jej praca nie polegała bowiem na bezpiecznym przyjmowaniu na tym świecie nowo narodzonych dziedziców magnackich fortun, lecz na dyskretnym usuwaniu dowodów małżeńskiej zdrady. Popyt na tego typu usługi w przesiąkniętym zgnilizną moralną mieście był więcej niż duży. A wieści o umiejętnościach i dyskrecji Renaty rozeszły się pocztą pantoflową w zainteresowanych nimi kręgach. Toteż na brak klientów nie mogła narzekać. I wkrótce mogłaby już porzucić słabo płatną pracę służącej, gdyby nie to, że stanowiła znakomity parawan dla jej mniej legalnej działalności, która

w razie wykrycia przez organa sprawiedliwości musiała zakończyć się stryczkiem.

Renata o tym wiedziała, ale i przed tym potrafiła się zabezpieczyć. Sporządziła mianowicie dziennik, w którym skrupulatnie notowała nazwiska swoich klientek. Jeden z jej kochanków zbudował mechanizm powodujący, że każda próba otwarcia dziennika przez kogoś innego niż ona kończyła się roztrzaskaniem ampułki z kwasem, która w sposób nieodwracalny niszczyła tekst. Przezorność ta uratowała Renacie życie, gdy jej działalność wyszła na jaw. Stało się to na skutek nieostrożności jednej z jej klientek, która nie dość starannie ukrywała ciążę przed swym starym mężem. Ten śledził ją i dotarł za nią aż pod drzwi Renaty Woźniak. Jednakże przybył za późno, by ocalić nie swoje dziecko, które wydobyte z łona matki konało we krwi i śluzie na kuchennym stole.

Woźniak sądziła, że sprawa powinna przybrać korzystny dla niej obrót, licząc na to, że stary głupiec nie będzie chciał zszargania opinii swojej żony, a zwłaszcza swego nazwiska w głośnym procesie. Przypuszczała raczej, że będzie chciał zatkać jej gębę bankowym papierem, a na żonie zemści się, aranżując wypadek: upadek z konia czy utonięcie podczas pływania kajakiem. Wiedział przecież, w jakim państwie i pod jakim rządem żył. I mógł być pewnym, że przy odpowiednio wysokich łapówkach śledztwo będzie prowadzone opieszale i nie przyniesie żadnych rezultatów. Lecz tu czekało ją bolesne rozczarowanie, gdyż stary wcale nie był zadowolony ze śmierci bękarta. Sam bowiem został rajfurem własnej żony, choć ta nie miała o tym najmniejszego pojęcia. Pragnął mieć dziedzica. O to, że w żyłach młokosa nie płynęłaby jego krew, mniej dbał. A przez jego żonę i głupią kobietę cały plan diabli wzięli. Postanowił więc się zemścić. Był już stary i o ziemską reputację mniej dbał. Potomków w prostej linii nie miał, toteż nie musiał się obawiać, że odium jego grzechów

spadnie i na nich. O dalekich krewnych, którzy po jego śmierci mieli rozszarpać gromadzony przez kilka pokoleń rodu majątek, nie dbał.

Tu jednak w sprawę wmieszała się Ochrana, która znalazła dziennik Renaty w spisie dowodów, sporządzonym przez policję w czasie jej aresztowania. Oczywiście mógł nie zawierać w sobie nic interesującego, ale jednocześnie mógł okazać się pętlą, na którą można by złapać co najmniej kilkadziesiąt arystokratycznych i bardzo wpływowych w kręgu dworskiej koterii rodów. Misza pierwszy zwrócił uwagę na taką możliwość. Wydało mu się bowiem mało prawdopodobnym, by tylko jedna kobieta w ten sposób dbała o zachowanie swojej reputacji w nienagannym stanie. Jak pokazał czas, miał rację.

Dlatego zwierzchnicy pozwolili mu zaproponować Renacie swoistego rodzaju układ: tajemnica dziennika w zamian za spokojne życie w mieście z wypłacanej przez nich pensyjki. Operacja Natalis przynosiła carskim służbom wielkie korzyści. Dzięki niej mogli bowiem trzymać w ryzach wielu liczących się polityków.

– Niech pani sobie daruje – rzekł Misza obojętnie. – Przez ostatnie lata widziałem tyle łez, że nie robią już na mnie wrażenia. Zresztą znamy się przecież od czasu, gdy toczyliśmy nasze wielce zajmujące dysputy, korzystając z pomieszczeń więziennych.

Teraz dopiero go sobie skojarzyła. Krótki błysk, jaki wywołały jego słowa, przywrócił jedno z zatartych w pamięci wspomnień. Przez chwilę nie mogła dojść do siebie ze zdumienia. Więc ten dystyngowany młody oficer, który rozmawiał z nią w więzieniu, i człowiek z twarzą pokrytą cienkimi, białymi bruzdami, z wybitymi zębami, to jedna i ta sama osoba.

– Ludzie się zmieniają – rzucił, jakby odgadując jej myśli. – Ale przeszłość, a zwłaszcza przeszłość grzeszna, zawsze wraca, choć nie wiadomo, którą drogą.

– Przecież byłam wam wierna – rzuciła, odzyskując panowanie nad sobą. – I będę. Nie cierpię tego kraju i ludzi go zamieszkujących. Jestem już obywatelką świata. Czy mieszkam tu, czy w Paryżu, to mi wszystko jedno. Wszędzie są kobiety, które pragną się stroić, a w mieście katedr jest ich więcej niż gdziekolwiek indziej. Pieniądzy, które mi wypłacaliście, nie trwoniłam, tylko odkładałam, dlatego mam dziś całkiem ładną sumkę, z którą mogę zacząć wszystko od nowa w dowolnym miejscu na ziemi. Sama Aleksandra Piłsudska u mnie kupuje.

Drgnął.

Dojście do samego Belwederu – pomyślał i poczuł to charakterystyczne podniecenie. Tylko ostrożnie – rozważał. Trzeba pilnować tego ogniwa i pomyśleć, jak dołączyć do niego inne, by stworzyły mocny łańcuch wokół szyi Piłsudskiego.

– Sama przyjeżdża?

Przytaknęła skwapliwie zadowolona, że może odwrócić jego uwagę od siebie.

– Dobrze. Podtrzymuj tę znajomość wszelkimi sposobami, a my już się zastanowimy, jak wyciągnąć z tego dla siebie korzyści.

Ale o tym mieli decydować ludzie postawieni znacznie wyżej od niego. On miał załatwiać swoje sprawy.

– Daj miejsce, gdzie agent wyznaczył spotkanie. I pamiętaj, że pokazałem ci tylko początek pętli, na której cię trzymam.

Wyszła i po chwili wróciła, niosąc jeden z kapeluszy. Podała mu go. Spokojnie rozwinął kartkę ukrytą w niebieskiej wstążce.

Wziął ją, skinął Renacie głową i wyszedł. Dopiero na powietrzu rozwinął kartkę i odczytał adres. Okazało się, że Zofia na miejsce spotkania wyznaczyła restaurację przy placu Trzech Krzyży. Zapamiętał i wrzucił karteczkę do kratki ściekowej. Następnie w jednej z jeszcze otwartych kwaciarni kupił czerwoną różę – znak rozpoznawczy.

Do niewielkiej restauracji dotarł bez przeszkód. Była to bowiem bezpieczna część Warszawy, starannie oświetlona lampami gazowymi; ich mdła poświata padała ukośnie na ulice. Stróże czuwali po bramach. Dodatkowo porządku pilnowali jeszcze policjanci, których liczne patrole dbały o zachowywanie ciszy nocnej. Do knajp rozsianych po mieście pędziła dorożkami miejska libertyńska elita. Przy czym niektórzy jej członkowie przekraczali dozwoloną prędkość.

Misza wszedł do sali swobodnym krokiem. Wybrał okrągły stolik w samym rogu. Taki, przy którym mógł usiąść plecami do ściany, a jednocześnie mieć pod kontrolą wszystkie wejścia. Rozejrzał się po sali. Kręciło się po niej kilku kelnerów ze srebrnymi tacami w rękach. Pstryknięciem palca wezwał obera i zamówił czarną kawę. Następnie spojrzął na parkiet. Przy pianinie nie było jeszcze pianistki, za to orkiestra stroiła już instrumenty. Przy stołach siedziała głównie złota młodzież. Z ich podnieconych rozmów zorientował się, że na dzisiaj zaanonsowano występ wschodniej tancerki. Zapowiedź ta rozpaliała wyobraźnię gawiedzi.

Po półgodzinnym oczekiwaniu do sali weszła Zofia. Miała na sobie dość odważną satynową suknię błyszczącą od dodatków. Na nogach pantofle na niskim słupku. Do głowy przytroczone miała pawie pióro. Na twarzy – mocny makijaż, nieco tylko przytłumiony grafitowym cieniem do oczu. Satynowa suknia miała prosty, opadający fason i odsłaniała lekko nogi, co uchodziło jeszcze wtedy za kontrowersyjne.

Dostrzegł, jak nieznacznie się rozgląda, szukając go. Gdy go dostrzegła, zmrużyła oczy i ruszyła ku niemu. Wstał i odsunął jej krzesło – był w końcu między burżujami. Usiadła, chowając nogi pod krzesłem.

- Ma pan listy od mojego męża?
- Oczywiście. A pani ma to, co zamawialiśmy?

– Jestem na dobrej drodze. – Przymknęła oczy jak dziecko, które boi się kary.

Zmarszczył brwi.

– Konkrety. – Podał jej listy, wykorzystując fakt, że konferansjer zaczął zapowiadać atrakcję wieczoru.

– Drodzy moi parafianie! Dziś przybyła do nas gorąca niczym piasek pustyni arabska tancerka. Jej gibkie ciało, okryte tylko muślinem, zapewni waszym oczom niesłychane wrażenia. Uprasza się o spokojne siedzenie przy stołach i nieczynienie jej propozycji matrymonialnych, gdyż jest już członkinią haremu szejka.

Odpowiedział mu wybuch śmiechu rozgrzanej trunkiem młodzieży.

– Dostarczyłam odcisk klucza do kasy pancерnej waszemu człowiekowi, ale otrzymałam jego duplikat dopiero dziś wieczór. A nikomu nie wolno zostawać po godzinach na placu Saskim.

– Rozumiem – odparł. – Gdy tylko otrzymam fotokopię interesujących nas dokumentów, pani mąż natychmiast zostanie zwolniony. Ale już teraz został przeniesiony do lżejszych prac. To pani zasługa. To pani podpisała jego zwolnienie. – Kłamał i robił to bez mrugnięcia okiem. – Mikrofilm musi pani zostawić w moim schowku. Obluzowana cegła w murze na Polu Mokotowskim. Trzecia, licząc od kamienicy bez rynny.

Mówiąc, jednocześnie obserwował kątem oka tancerkę, która zmysłowo kręciła brzuchem, a złoty kolczyk w jej pępku poruszał się wraz z nim. Jej krótka spódniczka wirowała, odsłaniając długie, smukłe nogi. Złote dzwoneczki brzęczały u jej kostek. Poruszała się w rytm bębnow, coraz szybciej i szybciej. Zaczerwienione z podniecenia i nadmiaru alkoholu twarze i błyszczące oczy patrzących wodziły za nią jak pies za panem. Parkiet i sala zdawały się płonąć od wszechobecnego podniecenia. Cienki woal ukrywał nadal twarz dziewczyny. Nagle odrzuciła go i wykonała piękny szpagat, klękając niemal tuż przed stolikami. Podochoceni

młodzieńcy wstali jak jeden i klaskali. Niektórzy, znajdujący się najbliżej, wlewali swój szampan prosto do ust dziewczyny, której oczy i twarz wprost płonęły ze zmęczenia. Piła chciwie, oblizując usta językiem. Część spośród tych siedzących dalej, chcąc się do niej dostać, wywracała stoły.

Bydło – pomyślał Misza. Ciekawe, czy tak samo potraktowałyby swoją matkę, siostrę lub córkę. Ale przynajmniej nikt z nich nas sobie nie przypomni. Wrócił do swojej rozmówczynie.

– Zadanie i sposoby kontaktu bez zmian. Możemy się zbierać. Tu już się tak z łbów i ust kurzy, że ani dostrzec, ani dosłyszeć się nie można. Chyba że ma pani jeszcze coś do zameldowania?

Dostrzegł, że nieco za szybko opuściła brwi.

– No – ponaglił. – Mów.

– Wtedy na Pradze szedł za mną pewien człowiek.

– Jest pani pewna?

Skinęła głową.

Szlag – pomyślał. Utrata takiej agentki to byłby wielki cios dla całej siatki. Niech jedna cegła wyleci z budynku, a cały runąć może.

– Skąd ta pewność?

– Moja dobra koleżanka otrzymała list, który miała przekazać bezpośrednio pułkownikowi Dobrowolskiemu. Dała mi go, bo chciała pojechać na wesele kuzynki, na Pomorze. A pułkownik jest w Wielkopolsce i wróci najwcześniej za dwa dni. Przeczytałam go. Dzieciak pisze w nim, że słyszał moją rozmowę z fachowcem. Był piętro wyżej u prostytutki i podsłuchiwał przez dziurę w stropie. Nie wie, co zamawiałam, ale na podstawie tych przesłanek radzi, by objąć mnie aktywnym rozpracowaniem kontrwywiadowczym.

– Wiesz, kto to jest?

– Tak – zająknęła się, bo wiedziała, do czego prowadzą te pytania. Ale była świadoma tego, że: przypadek raz się jej przysłużył, a drugim razem los może nie być aż tak łaskawy. Wołała nie myśleć, co by się stało, gdyby jej koleżance nie żal było

świeżo uzyskanego urlopu i tańców. Wiedziała, jak karano zdrajców. Miała na ten temat szkolenia. A gdy chłopak dowie się, że list nie dotarł do adresata, to wtedy wyśle następny albo sam powie, co wie. Chyba że nie będzie mógł, pomyślała i się wzdrygnęła.

Ale zaraz przed oczami stanęła jej twarz syna. Jak stawia pierwsze nieśmiało kroczyki, jak wyciąga pokryte rozkosznymi fałdeczkami rączki do mamusi. Co się z nim stanie, jeśli ona...? Wątpiła, by mścili się na dziecku. W końcu ono nie było niczemu winne. Ale nie będą się nim zajmować. Oddadzą albo krewnym ze strony ojca, albo do sierocińca. Nie wiadomo, co gorsze. Jak znała rodzinę męża, to nie ucieszą się z takiego przychówku. A sierocińce? Nie chciała nawet myśleć, jakie panują tam warunki. Drżała na myśl o tych wszystkich chorobach, z hiszpanką na czele, jakie na pewno tam grasowały. Bardzo powoli otworzyła usta, a jej własny głos wydał jej się zupełnie obcy:

– To Wiktor Adamczewski. Młody, protegowany naszego pułkownika. Teraz powinien wracać z Krakowa. Mieszka na Pradze u niejkiej Stanisławy Grabowskiej. Adresu nie znam.

– To nie problem. Mamy swoich ludzi w środowiskach robotniczych. Sprawdzimy.

Wypił swoją kawę, która, podczas gdy rozmawiali, nieomal całkowicie wystygła. Odstawił filiżankę na spodeczek.

– Co z nim się stanie? – zapytała.

– Przecież pani wie.

Wiedziała. Ale troska o syna i męża usprawiedliwiała wszystko, co robiła. Żyła już tylko dla nich.

Rosjanin wyszedł pierwszy. Ona odczekała kwadrans i wytoczyła się jak pijana, choć nie miała w ustach nawet kropli alkoholu. Szła przez miasto niczym obłąkana. Nie wiedziała, gdzie i po co idzie; wielkie jak groch łzy kapwały jej z oczu, a ona nie chciała i nie mogła ich powstrzymać.

6

1. o nieskoszonym zbożu: Rolnicy sprzedali zboże na pniu.
2. natychmiast, w momencie ukazania się na rynku, pojawienia się czegoś atrakcyjnego.

Rozdział XII

Starcie pod Mostami stanowiło zaczyn wielkiej wojny, ale nikt nie miał pewności, do jakiego stopnia burza się rozpęta. Nie wiedział tego ani Lenin, ani nikt z jego współpracowników. Dopiero początek marca przyniósł odpowiedź na te pytania. Wojsko Polskie uderzyło i zajęło Słonim, Pińsk, a na północy doszło pod Lidę. Nowy dowódca Dywizji Litewsko-Białoruskiej generał Stanisław Szeptycki okazał się energicznym człowiekiem i wykazał się sporym talentem strategicznym i organizacyjnym.

Dowodzona przez niego jednostka składała się z ochotników z Kresów Wschodnich. Wywodziła swój rodowód z oddziałów kresowej samoobrony, które tworzyli zamieszkujący tam Polacy, gdy tereny te opuszczały wojska niemieckie. Stało się bowiem jasne, że na kresy może wkroczyć Armia Czerwona, której nie było czym stawić oporu, gdyż nieliczne wojsko polskie było w tym okresie zaangażowane głównie w walki z Ukraińcami w Galicji Wschodniej. Tam też zgromadzono gros sił.

Na szczęście Armia Czerwona nie mogła wykorzystać chwilowej przewagi, jaka wytworzyła się na froncie zachodnim, ponieważ swoje główne siły nadal kierowała przeciwko Białym. Dlatego szczupłe siły polskie mogły wykonać postawione im przez sztab generalny zadania. Front ustabilizował się na kilka tygodni, bo obie strony potrzebowały wytchnienia przed kolejną kampanią. Opinia publiczna w Polsce z zapalem przyjmowała wieści o sukcesach na wschodnim teatrze działań. Część ludzi była jednak

silnie zaniepokojona możliwością wojny, która musiałaby się wiązać z długotrwałymi walkami i znacznymi stratami po obu stronach. A niewielu ludzi, nawet tych znajdujących się w bliskim otoczeniu przywódców państwa, zdawało sobie sprawę, że dalsza wojna jest tylko kwestią czasu. Jedną ze świadomych tego faktu osób był Wieniawa.

Jako jeden z nielicznych miał pełne zaufanie komendanta i znał jego myśli. Dlatego gdy tylko powrócił do Warszawy i odświeżył się kąpielą po tygodniach spędzonych w warunkach polowych, zabrał się za prace studyjne i sztabowe. Przez kilka dni w ogóle nie wychodził z budynku sztabu generalnego. I choć zwykle nie znosił tych prac, które wiązały się z wielogodzinnym ślęczeniem za biurkiem i nad mapami, to tym razem był z nich zadowolony, nawał pracy uniemożliwiał mu bowiem zajęcie się żoną. Wprawdzie mógłby znaleźć i jakąś inną materię do wykrętów od tego obowiązku, ale wstydził się oszukiwać sam siebie. Tym chętniej skorzystał więc z autentycznego pretekstu.

Czuł bowiem, że nie chce i nie powinien odwlekać tej sprawy w nieskończoność. Wiedział, że to, co ona powiedziała mu, gdy wyjeżdżał, nie wystarczy. Czuł, że musi jej wszystko wyjaśnić. Zakopać wzajemne urazy i narosłe latami krzywdy. Bez tego ani ona, ani on nie będą zupełnie wolni. Ale z drugiej strony bał się przed nią stanąć. Zbeszta go jak ostatnim razem albo odpowie pogardą. I dlatego wciąż odkładał spotkanie. Jednego dnia już wychodził do niej, by po chwili zawrócić.

Zły i chmurny tkwił w pokoju sztabowym. Była to szeroka sala o ogromnych prostokątnych oknach, przez które wpadały w tej chwili czerwone promienie zachodzącego słońca. Niemal całą jej przestrzeń zajmował długi stół. Na nim rozpostarto wielką mapę sztabową, którą przyszpilono na rogach. Pokrywały ją różne dziwaczne znaki i chorągiewki, które laikowi nic by nie mówiły,

lecz on czuł się między nimi jak ryba w wodzie. Przesuwał, nanosił nowe i co chwila łapał się za głowę.

W całym pomieszczeniu słychać było jedynie jego ciężkie kroki i skrzyp wyglancowanych butów. Cisza działała na niego uspokajająco, pozwalała zebrać rozproszone myśli i skupić je na problemach natury wojskowej. Ofensywa rozwijała się korzystnie, ale dalsze natarcie mogło zakończyć się nadmiernym rozciągnięciem linii komunikacyjnych. Dostarczanie zaopatrzenia na rozciągniętą na wielkiej przestrzeni linię frontu było sprawą bardzo skomplikowaną logistycznie. Wieniawie nie brakowało rozumu do wyszukiwania potrzebnych w tej sytuacji rozwiązań. Jemu brakowało... chęci. Rysowanie kolorowym ołówkiem po mapach tras marszrut, czyli tak zwane dowodzenie operacyjne, nigdy go nie pasjonowało. Jeśli chciał dowodzić, to szwadronem, czując pęd wiatru na twarzy, słysząc stukot kopyt w uszach i świst kul nad głową. Niestety rzadkie miewał ku temu okazje.

– Szlag! – zaklął, łamiąc kredkę sztabową. – Belina wojuje, Grzmocik wojuje, a tylko ja tyłek w sztabie katuję. Bodaj to było mi zostać nad granicą. Wojowałbym. A tak nie dziś, to jutro znów mnie gdzieś pośle. Niechby do Rosji. Tam zawsze gotowa robota.

Dalszą rozmowę ze sobą przerwało mu skrzyknięcie otwieranych drzwi. Do pomieszczenia wsunął się Piłsudski i nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok swego adiutanta. Spojrzał z politowaniem na jego pergaminową twarz i podkrążone oczy.

– Nie idziesz do domu? – rzucił z troską. – Wiecznie tu przesiadujesz, jakbyś wypoczynku nie potrzebował. A przecież niedawno wróciłeś z Rosji.

Długoszowski zaprzeczył ruchem głowy.

Piłsudski westchnął i przysiadł się do stołu, ale patrzył na niego zamiast na mapę. Bolesław poczuł w tym wzroku nieme pytanie i jął chodzić jak tygrys po klatce. Wrzał w nim gniew, palce mu

drżały. Zbierał się w sobie, by wypowiedzieć wszystko, co leżało mu na sercu. Wreszcie zatrzymał się i z pobladłą ze wzruszenia twarzą rzekł:

– Mam tego dosyć! Nie nadaję się do siedzenia za biurkiem. Jest wojna. Jestem żołnierzem. A ty każesz mi ślęczeć na tyłach lub wysyłasz z misjami dyplomatycznymi, które nie przynoszą rezultatów. Posłałeś mnie do Lenina. Pojechałem, choć było mi to nie w smak. Zleciłeś mi organizowanie pułków, które odsyłam na wschód i zachód, by dowodził nimi kto inny. To tak, jakby kazać chłopakowi ubierać dziewczynę, którą by się rozebrać chciało. Mam dosyć. Nigdy nie prosiłem cię o nic dla siebie, ale teraz proszę: poślij mnie na front. Dobrze wiesz, że tam się przydam.

– Zazdrościsz Belinie i Grzmotowi-Skotnickiemu, że wojują – stwierdził Piłsudski, zdejmując czapkę i kładąc ją na mapie. – Ale oni są urodzonymi żołnierzami, podczas gdy ty możesz być kimś znacznie większym niż zwykły żołnierz. Masz dar, czar. Nigdy nie zastanawiałeś się, dlaczego posyłam cię z misjami dyplomatycznymi?

– Bo nikt mnie nie przepije – odparował. – Mogę pić z każdym, kto się ze mną trąci kubkiem.

Komendant pominął milczeniem kpinę.

– Bo ludzie cię słuchają. Nie widzisz tego? Łakną twojego towarzystwa i robią to, ci im każesz. Dlatego wysyłam cię tam, gdzie sam nie chcę i nie mogę być widziany. To też jest walka. Kto wie, czy nie ważniejsza od tej prowadzonej teraz na froncie. Bo to tacy jak ty pilnują, by przelewana tam teraz krew nie poszła na marne. Czy ty myślisz, że mi nie tęskno do prostej wojaczki? A jednak muszę myśleć o sejmie, wszystkich sąsiadach i nie uskarżam się. A dlaczego? Bo wiem, że to, co robię, służy dziełu trwalszemu niż moje życie. Mnie nie będzie i ciebie też, ale budowla, której zręby dziś kładziemy, będzie trwała i przetrwa wieki. Powiedz szczerze, co warto poświęcić dla takiego celu?

Wieniawa zawstydził się. Nie wiedział, co mu odrzec, jak się bronić. Czuł się pokonany i upokorzony. Teraz wydał się sam sobie kapryśnym dzieckiem, które nie wie, czego chce. Na jego twarz wybiły gorące rumieńce. Wreszcie uniósł oczy, w których błyszczała determinacja.

– A ty, co poświęciłeś? – zapytał.

Piłsudski uśmiechnął się i wydobył list, który podał Wieniawie. Ten zawahał się, ale ponaglony spojrzeniem, rozwinął go i czytał.

Co o tobie myślę, wiesz dobrze. Pierwszy bym pałkę strzaskał na twej głowie. Ale przechodząc do rzeczy: Marszałek Francji przystał na propozycję zorganizowania przerzutu Błękitnej Armii do Polski. Będzie to znaczna siła, gdyż jest to armia licząca prawie siedemdziesiąt tysięcy żołnierzy, wyekwipowana i wyszkolona. Dostaniemy też czołgi i samoloty. Foch rozumie bowiem, że Polska staje się centralnym punktem europejskiej, a nawet światowej polityki. Wierzy, że tylko silna i trwale ugruntowana na mapie będzie odpowiednią zaporą dla bolszewickiego imperializmu i niemieckiego rewanżyzmu. Niestety tok jego myślenia jest w Paryżu mocno osamotniony.

Wilson jest naiwnym człowiekiem, który wierzy, że wyśniona przez niego Liga Narodów stanie się miejscem, gdzie rozwiązywane będą wszelkie europejskie spory. Oczywiście na sposób pokojowy. Na siedzibę organizacji wyznaczono Genewę. Moim zdaniem będzie to kolejne forum, na którym dyplomaci będą prowadzić jałowe pogaduszki. Ale rzecz wydaje się przesądzona i prawdopodobnie zostanie przeprowadzona. Nikt nie sprzeciwi się woli nowego mocarstwa. Dla nas to przydatny człowiek, bo pianista ma z nim dobre kontakty. Dzięki nim uzyskał materiał siewny.

Cieszę się, że spór o Wielkopolskę został załatwiony na naszą korzyść. Jednak jest jeszcze wiele innych punktów zapalnych. Teraz na agendzie obrad jest sprawa Gdańska i Śląska. Dlatego potrzebuję materiałów o zbrodniach niemieckich oddziałów na Śląsku. Co do Gdańska, to rzecz nie rozwija się w dobrym kierunku. Miasto portowe jest cenne dla każdej ze stron, ale robimy, co się da. Spodziewam się jednak, że tutejsze gremia decyzyjne nie zdobędą się na jednoznaczną decyzję – to jest: nie przyznają go ani nam, ani Niemcom. Wybiorą jakieś rozwiązanie pośrednie.

Masz chyba dość rozumu, by zrozumieć, jaka by to była dla nas tragedia. Oddać Niemcom Gdańsk lub go nie otrzymać, to pozwolić im wiecznie trzymać nogę na naszym płucu. Niemniej ufam, że wspólnie zdołamy tę nogę zepchnąć. Zwłaszcza że Francuzi chyba dokonają tego, co sobie zamierzeli, i pozbawią niemiecką armię siły i znaczenia. Co sprowadzi Niemcy prawdopodobnie do rangi przedmiotu, a nie podmiotu międzynarodowej polityki. Niemniej czujność zachowujemy, bo zagoniony pies najlepiej kąsa.

Twoja awantura wschodnia rodzi w Wersalu liczne komentarze. Wszyscy liczą na to, że wspomócie Białych przeciw bolszewikom, rezygnując z forsowania waszej koncepcji kształtu granic państwa.

Z szacunkiem dla pełnionego urzędu, bez szacunku dla osoby.

Roman Dmowski, przewodniczący Narodowego Komitetu
Polskiego i członek polskiej delegacji rządowej^Z.

Wieniawa zwinął list i spojrzął gdzieś przed siebie.

Komendant był dla niego jak ojciec. Kochał go jak syn. I miał czasem wrażenie, że i on płacił mu za to prawdziwie ojcowskim

uczuciem. Dzięki temu płazem uchodziło mu to, za co inni ponieśliby ciężkie kary. Bolesław Ignacy jego jednego słuchał i jego jednego się bał.

Ech, dlaczego jedyny człowiek, którego opinia jest dla mnie ważna, chce mnie odseparować od koni, wbić we frak i cylinder i posadzić za biurkiem?!

– Dobrze – rzekł. – Nigdy więcej nie wspomnę o walce na froncie. Używaj mnie tam, gdzie twoim zdaniem będę potrzebny, tylko nie rób mnie generałem.

– Zrobię cię generałem, gdy włos ci posrebrzeje i powagi nabierzesz. Ale teraz winien ci jestem wdzięczność. Miałaś rację co do Aleksandry. Dzięki twojej radzie nasz związek wkroczył na nowe tory.

A mój się wykoleił – pomyślał, ale się uśmiechnął. Cieszył się radością tego człowieka, który niemal nie miał spokojnego życia. Władza odbierała mu małe radości, których mali ludzie nie potrafią docenić, choć zazdroszczą im ich wielcy tego świata. Lecz komendant nigdy nie walczył o szczęście dla siebie.

– Cieszę się – mruknął Długoszowski. – Twoje szczęście jest i moją radością, choć mnie samemu źle i ciężko. Mam problem ze sobą. Sam nie wiem, czego chcę. Stefania powinna wziąć ze mną rozwód. Niech zaczyna życie od nowa, a nie marnuje go z kimś, kto nigdy na nią nie zasługiwał. Ale najpierw chcę z nią porozmawiać, a nie wiem jak. Oddam jej wszystko, co mam.

Komendant zmarszczył siwe brwi i patrzył w twarz tego dojrzałego człowieka, który naprawdę nigdy nie przestał być dzieckiem. Miał te cechy, które on musiał w sobie stłumić, by wypełnić cel przed sobą samym postawiony. I może dlatego kierował się wobec niego ojcowskimi uczuciami, bo był taki, jakim on sam chciałby być. Cieszył się, że mógł mu być ojcem duchowym, kierować jego niespożytą energią na właściwe tory. Naprawdę fascynował go Wieniawa. Zmienność jego charakteru. Gdy

pracował, to nawet Wenus z morskiej piany nie wybiłaby go ze skupienia. A gdy się bawił i urządzał swoje rundy po knajpianej Warszawie, to i w tym nic nie mogło mu przeszkodzić.

Pogładził wąż, by zyskać czas na zastanowienie się nad odpowiedzią.

– W czym jest problem? – spytał wreszcie.

– Kocham ją! – ryknął Wieniawa. – Zawsze kochałem. Nigdy jej nie zdradziłem. A ile okazji ku temu miałem, to nawet nie policzę. Żeby mi najlepszy koń okulał, jak nieprawdę mówię. Ale co z tego? Przepadło wszystko. Ona mi nie wierzy. Nie wierzy! Choćbym ją całował po stopach, nie spojrzy już na mnie tak, jakbym chciał. Rozstałem się z nią w gniewie, gdy tonęła we łzach. A Bóg mi świadkiem, że kocham ją.

Chodził szybko. Nagle chwycił olbrzymią mapę za róg i zerwał ze stołu; rzucił ją na podłogę z taką siłą, że zwinęła się w rulon. Oddychał z trudem, a twarz pokryła mu się szkarłatem. Zdjął z palca pierścień i cisnął mimo woli na stół.

Komendant patrzył na jego okrągły kształt, gdy toczył się po blacie biurka. Odruchowo nakrył go dłonią, by nie spadł, i zobaczył wyrytą na nim inskrypcję. Wtedy zadrżał i pobladł. Ostrożnie pieścił go palcami jak najdroższą relikwię.

– Skąd go masz? – zapytał przyduszonym z podniecenia głosem.

Wieniawa spojrział niepewnie na pierścień, jakby nie rozumiejąc, co może być w nim aż tak interesującego. Zachował go tylko ze względu na cenę, jaką przyszło za niego zapłacić. Ale nie miał dla niego żadnej wartości prócz sentymentalnej. Wiedział, że ten pierścień będzie mu już zawsze przypominał o zemście, której z konieczności musiał na razie poniechać.

Dyszał przez chwilę ciężko, wracając do równowagi psychicznej i fizycznej. W końcu usiadł na dawnym miejscu i zebrawszy myśli, tak zaczął mówić:

– Wiem, że to tylko zwykły, okrągły kawałek metalu, który nie ma ani wartości materialnej, ani estetycznej. Ale przypomina mi o pewnym rachunku, który mam do zapłacenia. Należał do człowieka, który jechał wraz ze mną tym pociągami, gdy napadli nas bolszewicy. To był stary powstaniec, jeszcze pod Krukiem w wojenne dostatki opływał. Opowiadał mi o tamtej kampanii. Ech, gdybyś mógł go wtedy zobaczyć i usłyszeć. Ja, człowiek zupełnie innej epoki, poczułem się tak, jakby nasze kołyski pod jednym dachem stały... Broniliśmy się. Nie mogę rzec, dzielnie i przytomnie. Ale było ich po prostu zbyt wielu. Starzec dostał kulę, ale uprzednio narznęliśmy kacapów jak świń. Już nie zobaczę drugi raz takiej śmierci: konał z uśmiechem na ustach, z karabinem w dłoni. Mam nadzieję, że dawni towarzysze broni rozpoznają go i przyjmą pomiędzy siebie, bo wart był tego. Zostawił mi ten pierścień z przykazaniem, bym teraz ja strzegł ich dziedzictwa. Podobno był w jego rodzinie od pokoleń. Ja nie bardzo w to wierzę. To zwykły pierścień, a pamiątki rodowe zwykle mają wprawione drogie kamienie, bo to przydaje całemu rodowi splendoru i powagi. A to zwyczajne kółeczko, i to jeszcze z tak megalomańską inskrypcją: „Ojczyzna obrońcy swemu”. Pycha tak przemawia, nic więcej.

Komendant słuchał uważnie, bo od dziecka nasłuchiwał się opowieści o powstaniu, którego pamięć tym była droższa narodowi, im większy był żal, iż szansa z nim związana została bezpowrotnie stracona. Słuchał o bitwach, potyczkach, o akcjach policyjnych, o puszcanych z dymem dworach, gwałconych kobietach. I ten straszny czas ożywał wtedy przed jego oczami. Malowali go chłopci, których kosy nie gorzej niż szlacheckie szable pokryły się krwią moskiewską. I rosła w nim nie tylko duma, ale i chęć walki zbrojnej. Te opowieści natchnęły jego duszę do pracy niepodległościowej. Chciał, by w nim odżył Traugutt, by mógł wskrzesić ich marzenia, które zaczynały być jego własnymi. Sił

jeszcze nie miał, ale rozumiał, że odzyskanie niepodległości widzi na drodze czynu zbrojnego. Nie gardząc przy tym pozytywistami, których pracę rozumiał i cenił, ponieważ wiedział, że kościec narodu musi być większy niż tylko zubożała szlachta i drobnomieszczaństwo. Wiedział, gdzie leżała przyczyna klęski powstania. Chłopi opuścili powstańcze oddziały, gdy car zagwarantował im, że zatrzymają grunta nadane im przez Komitet Narodowy na warunkach korzystniejszych niż gdziekolwiek indziej w Europie.

Rozumiał ich motywację. I wiedział, że trzeba ich kształcić. Uczyć gospodarowania. Doceniał tych, którzy to robili, ale sam był człowiekiem czynu. Nie interesowała go powolna praca. Chciał uderzyć na zaborców jak rzeka, która przerywa tamę. I w tym celu zebrał owoce pracy innych. To Sienkiewicz wychował mu żołnierzy. To on sprawił, że nie utonęli pośród marazmu życia codziennego. Pragnęli dokonywać takich samych bohaterskich czynów jak opowieściowi bohaterowie, których wyczynami z kart powieści pasjonowali się za młodu. Ale dla niego samego to powstańcy stanowili wzór. I teraz przecierał pięścią zażawione oczy.

– Na Boga! – zakrzyknął, gdy Wieniawa skończył swoją opowieść. – Cemu on do mnie po pomoc nie przyszedł? Przecież troszczymy się o weteranów powstania lepiej niż o ojców rodzonych. Dbamy, by niczego im nie brakowało, aby osłodzić im sędziwe lata, które łaskawy los pozwoli im spędzić już w wolnej Polsce. Włączyłbym go do armii, a tak niczym mu się już wywdzięczyc nie zdołamy. Nie myśl, że nie żał mi tamtych ludzi, których bolszewicy wygubili. Ale nie mogłem zrobić nic, by zemścić się za nich.

– Tobie wolno zemsty nie wyrzucić, ale nie mnie, bo złożyłem przysięgę, a nie daj Bóg, bym kiedy słowa własnego nie dotrzymał.

Dość masz innych trosk, ale o tym nie zapomnę. Czemu tak dziwnie patrzysz na ten pierścień? Jest w nim coś niezwykłego?

Piłsudski spuścił oczy, jakby grzebał w pamięci. I Wieniawa już wiedział, że czeka go długi wykład. O ile jednak zwykle słuchał ich z zajęciem, to teraz czekał nań z niecierpliwością. Ciekaw był bowiem historii pierścienia. Nie chciał jednak w niczym ponaglać komendanta, bo zbyt go szanował. Czekał więc cierpliwie, aż Piłsudski otworzy oczy i przemówi.

– Ten, który ci go dał, nie kłamał – rzekł wreszcie. – I nie dziwię się, że nie poznałeś się na wielkości tego daru, bo mało kto słyszał o tych pierścieniach⁸. Były one rozdawane przez Tadeusza Kościuszkę za męstwo i ofiarność wykazaną w boju. To była i jest relikwia. Zadziwiająca rzecz, toż ona przeszła wszystkie powstania narodowe, by trafić w twoje ręce. Trzymaj ją i szanuj, bo całe pokolenia przelewały krew pod tym znakiem, byśmy dziś mogli wieńczyć to dzieło.

Wieniawa wziął pierścień; przyglądał mu się przez chwilę, obracając w smukłych palach, jakby się dziwił, że tak mały przedmiot może być ucieleśnieniem tak wielkiej historii. Następnie delikatnie wsunął go na palec i poczuł spływające nań ukojenie. Duch Stefanii odleciał gdzieś w dal i już o niej nie myślał. To była jego prywatna sprawa, która mogła poczekać. A wojna czekać nie chciała.

– I co teraz? – zapytał, chcąc zmienić kierunek rozmowy. – Dokąd pójdziemy? Dalszy marsz na Wilno grozi zaangażowaniem stosunków z mocarstwami, a co gorsza nadmiernym rozciągnięciem frontu. Myślę jednak, że przedsiębiorczy i rzutki dowódca kawalerii poradziłby sobie z opanowaniem wężła kolejowego w Baranowiczach. To powinno zmusić bolszewików do oddania nam Wilna właściwie bez walki. Musimy zająć opuszczone przez Niemców Grodno. Dlatego powinniśmy nakazać Szeptyckiemu, aby za wszelką cenę nie dopuścił do wysadzenia

mostów w mieście, nawet jeśli wiązałyby się to z koniecznością użycia siły. To Grodno będzie naszą podstawą do wyprowadzenia ofensywy na Wilno.

– Zgoda. Siedemnastego marca wydam mu odpowiedni rozkaz operacyjny. Niemniej trzeba rozpoznać siły sowieckie w Lidzie i Baranowiczach. Bez tego nie ruszymy naprzód. Dobrowolski szacuje siły sowieckie. W pasie naszego przyszłego działania są zgrupowane w dwie dywizje: Litewska i Zachodnia. Przy czym Dywizja Litewska składa się z siedmiu tysięcy bagnetów, stu dwudziestu szabel i dziesięciu dział. A Zachodnia ma sześć tysięcy bagnetów, dwieście pięćdziesiąt szabel i dwanaście dział. No i zgrupowanie sowieckie w rejonie Bobrujska. Ale nie mamy wyboru. Nie możemy czekać, aż bolszewicy podejną pod Wisłę i będą w niej poić konie. Masz już chyba wpracowaną koncepcję strategiczną; tkwisz nad tymi mapami, od kiedy wróciłeś. I szczerze mówiąc, jestem tym mocno zaskoczony. Nigdy nie pałałeś zbytnią miłością do pracy sztabowej. – Piłsudski uśmiechnął się.

– Po prostu zobaczyłem, co nas czeka, jeśli przegramy. Widziałem straszne owoce, jakie rewolucja październikowa już zrodziła – opowiadał wzburzony Wieniawa-Długoszowski. – Cały kraj to w tej chwili jedno morze ognia i krwi. Wszystkie wioski są puste, bo chłopcy są w polu i lasach; chronią się tam, bo łupi ich Armia Czerwona i wszyscy dookoła. Ale Trocki wie, co robi. W armii przynajmniej dostają jeść i mogą brać udział w mordach i grabieżach. Taka sama sytuacja w państwie czeka i nas, jeśli nie dołożymy wszelkich starań, by tak się nie stało. Dlatego potrzebujemy jedności.

– Wiem. Ale to nie jest takie proste. – Piłsudski wstał i zaczął niespokojnie chodzić po pomieszczeniu, ze splecionymi za plecami rękoma. – Sejm jest rozdrobniony. Partie powyrastały jak grzyby po deszczu, a każda z nich dąży do przeprowadzenia swoich

koncepcji programowych, choćby inni stawali okoniem. Tam nie ma rozmowy, tylko wrzaski i warcholstwo. Nie potrafią zgodnie załatwić najprostszych spraw. O uchwaleniu podwyższonych podatków na wojsko nawet wspomnieć trudno. Panom posłom i paniom posłankom⁹ wydaje się chyba, że naszym jedynym celem było odzyskanie niepodległości. I nie chcą przykładać ręki do jej utrzymania.

– Przyjdzie wróg, to ich zjednoczy – zauważył Wieniawa. – Bo i borsuk płacić sobie nie każe, gdy własnego życia i nory broni. Ale pytałeś mnie o moją koncepcję ewentualnej akcji zaczepnej na Wilno. Otóż mam dwie.

Podjął mapę z podłogi i z powrotem rozwinął na stole. Dłuższą chwilę zajęło mu ponowne nanoszenie na nią wszystkich wskaźników. Gdy już się z tym uporał, zaczął wykladać swój plan.

– Akcja taka mogłaby być wprowadzona jedynie z obszaru leżącego między Lidą a Mostami na północnym brzegu Niemna. Tam bowiem znajduje się jedyna linia kolejowa, która umożliwi nam szybką i sprawną koncentrację naszych sił. – Wskazał odpowiednią linię. – Rozważam dwa kierunki natarcia: jeden wychodzący z Lidy, prowadzący wzdłuż linii kolejowej i równoległe biegnącej drogi Lida–Wilno, drugi z osią natarcia skierowaną na północ wzdłuż drogi Raduń–Rudniki.

Wskazywał odpowiednie miejsca, a komendant słuchał uważnie.

– W mojej opinii drugi kierunek daje nam większą swobodę manewru, którą powinny umożliwić nam luki między dywizjami Zachodnią a Litewską. Zaś udane wyjście na tyły którejkolwiek z nich powinno załatwić sprawę. Natomiast podjęcie akcji na pierwszym kierunku wymagałoby wcześniejszego rozbitcia silnego zgrupowania nieprzyjaciela w Lidzie. Przeciwnik mógłby się doskonale bronić w oparciu o miejską zabudowę, a my nie mamy dość ludzi, by podjąć się takowej walki. Zresztą nawet gdyby walki

o Lidę zakończyły się naszym pełnym sukcesem, to nieprzyjaciel mógłby wycofać się z miasta na Wilno, co utrudniłoby lub nawet zupełnie niweczyło opanowanie Wilna. Nie muszę ci mówić, że szlibyśmy w tym samym kierunku. Marsz w styczności z przeciwnikiem pozbawiłby nas atutu zaskoczenia. A ten przy szczupłości naszych sił ma kluczowe znaczenie dla powodzenia całości operacji.

Bolesław chwycił szklanę z wodą, przepłukał gardło i kontynuował:

– Szosą Raduń–Rudniki ruszy zagon kawalerii, którym powinien kierować Belina, przy jednoczesnym natarciu piechoty na Lidę, osłaniającym ruch naszej jazdy. Oczywiście integralną częścią naszej ofensywy będzie związanie walką tych sił sowieckich, które stacjonują na południe od Niemna – tam uderzy ze swoimi grupami generał Listkowki i opanuje linię kolejową Baranowicze–Lida – oraz zajęcie Lumieńca.

Przestał mówić i wstrzymał oddech. Bardzo chciał, by jego zdanie zostało zaakceptowane. Zarys tego planu kosztował go prawie tydzień wytężonej pracy bez wytchnienia. Bardzo chciał, by to jego kawaleria odegrała kluczową rolę w jego realizacji. Wiedział, że będzie musiał przeboleć fakt, iż to nie on pokieruje jej akcją z siodła. Patrzył w oczy komendanta, chcąc wyczytać z nich odpowiedź. Ten jednak patrzył tylko na mapę, a na czole pojawiły mu się fałdy skórne. Wreszcie jednak przetarł włosy i rzekł:

– To albo szaleństwo, albo geniusz. Ale widzę kilka niekonsekwencji i spore ryzyko. Po pierwsze zakładasz, że obydwie dywizje sowieckie będą się beczynn timer przyglądać, jak nasza kawaleria w trzy dni pokona sto kilometrów, kompletnie niezauważona. Po czym z tym samym impetem wpadnie do blisko dwustutysięcznego miasta z licznym garnizonem. Twoi kawalerzyści będą działać bez wsparcia piechoty, bo ta za nimi nie nadąży. I będzie tam najwcześniej po upływie doby od rozpoczęcia

walk przez brygadę kawalerii. Ale przy szczupłości sił to chyba jedyne wyjście. Niemniej sprawa będzie omówiona w szerszym gronie. Przygotowania zakończymy do piątego kwietnia. Czas jest po naszej stronie, lecz potrzeba go na ściągnięcie niektórych jednostek rozlokowanych w głębi kraju. Ale ja o czym innym chciałem teraz z tobą pomówić. Mam nadzieję, że się jeszcze nie rozpakowałeś?

Kolejna wyprawa – pomyślał Wieniawa, ale milczał. Chciał dać komendantowi czas, by powiedział wszystko, z czym przyszedł. Wypraw się nie lękał. Tak naprawdę nic go już tu nie trzymało. Może kiedyś, ale nie dziś.

– Trzeba ponownie podjąć negocjacje z Denikinem. Wiem, co powiesz. I ja pamiętam, że już raz odrzucił naszą ofertę. Ale czasem tak bywa, że co człowiek w dzień zrobi, to w nocy przemyśli i poprzednie postanowienie odmieni. Myślę, że już zrozumiał, że sam się przed bolszewikami nie obroni. Co innego gdybyśmy wzięli ich razem w dwa ognie. Ale wpierv muszą nam dać to, czego oczekujemy. Nie przeleję ani jednej kropli polskiej krwi za cudzą korzyść i obcą sprawę.

Długoszowski zamyślił się przez chwilę. Wodził skupionymi oczami po ścianach i ściągnął brwi. Dotarcie do generała Denikina nie było sprawą łatwą, bo obcemu niebezpiecznie zapuszczać się w kraj wzburzony. Poza tym nie wiedział jeszcze, czy będzie jechał jako oficjalny przedstawiciel państwa polskiego, czy też przyjdzie mu działać samodzielnie. Niemniej nie przejmował się niebezpieczeństwem. Wolał bowiem kontakt z nim niż żmudne ślęczenie nad mapami i planowanie działań operacyjnych, które kto inny miał wprowadzać w życie.

– Negocjacje dobra rzecz – rzekł, bawiąc się wskaźnikiem i celując jego końcem w jedną ze sztabowych chorągiewek. – Ale nie wtedy, gdy się nie ma atutów w ręku. Z czym do niego pojedzie? Toż on tam pewnie przypuszcza, że przestaniemy istnieć za kilka

miesiący i do lata będziemy tylko wspomnieniem. Poza tym dlaczego miałyby zawierać sojusz zaczepno-odporny z nami, jeśli wciąż liczy, że mocarstwa zachodnie wspomogą go czymś więcej aniżeli tylko zachętą do wytrwania i dobrym słowem? Nawiasem mówiąc, jeśli tak myśli, to jest zgubiony. Paryż, zwłaszcza wiosną, jest lepszy od rosyjskich mrozów. Moja rada taka: zajmijmy wpierw Wilno, może jeszcze Mińsk i Bobrujsk, a potem siadajmy do stołu. Ale już z pozycji państwa, które czegoś dokonało i pokazało wszystkim, że nie tylko chce być znaczącym graczem w regionie, ale i naprawdę może nim zostać.

Patrzył w oczy komendanta niepewny, czy nie wyrwał się z nieodpowiednią radą. Zawsze szedł za jego wolą, bez wątpliwości i rozterek. Pamiętał, jak kiedyś posłał go z meldunkiem przez cały front i on przeszedł pod ostrzałem artyleryjskim. Potem komendant wyściskał go przed całym wojskiem. Ale teraz czuł i miał głębokie przekonanie, że mówi to, co mówić należało.

A Piłsudski chodził przez ten czas po pomieszczeniu z rękoma wspartymi na czole i w myślach był pogrążony. Czuł, że w tej chwili być może trzyma w swych rękach nici losu Europy. On uderzy z Denikinem na bolszewików, pobiją ich. I dobrze, bo diabła warci są. Ale wówczas to Denikin zbierze wszystkie laury od Francji i Anglii. Uśmiechnął się gorzko. Nie swoim go opląca, tylko ziemią z prawieków naszą: Wilnem, Lwowem, Białorusią, a może i zgodzą się po cichu, by nas całkiem zadusił jako te kociecia w miocie. Co robić? Zawrzeć umowę z Denikinem, to ten tylko póty jej dotrzyma, póki będzie mu dogodnie. Z pisanego i czytanego nie ma nic dobrego. Z drugiej strony pozwolić ich zdusić, to w dłuższej perspektywie skazać się na samotną walkę z bolszewią. Chyba że Ukraina i Litwa zrozumieją, że tylko w sojuszu z nami mogą się utrzymać i wychowywać swoje dzieci we własnej kulturze.

Ale czy zechcą to pojąć? Kto na Ukrainie byłby w stanie nie tylko pojąć jego myśl, ale i wesprzeć go w jej urzeczywistnieniu?

Symon Petlura? We własnym narodzie nie ma oparcia. Bity i przez Białych, i przez Czerwonych nie utrzyma się na Ukrainie. Co już zresztą widać. Musi zginąć, bo kto pozwoli sobie, by mu pod bokiem zainstalowano marionetkowy rząd? Oddał Charków. Bije się z nami o Lwów. Siedzi między naszymi a bolszewickimi liniami jak jeżowiec w jamie. A Litwa? Jeśli zajmiemy Wilno, to będziemy musieli im je przekazać, by w ogóle było o czym rozmawiać. A tam przecież ma być grób matki.

Wreszcie jednak podjął postanowienie, bo odwrócił się ku Weniawie. Ten dostrzegł u wodza widoczne ślady zmęczenia i walki myśli, które były aż nadto widoczne. Zwłaszcza dla niego, ponieważ znał go od lat i przebywał blisko jego osoby.

– Masz rację. To mnie szatan kusi, pychę na pokuszenie zsyłając. Wpierw dokonajmy, cośmy zamierzyli. A potem układajmy szerokie dyplomatyczne intrygi. No, grunt, że od zachodu mamy nieco więcej wytchnienia. Ale i tam nie jest skończone jeszcze. Na Śląsku wrze. Ale dość o tym. Wracaj do domu, ogól się, bo Adonisa nie przypominasz.

– Więc mam nie jechać?

– Nie. Jeszcze nie czas. Poza tym twojej rady potrzebuję. Muszę podkreślić związki Wielkopolski z Polską, ale tak, by nie rozdrażniać Niemców. Wielkopolska jest jeszcze oficjalnie częścią cesarstwa i póki obradujący na paryskiej konferencji nie dostrzegą faktycznego stanu rzeczy, to tak pozostanie. Musimy jednak wykonać ruch, gest, który w sposób wyraźny, ale jednocześnie niezbyt nachalny podkreśli związki tej ziemi z Polską.

Wieniawa myślał intensywnie. Rzecz tyczyła się politycznych rozgrywek, w których drobne gesty znaczą czasem więcej niż słowa. Ale myśli nie miał swobodnej. Zaprzętała je bowiem znowu Stefania Callas. Bystry jego umysł przemógł i to osłabienie, a w jego głowie narodziła się myśl, którą natychmiast podzielił się ze swoim komendantem.

– Byłby na to sposób. Słyszałem, że nam marszałek sejmu słabuje.

– Skąd ten pomysł? Cieszy się dobrym zdrowiem – zdziwił się Piłsudski. – Kto ci takich bzdur naopowiadał?

– Ale może chorować. Choroba nie wybiera i każdemu doskwiera.

W oczach naczelnika państwa pojawił się błysk zrozumienia. Poklepał Wieniawę po plecach i spojrzał nań z nieskrywanym zdumieniem, ale i z podziwem. Niby wiedział, że ten psotnik ma niebywały wprost instynkt polityczny, ale nigdy nie przestawało go zadziwiać, z jaką łatwością rozwiązywał pozornie najbardziej skomplikowane problemy. Ot i teraz. Kto inny rok by myślał i by nie wymyślił. A on brwi zmarszczył, poskrobał się po głowie i natychmiast znalazł rozwiązanie. Gdyby jeszcze był statecznym człowiekiem – westchnął i pomyślał sobie, że w życiu nie można mieć przecież wszystkiego.

– Rada jest dobra. Jeszcze dziś ściągnę do Belwederu przedstawicieli wszystkich partii politycznych, by uzgodnić z nimi tę sprawę i treść komunikatu dla jutrzejszych dzienników porannych. Myślę, że przynajmniej w tym względzie uda mi się uzyskać jednolite stanowisko wszystkich sejmowych ugrupowań. A ty idź i wypoczywaj, bo z nóg lecisz.

Bolesław uśmiechnął się.

– Gdzież mi tam o wypoczynku myśleć, kiedy i wiek, i czas najlepszy do picia. – Wskazał na okno, za którym zapadł już zmrok zupełny. – A ja żony już nie mam ani nikogo innego, kto by na mnie czekał, to pić mogę do białego rana.

Wyszedł, zanim Piłsudski zdążył go zbesztać. Jednak wbrew własnym słowom nie skierował się do jednej z knajp, gdzie znali go wszyscy – od barmana po ostatniego z kelnerów. Niemal zaraz po wyjściu z siedziby inspektoratu złapał dorożkę, którą powoził

grubszawy jegomość, i wdrapawszy się na tył, rozparł się wygodnie i zadysponował:

– Hoża 25.

Dorożkarz odwrócił się ku niemu, ukazując swą pucołowatą twarz i kartoflowaty nos.

– Dawniej to się jeździło od knajpy do knajpy – zauważył burkliwym głosem.

Nie znał Wieniawy, ale z doświadczenia wiedział, iż ludzie, którzy jeździli w pijackim letargu, płacili zwykle takie kwoty, jakie się dorożkarzom bekło, bo zwykle po kilku knajpach nie mieli już najmniejszego kontaktu z rzeczywistością. Takiego to i przeszukać było można, z obawy, by się grosz w kieszeni nie zapocił – pomyślał. A tak koniska się wymęczą, a zysk będzie marny, bo trzeba będzie z centrum wyjechać. Ale nie mając wyboru, zaciął konia i jechał zły niczym chmura gradowa. Wyjazd do Śródmieścia nie był rzeczą prostą.

Warszawa oddychała nocnym powietrzem. Na świat wyszli ci z jej mieszkańców, którzy we dnie odsypiali nocne pijatyki. Teraz zaś pędzili dorożkami, popędzając niewybrednym słowem woźniców lub nawet sami przechwytyjąc lejce. Wielu z nich Wieniawa poznawał, gdyż często spędzał noce w ich towarzystwie, czy to dla własnej rozrywki, czy dla załatwienia spraw politycznych, gdyż wielu z tych ludzi mogło się poszczycić niebagatelnymi wpływami w różnych gremiach stolicy. Byli między nimi aktorzy, politycy, przedstawiciele władz miejskich i wielkiego przemysłu. Część z nich należała do tak zwanej złotej młodzieży, która opływa w zbytki, zapewnione dzięki dostatкови rodziców.

Teraz jednak dziękował Bogu za ciemności, gdyż nie chciał marnować czasu na rozmowy, których by nie uniknął, gdyby został rozpoznany. Wówczas bowiem musiałby albo dołączyć do libacji, albo ciężko znieważyć przyjaciół. Bo wiedział z doświadczenia, że

nie wymigałby się od co najmniej dziesięciu kieliszków. A nie było mu to teraz na rękę, gdyż się śpieszył. W miarę oddalania się od siedziby inspektoratu oddychał coraz swobodniej, gdyż napotykał coraz mniej przygodnych znajomych. Za to serce biło mu coraz bardziej niespokojnie.

Nie zastanawiał się, jak się do niej dostanie. Bardziej martwił się tym, jak Stefania go przyjmie. Dlatego układał sobie mowę, by jej serce poruszyć. I choć piórem posługiwał się nie gorzej niż szablą, to nie szło mu to składnie. Myśli miał bowiem zbyt rozproszone. Zajmowała je jej twarz: długie, ciemne włosy, oczy, usta – i nie mógł się skupić. Nie zwracał nawet uwagi na paplaninę dorożkarza, który próbował zagaic rozmowę. Ale nie doczekawszy się odpowiedzi raz i drugi, zaprzestał podobnych prób. Pomyślał najwidoczniej, że jego klient to mruk nieużyty, na którego humory szkoda czasu tracić.

Skupił się więc na prowadzeniu pojazdu. Dorożka mknęła Mokotowską, by na skrzyżowaniu wjechać w Hożą. Ulica ta miała swoisty, kameralny charakter. Niedługo znajdowały się tu piękne domki z ogródkami, od których wzięła swoją nazwę. Dopiero tuż przed Wielką Wojną została rozbudowana i zaczęła zmieniać swój charakter. Jednak nadal przeważały tu zwykłe domki. Nie inny też znajdował się pod numerem dwudziestym piątym.

Był to zwykły budynek, pomalowany na biało, z czerwonym spadzistym dachem i zielonymi okiennicami. Przy jednym z okien znajdował się balkonik. Do niego właśnie przytwierdzono kratę, po której wił się rozłożysty bluszcz. Okiennica była uchylona.

Bolesław wyskoczył z dorożki.

– Niech pan zdejmie czapkę – poprosił.

Dorożkarz odruchowo wykonał rozkaz, jakby sparaliżowany wolą i głosem tego dziwnego człowieka, który zachowywał się jak wielki pan, a chodził z co najmniej kilkutygodniowym zarostem. Wieniawa zaś sięgnął do kieszeni i wyjął z nich dwa dobrze

wybrzuszony woreczki; rozsypał je i wysypał ich zawartość do czapki zdumionego dorożkarza.

– Żebyś nie był stratny – rzekł, widząc jego zdumioną minę. – Idę do żony, więc rozdaję pieniądze, bo martwym one niepotrzebne.

Potem zostawił go z rozdziawionymi ustami i prostym naskokiem przesadził murek, po czym przeszedł przez rabatowe kwiaty i grządki z warzywami.

Znalazł się tuż przed bluszczem. Bez chwili namysłu chwycił się go i zaczął się wspinać. Jego mocne, szerokie ramiona pracowały płynnie, a on podciągał się coraz wyżej i wyżej. I wtedy nagle coś z potwornym piskiem spadło na niego z góry i wczepiło się pazurami we włosy. Był to ogromny czarny kocur, który w tak widowiskowy sposób postanowił opuścić pokój swej pani.

Długoszowski zawył z bólu. Odruchowo jedną ręką puścił się bluszczu i zawisł na nim na jednym ramieniu. Na szczęście niepospolita jego siła pozwoliła mu się na nim utrzymać. Wolną ręką sięgnął do swojej głowy i chwycił kocura za grzbiet. Oderwał go od włosów i rzucił nim w dół.

Tobie, Sokrates, wszystko jedno, bo i tak spadasz na cztery łapy. Wiem, że chciałeś zastąpić swoją panią i wydrapać mi oczy. Ale to jej przywilej – pomyślał i się uśmiechnął. Kilkoma ruchami ramion pokonał pozostały dystans i chwycił się barierki. Podciągnął się i przeszedł przez nią.

Wszedł przez otwartą okiennicę i znalazł się w sypialni Stefani. Znał to pomieszczenie z miękkim dywanem, dużą szafą gdańską z brązowego drewna, pastelowymi obiciami na ścianach. Na nich wisiały zdjęcia przedstawiające różne lata życia Stefani i jej sukcesy zawodowe. Przy łóżku stał stolicek nocny. Na nim zwykle znajdowały się francuskie romanse, które Stefania uwielbiała czytać w oryginale. Znajdując się w sypialni, nie czytała ich tylko

wtedy, gdy on był z nią. Kocim krokiem zbliżył się do łóżka. I aż westchnął.

Stefania leżała bowiem nago, z burzą czarnych włosów rozsypanych na poduszce. Mógł ją podziwiać w pełnej krasie. Łabędkami szyję, długie smukłe nogi, płaski brzuch i krągłe piersi, zakończone ciemnymi sutkami. Obserwował, jak jej brzuszek unosi się delikatnie, a z kusząco rozchylnych ust unosi się smużka powietrza. Jej bliskość sprawiała mu fizyczny ból. Oddech przyspieszał, krew szybciej krążyła w żyłach, gdy na twarz wybił mu ciemny rumieniec, a oczy rozbłysły z żądz. Już wyciągał rękę, by jej dotknąć, lecz się pohamował i cofnął dłoń.

Nie miał prawa. To nie była już jego żona. Przyszedł tu, by spalić mosty, a nie zaciągać nowe zobowiązania. Gdyby ona go chciała, to co innego. Ale zdawał sobie sprawę, że zbyt wiele łez wylała z jego powodu. A wiedział z doświadczenia, że kobieta łatwiej przebacza przelaną krew niż wylane przez kogoś łzy. A ona przez niego płakała. I cóż z tego, że niesłusznie, jeśli on jej tych łez nie zwróci i nie odda. Nagle porwała go złość na samego siebie.

A dobrze ci tak – myślał. Patrz, coś stracił! Ty głupcze! Po co ci było trzymać wianuszek kobiet wokół siebie? Cóż ona miała pomyśleć? A cóż pomyślałbym ja sam, gdyby to ją kokietowali oficerowie? Na samą myśl zacisnął dłoń na główicy szabli. Ale przypomniał sobie, że ona zaraz wolna będzie i będzie mogła robić, co zechce.

Stefania musiała wyczuć, że ktoś się jej przygląda, bo nagle uniosła powieki i spojrzała w oczy Bolesława. Błyskawicą podciągnęła kołdrę pod brodę, okrywając się nią szczelnie. Zbladła, ale nie krzyczała, bo głos uwiązał jej w gardle i ruszyć się nie mogła. Patrzyła tylko w otoczoną ciemną brodą twarz Wieniawy; wydała jej się wychudzona, blada i matowa. Jakby jej właściciel wracał z dalekiej podróży. Pewnie wraca z jakiejś pijatyki albo z łóżka jakiejś ladacznicy. I ubodło to jej miłość własną. Bo kochała go

niegdyś szczerze. A nawet i teraz nie mogła patrzeć na niego tylko z niechęcią i obojętnością. Starala się jednak, by w jej głosie to uczucie się nie ujawniło.

– Cóż to? Zaoszczędziłeś trochę sił i dla mnie? Żona powinna mieć chyba pierwszeństwo przed obcymi kobietami. A może źle cię oceniam? Może tylko za dużo wypileś i pomyliłeś drzwi? – kpiła z niego w żywe oczy.

Uniósł ręce w obronnym geście.

– To prawda. Byłem w podróży. Lecz tam, gdzie byłem, nie częstowali mnie gorzałką. Proszę cię, daruj sobie kpiny. Wypowiem swoje i nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Znasz mnie i wiesz, że jestem dumnym człowiekiem i pokora niełatwo mi przychodzi. Odkąd pamiętam, zawsze podobały mi się kobiety, a nie chwając się, i ja im. Zepsuły mnie i rozwydrzyły. Nie zrzucam na nie winy. Byłem szalony, bo dusza kipiała we mnie. I kipi do dziś. Tylko że dziś mam cel. Wtedy zaś marnowałem siły w rozpuście i rozpustach. Wieszali się przy mnie przeróżni birbanci, których chronilem, żywiłem i upijałem za swoje. Nikt nie umiał mnie okiełznać. Ojciec próbował, aż umarł ze zgrzytot. Ale przynajmniej zdołał zmusić mnie do zakończenia studiów z dyplomem lekarskim. Nie byłem gotowy na ożenek z tobą, gdy braliśmy ślub. I za to cię przeproszam na kolanach. – Wyznał szczerze i ukląkł.

Patrzyła na to ze zdumieniem. Znała dumę Wieniawy i wiedziała, że nie klękał nigdy przed nikim. I wiedziała też, że istotnie pokora niełatwo mu przychodzi. W ogóle zaskoczył ją swoim postępowaniem. Pierwszy raz mówił o sobie tak szczerze. Nie osłaniał się niczym. Po prostu odbywał przed nią spowiedź generalną. A ona czuła, że serce biło jej szybciej, niż powinno. Bała się, że on to dostrzeże i pozna, że nie całkiem jeszcze wyrzuciła go z serca. Dlatego odwróciła się twarzą do ściany.

– Ja do ciebie urazy nie chowam, tylko ból mam w sercu, który wypędzić trudno. Ale i to z czasem minie. I nawet trudno by mi

było mieć do ciebie żal, bo wiedziałam dobrze, jaki masz charakter. Ale łudziłam się, że cię odmienić zdołam. No, moja wina. Niech cię Bóg prowadzi.

Nie usłyszała, jak wstał, i domyśliła się, że wciąż klęczy. Z trudem zwalczyła w sobie pokusę, by się nie obrócić i nie dotknąć go. Ale wiedziała, że jeżeli raz go dotknie, to dotykać nie przestanie. Nawet zaniedbany wygląd nie odebrał mu tego czaru, który sprawiał, że była gotowa na każdy rodzaj poświęcenia, byle tylko on został przy niej. Ale nie mogła przecież pozwolić robić z siebie pośmiewiska całego miasta. Dobrze pamiętała, jak raniły ją te wszystkie wymieniane za jej plecami uśmiešky i dwuznaczne spojrzenia. Na samą myśl, że on dotykał innej, szeptał jej czułe słówka, popadała niemal w obłąd. A mimo wszystko nie chciała, nie mogła do końca wyrzucić z siebie uczucia do niego. Bo było jak płomień, który wygasł, ale iskry tliły się wciąż pod warstwą popiołu.

– Wiem, o co mnie podejrzewasz. Ale przysięgam ci na Boga, który światem rządzi, że to wszystko tylko plotki. Prawda, obracałem się między pięknymi kobietami, a między nimi były i takie, które przylepiały się do mnie i dawały okazję. Ale ja nigdy nie skorzystałem. Bo raz, że nie chciałem, a dwa, że nie miałem czasu... Przysięga to dla mnie rzecz święta. Nawet słowo dane psu święte jest, a cóż dopiero dane tobie i Bogu! I on słyszał i wie, że dochowałem ci wiary. Dlaczego mi nie wierzyłaś? Dlaczego za każdym razem w twoich oczach widziałem tylko zwątpienie i lęk? Naprawdę sądziłaś mnie wedle tego, co mówią o mnie w maglu i piszą w gazetach? Ty, która poznałaś mnie lepiej niż ktokolwiek inny? Zmieniłaś mnie. Dokonałaś tego. Ja, który nikogo prócz komendanta nie słucham, twoje słowo biorę za prawo.

Słuchała, tłumiąc w sobie wzruszenie. Bała się, że jeszcze chwila i zapomni o tym, co sobie przyrzekła. Po prostu rzuci się na niego i na śmierć zacałuje. Dlatego odparowała ze złością:

– To czemu włóczyłeś się po knajpach i piłeś na umór? Czemu ciągle słyszałam, że bywasz u tych ladacznic, których imion i nazwisk nawet nie wymienię? Że też pioruny niebieskie nie wybiją tych wywłok! I nie udawaj, że z miłości do mnie nie pieprzyłeś się z nimi. Ja jestem może i głupia, ale nie aż tak.

– O tak. Jesteś głupia. Bo się nie poznałaś na fortelu. Chciałem wzbudzić w tobie zazdrość. Chciałem, byś oddała mi się naprawdę. Bez strachu w oczach. Czego się bałaś? Przecież mnie znasz i wiesz, że uczucia udawać nie umiem. Czyś nie widziała w mych oczach miłości? Kochałem cię jak głupi. Głowę traciłem, bo nigdy mi się to nie trafiło. A ty mnie nie kochałaś. Ty jedna. Mogłem mieć, którą chciałem, a tylko ciebie los mi odebrał. I nawet nie wiem, czym ci uchybiłem. Bo nie wiem. Co miałem robić? Chciałem zapomnieć. Szalałem... W końcu umyśliłem sobie wzbudzić w tobie zazdrość. Och, głupi, och, głupi!

Usłyszała, jak wstrząsnął nim szloch. Płacze – pomyślała. I myśl ta wydała jej się niedorzeczna. Ale nie mogła się nie obrócić. Dostrzegła jego umęczoną bólem, zalaną łzami twarz. I sama nie wiedząc, co robi, odrzuciła kołdrę i przytuliła tę twarz, którą zrosiły łzy. Chwilo, trwaj! – pomyślała, tuląc go i czując jego ciepło oraz szorstki, kłujący zarost.

– Ja ciebie nie kochałam? Wiesz, czego się bałam? Bałam się, że zabawisz się moim kosztem i mnie opuścisz. Ale warto było. Staralam się w tobie nie zatracić, by później mniej bolało. Tego się bałam. Dlatego starałam się trzymać od ciebie na dystans. Ale kochałam cię. I chyba nadal trochę kocham. Myślisz, że dlaczego szalałam? Chciałam cię mieć tylko dla siebie. Gdy myślałam, że każda może mieć to, co powinno być tylko moje, wówczas gryzłam wargi do krwi. Ale nie ma dla nas już szczęścia. Teraz, gdy wiem, że mnie naprawdę kochałeś i byłeś mi wierny, mam prawdziwą satysfakcję. Gdy pomyślę sobie, ile tych kobiet wiło się przed tobą

i odeszło z kwitkiem. Zwalniam cię ze słowa. A z miłości się uleczysz.

Poderwał się i chwycił ją za ręce, aż ją dreszcze przeszły. Pochylił głowę, celując w jej usta, rozchylone w geście zaproszenia. Jej ciało walczyło z umysłem. Patrzyło teraz tylko na własne potrzeby i pragnienia. A w tej chwili ponad wszelką wątpliwość potrzebowało jego. Czula to. Jej ciało ją zdradzało, dziwny ucisk w podbrzuszu i przyśpieszony oddech były tego wyraźnym dowodem. Ale on się cofnął. Starła się nie pokazać po sobie rozczarowania, ale iskry w jej oczach zgasły. Odsunęła się na odległość ramienia. Widziała, jak jego oczy badają każdy centymetr jej ciała i schodzą w dół. Odruchowo złączyła kolana najmocniej, jak mogła, nie chciała, by dostrzegł, jak bardzo pragnie go w tej chwili.

Opanuj się – szeptał umysł. Między wami wszystko się skończyło.

Jest twoim mężem – szeptało ciało. Masz jeszcze prawo...

– Do czego?

Zakryła usta i pokryła się pąsem, gdy zorientowała się, że powiedziała to na głos.

– Wiem – rzekł Wieniawa. – Twoja nagość działa na mnie tak samo. Sprawia mi wręcz fizyczny ból. A jeden mój znajomy twierdzi, że z moimi oczami mogę usidlić każdą. Ale to minęło. Wiem, że oboje nas trawi żal. Ale myślę, że z czasem będziemy mogli rozmawiać ze sobą spokojnie, bez wyładowań elektrycznych między nami. Ja w każdym razie ofiarowuję ci dozgonną przyjaźń i liczę na wzajemność. Zastanawiałem się, w jaki sposób mogę dać ci rozwód.

– O co ci chodzi? – spytała, nie rozumiejąc.

– Nie wiem – rzekł z bolesnym uśmiechem. – Czyżbym był pierwszym mężczyzną, który proponuje żonie rozwód, gdy ta stoi przed nim nago? Wszyscy chyba uznaliby mnie za szaleńca, gdyby

mogli cię teraz zobaczyć. Ale trudno. Jak wiesz, nasze prawo nie przewiduje rozwodów. Spadek po zaborcach. Zrobimy z tym porządek. Ale zanim to się stanie, zostaniesz wdową konsystarżową¹⁰, to zapewni ci prawo do ponownego ślubu. Tym razem z właściwym człowiekiem u boku.

Ten właściwy człowiek stoi przede mną – pomyślała. Ale za dużo obustronnego bólu jest między nami, by z tej mąki powstał jeszcze chleb. On ma rację. Przyjaźń to wszystko, co możemy sobie jeszcze dać. A nasze pragnienia powinniśmy zepchnąć w głąb umysłu i przywalić ogromnym głazem.

– Dobrze – zgodziła się. – Ale musiałbyś przyrzec przed specjalnym trybunałem, że nie skonsumowaliśmy związku. Bo nie pozwolę ci ogłosić, że jestem bezpłodna. Bo choć to nie będzie prawda, to hańba i wstyd pozostanie przy nazwisku. – Zadrzała jak osika.

Brała go ochota, by podbiec do niej, utulić ją. Ale tego nie zrobił, bo dostatecznie sobie nie ufał.

– Nigdy taka myśl w głowie mojej nie powstała – zaprzeczył żywo. – Niech mnie piorun strzeli, jeśli choć przez jedną chwilę o tym pomyślałem. Nigdy nie okryłbym cię wstydem przed ludźmi. Już dość się przeze mnie nacierpiałaś. O reputację kobiety trzeba dbać i nie wolno jej znieważyć. Prędzej sam ogłosiłbym, że jestem impotentem. Miałbym przynajmniej trochę spokoju. – Uśmiechnął się. – Ale to łatwo sprawdzić. A brak skonsumowania przejdzie. Będziesz wolna. Dam ci tyle pieniędzy, ile zechcesz. Wystarczy, by rozpocząć nowe życie.

– Przebaczenia nie kupuje się – stwierdziła. – A co do zniewagi? Dalibóg nie wiem, co gorsze: zostać ogłoszoną bezpłodną czy tą, której nie chciał nawet Wieniawa.

– Daj spokój – mruknął speszony. – Wiesz przecież, że w tej legendzie nie ma ani słowa prawdy.

– Ale ludzie w nią wierzą.

– Ludzie uwierzą we wszystko, byle to coś złego o kimś było.

To rzekłszy, przyskoczył do niej i nim miała czas zareagować, pocałował ją.

Zanim ochłonęła, już go nie było. Wyskoczyła na balkon i zdążyła jeszcze dostrzec, jak zgrabnie ląduje na ziemi. Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął jej z oczu.

7 Treść listu całkowicie zmyślona przez autora.

8 Autentyczne odznaczenie z czasów powstania kościuszkowskiego, które Tadeusz Kościuszko przyznawał osobiście.

9 W wyborach do Sejmu Ustawodawczego, których setną rocznicę niedawno obchodziliśmy, posłankami wybrano siedem pań: Gabriellę Balicką, Jadwigę Dziubińską, Irenę Kosmowską, Marię Moczydłowską, Zofię Moraczewską, Zofię Sokolnicką i Franciszkę Wilczkowiakową. W 1920 r. w wyborach uzupełniających mandat uzyskała Anna Anastazja Piasecka. W kolejnych Sejmach II RP mandaty poselskie uzyskało dwadzieścia siedem pań: w I kadencji dziewięć, w II kadencji – osiem, w III kadencji – siedem, w IV i V odpowiednio dwie i jedna. Takie dane opublikował na swoich stronach sejm RP w ramach obchodów stulecia niepodległości.

10 Tak określano w Polsce kobiety, które uzyskały stwierdzenie nieważności ślubu kościelnego, zanim wprowadzono rozwody państwowe.

Rozdział XIII

Z dala od spraw wielkiego świata Tomasz Grobel układał sobie życie. Sprawę ze szwagrem udało mu się pomyślnie załatwić, bo ten okazał się człowiekiem rozsądnym i nie robił mu większych trudności. Doszli do porozumienia. Wojciech miał u niego siedzieć dopóty, dopóki się za nową gospodarką i miejscem na ziemi nie rozpatrzy. Nie wiadomo było, ile mu to zajmie czasu, bo niełatwo było o wolne grunta. Ale Tomasz cieszył się, że udało mu się bezkonfliktowo sprawę załatwić i zaczął o ożenku myśleć poważnie.

Lecz najpierw postanowił przyłożyć się do gospodarki, aby nowej gospodyni chleba na niej nie zabrakło. Zabrał się więc z ochotą za wiosenne prace polowe. I z radością chodził za pługiem, wyładowując swe siły na zagonach. Z rozkoszą patrzył na lemiesz pługa, które rozorywały bruzdy. Z góry cieszył się na siew dobry, bo i pogoda zdawała się sprzyjać jego zamierzeniom. Wiosna była mokra, deszcze padały w przepisowym czasie i niebezpieczeństwo suszy nie było zbyt wielkie. Wszystko układało mu się więc pomyślnie i szło nad podziw gładko.

Uradowany i natchniony powodzeniem postanowił zająć się wreszcie wyszukaniem sobie żony. Ciotka, do której jeździł często, podsuwała mu różne okoliczne panny, z których pewnie niejedna poszłaby za niego, bo był teraz gospodarzem, co się zowie. Lecz jemu Weronika zapadła w pamięć i w serce. Nie śmiał jednak posyłać do niej z wódką. Zbyt dobrze pamiętał to, co zdarzyło się

między nimi nad wodą, gdy nieznacznie napomknął o zaręczynach. Wiedział, że zrozumiała, ale nie rzekła swojego słowa. On przecież wiedział, że jej ojciec nie dałby wówczas córki za hołysza. Głupi nie był. Wiedział też, że panny muszą iść za wolą rodzin, choćby nie chciały. Miał tylko kłopot z tym, że ona tego słowa nie rzekła.

Chodził więc jak struty, bijąc się z myślami. Przecież nie wypadało mu napraszać się z wódką. Pewnie teraz ojciec by ją dał, bo stać Tomasza było, żeby ją kupić. Ale przecież to młódka była, nie do jego lat. Mógł ją kupić, ale nie utrzymać. A nie chciał stać się pośmiewiskiem całej wsi jako ten, co własnej baby utrzymać nie umiał. Musiałby ją kijem do posłuszeństwa przyuczać, a tego żadną miarą robić nie chciał. Bo gdzie nie ma woli, tam nie ma i doli.

A jednak nie potrafił wyrzucić jej z serca. Miotał się ciągiem przez kilka dni i nocy, aż w końcu jednak postanowił posłać do niej swatów.

Lecz tu nowy problem przed nim stanął: kogo wysłać? Toż wypadało posłać jakichś krewniaków, bo byle kogo z taką sprawą posyłać nie wolno było, by go za jakiego niezgułę nie wzięto. Lecz tu znów skrobał się po głowie. Bo miał to kogo bliskiego? Do głowy przyszedł mu mąż ciotki. Ale był z innej wsi, a przy tym była to dość odległa rodzina. We wsi nie miał nikogo bliskiego, bo z nikim nie trzymał, na robocie dni i noce spędzając. Bo to zawsze miał coś do zrobienia; czy to w polu, czy w obejściu. Nawet do karczmy nie zachodził, bo na nadmiar gotowego grosza nie cierpiał, a Żyd, który karczmę trzymał, na borg dawać nie chciał. Więc i nie dziwota, że znajomych nie miał, bo to właśnie karczma stanowiła główne miejsce spotkań, gdzie radzono, pito i bawiono się.

Zmarniał od tego myślenia tak, że aż szwagier zwrócił się do niego, gdy razem przy stole nad kolacją siedzieli.

Chłop to był średniego wzrostu i średniej tuszy. Twarz miał czerwona, suchą, a w niej oczy siwe, bystre, a chytrze na ludzi

patrzące. Nos miał mały, nieco zakrzewiony. Nosił proste wiejskie ubranie: koszulę lnianą i także porcięta, które paskiem do pasa przytwierdzał.

Gdyby Tomasz był bystrzejszym człowiekiem, odnalazłby w tym wzroku dobrze skrywaną nienawiść do siebie. Bo też jego przybycie było Wojciechowi mocno nie na rękę. Gdy mu żona zmarła, dalej gospodarzył jak na swoim. Wiedział wprawdzie, że Tomasz był tam hen na świecie, ale pierwiej końca świata by się spodziewał niż tego, że on kiedykolwiek z wojny powróci. I gdy tak się stało, sam nie wiedział, co ze sobą robić. Gospodarstwo Tomaszowi musiał oddać, bo tak stanowiło prawo własności.

Ale jakże to iść mu teraz w świat, gdy tu panem nad sobą być nawykł i pod własną strzechą głowę kłaść? A na wyrobku u kogo to ani nie uszanują, ani nie zapłacą. Wiedział przecież, jak i sam parobków traktował. Ale mógł to inaczej? Nie pilnuj ich, to ci gospodarkę rozkradną i ani się obejrzyysz, jak ci tylko torba i kij z gospodarki zostanie. A teraz i jemu przyjdzie takiego chleba zakosztować. Gdy o tym myślał, włosy stawały mu dęba na głowie.

Spojrzał bystro w twarz Tomasza. Jako człowiek chytry poznał z łatwością, że dzieje się z nim coś dziwnego. Najwidoczniej planował i ważył coś w sobie. Warto by wiedzieć co – pomyślał. Choćby dlatego, by samemu wiedzieć, co ze sobą począć. A i Kachnie trzeba będzie przekazać. Idąc za tą myślą, pogładził się po rudym wąsie, w którym pojawiły się już srebrne nitki, i rzekł:

– Jadło ci nie smakuje? Jak ta świnia w korycie w kaszy przebierasz. Moja Kachna i skwarków ci nieskąpo włożyła. Wdzięczni ci oboje jesteśmy, że możemy tu zostać, boć po prawdzie to wszystko teraz twoje. Długo nie będziemy gościny nadużywać. Ale myślę, że i mnie na mojej gospodarce odwiedzisz.

Tomasz uniósł oczy. Przyjrzał się Wojciechowi. Gdzie lepszego znaleźć? Toż prawie rodzina. Niech on pójdzie, wywie się, w czym rzecz.

– A może i nie sam przyjadę – odparł Tomasz wesoło. – Za gospodynią się rozglądam, co by w te kąty trochę ciepła wprowadziła. Ale się wagiuję, kogo posłać, bo byle kogo ślać nie wypada, a żadnych krewnych ani przyjaciół nie mam. Chyba że ty byś zechciał...

Wojciech opanował gniew, który nim targnął, tak że Tomasz ani się spostrzegł. Zdawał sobie sprawę, że z przyjściem nowej gospodyni rozdwojenie skończyć się musi. Lecz, jako się rzekło, niczego po sobie nie pokazał, a na twarz przywołał tak dobrze symulowaną wesołość, że największego znawcę dusz ludzkich omylić by mogła, a cóż dopiero Tomasza, który żadnych uzdolnień w tej materii nie posiadał.

– A któraż to ci się udała?

Tomasz zawahał się przez chwilę. Bał się bowiem, że go Wojciech wykpi i wyśmieje, gdy się dowie, że młódkę brać myśli. Ale rozumiał, że jest już za późno, by się cofnąć.

– A, Weronika – odparł, rumieniąc się. – Wiem, że młoda jeszcze. Ale tak mi się udała, jak żadna inna. Tylko nie mam kogo do niej posłać, by się dowiedział, czy ona mnie zechce. A tam trzeba koniecznie swojego posłać; myślałem, że może ty.

Chce, bym do własnej zguby rękę przyłożył – pomyślał Wojciech. Lecz żaden ślad owych myśli nie odbił mu się na twarzy. Sam jeszcze nie wiedział, co mu robić wypadnie. Kachna co dzień nastawała na niego, by co przedsięwziął, żeby ich pomyślność ratować. Co wieczór, gdy tylko zostawali sami w komorze, sączyła mu jad do ucha, lecz on nie wiedział, co ma robić.

– I dobrze myślałeś – rzekł z trudem. – Zrobię to dla ciebie, choćby po to, byś nie myślał, że mam w tym interes, byś się nie ożenił. Ja na swoje idę. Jeden chłop z Woli gospodarkę sprzedaje, bo za morza jedzie. Mam coś swego odłożone, to na zakup starczy, a i wiano jest.

Tomasz rozradował się w sercu, że sprawy tak pomyślny przybierają obrót. I nawet czuł się dziwnie winnym, że oddala tego, jak sądził, przyjaznego człowieka. Dlatego rzekł:

– Jako ci grosza brakuje, to pomogę. I twojej to robocie zawdzięczam, że mam na co wracać po latach tułaczki. Wiem, że ci nieskoro zostawiać to, do czego serce przylgnęło. I tym bardziej się cieszę, żeśmy do ładu doszli. Ale zapłata za twój pot, który tu wsiąkł, też ci się należy. Zbraknie ci co grosza, to pożyczę. Nie mam wprawdzie gotowizny, ale jest co sprzedać z inwentarza, to z tego pieniędzy będzie. – Wyciągnął rękę, którą Wojciech przyjął.

Ale jakoś nieswojo się mu zrobiło. Bo oto on, podjudzany przez żonę, dniem i nocą rozmyślał tylko nad tym, jak wydrzeć z rąk jego majątek, a tamten z dobrej woli się z nim dzielił. Odwrócił nieco twarz. Zaczął się zastanawiać, czyby jeszcze naprawdę gdzie szczęścia nie poszukać. Bo może lepiej choćby co pustego wziąć i własną pracą karczować, niż ważyć się na wielkie rzeczy. Ale co żona powie? Zgodzi się pójść z nim na trud i poniewierkę, z brzuchem pod gardłem? Gdyby był sam, to poszedłby, gdzie oczy poniosą. Choćby do miasta, gdzie w fabrykach robotę dają. Ale z babą?

Przywiązała mnie niby tego psa – pomyślał ze złością.

Zły i chmurny przeszedł do komory, którą razem zajmowali. Wszedłszy, zastał ją siedzącą na kufrze z obleczeniem. W zielonych oczach widział te same zawiść, złość i gniew, które nie ustępowały z nich, odkąd Tomasz powrócił. Ledwie wszedł, obróciła się do niego i bez słowa nakazała, by się przybliżył. Przysiadł się do niej tak, że niemal dotykali się nosami. I spiskowali.

– I co robić zamierzasz? – pytała, jak zawsze od kilku tygodni, stłumionym głosem.

Odwrócił twarz, ale ona chwyciła go pazurami i zmusiła, by na nią spojrział. Patrzył w te oczy i nie poznawał ich, takie były złe.

A i twarz, która także wcześniej nie była zbyt ładna, teraz szpecił grymas nienawiści.

– Pytałam, co zamierzasz – powtórzyła. – Ja za parobka nie wychodziłam, tylko za gospodarza. Nie będę żyła jak ten ptak, co to bierze, co z rąk ludzkich spadnie. Chcesz za parobka u niego być, to wolna droga.

Wojciech spuścił ramiona.

– Czego ty chcesz, kobieto? Wypowiedz się raz jasno i nie sącz mi jadu do uszu. Wiem ci ja, żeś nie za mnie, tylko za ziemię wyszła.

– Chcę być tym, czym byłam. Gospodynią.

Roześmiał się cicho.

– A to wyjdź za gospodarza jakiego, bo chyba jedyny to sposób. Tylko tyś nie krowa, by z cielęciem dobrze za ciebie zapłacił.

Splonęła rumieńcem i błyskawice gniewu strzeliły jej z oczu.

– Pewnie, że lepiej by było, gdybym krową była, bo byka bym miała, nie cielę.

Skurczył się w sobie, jakby dostał w twarz. Wiedział, że jest od niego psychicznie silniejsza i sprawi, że zrobi, co zechce. Ale spuścił oczy i spytał cicho, lękliwie jakby:

– A musimy koniecznie tu siedzieć? Z cudzego woza to złaż, choćby w pół morza. Mocny jestem, poradzę. Mało to lasów, które wykarczować można, by gruntu nabyć? Dorobimy się swojego, po cudze nie sięgając.

Lecz ona spojrzała na niego pogardliwie i zimno.

– Sam dziaduj – prychnęła. – Bo ja nie dziadówka. I za stare już mam nogi, by łązić po świecie. Nie pora mi o dorobku myśleć, gdy starość za progiem. Dzieciucha mi wystrugałeś, a tera mi z nim na poniewierkę iść każesz. Co mu dam jeść? Skąd mleka wezmę? Dla nas może by i starczyło, ale co z nim?

Uderzyła w płacz. Ale nieszczerze to były łzy, bo cały czas na męża spoglądała. Wiedziała, że tym sposobem najłatwiej mu do

serca trafi, bo decyzję podjęła już dawno. I gotowa była dążyć do celu choćby po trupach. Ale wiedziała, że sama krwi przelać nie da rady. Potrzebowała do tego niezguły, którego ciągle wieść musiała przez życie na postronku.

Wojciech przytulił ją, a ona szeptała mu do ucha, niby to drżąca:

– Nie o nas tu idzie, ale o tego pędraka. Dotknij, jak się na świat wyrывa. Od ciebie zależy, czy gospodarzem będzie, który między pierwszymi we wsi się znajdzie, czy go ubóstwo przygniecie.

Chwyciła jego rękę i oparła ją na swoim brzuchu. A on poczuł niespokojne ruchy dzieciątka i tkliwo mu się jakoś zrobiło na sercu.

Kachna dostrzegła łzy w jego oczach i poznała, że nadszedł czas, by uderzyć:

– Nie chcę tej ziemi dla siebie, ale dla niego. I każdy grzech, jaki popełnisz, by mu ją zapewnić, biorę na siebie.

Zadrzał od jej dotyku, jakby otarł się o węża. Bał się usłyszeć to, co ona zaraz powie. Byłby zrobił wszystko, byleby odsunąć od siebie ten kielich. Żałował teraz, że w niczym nie umiał sprzeciwić się żonie; rozpieszczał ją od zawsze. Ale teraz nie żądała od niego paciorków, chust, sukien, tylko morderstwa. A on się wahał. Sam pragnął bogactwa równie mocno, jak ona, bo gdyby było inaczej, to nie posuwałby się do wybiegów, tylko przyjął wyrok losu z godnością. Lecz on liczył, że los mu dopomoże i sam bez jego udziału wyniesie go na dawne miejsce.

– Czego ty chcesz? – powtórzył zignorowane niedawno przez nią pytanie. – I mnie dobro nasze na sercu leży. Ale na władzę nie poradzę, a ta po jego stronie stanie, bo słuszność wedle prawa jego. Jeszcze wesele sobie sposobi.

Roześmiała się cicho, a jego dreszcz przeszedł od stóp do krzyża.

– Bywali już tacy, co wesela nie doczekali. Idź, zrób to teraz. Póki jak otumaniony leży.

To mówiąc, wstała z wieka kufra, otworzyła je i przez chwilę szperała w nim, jakby czegoś szukając. Po chwili uniosła głowę, a w rękach trzymała kawałek plecionego sznura. Bez słowa wetknęła mu go w rękę i zacisnęła na nim jego palce.

Przeszyło go zimno, jakby to on miał za chwilę stać się trupem, a nie człowiek, który nieświadom spisku, jaki tu zawiązali, spał w przyległej kuchni. Pot lał mu się strugami po twarzy. Ręce drżały niespokojnie, a na twarz wystąpiła bladeść śmiertelna. Lecz ponaglony ostrym spojrzeniem żony ruszył do celu. Wydawało mu się, że nogi jego ważą teraz dużo więcej, tyle trudu kosztowało go ich podniesienie.

Gdy wyszedł z izby, stanął w sieni, wyczekując, aż w izbie Tomasz rozlegnie się chrapanie. Lecz nie mógł się uspokoić. Zapanować nad chciwością i strachem, walczącymi o jego duszę. Wyszedł na podwórze. Rozejrzał się z pożądaniem po ledwie widocznych w mroku zarysach budynków. Nie Tomasz to praca, nie jego to trud. Nie było go wiele lat. Wojował, gdy on giął kark przy pługu, widłach i bronach. Ileż tu i jego pracy. A te budynki? Gdyby ich zapobiegliwie nie poprawiał, nie wymieniał przegniłych desek, dawno by się zapadły. Kachna ma rację. Jego prawo, nie gorsze od Tomaszowego. Przecież i on tę ziemię miłuje. Jednakowo mu jest droga. Ale co robić? Zabić?! Zabić człowieka?! Nie raz szlachtował. A to świnię, a to kurczę. Ale to nie to samo. Tomasz by potrafił, on się waha. Słaby jest i do niczego – chodził po obejściu długimi krokami przez kilka godzin i pasował się sam ze sobą. Wreszcie się zdecydował. Nie jestem tchórzem – pomyślał z determinacją. Zdecydował się na krok stanowczy.

Delikatnie zdjął zaczepkę i otworzył drzwi. Wszedł do kuchni. Znał ją dobrze. Ale teraz wydała mu się jakaś obca, mroczna. W powietrzu zdały się grać jakieś złowrogie wichry. Słyszał głosy.

Ale szedł przed siebie, powłócząc nogami. Kierował się prosto ku łóżku, na którym leżał Tomasz. Spod pierzyny wystawał tylko niewielki fragment jego ciała: kawałek szyi i głowa.

Robił wszystko, byle na niego nie patrzeć. Ale jak miał przeprowadzić swój zamiar? Co zrobić? Staął. Nie wahał się jednak długo. Nie chciał bowiem przebywać w tym pomieszczeniu. Wydawało mu się, że powietrze jest w nim lodowate i przesycone odorem śmierci. Kilkakrotnie już chciał zawrócić. Ale nie mógł. Bał się stanąć przed swoją żoną, by wysłuchiwać ponownie wiecznych żalów i pretensji. Poza tym wiedział, że jeśli teraz tego nie zrobi, to nie odważy się już nigdy.

Dlatego postąpił jeszcze kilka kroków naprzód. Zatrzymał się u wezłowia, rozpostarł sznurek. Nagle Tomasz poruszył się przez sen, odgarniając pierzynę i odsłaniając twarz. Zamarł, przyglądając mu się uważnie. Lecz po chwili uspokoił się. Tomasz spał dalej; tylko chrapnął kilkakrotnie nieco silniej.

Uspokojony w tym względzie, nie zwrócił uwagi na kropelkę potu, która spłynęła z jego czoła i spadła wprost na brwi Tomasza. Rozwinął sznurek, pochylił się i zacisnął go na jego szyi.

Tomasz poczuł kroplę potu na brwiach. Lecz jako człowiek doświadczony i otrząskany z niebezpieczeństwami, nie zerwał się od razu. Wyostrzył słuch i posłyszał nad sobą nienaturalnie szybki oddech. To właśnie ostrzegło go, że człowiek, który skrada się do niego po nocy, bynajmniej nie ma dobrych zamiarów. Skupił się w sobie, jak robił to setki razy, będąc na wojnie, i czekał na cios.

Wojciech zarzucił sznurek na szyję, chcąc przycisnąć ją do skóry, lecz Tomasz szybkim jak błyskawica a niespodziewanym ruchem wsunął rękę między nią a sznur. Poderwał się przy tym, stając przed Wojciechem. Straszny był. Wojciech skoczył do stołu, by porwać za nóż, który był się na stole został. Lecz nie zdążył ani kroku wykonać, gdyż Tomasz grzotnął go pięścią w kark.

Coś chrupnęło mu w karku i padł na ziemię z krzykiem. Na ów krzyk wypadła z przyległej komory Kachna i jednym spojrzeniem ogarnęła całą sytuację. Pojęła, co jej grozi, i skoczyła do sieni z taką szybkością, na jaką pozwalał jej stan, wrzeszcząc:

– Morduj! Ludzie, morduj!

Tomasz jednak wcale nie myślał jej ścigać. Stał tylko, tępo wpatrując się w sztywniejące już zwłoki szwagra. Po jakiejś godzinie, gdy niebo różowiało już na wschodzie, Kachna wróciła, wiodąc ze sobą dwóch członków policji państwowej. Weszli do izby z bronią dobytą i rozglądali się po niej z trwogą. A gdy oczy ich padły na trupa i krew, obaj pozielenieli na twarzy.

Tomasz tymczasem siedział swobodnie za stołem i pożywiał się, patrząc z lekka pogardliwie na krępe sylwetki policjantów, wtłoczone w granatowe mundury.

Oderwał łyżkę od ust i wbił w nich pytające spojrzenie.

Policjanci rozejrzeli się po izbie i niepewnie postąpili kilka kroków, cały czas trzymając broń w pogotowiu. Starali się zaprezentować jako godne wcielenie majestatu prawa i nie szło im to zbyt składnie. Brał ich strach na widok tego olbrzyma, który z najwyższą obojętnością jadł w towarzystwie trupa. Było w tym coś strasznego i groteskowego zarazem.

– Wy zamordowaliście męża tej obywatelki? – zapytał jeden z nich, starając się nie pokazać drżenia głosu.

Lecz nim Tomasz zdołał odpowiedzieć, Kachna wyskoczyła na środek izby. Przy stróżach prawa poczuła się bowiem pewnie i zaczęła zawodzić okropnie, kalecząc sobie twarz rękoma.

– On zabił! Ojca dziecko pozbawił, mnie wdową uczynił! Bodajbyś konał w rozpacz! Bodajby ci ślepiea wypłynęły! – I chciała skoczyć ku niemu, lecz on spojrzał na nią tak, że kroku zrobić nie mogła, jakby ją kto łańcuchami do podłogi przykuł.

Tomasz zaś zwrócił wzrok na policjantów i odezwał się do nich:

– Zabiłem. Ale winy mojej w tym nie ma. A jeśli jest, to taka, że ja jego zabiłem, a nie on mnie. Prawo szanuję, ale zda się, że nigdzie tam nie pisze, by się zabić dać. Ostawiłem ich pod dachem, choć on teraz mój, a oni zamiast wdzięczność żywić, zdradą się wypłacili. Ten tu – wskazał na trupa – udusić mnie chciał, gdym zmęczony w łóżku leżał. Ale miał za miękkie kości.

– Czemu trupa w izbie trzymacie i przy nim jecie, zamiast go na dwór wystawić? – pytał starszy z policjantów, któremu wyjaśnienia wydały się przekonujące.

– Przecież nic mi nie zje – odparł drwiąco. – A i wam roboty utrudniać nie chciałem. Dlatego wszystko jest, jako było. A teraz muszę do obór, bo trup, nie trup, a krowy wydoić trzeba.

Wstał i ruszył w ich stronę.

Wtedy jednak Kachna skoczyła ku niemu. Odepchnął ją, lecz gwałtowny ruch, jaki wykonał, zmylił policjanta, który sięgnął po broń, schowaną poprzednio do kabury. Tomasz bez chwili namysłu podbił mu rękę i uderzył głową w jego pierś. Policjant runął jak kłoda wiatrem obalona i krew rzuciła mu się z ust. Tomasz zaś przeskoczył przez niego i wypadł na podwórze.

Przesadził płot i pobiegł pędem ku wsi. Niemal tuż za płotem wpadł prosto na Weronikę, która właśnie gnała bydło na pastwisko. Bez chwili wahania chwycił ją za ręce. Spojrzała ze zdumieniem na jego zaczerwienioną twarz. Już usta otwierała, by zapytać go o przyczynę pośpiechu, ale nie dał jej dojść do słowa.

– Milcz i słuchaj. Szwagier próbował udusić mnie w nocy.

Krzyknęła przestraszona.

– Nic to. Dałem mu radę, ale żona jego ściągnęła policję. Tak jakoś wyszło, że dałem i im po łbie. Żle ze mną. Bo złapią. Słuchaj teraz uważnie, bo sprawa ważna jest. Pojedziesz do Warszawy. Tam odnajdziesz Wieniawę-Długoszowskiego. Znaczny to człowiek. Każdy ci wskaże.

– Ale... – chciała przerwać.

– Cicho – szepnęła i obejrzał się niespokojnie za siebie. Jakoż dostrzegł rosnącą w oczach sylwetkę policjanta. – Masz tu pierścień. Gdyby cię dopuścić do niego nie chcieli, bo możesz samego nie napotkać, to powiesz, żeby przekazali mu ten pierścień i powiedzieli, że mają go od Wiery. Gdy się z nim spotkasz, opowiesz mu wszystko. On już będzie wiedział, jak mi pomóc.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Nie bronila się. Ale on zaraz ją puścił i wyjaśnił:

– Bym miał co pamiętać. – To rzekłszy, szybko zsunął pierścień z palca i dał go Weronice, która schowała go prędko.

Zrobiła to w samą porę. Wtedy bowiem do Tomasza dopadł policjant. Ten w ostatniej chwili rzucił się na ziemię, dlatego policjant nie strzelał, natomiast zaczął wściekle okładać i kopać więźnia. Weronika patrzyła na to przez chwilę, lecz Tomasz nakazał jej oczyma, by się oddaliła. Smagnęła więc kijem krowy i pognęła je na pastwisko.

Policjant tymczasem wyczerpał widać swoje siły, bo przestał go okładać i otarł pot z czoła. Usiadł więźniowi na udach i wykręciwszy ręce do tyłu, skuł je.

– Ty psie! Tamten nie żyje. Ja ci wierzyłem. Ale nie ciesz się, teraz prawo wojenne. Na szubienicę pójdziesz. A jak powiem kolegom, za co siedzisz, już ci tam czas umiłą – skończył złośliwie.

Tomasz nie widział potrzeby, by się tłumaczyć. Zresztą i tak by mu nie uwierzył, że chciał tylko babę odepchnąć, a jego kolega w znacznej części sam był sobie winien, ponieważ pochopnie sięgnął po broń. Pozwolił się poprowadzić bez oporu. Wiedziono go przez wieś. Widział twarze ludzkie rozplaszczone na szybach, bo było to dla mieszkańców widowisko niecodzienne. Niemal słyszał ich drwiny i śmiech. Na końcu, już przy samym wozie, którym miano go wieźć, dostrzegł Kachnę. Patrzyła na niego zbolałym wzrokiem, w którym on dostrzegł jednak głęboką satysfakcję.

Przechodząc obok niej, szepnął tak, by tylko ona mogła go dosłyszeć:

– Jego krew spadnie na ciebie.

Z satysfakcją dostrzegł, że zadrżała, lecz zaraz spojrzała na niego udręczonym wzrokiem, który był przeznaczony dla ludzi, i odparła:

– Jakie to uczucie? Przetrwać wojnę, by w wigilię szczęścia trafić do kryminału?

Nie odpowiedział. Bez oporu dał się załadować na wóz. Obojętnie patrzył na zgromadzonych dookoła ludzi, których przyciągała tu ciekawość i chęć ujżenia czegoś niezwykłego. Nie dbał o nich. Wiedział, że są jak trawa na wietrze i każdy podmucha nimi chwieje. Niech tylko wyjdzie, wzbogaci się, a przyjmą go jak swego... Jedynie z wdową po Wojciechu wymienili dłuższe spojrzenia. W obu była czysta nienawiść.

Kachna patrzyła za wozem, póki nie zniknął jej z oczu. Obojętnie przyjmowała składane jej wyrazy współczucia. Chciała tylko, żeby ci wszyscy ludzie już sobie poszli, aby mogła się nareszcie cieszyć swoim majątkiem. Tomasz nie zaprzętał jej myśli. Nie wyjdzie stamtąd, gdzie go posłała, a jeśli nawet wyjdzie, to jako dziad proszalny. Bez męża też sobie poradzi. Z takim majątkiem znajdzie drugiego.

Ludzie rzeczywiście niedługo zaczęli się rozchodzić. Dość mieli wrażeń jak na jeden dzień. Teraz trzeba było wracać do chałup, obgadać wszystko, czego się było świadkiem. Zresztą będzie jeszcze pogrzeb. I barwny korowód ludzki wylał się wkrótce z podwórza, by rozejść się po chałupach. Ona zaś żegnała każdego u opłotków, gładząc się czule po mocno już wypukłym brzuchu. Lecz nie wszyscy jeszcze odeszli, gdy poczuła tępy ból, który zdawał się promieniować z dołu brzucha; mroczki pojawiły się przed jej oczami. Osłabiona spojrzała w dół i dostrzegła szybko rosnącą plamę krwi, która wydobywała się spomiędzy jej nóg.

Doświadczeni w takich sprawach ludzie natychmiast poznali, co to oznacza. Szybko chwycono ślaniającą się już na nogach kobietę, zanesiono do łóżka i natychmiast posłano po znającą się na rzeczy babę, która zawsze porody odbierała. Przyszła tak szybko, jak pozwałał na to jej zaawansowany wiek. I natychmiast zarządziła wszystkim.

Kachna przyglądała się tym zabiegom i głosom wokół niej obojętnie. Mogła myśleć tylko o bólu, który przy każdym skurczu przewiercał ją na wskroś. Oddychała płytko i szybko, a twarz pokryła się czerwienią. Nie poznawała własnego krzyku, który co jakiś czas wydobywał się z jej ust. Wkrótce ból stał się na tyle silny, że wetknięto jej łyżkę w zęby z obawy, by nie odgryzła sobie języka.

– Przyj – nakazała stara. – Bo jak stanie, to ty tu zostaniesz. Za wcześniej jeszcze.

To mówiąc, pracowała między nogami dziewczyny, ze spokojem patrząc na powiększające się rozwarcie. Ale w sercu jej wrzał niepokój. Zbyt bowiem była doświadczona i zbyt wiele porodów w swoim życiu odebrała, by nie wiedzieć, czym się to skończyć może. Nie raz już bowiem widziała, jak kończyły się nawet porody, gdy wszystko działo się w przepisowym czasie – często śmierć zabierała i matkę, i dziecko. A czego spodziewać się miała tutaj, gdzie rytm nadany przez naturę został zakłócony? Lecz nie tylko strach o kobietę i dziecko sprawiał, że czuła się nieswojo.

Bała się o siebie. Była tym faktem zdumiona. Nigdy wcześniej nie czuła tego, co przenikało ją teraz. Była osobą starą i schorowaną i niewiele już światła słonecznego ostało się w jej źrenicach, na krótki dystans tylko widziała. Młodzi śmiali się z niej, nie mając szacunku dla słabości. Lecz Bóg, który powoli, acz nieubłaganie zamykał jej oczy na blask słonecznego światła, otwierał je jednocześnie na świat przed innymi zamknięty. Widziała i wiedziała rzeczy, o których pojęcia nie mieli młodzi

obdarzeni sokolim wzrokiem. Wyczuwała unoszącą się wokół kogoś aurę śmierci. A także złą energię.

I teraz też działo się z nią coś dziwnego. Czuła się tak, jakby zewsząd otaczało ją zimno. Wsłuchując się w krzyki kobiety, wodziła wzrokiem po ścianach, jakby zastanawiając się, jaką zbrodnię w nich popełniono. Wyczuwała niepokój duchów, ich wściekłość. Złość dawnych właścicieli tego miejsca. Żałowała teraz, że nie wzięła ze sobą wody święconej albo przynajmniej krzyża. Miałaby jakieś zabezpieczenie.

Nie we mnie mierzycie – pomyślała.

– Coś złego zrobiła? – spytała Kachnę, jednocześnie chwytając dziecko, które wynurzyło się właśnie na świat. Spojrzała na sine, ubrudzone krwią ciało. Na obrzmiałą twarzyczkę. Z wprawą przecięła pępowinę i przeżegnała je, by zabezpieczyć przed działaniem złych mocy.

– Poszły! – rzuciła w przestrzeń. – Nie macie prawa do dziecka!

Obecne przy porodzie baby spojrzały na nią jak na szaloną. Od dawna bowiem uważały ją za kobietę, która jedynie wyglądem ludzi przypomina. Lecz ona zignorowała je i spojrzała na Kachnę, która oddychała z trudem po przebyтым wysiłku i była półprzytomna. Stara nie zważała na to. Duchy były coraz natarczywsze. Nie było czasu do stracenia.

– Mów! – rzuciła. – Chcą, byś powiedziała prawdę. Inaczej wezmą zadośćuczynienie. Powiedz, co tu się naprawdę zdarzyło.

Ludzie patrzyli na tę scenę, nic pojąć nie mogąc. A jednak przejmowała ich ona instynktownym strachem. Jako ludzie prości i zżyci z naturą, znali siły, które wykształceni ludzie zbywali śmiechem, kpiną lub w najlepszym razie wzgardliwym wruszeniem ramion. Ta starucha była dla nich ucieleśnieniem tych sił, których i się bali, i czcili je jednocześnie.

Kachna też zadrżała. Ale nawet na łożu nie chciała, nie mogła wyznać prawdy. Cóż by się bowiem stało z tym dzieckiem, które

z takim trudem na świat wydała? Sierotą by zostało, bez mienia, zdane na łaskę ludzką. A tę pies bezpieczeństwa łatwiej zobaczy, bo może obejścia przypilnuje, niż on, który żadnych korzyści nie obiecywał. Inna rzecz, gdy sekret do grobu zabierze. I wówczas kto inny opiekę sprawował będzie i pewnie drogo każe sobie za nią zapłacić. Ale niech tylko chłopak dojdzie do lat, to wówczas obejmie, co jego. Pojmie dziewczynę i będzie z nią żył – pomyślała. Ale zaraz potem naszły ją myśli uspokajające.

Starucha kracze jak kruk. O tym, co się zdarzyło, wie tylko Bóg, a on nic nie powie nikomu.

– Co się zdarzyło, wiecie jako i wszyscy – rzekła z trudem. – Ma wam kto powiedzieć, więc mnie nie męczcie, bo mi sił będzie potrzeba. Podajcie mi dziecko.

Starucha podała jej malca. I stała, przyglądając się, jak Kachna tuli je do siebie, gdy nagle przestało kwilić. Kachna spojrziała na siną twarzyczkę i zamknięte powieki i ryknęła nadludzkim głosem:

– Co się mu stało?!

– Nie powiedziałaś prawdy – odparła starucha zimno. – Duchy wzięły, co ich. Zadzwoń ksiądz na dwa pochówki.

Ludzie zaczęli wychodzić z jakimś dziwnym pośpiechem. Wielu złorzeczyło Bogu, który za jednym zamachem odebrał i męża, i syna. Lecz starucha, która wyszła ostatnia, tak wolno, jak wcześniej weszła, odrzekła im na to:

– Wy Bogu w rękawy nie zaglądale. A mało to razy ten zabija, kto pod trumną stoi? Nie wiadomo, kto winien. Ale Bóg zna wagę dobrego i złego. I każdemu prawo i sprawiedliwość wymierzy.

Umilkli, bo mocno przemówiła, i rozeszli się do swoich prac. I tylko dom pozostał. Cichy, spokojny, okryty majestatem śmierci. I tylko on słyszał rozpaczliwe krzyki matki, którą przycisnęła do ziemi Boska sprawiedliwość.

Rozdział XIV

Pułkownik Jerzy Dobrowolski nie pałał zbyt dużą chęcią, by jechać do Poznania. Miał bowiem na głowie bardzo wiele istotnych spraw. Poza tym nie lubił mieszać się w polityczne spory, do których rozwiązania nie miał ani siły, ani chęci. Jednak wola naczelnika państwa była w tej kwestii zbyt jasno i klarownie wyrażona, by mógł się jej w jakikolwiek sposób przeciwstawić. Zresztą żał mu było i własnej pracy, jaką włożył w to, by powstanie wielkopolskie zakończyło się pełnym powodzeniem. I nie chciał, by spory polityczne i wzajemna niechęć zmarnowały ogromny trud społeczeństwa i morze przelanej krwi.

Dlatego zdał wszystkie sprawy kierownikom poszczególnych wydziałów i udał się do Poznania. A że od dawien dawna przywykł do szybkiego pokonywania wielkich odległości, więc już po kilku dniach podróży wjechał na rogatki miasta. Widoki, jakie tam zastał, przyprawiły go o zachwyty. Ze wszystkich okien wysuwały się białe-czerwone flagi. To społeczeństwo wychodziło z cienia i konspiracji. Powstały polskie szkoły, gazety, sierocińce. A w cień usuwały się ostatnie ślady po zaborczych instytucjach.

Jerzy widział walające się po ulicach niemieckie flagi, które deptano i rwano w strzępy. Patrzył na to z uśmiechem cichej satysfakcji, bo była to w znacznej mierze i jego zasługa. To on i jego ludzie dostarczali powstańcom tak potrzebnej broni i amunicji. Ale mimo wszystko dzieło nie było jeszcze dokończony. Czuł się tak, jakby jeden kamień usunął z wyboistej drogi. Zostawała przecież

jeszcze sprawa Śląska, gdzie niemieccy fabrykanci, pewni cichego poparcia Berlina i własnej bezkarności, poczynali sobie coraz zuchwalej. A on przeciwdziałać temu nie mógł.

Bolszewicy bowiem odciągali wszystkie siły i zasoby polskie na wschód. Sprawa Śląska musiała poczekać na czas sposobniejszy. Było to postępowanie racjonalne, wynikające z ekonomiki sił. Ale gryzło go to, że z powodu pilniejszych potrzeb nie mógł przeciwdziałać niemieckim zamierzeniom. I jeszcze, jakby mało było zewnętrznych nieprzyjaciół, swarami wewnętrznymi musiał się zajmować.

Tak rozmyślając, szedł ku ulicy Świętego Marcina, gdzie spodziewał się zastać Krzysztofa Kossowskiego. Pragnął się bowiem z nim szczerze naradzić nad tym, jak rozmawiać z przedstawicielami Naczelnej Rady Ludowej. Wiedział, że wszystko, co trzeba, powiedzieć musi, ale od tego, jak to powie, także dużo zależało. A Kossowski mógł mu w tym dopomóc, gdyż będąc człowiekiem miejscowym, znał tutejsze uwarunkowania i wiedział, z kim i jakim słowem mówić. A znając go od dawna, wiedział, że od pomocy w tej sprawie nie będzie się uchylał.

Jakoż nie zawiódł się na swoim przypuszczeniu. Kossowski wyczekiwał niecierpliwie posłańca z Warszawy i na nic nie czekając, zabrał go do swego gabinetu.

– Siadaj, przyjacielu – rzucił i sam zakrzętnął się wokół napitku.

Jerzy chciał odmówić, ale zrezygnował z tego zamiaru; bał się obrazić przyjaciela, który chciał go ugościć wedle prawa i obyczaju. Zaczął się więc rozglądać po gabinecie, w którym już raz był. Jednym rzutem oka zdołał ocenić, że nic się w nim od tego czasu nie zmieniło. Tylko na biurku ubyło papierów. Widać Krzysiek od czasu zakończenia powstania miał mniej roboty.

– Zgaduję, że nie w gościnę przyjechałeś – rzekł, stawiając na biurku butelkę i szklanki. – Wódka zawsze była z narodem, a naród z nią.

– Dobrze odgadujesz. I myślę, że twoi zwierzchnicy nie przyjmą mnie tak jak ty.

Kossowski dobrze wiedział, jakie rozgrywki toczą się w łonie samej Naczelnej Rady Ludowej, jak i między wojskowymi dowódcami powstania. Obserwował je z niechęcią, bo lepiej niż inni znał i rozumiał nowy czas. Zdawał sobie sprawę, że definitywnie minął już ten okres, gdy każde województwo cieszyło się pewną dozą samodzielności. Gdy każdy żył, jak mu się podobało. Ale będąc człowiekiem miejscowym, rozumiał i niechęć Wielkopolan do całkowitego oddania się pod władzę Warszawy.

Znał bowiem ludzi tutejszych, którzy przez lata pobierali wykształcenie w Berlinie. Żyli się z tamtejszą gospodarką i nie w smak im było łożenie na województwa biedniejsze.

– Czyli to ciebie przysłali, byś utemperował zapędy naszych polityków?

– Ano mnie. I nie utemperował, bo siły nie użyję, ale przekonał rozsądną argumentacją, że wszelkie sny o autonomii to w obecnej sytuacji mrzonki. Czego oni bowiem chcą? Mieć własny budżet, który będą obracać tylko na własne potrzeby. Nie przeczę, że Wielkopolska jest krainą zasobną, ale nigdy nie wystawicie armii tak licznej, by Niemców przed agresją powstrzymać.

Kossowski się zamyślił.

– Rację masz. Trudno przeczyć. Ale nie tylko rozumem kieruje się człowiek w życiu. Znacznie częściej rządzą nim wybujałe ambicje, namiętności i żądze – odparł po dłuższej chwili milczenia. – Ale chcesz, przekonuj. Potem ugoszczę cię pod moim dachem, to o naszych sprawach pogadamy.

Wypili co prędzej, bo istotnie pilno było jechać. Na szczęście siedziba Naczelnej Rady Ludowej znajdowała się na tej samej ulicy, więc szybko dojechali na miejsce dorożką. Co miało i tę dobrą stronę, iż powietrze otrzeźwiło ich mocno. Przed kamienicą

opowiedzieli się wartom i poszli za młodym porucznikiem, który był im przewodnikiem.

Po kwadransie drogi wprowadzono ich do wielkiego pomieszczenia o dużych, prostokątnych oknach, przez które wlewało się wiosenne słońce. Za stołem konferencyjnym siedzieli już: ksiądz Stanisław Adamski i Władysław Seyda z Wielkopolski oraz Wojciech Korfanty i Józef Rymer ze Śląska. Obecni byli też przedstawiciele Pomorza Zachodniego i Kujaw.

Dobrowolski przywitał się ze wszystkimi. Zwłaszcza z Korfantym i Rymerem, gdyż obu poznał dobrze, konferując z nimi nad sprawą Śląska. Po ceremonialnym powitaniu zasiadł wraz z innymi za stołem. Rozejrzał się po obecnych. Dostrzegł w ich oczach cień zdziwienia. Widać spodziewali się kogoś, kto pełni jakąś polityczną funkcję.

– Witamy w Poznaniu – rzekł Adamski. – Jednak nie ukrywam, że spodziewaliśmy się kogoś, kto będzie dysponował pełnomocnictwami do poczynienia względem nas ustępstw politycznych. – Poprawił swoją sutannę, która nie prezentowała się zbyt dobrze na jego chudym ciele, i spojrział swymi szarymi oczami w jego oczy.

Dobrowolski z łatwością wytrzymał spojrzenie i się uśmiechnął.

– Pamiętaj ksiądz kuszenie Chrystusa?

Stanisław spojrział na niego zdumiony, nie wiedząc, do czego zmierza.

– Szatan ukazał mu wszystkie królestwa świata, ofiarowując je w zamian za pokłon. Niech się ksiądz zastanowi, czy i teraz nie ukazuje wam autonomii, by zaprzepaścić wielkie dzieło. Pełnomocnictw nie mam, bo wasza propozycja wciąż pozostaje nieoficjalna. A ja ufam, że zdołam was powstrzymać przed popełnieniem tego błędu, którego skutki mogą być straszliwe. Chcecie mieć własny sejm, skarb i wojsko? Drogo by Hindenburg za taki obrót spraw zapłacił, bo na jego młyn to woda.

– Hindenburg słabszy jest niż kiedykolwiek, a Niemcy nie ta potęga, co przed czterema laty – zauważył Seyda. – Słysząc, że Francuzi chcą pozbawić niemiecką armię lotnictwa, broni pancernej i obu rodzajów floty. Zresztą nie taki diabeł straszny, jak go malują. Biliśmy ich i wcześniej, i dzisiaj. A my do Piłsudskiego na służbę nie pójdziemy. Kto nam poręczy, że władzę odda, gdy czas nadejdzie? Wiemy dobrze, że nam niechętny, bo z Dmowskim przeciw niemu trzymamy. Otacza się byłymi legionistami, a naszych pomija przy obsadzaniu wojskowych stanowisk. To i wolimy na swoje pójść, niż uczestniczyć w konflikcie z Sowietami, który tak lekkomyślnie na kraj sprowadził. I to teraz, gdy walczyć wypadnie o Śląsk i Gdańsk. Ale tu Korfantemu głos odstąpię, bo lepiej niż ja potrafi o tamtych sprawach mówić.

Dobrowolski westchnął. Mógł się tego spodziewać. Starczyło, by Dmowski znalazł się z daleka od spraw krajowych, by kilku wicherzyeli podjęło w jego imieniu działania mogące się skończyć zagładą państwa. I to właśnie teraz, gdy problemów było tyle, że nie było wiadomo, w co ręce włożyć. Począł chwilę, by się opanować i namyślić nad odpowiedzią. Spojrzał na Korfantego, który dopingował go wzrokiem, potem na Krzysztofa, który czynił to samo. I nagle zawrzał w nim gniew. Nie po to dla wielkiego dzieła poświęciłem szczęście rodzinne, by kilku głupców je zmarnowało – pomyślał. Poczzerwieniał na twarzy, gdy mówił:

– Wy jemu nie ufacie, a on wam. Ale on wam żadnych powodów do nieufności nie dał. Nawet Dmowski mu pomaga, choć wszyscy wiedzą, że się z nim nie kocha. Ale on umie mniejsze sprawy dla większych poświęcać. A wy? Ledwie się z największym trudem udało co nieco dokonać, a już czyjeś warcholstwo chce to zniszczyć. Mówicie, że Niemcy sił i zębów nie mają? Prawda! Ale i dziecko ich nie ma, gdy się rodzi. Obroncie się przed Niemcami, gdy im odrosną? Mówicie, że swoich popiera. I to prawda! Ale jakież w tym grzech? Nie dziwota, że chce mieć blisko siebie ludzi,

którym ufa i wierzy, bo tyle razy w boju im przewodził. Ale ja na przykład nie byłem w legionach, a sprawuję jedną z najważniejszych funkcji w kraju. A to świadczy, że dla każdego, kto chce służyć, droga do urzędów stoi otworem. – To rzekłszy, uniósł otwartą dłoń. – Każdy palec pojedynczo łatwo wyłamać, ale nie, gdy złączymy je w pięść. Liczycie na Francuzów? Oni dziś z nami, jutro przeciw nam. Wszystko dla korzyści. Tylko od nas zależy, czy uda nam się to, cośmy zamierzeli. Ale do tego każdej ręki i głowy potrzeba.

Odsapnął i otarł twarz, na którą wystąpił pot. Spojrzał na obecnych niepewny, czy swoim wybuchem nie zaprzepaścił sprawy, z którą go przysłano. Lecz na twarzach Wielkopolan dostrzegł coś w rodzaju pomieszania i wstydu. Korfanty, Rymer i przedstawiciele innych terenów milczeli, choć mógł być raczej pewien, że w tym sporze trzymają z nim.

– Jak wszystkim dobrze wiadomo, kościół do polityki nie miesza się – rzekł Adamski. – Zawsze jednak nawołuje do zgody, bo tylko na tym fundamencie cokolwiek trwałego zbudować można. Jakoż w Wielkopolsce mamy już więcej wytchnienia. Czas więc jest na to, by ład tu zaprowadzić, który i dla waszych celów potrzebny. Bo nikt tu się od świadczeń na rzecz ojczyzny nie uchyla. Czego najlepszym dowodem jest obecność tutaj przedstawicieli całej byłej pruskiej dzielnicy. Gotowi jesteśmy wspierać ich w ich dążeniach za pomocą wszelkich dostępnych nam środków. Ale nikt z domu nie wyjeżdża, gdy ładu w nim nie ma. A kto lepiej potrafi porządek zaprowadzić niż jego właściciel? Warszawa daleko, a z daleka słabo widać problem. Dajcie nam nasze problemy we własnym zakresie rozwiązywać.

Jerzy omal nie uderzył pięścią w stół i już zbierał się do udzielenia repliki, gdy uprzedził go w tym Korfanty. Słuchał on dotychczas sporu z wytężoną uwagą, ale jako człowiek obcy nie zabierał dotychczas głosu. Teraz jednak uznał za konieczne

przemówić. Obawiał się bowiem, by ze sporu Warszawy z Wielkopolską nie wynikła szkoda dla Śląska. Wiedział, że w najbliższym czasie zarówno on sam, jak i jego ludzie będą potrzebowali pomocy. Oddziały niemieckie na Śląsku dopuszczały się coraz większych zbrodni. Mordowanie aktywistów społecznych, zwłaszcza w miastach przemysłowych, było coraz powszechniejsze, a raporty o pobiciach stały się już codziennością.

To budziło u ludzi naturalną chęć oporu. Zwłaszcza że Wielkopolska świeciła im przykładem i pokazywała, jak wiele można osiągnąć walką. On jednak odpierał te naciski z dołu. Był świadom, że nie może tego robić bez końca. A jednak miał swoje powody. Zdawał sobie sprawę, że sytuacja na Śląsku jest dużo bardziej skomplikowana niż tutaj. Wielkopolska zaprawiona w pracy organicznej przez żelaznego kanclerza miała własne wojsko, szkolone przez lata, administrację – to wszystko było podwaliną dzisiejszych sukcesów.

Zamyślił się Korfanty smutno, gdy pomyślał o swoich rodzinnych stronach. Tam nie było ani polskich banków, ani spółdzielni rolnych. Wieloletnia polityka germanizacyjna osiągnęła wielkie sukcesy. Polacy byli większością tylko w biedniejszych powiatach, a i tam nie odgrywali większej roli społecznej. Podobnie było w powiatach przemysłowych, gdzie większość władzy skupiali w swoich rękach niemieccy przemysłowcy. Oni rzucali teraz na szalę swoją gotówkę, tworząc własne oddziały paramilitarne, które dołączały swe siły do rządowych.

Nimi wszystkimi zarządzał Karol Hoefler, który w krótkim czasie wyrobił sobie sławę kata Polaków. Podległe mu jednostki dopuszczały się rabunków, gwałtów i morderstw, podkreślając nastroje. Hamował owe nastroje, na ile mógł, zdając sobie sprawę, że Polska nie będzie mogła udzielić tak szerokiego strumienia pomocy, jak to się stało w przypadku Wielkopolan. I niczyjej w tym

winy nie było, bo zaangażowanie wszystkich sił na wschodzie było racjonalne.

– Panowie – zaczął – nie przyszedłem na to spotkanie po to, by rozstrzygać wasze spory i dywagacje. Wy lepiej wiecie, co wam robić należy. Ale chcę zadać tylko jedno pytanie. Czy załatwienie kwestii spornych nie mogłoby zostać odsunięte na czas sposobniejszy? Nasza walka bowiem jeszcze nie skończona. Wielu z was wie, jaką pan pułkownik pełni funkcję. – Skłonił się lekko Dobrowolskiemu. – I że to on dostarczał nam broni i ludzi. On pomagał zakładać zakonspirowane siatki Polskiej Organizacji Wojskowej na Śląsku. Lecz czy będzie mógł pomagać nam dalej tak skutecznie, jeśli Wielkopolska będzie dalej obstawać przy zgubnej dla dzieła zjednoczenia polityce? Wybaczcie, lecz mówię to, co mi sumienie i troska o moich ludzi mówić nakazuje. Jeszcze Wersal nie podjął decyzji co do naszych losów, a Niemcy już uciekają się do przemocy. Śląsk chce do Polski, ale do Polski silnej, nieskonfliktowanej wewnętrznie, bo tylko taka może zapewnić harmonijny rozwój regionu, a zamieszkującym go ludziom dać poczucie bezpieczeństwa.

Dobrowolski spojrział na niego z wdzięcznością, a jednocześnie zakłóło go uczucie żalu. Bo zdawał sobie doskonale sprawę, że powstańcy nie będą mogli liczyć na daleko idące poparcie Warszawy, jeśli zaczną powstanie teraz, gdy każda szabla potrzebna była na wschodzie. Splótł ręce na blacie stołu i korzystając z nastroju, jaki wytworzyły podniosłe słowa Korfantego, rzekł:

– Chcecie mieć wpływ na własne domowe sprawy? I będziecie go mieli. Zaraz gdy tylko Wersal potwierdzi nową przynależność regionu, odbędą się w nim wybory uzupełniające do polskiego sejmu. A waszą już będzie rzeczą wybrać sobie spośród siebie takich ludzi, którzy będą potrafili zadbać o wasze interesy. Armia Wielkopolska wejdzie w skład odrodzonego Wojska Polskiego,

zachowując jednak swoje własne stopnie, mundury i odznaczenia regionalne. W polskim rządzie powstanie ministerstwo do spraw scalenia z Polską byłej dzielnicy pruskiej. Na tę chwilę nikt wam więcej nie da. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, a teraz wracam do pracy, bo tam kraju bronię zamiast nim kupczyć.

To rzekłszy, wstał i skierował się do wyjścia. Zaraz za nim wyszedł Kossowski i obaj przedstawiciele Śląska. Ci trzej dogonili go przed dorożką.

– Panie pułkowniku – rzekł Korfanty, poprawiając poły garnitur, bo mu się rozsunęły – pozwoli pan, że zabierzemy się we czterech, to porozmawiamy o sprawach?

– Siadajcie – zaprosił ich Dobrowolski.

Wsiedli we czterech do dorożki. Krzysztof z Rymerem usiedli na koźle, a Korfanty z Dobrowolskim z tyłu. Krzysiek zaciął konie i odwrócił się do pasażerów.

– Zawiozę was do mojego domu. To niedaleko. Nie pogardzicie gościna?

– Nie chciałbym robić twojej żonie kłopotu. Gość nie w porę gorszy od Tatarzyna – odrzekł Jerzy.

– Już tam jak moja Wiktoria o obiedzie myśli, to starczy, choćby nas dwa razy tyle przyjechało. – Roześmiał się. – Szmata czasu jej nie widziałem, to mi tęskno. Kobiety z takim umysłem nie znaleźć. A jak gospodarzy zawzięcie! Wiozę jej kilka książek o rolnictwie, które chce mieć.

Jerzy nie odpowiedział od razu, bo go coś ścisnęło za serce. I on kiedyś miał do czego wracać i dla kogo się śpieszyć. Ale wszystko się zmieniło od czasu, gdy Beata postanowiła odejść. Niby podjęła tę decyzję dla dobra dziecka. Zgodził się, bo co miał robić. A jednak czasem jeszcze przesywał go żal i czuł tęsknotę za arkadią.

– To jedźmy obejrzeć twoje największe zwycięstwo – odparł.

– A tak. Ona była, jest i będzie moim największym zwycięstwem.

Odwrócił się do kierunku jazdy.

Wyjechawszy z miasta, znaleźli się na piaszczystej drodze ciągnącej się między płatami zielonych jeszcze traw i zbóż. Lekkie chmurki leniwie snuły się po niebie. Przez nie przenikały blade i jakby nieśmiałe promienie słoneczne. Dorożka trzęsa się na wyboistej drodze i turkotała po kamieniach, którymi prowizorycznie zasypano wyboje. Jednak oczy podróżnych pasły się widokami szczęśliwej krainy. Błądziły po zagonach, po wilgotnej ziemi przesyconej wiosennymi opadami. I każdy z nich mimo woli zachwycił się naturalnym pięknem tych stron i tego miejsca, zapominając o własnych troskach i zmartwieniach. Pierwszy z tego nastroju chwili otrząsnął się Dobrowolski.

– Chcieliście ze mną rozmawiać – zwrócił się do towarzyszy podróży.

Korfanty drgnął, wybudzając się z letargu. Westchnął, jakby z żalu za ulotną chwilą pełną spokoju.

– Tak. Zastanawiam się, co mi robić wypadnie, jeśli dłużej wybuchu wstrzymywać nie zdołam. Niełatwo gorące głowy w ryzach trzymać. Niemcy wyraźnie już prą do konfrontacji. Jak już mówiłem na spotkaniu rady, Niemcy mają administrację, policję i wojsko w swoich rękach. Obawiam się, że powetują sobie na nas straty, jakie tu ponieśli.

– Wiem. Ale nasza organizacja wojskowa nie jest jeszcze ani w dostateczny sposób wyekwipowana, ani wyszkolona. Ja nie dysponuję takimi środkami, jakie mają Niemcy czy ich przemysłowcy. Oni nie wyobrażają sobie spłaty odszkodowań wojennych bez dochodów płynących z tamtejszego przemysłu. Ale robię, co się da. Trochę broni już przesłałem, struktury organizacyjne też są gotowe. Ale jeszcze za wcześnie.

– I ja to wiem – odparł Korfanty. – Ale trudno dziwić się ludziom, że na przemoc chcą odpowiadać przemocą. Czekam na

wynik konferencji w Wersalu. Podobno nasza sprawa ma wkrótce stanąć na agendzie. Znasz jakieś szczegóły?

– Zgadza się. Mam raporty sporządzane przez członków naszej delegacji. Nasi przedstawiciele będą żądać całego województwa.

Dostrzegł, że w oczach Korfantego zaświeciła się nadzieja, i uśmiechnął się z politowaniem. Wiedział, że nic z tego nie będzie. Brytyjczycy nigdy nie dopuszczą do nadmiernego osłabienia Niemiec. I raczej nie będą patrzeć przychylnie na polskie żądania. A bez ich zgody o zawarciu żadnego porozumienia nawet mowy być nie może.

– I cóż z tego, skoro nikt się na to nie zgodzi, a Brytyjczycy pierwsi – rzekł Korfanty. – Ja pytam, na czym sprawa skończyć się może. Niby możemy się powoływać na historyczne tradycje tego regionu, na naszą ludność, ale to są plewy na wietrze, jeśli naszych działań nie poprą przymierzeni.

– Masz rację – zgodził się Dobrowolski. – Ale pamiętaj o jednym: tylko pies gryzie na oślep, nie policzywszy się z siłami. Problem Śląska nie będzie łatwy do rozstrzygnięcia. Upłynie wiele czasu, zanim obradujący w Wersalu politycy wypracują jakieś wspólne stanowisko w naszej sprawie. A dla nas przewlekanie kwestii jest korzystne. Przez ten czas może wyklarują się sprawy na wschodzie. Wtedy będzie można przerzucić wszystkie siły i środki na Śląsk. Wzmocnimy organizację wojskową i będziemy reagować stosownie do rozwoju sytuacji.

– Czekać, powiadasz – odparł Korfanty. – Tylko jak powiedzieć to ludziom, których biją, katują i mordują? I ja wiem, że sprawa łatwa nie będzie. Nadgraniczne powiaty będą za nami. Rybnicki, Pszczyński, Lubliniecki i Katowicki. Ale miasta? Te wielkie ośrodki przemysłowe, na których nam zależy? Mamy wsie wokół nich. Ale co z resztą?

– Musimy czekać.

– Więc to jest twoja rada. Mam rozumieć, że jeśli rozpoczniemy teraz walkę, to wy nie przyłożycie do tego ręki – rzekł rozżalony.

Dobrowolski posmutniał także. Ileż by dał, by móc teraz pocieszyć tego człowieka. Ale nie powinien go zwodzić. Korfanty musiał wiedzieć, na czym stoi.

– Gdyby ręk starczyło. Ale sam wiesz, jak jest. Lenin na nas dybie i nie pora nam wdawać się w awantury. Czekajcie cierpliwie. To, co jest, wam pozostawię. A gdyby powstańcy uchodzić musieli, to ich w Polsce przyjmemy. Tymczasem hamuj ich. Niech nie robią nic głupiego. Źle czekać. Wiem. Ale lepiej czekać na coś, niż nie czekać już na nic. Powiedz swoim, by zczekali z postanowieniem przynajmniej do wyników konferencji. Innej rady dać ci teraz nie mogę.

Dalszą drogę przejechali w milczeniu. Humory bowiem skważyły się do reszty. Ale Dobrowolski czuł, że powiedział dokładnie to, co powinien. Nie mógł karmić tych ludzi złudzeniami na pomoc, wiedząc, że nie będzie mógł jej im udzielić. Dlatego wołał nie patrzeć w pobladłe i posmutniałe twarze Korfantego i Rymera. Wolał obserwować dwór, gdy zajeżdżali przed ganek.

Kossowski oddał wodze Rymerowi i zeskoczył z kozła. Zdjął czapkę i biegiem wpadł na ganek, gdzie stała już wywabiona hałasem Wiktoria. Bez chwili namysłu chwycił ją wpół i podniósł jak lizzkę. Ona zaś broniła się, ale więcej krzykiem i piskiem niż rękoma. Całowała go bowiem jednocześnie, a on oddawał jej pocałunki.

Goście zaś wysiedli przed gankiem i stali, czekając, aż oni się sobą nacieszą. Jakoż Wiktoria pierwsza ich spostrzegła i przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodyni, żartobliwie ofuknęła męża:

– Mnie masz zawsze, a goście gotowi nam wyjechać. Puść mnie więc, bym nie musiała pustym stołem i suchym kieliszkiem ich przyjmować.

Kossowski postawił ją na ziemi i rzekł zawstydzony:

– Darujcie, panowie. Ale po tak długim niewidzeniu trudno się żoną nacieszyć. Proszę w niskie progi, na chleb i sól.

– A kto by ci miał za złe, że do żony cię ciągnie? – rzekł Dobrowolski. – I niepotrzebnie się z tego usprawiedliwiasz, bo żona pierwsza niż najlepszy przyjaciel. A zwłaszcza tak młoda i ładna.

– Dziękuję, panie pułkowniku – odrzekła gładko. – Ale nie jestem godna wielkich hołdów. Nie wiem, czy dobrze poznaję pozostałych, ale tylko pańska twarz wydaje mi się nieznamoma.

Zeszła ze stopni i podała Korfantemu rękę do ucałowania.

– Bo któż by nie znał pana Wojciecha Korfanteo i pana Rymera, którzy przykład wszystkim dają, jak trwać przy ojczyźnie? I ja o tym wiem. I choć jestem tylko kobietą, to postaram się ugościć tak znamienite persony, jak należy.

Obaj ucałowali jej rękę, a Rymer rzekł:

– I my słyszeliśmy wiele dobrego o pani. I wiemy, że sama Demeter mogłaby się od pani uczyć gospodarowania.

Wiktoria zarumieniła się, uradowana komplementem, i spojrzała z wdzięcznością na męża, któremu twarz pojaśniała pod wpływem jej spojrzenia.

– Proszę za mną – rzekła, usuwając się i ukazując im ręką drzwi.

Wprowadziła ich do jadalni, gdzie w zupełności sprawdziła się zapowiedź Krzysztofa. Ogromny stół ugiął się pod ciężarem potraw wszelkiego rodzaju. Głębokie talerze pełne były wędlin, kiełbas i serów. Z ogromnych waz unosił się ku sufitowi opar przesiąknięty zapachami, które pobudzały żołądek. Prócz potraw na stole stały pękate karafki ze swojskim winem i wódką.

Wiktoria była wyraźnie w swoim żywiole. Rozsadzała gości w głębokich, wysokich fotelach; krążyła między nimi, zabawiając rozmową, podsuwając co smaczniejsze potrawy. Wreszcie jednak

i ona usiadła, zmęczona. A przy stole słycać było tylko wzmożoną pracę sztuków i ust. Wszyscy jedli z przyjemnością, bo wszystko było tak pyszne, jak tylko polskie jedzenie być może. Gdy jednak nasycili głód w stopniu dostatecznym, Krzysztof wstał z kieliszkiem w rękę i stuknął w niego łyżeczką, by dać znak, że chce mówić.

A gdy hałas ucichły powoli, rzekł:

– Chętnie was witam w ubogim domu moim. Miło mi przyjmować tak znamienite osoby, które każdemu domowi mogą sławy przysporzyć. I raduje się serce moje, że mogłem wrócić do tego gniazda, by żyć w nim po czasie kres. Dziękuję, że mogę dzielić się moją radością z wami. Zdrowie gości!

Wszyscy wstali z miejsc i spełnili toast.

– Proszę podziękować ode mnie panu naczelnikowi państwa, że kobiety polskie mają prawo wyborcze – rzekła Wiktoria, gdy wszyscy usiedli. – A inne Europejki muszą na to jeszcze poczekać.

– Bo w naszym sejmie siedzą mądrzy posłowie, którzy wiedzą, że dość mamy wojen na wszystkich granicach – rzekł wesoło Kossowski. – I przynajmniej w domu chcemy mieć pokój. Bo zważywszy na dzielność naszych niewiast, to jeszcze nie wiadomo, kto by taką wojnę wygrał.

– My nie mamy jeszcze granic – zauważyła ze śmiechem.

– Pani interesujesz się polityką? – zapytał Dobrowolski.

Spojrzała na niego groźnie.

– Czyżby uważał za zajęcie nieodpowiednie dla kobiet?

– Podobnie jak dla niektórych mężczyzn – odparł. – Na przykład Lenin mógłby zabrać się za szydełkowanie.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Czyli dopuszcza pan udział kobiet w życiu publicznym? – drążyła temat Wiktoria.

– Oczywiście. Kobiety udowodniły podczas Wielkiej Wojny, że chcą i mogą pracować równie wydajnie jak mężczyźni. Dlatego

powinny zacząć pełnić istotne funkcje w życiu publicznym i przestać być tylko dodatkiem do nas. Od tego nie ma odwrotu, ale upłynie jeszcze co najmniej kilka lat, zanim stanie się to dla wszystkich oczywiste.

– No tak. Stare niełatwo ustępuje przed młodym – zauważył Rymer, biorąc z półmiska krążek kielbasy. – Zwłaszcza u nas, na Śląsku, gdzie od wieków funkcjonuje mocno tradycyjny model rodziny. Ale i u nas będą zmiany, tylko nastąpią one wolno. Lecz lepszy jest deszcz, co wolno przesiąka, niż burza, która łamie i niszczy.

– Czytałam w gazetach, że sytuacja na Śląsku zaostrza się.

– O tak – przyznał Korfanty, który zgrabnie przejął pałeczkę od poprzedniego rozmówcy. Liczył, że przynajmniej teraz zdoła przekonać pułkownika do swoich racji. I dlatego niby to rozmawiał z Wiktorią, a jednocześnie co jakiś czas rzucał spojrzenia na Dobrowolskiego. – Jest tym bardziej ostra, że w wielu rodzinach panuje rozdwojenie. Jedni jej członkowie są po naszej stronie, a drudzy po niemieckiej. Jedni bronią tego, co jest, a drudzy chcą wrócić pod sztandary praojców i dziadów. Część ludzi jest z kolei obojętna. A przecież tak jeszcze niedawno wszyscy razem tkwili w okopach, walcząc za cesarza i w jego imieniu. Ślązacy obawiają się podziału regionu i wytworzenia sztucznych granic. Nikt nie wyobraża sobie, że niedługo trzeba będzie przekraczać granice, by odwiedzić ciotkę lub wujka.

– A gdyby sprawę rozstrzygnął plebiscyt? Politycy umyliby wtedy ręce od jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Tu Kossowski roześmiał się, aż żona spojrzała na niego urażona.

– Coś źle powiedziałam? Czyż nie będzie sprawiedliwie, jeśli ludzi sami zdecydują, w jakim państwie chcą dalej żyć, dorabiać się i umierać?

– Ech, sprawiedliwość. Wiele o niej słyszałem, ale jeszcze nigdy nie widziałem. Nie mówię tego, by cię urazić. Wiesz przecież, że

w każdej ważniejszej sprawie rady twej zasięgam, ufając bystrości twojego umysłu. Ale posłużę się alegorią, by wyjaśnić ci tok mojego rozumowania. Otóż wyobraź sobie, że dwa wilki jedno naszły jagnię. I kazały mu głosować, który z nich ma je zjeść. Jak myślisz, co się dalej stało?

Spojrzała na niego, już rozbawiona, z niezmierną miłością w oczach. Znikli wszyscy ludzie dookoła nich, a oni cieszyli się sobą, prowadząc dywagacje polityczne.

– Są trzy możliwości: owca uciekła, wybrała pierwszego lub drugiego wilka. Ale jakkolwiek by postąpiła, albo jeden, albo oba wilki byłyby niezadowolone.

– Otóż to – potaknął. – Więc najprawdopodobniejszym rozwiązaniem dylematu byłoby rozdarcie jagnięcia na strzępy, bo w ten sposób oba wilki miałyby coś z niego.

– No, no. – Dobrowolski ze śmiechem pogroził mu palcem. – Porównywać własny kraj i rząd do wilka?

Ale uderzyła go słuszność tego porównania. Zamyślił się więc ponuro i patrzył w ścianę przed sobą.

O tak, oba wilki są głodne – pomyślał. My potrzebujemy silnej gospodarki: hut, stalowni, kopalń i surowców. To będzie nasza dźwignia do budowy przemysłowej niezależności. Bo na czym innym oprzemy kraj? Na muzealnym rolnictwie, które nie wypracuje dochodu, a tylko jeść da? Wprawdzie i to coś znaczy, bo plody rolne można eksportować. Ale ich plon zależny jest w wielkim stopniu od pogody, a na nią nikt wpływu nie ma. Tak, potrzebujemy choćby tego kawałka przemysłowego Śląska, by być samodzielnymi gospodarczo. A drugi wilk? Ma jeszcze zagłębienie Ruhry, ale ono samo będzie tylko namiastką tego, czego im teraz będzie potrzeba, by mogli wypłacić odszkodowania sprzymierzonym. Toteż głupi by być musieli, gdyby odpuścili. A to ja będę musiał dopilnować, by jak największa część Śląska znalazła się w naszej paszczy.

– To tylko porównanie – bronił się Kossowski. – I powiedziane w zaufanym gronie.

– Gdyby ryba trzymała zamknięty pyszczek, nikt by jej na hak nie wziął. A ty nie możesz mówić tego, co zechcesz.

– Nawet w domu swoim?

– Nawet. Oczywiście jeśli chcesz otrzymać posadę, którą ci zaoferuję.

Wszyscy wbili w niego pytające spojrzenia.

– Czas powojennego chaosu kiedyś się skończy. Zaprowadzony zostanie ład. Ale dla niektórych ludzi wojna zmieni tylko charakter. Gdy Wielkopolska zostanie włączona do Polski, bardzo bym chciał, byś pozostał tym, kim byłeś. Czyli, prosto mówiąc, chciałbym, żebyś objął przyszłą ekspozyturę w Poznaniu. Raport składałbyś tylko przede mną. No, chyba mi nie powiesz, że włożysz kaptcie i schowasz się za piec, by się przy nim ogrzewać?

– Albo co w tym złego? – odrzekł. – Niech no każdy tyle robi, ile ja, to Niemcy zaraz spuszczą z tonu. Poza tym muszę spytać żony.

– Toż ja tylko dlatego przy stole o tym mówię, byś mógł zaraz spytać!

Wiktoria się uśmiechnęła. Znała swego męża i wiedziała, że chętnie do niej wraca, by wypoczywać przy jej boku, ale nie jest bynajmniej typem domatora. Wolala więc, by wracał do niej po pracy stęskniony, niż by kiedykolwiek się nią znudził. Nie chciała tylko opuszczać swego kochanego kąta na ziemi. Ale to jej przecież nie groziło. Poznań nie był wszak za morzem. Krzysiek będzie dojeżdżał, a przy tym w pozytywny sposób zużywał nadmiar energii, która go bezustannie rozsadzała.

– Znam cię przecież – rzekła, gdy odwrócił się w jej stronę. – Nie będę ci zawadzać w karierze. Poza tym wiem, że i tak nie zdołałbyś usiedzieć w domu, gdzie życie tak wolno płynie, jak padają płatki śniegu.

– Ale... – próbował protestować, choć nieszczerze, bo perspektywa wytężonej pracy jednak go pociągała. – Wiesz, że mogę być ciągle zajęty. To nie jest praca na tym czy innym etacie. Mogę przez nią nie być idealnym mężem.

– Daj spokój. Zawsze byłeś i jesteś idealnym mężem. Który mąż z naszej okolicy pozwoliłby żonie kierować całym gospodarstwem wedle własnego uznania? Nie mam prawa ani powodu, by narzekać na los, który dał mi ciebie. Chyba o tym wiesz?

– Wiem. Przywiozłem ci te podręczniki, o które prosiłaś.

– No widzisz. Zawsze pamiętasz o moich potrzebach. A ja dopilnuję, by tak było nadal. Jest tam *Zasiej i zbierz* Lucjana Adamczewskiego?

– Czy to nie ojciec Wiktora? – zapytał Jerzy.

– Tak. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z jego syna?

Uśmiech rozjaśnił twarz Dobrowolskiego.

– I to jeszcze jak! Powiedz jego ojcu, że jego syna czeka piękna przyszłość.

Kossowski spochmurniał i spuścił oczy.

– On o tym słyszeć nie zechce. Wciąż oplakuje Mikołaja. I mnie go żal, bośmy razem całą teraźniejszą kampanię przetrwali. Tak chciał mieć rodzinę, żonę, syna. Ostała mu się z tego mogiła. A staremu smutek i żal. Ty młodego do niego nie posyłaj, bo bez wnuków nie ma po co tam jechać.

Ciche kroki przerwały im dalszą rozmowę. Do jadalni wszedł młody żołnierz Wojska Polskiego i ukłoniwszy się wszystkim, podał pułkownikowi Dobrowolskiemu białą kopertę. Ten rozwinął ją szybko i przeczytawszy jej treść, poblądł trupio.

– W Krakowie zabito dwóch agentów Czeki – wypowiedział zbladłymi ustami. – Pańska córka jest w szpitalu.

Jerzy przetarł oczy i wybiegł pędem, nie pożegnawszy się z nikim.

Rozdział XV

Eliza z trudem otworzyła mocno sklezione powieki; i niemal natychmiast przeszył ją ból. Syknęła przez zęby, a potem poczuła okropną suchość w gardle. Miała wrażenie, jakby cały świat wirował wokół niej, a kontury wszystkiego były rozmazane. Ale widziała biały sufit nad sobą. Okna, które wychodziły na tętniący zielenią park. Szerokie gałęzie zdawały się wnikać przez okna. Na niebie snuły się niewielkie chmurki.

Powoli podniosła ręce i dotknęła palcami swojej twarzy. Badała ją dotykiem i z ulgą przekonała się, że nie wyczuwa żadnych blizn. Potem przed jej oczami zaczęły stawać straszne wypadki. A więc ciało stangreta, porwanie i utrata przytomności. Nagle włosy stanęły jej dęba na głowie. Przeszło jej bowiem przez myśl, że nadal znajduje się w rękach porywaczy. Chciała się poderwać do ucieczki, lecz potworny ból, jaki niemal natychmiast przeszył jej głowę, powstrzymał ją od tego. Usłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Potem dobiegły do niej kroki, a na koniec zobaczyła pochyloną nad sobą twarz matki. I aż się przeraziła tym, co ujrzała. Było bowiem na niej widać bladeść i znużenie. Zmęczone zielone oczy nie miały tego zwykłego błysku, do którego przywykła. Cienkie, czarne brwi zlewały się w jedno z wysokim czołem, mającym barwę alabastru. Zresztą podobnie jak cała twarz, która zdawała się w ogóle nie widywać słońca. Jej wiotka sylwetka przywodziła na myśl lilie.

Eliza знаła swoją matkę. Wiedziała, co czeka tego, który da się zwięść jej dziewczęcej urodzie. Znała ów twardy charakter, który niemal każdego potrafił przytłoczyć. Bo taka właśnie była Beata Dobrowolska. Nieustraszona strażniczka domowego ogniska. Twarda, pewna siebie i bezwzględna.

Tymczasem teraz, gdy patrzyła na jej wylęknioną twarz, widziała tylko przerażoną matkę, która bała się utracić swoje dziecko. Widziała, jak drżą jej wypielęgowane dłonie, a na wąskich ustach nie ma nawet śladu po makijażu.

– Córeczko ty moja, kochanie ty moje, poznajesz mnie?! Poznajesz?! – wykrztusiła z trudem, walcząc ze łzami, które przemocą cisnęły jej się do oczu. Uklękła przy łóżku córki.

– Wody – wykrztusiła z siebie Eliza.

Beata poderwała się szybko i podetknęła jej szklankę z wodą pod spierzchnięte wargi. Eliza piła chciwie, jakby potrzebowała zapasów przed wyprawą na pustynię. Lecz już musiała przy tym wysłuchać porcji matczynych pretensji i żalów.

– Przyjechałam natychmiast, jak tylko się dowiedziałam o twoim nieszczęściu. A nie mówiłam, że bale to nie jest odpowiednie miejsce dla dobrze ułożonej panny? Gdybyś była w domu siedziała, nie doszłoby do tego wszystkiego, co się zdarzyło. Mało nie umarłam z desperacji. Czy wiesz, co mówią lekarze...? Widzę, że zaczynam jak polityk mówić, bo niby skąd masz wiedzieć. Otóż oni mówią, że podano ci jakąś truciznę. Jeszcze chwila, a byłaby cię zabiła. No strach myśleć! Gdyby nie ten chłopak i ta doktor...

Eliza, która dotychczas z obojętnością słuchała matczynych wyrzutów, teraz przerwała silniejszym głosem:

– Co z Jasiem?

– O, to widzę, z Jana na Jasia już przeszedł – rzuciła Beata drwiąco, patrząc uważnie na córkę. – Pilnuj się, bo te, co zdrabiają, zaraz potem kołyszają.

W oczach Elizy błysnęła płomień gniewu.

– Nie jestem już małym dzieckiem. Dość mam twojej matczynej troski, bo już jej nie potrzebuję. Od tej pory będę robić to, na co mam ochotę. Nie będziesz mi utrudniać jazdy konno po męsku ani strzelania. A co do Jasia, to dowiedz się, że popełniłam wielką gafę towarzyską: całowałam go.

– A on? – szepnęła Beata prawie bez tchu, a przez głowę przebiegały jej najczarniejsze myśli. Co, jeśli Eliza okazała się na tyle nieroztropna, by utracić wianek? A w tym nie ma nic nieprawdopodobnego. Mało to jest mężczyzn, którzy tylko czyhają na takie nieopierzone piskłę, by zniszczyć mu życie? Eliza łatwowierna jest, nieoobyta w świecie. Może Jerzy ma rację, że już czas najwyższy na to, by ją spod klosza wypuścić. Ale ona przecież też to rozumie. Tylko że w jej matczynych oczach Eliza jest nadal małym dzieckiem.

– Nie martw się, mamó – odparła Eliza. – Byłam pijana.

– Tak tłumaczą się mężczyźni.

– Ale on mnie nie skrzywdził – zapewniła gorąco. – On nie z takich. W stosunku do kobiet jest bardzo nieśmiały, choć przystojny jak sam diabeł. To ja go pocałowałam. Ale najpierw omal nie przejechałam go końmi. Przeze mnie był cały ubłocony. A potem tańczyliśmy, och, jak tańczyliśmy!

Na jej twarzy wykwitły rumieńce, lecz Beata jej nie zganiła. Nie mogła. Bo i jej przyszły na pamięć szaleństwa młodości. Ech, gdyby jej córka mogła ją wtedy widzieć. Jak przewozi broń dla organizacji bojowych PPS¹¹. Z pewnością nie uważałaby jej za snobkę o twardym kręgosłupie moralnym. Ale musiała stać się właśnie taka, by wychować dziecko. Dla niej wyrzekła się wszystkiego, jej wszystko poświęciła. Nawet związek uczuciowy z człowiekiem, którego praca już raz omal nie doprowadziła do śmierci Elizy. A kto wie, czy i teraz nie tu tkwiła przyczyna wszystkiego.

Zadrzała mimo woli. I aż się sama zdziwiła, że dotychczas takie przypuszczenie nie przeszło jej przez myśl. Może stało się tak dlatego, że dotąd jej nerwy były zbyt rozstrojone, a wszystkie myśli skupiała na córce. Dopiero teraz, gdy mogła już żywić niemal stuprocentową pewnością, że jej córce nie grozi żadne niebezpieczeństwo, potrafiła na zimno rozważyć położenie. I jednego była pewna: jej córka nie miała żadnych wrogów. Kto mógłby więc chcieć skrzywdzić jej kruszynkę?

Jerzy z pewnością miał wrogów. Na stanowisku, jakie piastował, można mieć tylko wrogów lub fałszywych przyjaciół. A on był przecież szefem polskiego wywiadu. I czemu się zgodził? Czemu wybrał pracę i życie pośród niebezpieczeństw zamiast spokojnego życia z nią przy boku? Przyjęłaby go, gdyby uczynił choćby jeden jedyny krok w tym kierunku. Ale wiedziała, dlaczego tak nie postąpił – był na to zbyt dumny. Wiedziała, że nigdy nie pogodził się z jej odejściem, choć zapewne rozumiał motywy, jakimi się kierowała. Ale nie chciał do niej wracać – nie w roli przegranego.

A do diabła! Czy żądała od niego tak dużo? Chciała, by wspólnie wychowywali dziecko, żyli i starzeli się we dwójkę. By nie musiały się wreszcie bać o to, że ktoś odstrzeli mu głowę. Albo rzuci w jego kierunku bombę, która zabije i jego, i dziecko. Kiedyś umiała żyć w ciągłym strachu, ale działo się tak, zanim zmieniły się jej priorytety. Teraz poświęcała się już tylko wychowaniu córki.

Jeśli to przez niego przemoc znowu wkroczyła w nasz świat, o sobiście urwę mu jaja! – pomyślała gniewnie.

– Mamo. – Cichy szept córki wyrwał ją ze szponów głębokiego zamyślenia.

– Co, Elizko?

– Komu zawdzięczamy nasze pieniądze? Skąd pochodzą te sumy, za które kupujesz moje stroje, utrzymujesz mieszkanie w Warszawie i powozy? Ani ty, ani ja nie zarabiamy.

Zawahała się. Podeszła do szklanki z wodą i napiła się. Lecz tylko po to, by zyskać na czasie. Nie spodziewała się tego typu pytań. Elizy nigdy przecież nie interesowało, skąd biorą się ich fundusze. Była na to zbyt młoda. A ona nigdy nie wprowadzała jej w te kwestie. Musiałaby bowiem wyjawić przy okazji prawdę o sobie i Jerzym. Już wolała, by Eliza źle myślała o ojcu, niż szukała z nim kontaktu. Tak było lepiej dla wszystkich. A przynajmniej tak wydawało jej się dotychczas.

Odstawiła szklankę na miejsce. Przez chwilę zastanawiała się, od czego by tu zacząć. Zanim jednak zdążyła wypowiedzieć choćby słowo, drzwi otworzyły się i do środka wpadł Jerzy. Obróciła się w jego stronę, wbijając wzrok w jego twarz. Z odcieniem satysfakcji mogła stwierdzić, że czas okazał się dla niej łaskawszy. Jerzy przytył bowiem znacznie od czasów, gdy byli razem, choć pod mundurem brzuszkiem nadal był ledwie zauważalny. W jego oczach widziała jakiś smutek lub zniechęcenie.

Jerzy poprawił biały lekarski kitel, który miał narzucony na mundur. Czuł się dziwnie spięty, patrząc na swoją córkę leżącą w łóżku. Nie widział jej tyle lat. I nie poznawał w dorosłej pannie tej małej istotki, która niegdyś tak chętnie wdrapywała mu się na kolana. Wywijiała koziółki na dywanie. Niby układał sobie tę rozmowę przez wiele lat, ale teraz wszystkie te słowa gdzieś mu uleciały. I czuł tylko, jak gardło dławi mu silne wzruszenie, a do oczu cisną się łzy.

Gdy patrzył na pobladłą, wymęczoną twarz swojego dziecka, chwycił go nadludzki gniew, który gotów był rozerwać każdego, kto miałby choćby minimalny udział w jej cierpieniu. Ale gniołło go także poczucie winy. Powinien ją lepiej chronić. Powinien był przewidzieć, że ktoś przez wzgląd na niego może próbować ją skrzywdzić. Teraz lepiej rozumiał pobudki, jakimi kierowała się Beata. Gdyby nie jej niepokój, nie posłałby za Elizą Wiktora, a wtedy nie oglądałby już córki.

Podszedł do Beaty i zawahał się, widząc jej twarz, która nagle pobladła z wściekłości. Cofnął się nieco, gotów na wszystko, bo wiedział z doświadczenia, ile ognia jest w tej z pozoru liliowej dziewczynie.

– Powiedz, że to nie ty! – krzyknęła. – Powiedz, że to nie przez ciebie moje dziecko leży w szpitalu!

– To także i moje dziecko. Nie zapominaj o tym. Pozwoliłem ci odejść, choć Bóg widzi, jak mi było ciężko. Najpierw nie rozumiałem powodów twojej decyzji, a potem długo nie mogłem jej przeboleć. Ale teraz rozumiem. Miałas rację. Nie miałem prawa narażać ani ciebie, ani jej na takie życie, jakie sam prowadzę. Nie wiem, kto podniósł rękę na nasze dziecko, ale ktokolwiek to zrobił, drogo za to zapłaci. To, co się stało, dowodzi także, że ona musi poznać prawdę, by wiedziała, kim jest i jakie piętno na sobie nosi. I albo opowiemy jej o tym razem, albo ja zrobię to sam.

Eliza słuchała tych rewelacji z szeroko otwartymi ustami, bojąc się uronić nawet jednego słowa z tej rozmowy. Jednocześnie patrzyła na tego człowieka w mundurze, który wedle tego, co słyszała, miał być jej ojcem. I patrzyła na jego poważną i nad wyraz uroczystą twarz. Na rude włosy, które dawniej musiały pokrywać całą głowę, a teraz ustępowały pola łysinie. Jego piwne oczy nacechowane były powagą i smutkiem, a na owalnej twarzy wyraźnie odbijały się głębokie zmarszczki. A jednak poczuła nie sympatii z tym człowiekiem. Już wiedziała, że ma do czynienia z kimś niezwyklego formatu. Z kimś, kto samotnie dźwiga zbyt wielki ciężar. Z kimś, kto nie sypia po nocach. Z kimś, kogo przygniata samotność.

Mając dobre z natury serce, bardzo zapragnęła pocieszyć tego człowieka. Bo zaczynała się już domyślać, że matka umyślnie dotychczas przedstawiała go w czarnych barwach. Ale nie żywiła do niej o to najmniejszych pretensji. Zrozumiała, że był to rodzaj

cichej umowy pomiędzy nimi, zawartej tylko po to, by móc ją lepiej chronić.

– Może wreszcie przestaniecie rozmawiać o mnie tak, jakby mnie tu w ogóle nie było? Może nie zauważyliście, ale nie jem już kaszki. Mam prawo wiedzieć, kto i z jakiego powodu chce mnie widzieć w trumnie!

Podeszli do niej i stanęli po obu stronach łóżka. Spojrzeli po sobie, jakby niepewni, które z nich powinno zacząć tę historię.

– Najpierw ty, mamo.

Beata usiadła na skraju posłania, położyła ręce na kolanach i patrzyła przed siebie, jakby to pomagało jej w rekonstruowaniu dawno pokrytych kurzem faktów.

– Cóż, zapewne nie uwierzysz, gdy ci powiem, że przez czas mojej – nazwijmy to – młodości... kobieta dojrzewa, a nigdy się nie starzeje... byłam członkinią organizacji bojowej PPS. A ściślej mówiąc: kurierką. Przewoziłam materiały wybuchowe, amunicję, leki, opatrunki. Na szczęście moda ówczesna dawała pole do popisu dla kreatywności i pozwalała unikać wpadki. Długie suknie umożliwiały przewóz karabinów. Sposób był bardzo prosty: przywiązywało się je wzdłuż nóg. Trzeba było tylko uważać przy wstawaniu. Broń kupowaliśmy w Belgii, noże w Finlandii, bomby fabrykowano na miejscu. To wszystko trzeba było przenosić, dostarczyć czy to do magazynów, czy do oddziałów. Pewnego dnia dotarłam do Krakowa. Miasto mnie oczarowało. Wydało mi się wtedy żywym ucieleśnieniem naszej historii. Ze swymi uliczkami. I Wawelem. Ale ja nie przyjechałam tam w celach turystycznych – wiozłam broń. Dużo broni. Dynamit ukryty był w gorsecie. Jeden mocniejszy ruch szpilką czy fiszbinem i zabawa skończona. Nie wspominając o przykrym zapachu, który powodował torsje.

Przerwała na chwilę i niespodziewanie uśmiechnęła się do Jerzego.

– Pewnego dnia szłam sobie jak zwykle stałą trasą do magazynu, niosłam kilkaset sztuk naboji i dynamit. I – na psa urok – potknęłam się. Usiadłam na środku chodnika i nie mogłam wstać. Pamiętaj, że miałam na sobie blisko czterdzieści funtów dynamitu. Byłam przerażona. Naokoło kręcili się żandarmi.

– Robili wtedy oblawę – wtrącił Jerzy. – Granica Austro-Węgier była jednym z głównych szlaków przerzutu broni. W nadgranicznych stronach przemytem trudnił się niemal każdy, bo to wielce dochodowy interes. Byłem tam wtedy. Wywiady wszystkich państw zaborczych współpracowały ze sobą przeciwko Polakom. Byłem jeszcze młody. Stoję na ulicy i widzę kobietę potrzebującą pomocy, która na dodatek była ładna. – Zarumienił się lekko.

– Co znaczy była? – prychnęła Beata. – Spójrz na siebie. Pogubiłeś włosy, przybyło ci kilogramów.

Eliza patrzyła na nich i nie mogła zrozumieć, jakim cudem tych dwoje ludzi straciło się z oczu. Nie poznawała własnej matki. Tak dawno nie słyszała jej śmiechu ani nie widziała na twarzy radości. Tymczasem ten nieznany Elizie mężczyzna sprawiał, że jej matka stawała się kimś zupełnie innym. Kimś, kogo ona nigdy nie miała poznać. Jej twarz płonęła nieziemskim szczęściem i radością, a oczy błyszczały pogodnym blaskiem.

– Jerzy podszedł wtedy do mnie i próbował mnie podnieść, ale nie mógł dać sobie rady... Przyczyną był dynamit, a nie moja waga – zastrzegła jak gdyby w obawie, że jej córka może mieć co do tego jakieś wątpliwości. – I jakby tego było mało, pękły mi majtki.

Oboje, ojciec i córka, równocześnie wybuchli szczerym śmiechem. Beata spojrzała na nich z urazą, ale i sama nie umiała zachować przy tym powagi.

– No co? Włożyłam naboje do szerokich majtek, zawiązanych pod kolanami. Robiłam tak setki razy, ale ten jeden raz taśma

pękła. A naboje zaczęły się wysypywać spod mojej spódnicy i spadać wprost do rynsztoku. Żebyś mogła wtedy zobaczyć jego minę, córuś. – Wskazała na Jerzego.

– Przyznaję, że byłem wtedy młody i zawartość twoich majtek nieco mnie zaskoczyła. – Zachichotał. – Ale już nigdy więcej się to nie powtórzyło. I nie zapominaj, że uratowałem cię wtedy, a i później wielokrotnie wam pomagałem, mącąc sprawy.

– Ale naszej sieci kurierskiej nie namierzyłeś – odparła chępliwie. – Bo do tego potrzebowałbyś namierzyć kogoś innego.

– Zależy, jak mocno bym cię przycisnął.

– Ty lepiej przyciśnij teraz tych, którzy próbowali skrzywdzić nasze dziecko. A w ogóle to jak oni na nią weszli? – zapytała, ale Eliza dostrzegła na jej twarzy lekki rumieniec.

– Jeszcze nie wiem. Jest tyle sposobów, ile głów. W Berlinie i w Moskwie też siedzą ludzie, którzy znają swój fach.

– Pewnie masz dobrze ulokowaną wtyczkę w swoim wywiadzie. I to gdzieś blisko ciebie.

Machnął ręką ze zniecierpliwienia.

– Kobieto, ja znam swoją pracę. Oczywiście będę się przyglądał wszystkim wokół mnie. Bo zdradzić może także ten, komu ufamy. Ale muszę uważać, bo nie chcę ich spłoszyć. Na takiego agenta pracuje cała siatka. A ja chcę ją aresztować. Całą!

Eliza obserwowała swego ojca ze zdumieniem, jak chodzi dokoła jej łóżka, i nagle wyciągnęła rękę, łapiąc go za dłoń.

– Tatko – szepnęła miękko – dlaczego mnie zostawiłeś? Dlaczego nie interesowałeś się mną?

Ukląkł przy jej łóżku i pocałował ją w czoło. Poczowała jego wąsy na skórze i krople jego łez.

– Serce ty moje, duszko ty moja! Ja ciebie zostawiłem? Jesteś jedyną rzeczą, która mi w życiu wyszła. Mam wszystkie twoje zdjęcia, na których widać, jak wyrastasz na boginię. Nawet nie wiesz, ile nocy przy nich przeplakałem – szeptał jej do ucha tak, by

Beata nie słyszała. Przed własnym dzieckiem mógł duszę otworzyć i się wyzalić. Przed tamtą nigdy. – Beata odeszła ode mnie po pierwszym zamachu na moje życie, kiedy o mało nie zginęłaś. Bomba, którą rzucono z balkonu, chybiła celu. Wtedy zabrała cię i odeszła. Przez lata nie mogłem zrozumieć jej decyzji, wierzyłem, że potrafię was ochronić. Ostatnie zdarzenie dało dowód, że miała rację, a mnie pokazało, jakim byłem głupcem.

– Ale ona cię wciąż kocha – odparła gwałtownie. – A ty jesteś ślepy, jeśli tego nie dostrzegasz. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej jak dzisiaj.

– Wiem. Lecz nasz czas przeminął. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody. Ale ty i ona zawsze możecie na mnie liczyć.

– Już wiem. – Chciała jeszcze zapytać o Jasia, ale się powstrzymała. Nie chciała zdradzić się tym pytaniem. Poza tym wciąż jeszcze miała mętlik w głowie. Dlaczego chłopak tu nie przyszedł? Dlaczego, gdy się obudziła, jego przy niej nie było?

Jerzy opuścił salę. Przeszedł przez wąskie korytarze szpitalne, pozostawiając pod drzwiami Elizy wartę – wolał dmuchać na zimne i nie kusić losu. Rozmyślał nad słowami Beaty. Może rzeczywiście Sowietom udało się zwerbować kogoś z jego najbliższego otoczenia? Tego nie mógł wykluczyć. Choć robił wszystko, by do minimum ograniczyć taką możliwość. Każdy, kto miał dostęp do informacji opatrzonej klauzulą „ściśle tajne”, okresowo poddawany był sprawdzeniu. Ale było dokładnie tak, jak powiedział Beacie: wszystkiemu nie da się zapobiec.

Wyszedł przed budynek szpitalny. Przed nim rozpościerał się park. Przez chwilę oddychał oczyszczonym przez drzewa powietrzem. Przesunął wzrokiem po ławkach rozstawionych wzdłuż niezbyt szerokiej ścieżki. Dostrzegł tego, kogo szukał, bo ruszył sprężystym, żwawym krokiem. Czekał na niego Wiktor. Dobrowolski dziwił się zmianie, jaka zaszła w nim samym. Chciało mu się śmiać, nucić, po prostu żyć. Wiedział, że to efekt spotkania

z Beatą. Zupełnie jakby była lekarstwem na jego chorobę, a on właśnie przyjął odpowiednią porcję.

Wiktor siedział na ławeczce z Iwoną i rozmawiał z nią, choć myślami był zupełnie gdzie indziej. Dręczyła go bowiem obawa o los Elizy, choć Mielnik zapewniała go, że wszystko będzie dobrze. Wierzył jej, bo bardzo chciał wierzyć, lecz nie umiał wyzbyć się dręczącego go uczucia niepokoju. Przez głowę przelatywały mu wyobrażenia różnych niebezpieczeństw i powikłań, jakie mogły dotknąć dziewczynę. I chwilami chciał biec do niej na złamanie karku. W takich momentach Iwona musiała wyperswadowywać mu owe szaleństwa z głowy. Za co był jej później wdzięczny.

I teraz, ujrawszy pułkownika, chciał poderwać się i biec do niego. Lecz czujna jak żuraw Mielnik udaremniła ten zamiar. Pułkownik sam szedł ku nim i wkrótce stanął przy ich ławce.

– Można? – zapytał kurtuazyjnie.

Przesunęli się, robiąc mu miejsce.

Wiktor starał się wyczytać z jego twarzy stan zdrowia Elizy. Jakoż to, co widział, podbudowało go wyraźnie. Twarz pułkownika bowiem promieniała w tej chwili niekłamaną radością i szczęściem. Nie było na niej typowego dla niego znużenia i przemęczenia. Zupełnie jakby wielki ciężar spadł z niego. Oczy zwykle obojętnie i nieco ponuro na świat patrzące, teraz miały przyjazne wejście.

Wiktor więc wróżył sobie na podstawie jego wyglądu dobrą nowinę. I się nie zawiódł. Pułkownik bowiem w pierwszych słowach poinformował go, że stan zdrowia Elizy w niczym nie zagraża jej życiu. Ucisnął dłoń Wiktora krótko, po męsku. A on poczuł, że między nimi został zawiązany kolejny węzeł. Następnie Jerzy zażądał relacji z krakowskich wypadków.

Składał mu ją szybko i dość nieskładnie, bo myślą wciąż był przy Elizie, a w duszy dziękował Bogu za jej ocalenie. Jerzy nie dorozumiał się jednak niczego. Składał bowiem to pomieszanie na

karb młodości i zwykłego u młodych ludzi podniecenia walką. Przyszło mu to zaś tym łatwiej, że i w nim odezwała się rana po strzale Amora. Jednak to, co mówił Wiktor o kwestii ich zadań, analizował szybko i dokładnie. I rzeczy ukazywały mu się bardzo jasno.

Gdy zaś Wiktor doszedł do opisu tego, jaką rolę w zaszłych niedawno wypadkach odegrała Iwona Mielnik, uwaga Pułkownika skupiła się na niej. I przyznać musiał, że to, co widział, dokumentnie zgadzało się z opisem Wiktora. Dziewczyna robiła wrażenie kompetentnej i opanowanej. Nie peszyła się jego obecnością ani nie była nachalna. Umiała czekać i była cierpliwa. A to znaczyło w jego oczach bardzo wiele. Dlatego odwróciwszy głowę w jej stronę, przemówił:

– Chciałem pani serdecznie podziękować za okazaną pomoc. Liczę, że podejmie pani decyzję o stałej współpracy z nami. W każdym razie nie dam pani powodu, by mogła narzekać na moją niewdzięczność.

– Nie potrzebuję pieniędzy – odparła dumnie. – Zrobiłam tylko to, do czego zobowiązuje mnie mój zawód i przysięga Hipokratesa, którą składałam.

Wiktor uśmiechnął się nieznacznie, bo znał już jej twardego charakter.

– I to dobrze, że ambicję masz i ludziom w ręce nie patrzysz – odparł Dobrowolski. – Ale za dobrą robotę wolno dobrą zapłatę wziąć. I nie ma w tym ujmy dla niczyjego imienia. Ja w każdym razie będę zaszczycony, mogąc dopisać panią na naszą listę płac.

Zawahała się.

– Proszę, niech pani powie, co pani myśli – zachęcił.

Iwona nabrała powietrza w płuca i rzekła:

– Panowie mają mnie w garści. Potrzebuję stałej pracy. Ale jeśli mogę stawiać warunki brzegowe, to chciałabym mieć pewność, że moje umiejętności nie będą wykorzystane po to, by robić ludziom

krzywdę. Kończyłam studia, by ratować ludziom życie i służyć im. Praca w polskim wywiadzie byłaby dla mnie zaszczytem, gdybym mogła pozostać w niej człowiekiem.

Pułkownik zamyślił się przez chwilę i pilnie patrzył na pszczołę, która latała wokół kwicia.

– Dobrze – rzekł po chwili. – Pani umowa będzie miała specjalną klauzulę, która pozwoli pani odejść z pracy u nas, kiedy pani zechce. Czy to wystarczy?

Skinęła głową zadowolona.

– Zatem witamy na pokładzie, pani doktor.

Iwona odeszła uradowana, a oni zostali sami.

– Twarda kobieta – mruknął Dobrowolski. – Ale takich właśnie nam potrzeba, bo one świat podźwigną, jak chcą.

– Tak jest.

– Mamy przeciek, synku – stwierdził i spojrzał na Wiktora poważnie. – Ktoś narobił nam śladów na mokrej podłodze, a ja chcę wiedzieć, kto to był, i znać rozmiar jego buta. To, że czekali tam na was, z całą pewnością nie było dziełem przypadku. Masz te dokumenty, którymi się posługiwali? To zawsze może być jakiś istotny punkt zaczepienia.

Sięgnął do kieszeni i podał żądane papiery Dobrowolskiemu. Ten zważył je w dłoni i przejrzał dość pobieżnie.

Adamczewski obserwował go uważnie.

– Panie pułkowniku, to fałszywki – stwierdził. – I doprawdy nie wiem, jak nam to pomoże w wykonaniu cięcia.

Dobrowolski uśmiechnął się, słysząc fachowy termin.

– Uczysz się, to dobrze – odparł. – I zapewne wiesz, że agent nigdy sam nie wyznacza sobie zadań. Wyznacza mu je oficer prowadzący. Nastawia tych ludzi na konkretne cele. Na przykład dane o produkcji naszego przemysłu. To tacy mali ludzie budują obraz danego zagadnienia. Tak dzieje się w przypadku płotek, które swoje informacje czerpią z gazet. Nie otwieraj ust. Gazety są

prawdziwą kopalnią informacji dla wywiadowcy, jeśli ten umie czytać je odpowiednio. My jednak szukamy szpiega umieszczonego tu, na Placu Saskim. A takiego szpiega uruchamia ktoś z samej berlińskiej lub moskiewskiej centrali.

– I myśli pan, że ten ktoś przybył do Polski na fałszywych papierach?

– Eureka. Ja nie myślę. Ja to wiem. Wiem też, że nie istnieją doskonałe fałszyfikaty. Ich wykrycie to tylko kwestia odpowiednich badań. A gdy już będziemy wiedzieli, jak wykryć fałszywki, wykryjemy i szpiega. Na pewno przekroczył granicę. Pojedziesz tam i pogadasz z naszym oficerem łącznikowym. Może w ostatnim czasie ktoś interesujący rzucił im się w oczy.

– A jeśli przekroczył granicę nielegalnie? – zasugerował Wiktor.

– A po co miałyby tak ryzykować? – Pomachał papierami jak wachlarzem. – Jeśli jego dokumenty są równie fachowo zrobione, to żaden strażnik graniczny się na tym nie pozna. A nie zapominaj, że nasze służby konsularne rozdały takie papiery wielu Polakom, którzy przebywali na terytoriach kontrolowanych przez Białych. I nietrudno je zdobyć.

Wiktor uznał słuszność tej argumentacji. Dziwił się trochę, że pułkownik nie poświęcił w swoich rozważaniach miejsca Zofii. A przecież to, co przekazał mu w liście, powinno na nią skierować podejrzenie.

Ale skoro pułkownik nie poruszył tematu, najwidoczniej uznał, że w jej sprawie nie ma nic niepokojącego – pomyślał.

Biedak nie wiedział, że pułkownik żadnego listu nie odebrał. Bo gdyby był odebrał, sprawy potoczyłyby się zapewne inaczej, a jemu oszczędzono by bólu.

Drogi czytelniku

Zarówno w pierwszym, jak i w drugim tomie starałem się dochować wierności faktografii historycznej. Losy moich bohaterów przedstawiam na tle skomplikowanych dziejów trzech państw, których los historyczny wpływa na dzień powszedni tak Johanna Wolfa, Iwana Saszkina, jak Wiktora Adamczewskiego.

Osią rozwojową akcji pozostaje nadal Wielkopolska. Region ten jest nie tylko kolebką naszej państwowości, ale także mózgiem II RP. Jest najlepiej rozwinięty pod względem gospodarczym i społecznym. Wielkopolanie są żywym zaprzeczeniem krążących o nas stereotypów. Są dowodem, że potrafimy pracować, kształcić się i gospodarować tak, by ludzie żyli we względnym dostatku, a kraj miał z tego pożytek. Spór o autonomię Wielkopolski jest prawdziwy. Region ten bowiem stanowił bastion Narodowej Demokracji, siły politycznej, która za swego ideowego przywódcę uznawała Romana Dmowskiego. Lecz podstawowym czynnikiem był zapewne egoizm gospodarczy. Poznań nie chciał bowiem pracować na biedniejsze części odrodzonej Polski. Spór ten został jednak zażegnany z korzyścią dla państwa. A Wielkopolanie mieli jeszcze zapisać niejedną piękną kartę w dziejach. Pułki z Poznania będą bić się o Lwów, będą istotnym czynnikiem w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

Wojna ta wybuchła dokładnie tak, jak to opisałem. Zaczęła się od starcia małych oddziałów. Niczym bójka w barze, do której pozostali dołączają. Motyw konfliktu Piłsudskiego, a właściwie

państwa polskiego z Denikinem jest prawdziwy. Chodziło o podjęcie takiej decyzji, która byłaby najlepsza dla polskiej racji stanu. Dylemat, jaki stał przed polskimi władzami, sprowadzał się zatem do wyboru: opowiedzieć się po stronie Białych i walczyć z bolszewikami czy też opowiedzieć się po stronie bolszewików i zaniechać kontaktów z Denikinem? Aby podjąć właściwą decyzję, Piłsudski potrzebował informacji, jak na sprawy powojennego porządku i ewentualnych rozmów w kwestii granic polsko-rosyjskich zapatruje się dowództwo Białych. Trzeba było zatem wysondować ich poglądy.

Okazały się one nie do przyjęcia. Rosjanie reprezentujący stronnictwo Białych nie chcieli przyjąć jakichkolwiek zobowiązań w kwestii granic wschodnich, zbywając stronę polską jedynie ogólnikami. Anton Denikin był człowiekiem o zdeklarowanych poglądach. Był monarchistą, zwolennikiem Rosji jednej, wielkiej i niepodzielnej, co automatycznie oznaczało potencjalny spór z Polską o granice w przyszłości. To podejście potwierdzały kolejne raporty słane przez gen. Karnickiego, który notował: „Należy oczekiwać, że Denikin, stojąc na stanowisku Polski etnograficznej, po zetknięciu się zażąda opróżnienia przez Wojsko Polskie podolskiej i wołyńskiej guberni”. Ponieważ polskie plany zakładały odbudowę Rzeczypospolitej w granicach możliwie zbliżonych do przedrozbiorowych, sensowność podjęcia rozmów z Białymi wydaje się problematyczną. Moim zdaniem to Piłsudski miał rację. Choć jednocześnie nie docenił wagi i znaczenia bolszewizmu, wierząc, że jest on czysto rosyjską chorobą i nie przyjmie się nigdzie poza nią. W każdym razie mając takie poglądy, mógł postąpić tylko tak, jak postąpił.

Prywatne życie Józefa Piłsudskiego to fascynujący temat nie tylko dla badaczy epoki, historyków, lecz i dla zwykłych zjadaczy chleba. Pozwoliłem sobie nieco zmienić przebieg zdarzeń. Aleksandra Piłsudska nie mieszkała w Belwederze. Posiadała

status kochanki. Był to więc romans, o którym wszyscy wiedzieli. Przeciwnicy polityczni potępiali go, a zwolennicy brali w obronę. Ja zaś poruszam ten temat w sposób bardzo delikatny. Został on wpleciony tylko po to, by uzasadnić niechęć Dmowskiego do adwersarza. I nie jest powiedziane, iż nie miałem racji... Być może rywalizacja o kobietę miała pewien wpływ na osobistą niechęć, jaką darzyli się z wzajemnością.

Spory narodowościowe, które były bolączką II RP przez cały czas jej istnienia, są oparte na prawdziwych zdarzeniach. Konflikty między zamieszkującymi Polskę mniejszościami a polskimi władzami przybierały różne formy. Od not protestacyjnych i pism, poprzez działalność terrorystyczną, inspirowaną zarówno przez wywiad sowiecki, jak i niemiecki. Problematyka narodowościowa wymyka się łatwemu osądowi. Polskie władze ani przywódcy zamieszkujących nasze państwo mniejszości nie zdołali wypracować rozwiązania, które zapewniłoby trwałą pokój wewnętrzny. Kolejne polskie rządy próbowały wymusić asymilację Ukraińców za pomocą pacyfikacji. Zamykanie cerkwi i szkół ukraińskich czy pacyfikacje wiosek to zdarzenia, które nie przynoszą nam chluby. Stanowiły zresztą wodę na młyn dla ukraińskich radykałów spod znaku OUN i innych. Po obu stronach pojawiały się dążenia do pojednania lub przynajmniej rozsądnego unormowania stosunków. Z kolei Niemcy nie mogli darować Polsce utraty Wielkopolski. Zdarzały się napady na polskie dwory, choć nie przybrały one masowego charakteru. Niemcy skupili się bowiem na budowie organizacji wywiadowczych i dywersyjnych. Ich krwawe żniwo nadeszło dopiero w 1939 roku.

Historia Iwana Saszkina może się wydawać zupełnie nieprawdopodobną. A jednak taki był los milionów rosyjskich dzieci. Głód, cierpienie, a często kanibalizm. W Moskwie były specjalne kuchnie, które oferowały ludzkie mięso, a także burdele z dziecięcą obsadą. Feliks Dzierżyński rzeczywiście rekrutował

takie dzieci. Istniały specjalne obozy, które zajmowały się ich szkoleniem. Wykolejone sieroty poddawano indoktrynacji, by stawały się maszynami do zabijania. Dzieje Feliksa Dzierżyńskiego i niejakiej Zofii Kasprzak to fikcja literacka. I tak powinna być traktowana. To bodaj jedyna zmiana, jaką wprowadziłem w jego biografii. W innych miejscach trzymałem się faktów, choć błędy mogły się wkrąść.

Dzieje Tomasza Grobla to mieszanina bardzo skąpych, fragmentarycznych rodzinnych przekazów, okraszonych moją inwencją twórczą. Staralem się zbudować logiczny wątek. Prawdziwy Tomasz Grobel spędził na froncie I wojny światowej około czternastu lat. Powołany do wojska, celem odzyskania służby wojskowej, pechowo trafił na wojenne czasy. Niewiele wiemy o tym, co się z nim działo w czasie wojny. Ostały się jakieś pojedyncze obrazy, informacje o miejscach przebywania, walkach i starciach. Na pewno służył w milicji Włodzimierza Wołyńskiego. Dzieje konfliktu ze szwagrem są prawdziwe. Choć jego zabójstwo i śmierć żony zmyśliłem. Niech mi moja rodzina przebaczy, ale było to konieczne. Prawdziwy szwagier wyjechał, gdy próba zamachu na życie Tomasza się nie powiodła. Ślad po tej sprawie znajduje się w archiwach polskiej policji. Pomysł wkomponowania tej rodzinnej historii to zasługa mojej Mamy. Wykonałem to najlepiej, jak potrafiłem. Blizna na dłoni i towarzysząca jej historia jest prawdziwa. Podobnie jak zagubienie wojennego łupu. Co do zamachu na Lenina to bardzo trudno stwierdzić, czy była to chytrze zastawiona pułapka, czy też naprawdę mój przodek mógł wpłynąć na historię świata. Nie poznałem go nigdy. A jednak jest mi bliski. Jego los stał się udziałem milionów. Milionów ofiar krwawego konfliktu, który dał Polsce niepodległość. Niech ta postać upamiętnia ich wszystkich.

Wszystkie wątki związane z polityką są autentyczne. Dzieje Wieniawy-Długoszowskiego także. Choć bardzo trudno było

zwalczyć legendę pierwszego pijusa II RP, to jednak spróbowałem oddać sprawiedliwość temu znakomitemu dyplomacie, dobremu żołnierzowi i – co najważniejsze – porządnemu człowiekowi. Jego znajomość z moim przodkiem to jednak wytwór mojej fantazji.

Dzieje Zofii Jakimowicz to fikcja, choć metoda werbunku, którą pokazałem, jest prawdziwa.

Tak krótkie posłowie nie może wyczerpać wszystkich przedstawionych w tym cyklu zagadnień, wątków, postaci historycznych i miejsc. Nie chcę Cię znużyć, drogi Czytelniku. Lecz zachęcam do własnych poszukiwań. Do sięgnięcia do książek.

Oto niektóre opracowania naukowe, które były mi nieocenioną pomocą przy odtwarzaniu realiów minionego świata:

K. Kawalec, *Roman Dmowski*, Warszawa 1996.

W. Konopczyński, *Historia polityczna Polski 1914–1939*, Warszawa 1995.

T. Krzystek, *Wojna polsko-rosyjska 1919–1920*, Warszawa 1995.

L. Wyszczelski, *Niewypowiedziana. Polsko-rosyjskie działania militarne w 1919 roku*, Toruń 2005.

A. Garlicki, *Józef Piłsudski 1867–1935*, Warszawa 1990.

M. Jabłoński, *Z dziejów gospodarczych Polski lat 1918–1939*, Warszawa 1992.

R. Bierzanek, *Państwo polskie w politycznych koncepcjach mocarstw zachodnich 1917–1919*, Warszawa 1974.

W. Bułchak, *Dmowski – Rosja a kwestia Polska. U źródeł orientacji rosyjskiej obozu narodowego 1886–1908*, Warszawa 2000.

N. Davies, *David Lloyd George i Polska 1919–1920*, Gdańsk 2000.

J. Zamoyski, *Powrót na mapę. Komitet Narodowy Polski w Paryżu 1914–1919*, Warszawa 1991.

Oczywiście to ledwie część dzieł, które przeszły przez moje ręce w ciągu ostatnich dwóch lat. Tu skupiam się jedynie na zagadnieniach dotyczących Polski niepodległej. Pomijam książki rosyjskich autorów o rosyjskiej wojnie domowej i życiu pod

bolszewickim terrorem. Oraz opracowania poświęcone stosunkom polsko-niemieckim w dwudziestoleciu międzywojennym. Jeśli ciekawią Cię te zagadnienia, to chętnie pomogę. Przy czym opracowania dotyczące rosyjskiej wojny domowej są dostępne jedynie w wersji rosyjskojęzycznej. Ukazują się bowiem ledwie od kilku lat...

KG

Spis treści:

Okladka

Strona tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Drogi czytelniku

Karta redakcyjna

W tajnej służbie II Rzeczypospolitej. Tom II. Napad

ISBN: 978-83-8219-654-2

© Krzysztof Goluch i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt
jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego
przekazu
wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Paweł Pomianek

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Paulina Radomska-Skierkowska



zacytani | AMARE | NOVAE RES

**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej
Zacytani.**

Zacytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zacytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek